

Marta Alicja Trzeciak

DWADZIEŚCIA
SIEDEM SNÓW



Marta Alicja Trzeciak

Dwadzieścia Siedem Snów

Dedykuję mojej Mamie za „norkę” i wewnątrzsterowność

Zagorzałe feministki w snach nie walczą o żadne ze swoich
praw tylko z pokorą na kolanach pucują buty swych mężów tyranów
Wszystkie wierne żony w snach nie strzegą tak pilnie swoich łon
które stają się bardziej uczęszczane niż ruchliwe ulice po szesnastej

*Wiadomo, **Kasia Nosowska***

Rozdział 1

– Będzie u nas jadła? – spytała mnie dziś rano, gdy tylko wysiadłam z samochodu.

– Nie wiem – odparłam. – A trzeba się teraz decydować?

Uśmiechnęła się i machnęła na mnie ręką. Miała piękną twarz naznaczoną zmarszczkami od śmiechu. Podchodziła zapewne gdzieś pod siedemdziesiątkę. Szara – tak się nazywała.

– Nic nie trzeba. Ani teraz, ani później. Przyjdzie, to zje, nie przyjdzie, to nie zje. Może być? – Zaśmiała się.

– Może. – Odwzajemniłam uśmiech.

– Śniadanie dziewiąta, obiad pierwsza, kolacja szósta.

– Rozumiem – powiedziałam z powagą.

Szara milczała przez chwilę, tajemniczo się uśmiechając i omiatając mnie spojrzeniem od stóp do

głów.

– Siedzi po nocy? – spytała, wskazując głową na mój komputer i torbę pełną książek oraz notatników.

– Czasami. – Wzruszyłam ramionami.

– Na noc będę zostawiać poprzykrywane ostatki z kolacji, to może sobie podjadać.

Zaśmiałam się.

– Dobrze, dziękuję.

– Na miesiąc? – upewniła się, pomagając mi wnieść rzeczy na piętro do mojego pokoju.

– Tak – odparłam, po czym dodałam rzeczowo – dwadzieścia osiem dni. Dwadzieścia siedem nocy czyli.

Rozbawiła mnie ta dziwna kolejność wyrazów. Jakbym przejmowała po Szarej te wszystkie przedziwne składnie.

Kobieta wyciągnęła z kieszonki fartucha prosty, sporych rozmiarów klucz. Włożyła go do zamka drzwi od mojego pokoju i próbowała przekręcić. Ale okazało się, że drzwi wcale nie są zamknięte.

Z rozdrażnieniem mruknęła coś pod nosem i nacisnęła klamkę. Naszym oczom ukazała się śliczna, jasna sypialnia z dużym oknem wychodzącym na las. Okno było otwarte, a na środku pokoju stała staruszka – odwrócona do nas plecami.

– Mamo! – jęknęła Szara. Jej ton wskazywał raczej na zniecierpliwienie i znudzenie niż na złość.

Matka pani Szarej odwróciła się do nas i dopiero teraz dostrzegłam, że była naprawdę bardzo sędziwa. Staruszka nieprzytomnym wzrokiem spojrzała na twarz swojej córki. Mlasnęła

z niezadowoleniem i machnęła na nią ręką. Mruczała coś pod nosem – albo był to język, którego nie znam, albo mówiła coś niewyraźnie i nie sposób było cokolwiek zrozumieć.

– Ile razy mamie mówiłam! To już nie jest mamy pokój.

Zrobiło mi się głupio. Odbieram staruszce jej dawną sypialnię, kradnę wspomnienie jej młodości...?

– Wie pani co? – spytałam, dotykając łokcia Szarej. – A może bym tak wzięła któryś z pozostałych pokoi?

Szara zniecierpliwiła się.

– Nie, przecież matka musi się przyzwyczaić. Od dziesięciu lat ten pokój jest wynajmowany. Nie może tu ciągle przyłazić i straszyć gości. Urządziliśmy dla niej lepszy pokój na dole. Ona ma chore biodra i w ogóle nie wolno jej wchodzić po schodach. Jak spadnie, to ja nie wiem, co będzie.

Staruszka mamrotała coś pod nosem. Przypominała mistrza Yodę. Nawet kolor skóry miała jakby zielonkawy...

– Ale ja bym chyba i tak wolała inny pokój – odparłam, spoglądając z rozbawieniem na starszą panią, która usiadła na łóżku i okryła się pościelą jak peleryną.

Szara westchnęła, skierowała wzrok ku niebu.

– Ale tamte są gorsze. Ten jest najładniejszy. I tamte nieprzygotowane. Pełno gratów, niewywietrzone, nieuprzątnięte.

– Nie szkodzi – odpowiedziałam bez wahania. – Ja wolę tam.

Szara ponownie wywróciła oczyma, podniosła na matkę palec wskazujący.

– Ja jeszcze do mamy przyjdę. Jeszcze sobie porozmawiamy.

– Głupio! – wrzasnęła nagle staruszka.

– Aha, dziękuję mamie bardzo – rzuciła z pełną ironii wdzięcznością.

Wyszliśmy z pokoju – Szara przymknęła za nami drzwi i pomasowała się po skroniach.

– Przepraszam.

– Nie ma problemu. Ja naprawdę chętnie wezmę inny pokój – zapewniłam jeszcze raz.

Szara przytaknęła niemo, przeprowadziła mnie kawałek po korytarzu i w ten sam sposób co poprzednio próbowała otworzyć drzwi kolejnego pokoju. Kieszonka w fartuchu, kluczyk, zamek.

Otwarte.

Tym razem Szara wyglądała na naprawdę rozdrażnioną. Wtargnęła do pokoju jak parowóz. Ja za

nią. Pokoik był nieco mniejszy, ale może i ładniejszy – pozostawiono tu na półkach bibeloty, które nadają wiejskim domom charakter. To sprawiało, że miał duszę. W przeciwieństwie do poprzedniego pokoju nie był też tak wypucowany i pachnący ludwikiem albo innym skrzatem. Okno było otwarte na oścież – wpadało przez nie światło wczesnego popołudnia i obezwładniająco fantastyczna woń świeżego powietrza z lasu. Na rozgrzebanym łóżku leżała na wznak młoda dziewczyna – mogła mieć z szesnaście lat. W dłoniach trzymała jakąś książkę, ręce zaś unosiła wysoko w górę – w ten sposób czytała, gdy weszliśmy.

– Laura! – krzyknęła Szara. – Ja się przez was wykończę! Ty też masz demencję? Ile razy mówiłam, żeby nie wchodzić do pokoi dla gości?!

Dziewczyna wcale się nie spieszyła – ani z odpowiedzią, ani z reakcją. Doczytała do końca zdanie czy akapit, po czym usiadła na łóżku. Miała niezwykłą urodę. Czarne włosy i oczy, a w oczach –

pewnych siebie, o migdałowym kształcie – coś hipnotyzującego, zwierzęcego. Coś pierwotnego. Jej twarz zawieszona była w tym niezwykłym stanie pomiędzy dzieciństwem a dorosłością. Widać było po rysach, że to już kobieta, ale kilka szczegółów jej buzi – dziecięce wciąż policzki, linia małego noska i ust – przypominało o jej młodym wieku. Również kiedy mówiła – chwilami wzbudzała respekt jak silna, dojrzała kobieta, by za chwilę wprawić w rozbawienie czy nawet wywołać czułość, jaką wzbudza zaaferowane czymś dziecko. Jej skóra miała niezwykłą barwę i fakturę – zdawała się brzoskwiniowa i tak gładka, że aż połyskiwała na zagięciach ramion czy łokci. Jedno spojrzenie na tę dziewczynę obudziło w mojej głowie co najmniej tuzin fabuł, w których główną bohaterką jest młoda kobieta uwodząca mężczyzn i chłopców z równie zabójczą skutecznością co nieświadomością.

Laura wyduła policzki po dziecięcemu i rzuciła rozkapryszonym tonem:

– No co?! Przecież mówiłaś, że – tu spojrzała na mnie – ta pani będzie mieszkać w pierwszym pokoju! Sama mówiłaś!

– Tak! – krzyczała Szara (charakterystyczne, że obie krzyczały, mimo iż były bardzo blisko siebie). – Ale mówiłam ci też, że masz nie łązić po pokojach dla gości! – wrzasnęła, podchodząc do dziewczyny i zganiając ją z łóżka jak niesforną kotkę – symbolicznym trzepnięciem fartucha.

– Nie łążę!

– Łazisz!

– Nie! – rzuciła raz jeszcze i stanęła naprzeciwko mnie. Zmierzyła mnie wzrokiem i widząc moje lekkie rozbawienie, próbowała znaleźć sojusznika. – Ona zawsze przeżywa, że – zrobiła prześmiewczą minę, naśladując Szarą – nie wolno ŁAZIĆ po pokojach dla gości, a w sumie i tak nikt nigdy tu nie przyjeżdża. Czasem ktoś zajmie pierwszy pokój, a do tego nikt nigdy nie zagląda. Zresztą wszyscy wolą spać u Soliwody, bo ma lepsze warunki i mieszka w centrum wsi – blisko sklepu. Do babci przyjeżdżają tylko jakieś czubki. Z całym szacunkiem.

– Laura! – wrzasnęła Szara, zdejmując jednocześnie pościel z łóżka i chwytając się za głowę. –

Chryste, daj mi siłę, bo nie wytrzymam z tą dziewczyną.

– No co?! – odkrzyknęła. – Przecież powiedziałam: z całym szacunkiem!

– W porządku – odparłam z cieniem uśmiešku. – Nigdy nie twierdziłam, że jestem do końca normalna... – Spojrzałam porozumiewawczo na Laurę.

Obie zerknęły na mnie z zaciekawieniem.

– Pani przyjechała tutaj... pracować, prawda? – rzuciła Szara w moją stronę, spoglądając na mnie przepaszająco.

– Coś w tym stylu. – Uśmiechnęłam się.

Laura zainteresowała się przez chwilę moją torbą z książkami i notatnikami, po czym zwróciła się do Szarej, która zamieniła się teraz w sprzątające tornado.

– Babciu, to są moje rzeczy! Możesz ich nie ruszać?!

– Ja chyba zasłabnę. – Uniosła wzrok ku niebu. – Nie, nie mogę!

– Podobno tu jest jeszcze trzeci pokój – wcięłam się, widząc, że w pokoju jest mnóstwo bibelotów Laury. Co więcej, podobały mi się te rzeczy – świadczyły o tym, że ich właścicielka ma w sobie to coś. Na półkach poustawiane były obrazki wykonane własnoręcznie z suszonych kwiatów powklejanych w ramkę, butelki z zielonkawego szkła wypełnione ciekawymi kamieniami, czaszka jakiegoś małego zwierzątka – chyba zająca – oczyszczona i wygładzona zapewne przez mrówki. Poza tym dziewczyna poustawiała na półkach mnóstwo książek, które także przypadły mi do gustu. Były to głównie baśnie. *U złotego źródła*, *Diabelskie skrzypce*, *Kwiat paproci*. Gdzieś z boku poniewierała się *Cudowna studzienka* i *Baśnie tysiąca i jednej nocy*. Szkoda byłoby, gdyby musiała zabierać stąd ten twórczy bajzel.

– Trzeci pokój?! – krzyknęła Szara. – Nie, niech nie żartuje – zwróciła się do mnie w tej szczególnej formie trzecioosobowej. – Miała dostać pierwszy pokój. Naprawdę przepraszam za to.

Pewnie już tu nigdy nie przyjedzie. Pewnie wszystkim znajomym z wielkiego miasta rozpowie, żeby koniecznie nocowali u Soliwody, bo tu stara wariatka nie potrafi nawet pokoju przygotować!

Nie mówiła tego tonem pełnym żalu – raczej krzyczała na wnuczkę.

Laura nic sobie z tego nie robiła. Podeszła do mnie i – zamieniając się na chwilę w małą dziewczynkę, szepnęła:

– W tamtym trzecim pokoju straszy – dlatego babcia nie chce tam pani ulokować.

– Straszy? – Uniosłam brwi. – W takim razie koniecznie muszę spać właśnie tam.

Szara cmoknęła i trzepnęła wnuczkę fartuchem.

– Wcale nie straszy! Co ty opowiadasz tej pani?! Niebiosa, pomóżcie mi!

– Dzieją się tam dziwne rzeczy, naprawdę. – Laura nie przejmowała się babcią.

To oczywiście musiało mnie zafascynować.

– Jakie rzeczy?

Laura wzruszyła ramionami.

– Różne. Święte obrazy znikają, a figurki odwracają głowę, jak się nie patrzy. Buty się same ustawiają do wyjścia, okno otwiera się w nocy na oścież.

– Przestań! – wrzasnęła Szara.

Laura zaśmiała się.

– Babcia nie chce się przyznać, ale sama tam przecież wstawia kwiaty, jak podupadną na zdrowiu.

Wszystko tam zaraz zaczyna się piąć jak szalone. Kwiaty kwitną nawet w środku zimy! Chleb pozostaje przez tydzień świeży, wyschnięte jabłka znowu stają się jędrne. Serio! Robiłam tam już różne eksperymenty. Jak się zostawi jakieś ubranie z dziurą – na następny dzień znajduje się dziurę zacerowaną. Nawet guziki potrafią się same przyszywać...

– W takim razie trudno tu mówić o „straszeniu” – powiedziałam zafascynowana.

Laura uniosła wysoko brwi. Znowu zamieniła się w dziecko.

– Gorzej w nocy...

– Dlaczego? – spytałam.

– Laura, przestań!

– Bo nocami ktoś pochyła się nad uchem i szepcze... Słowo daję!

Po tych słowach nie miałam już żadnych wątpliwości.

– Pani Szara – powiedziałam zdecydowanym tonem. – Ja muszę spać w tamtym pokoju.

– Chryste, ratuj! – jęknęła. – Tu pościelę, wszystko wysprzątam, dobrze? Tutaj lepiej nocować – ładniej, czyszej.

– Nalegam – nie ustępowałam.

Szara rzuciła gniewne spojrzenie w stronę Laury i machnęła ręką. Wyszliśmy z pokoju. Korowód: Szara, ja, Laura. Podeszliśmy do trzecich drzwi na piętrze. Tym razem trzeba było użyć klucza, by wejść. Szara przekręciła go w zamku, nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi.

Pokój był niezwykły – wpadały do niego snopy światła – okno otwarte na oścież – tak jak mówiła Laura. Firana powiewała na lekkim wietrzyku, który wiał od strony lasu. I – tak jak zapowiedziała wnuczka mojej gospodyni – było tu zatrzęsienie roślin, które pięły się jędrnymi, liściastymi łodygami w górę – jakby sądziły, że są częścią jakiejś amazońskiej dżungli. Większość roślin kwitła – nie wiedziałam nawet, że te pospolite kwiaty doniczkowe kwitną tak niezwykłymi kolorami.

Pokój był nieduży – chyba najmniejszy ze wszystkich trzech. Ale niebanalny. Miało się wrażenie, że wyciąga do człowieka swoje ramiona. Przy jednej ścianie stało stare, wiejskie łóżko. Obok coś, co mnie zafascynowało – drewniana, ręcznie robiona przez kogoś z domowników kołyska. Nad łóżkiem wisiał oleodruk z popularnym przedstawieniem Matki Boskiej z sercem oplecionym

kwiatami i przebitym sztyletem. Pamiętam taki z dzieciństwa, z domu dziadków, gdzie przyglądałam mu się często z fascynacją i pewnym niepokojem (z powodu ostrza wbitego w lewy przedsionek i wychodzącego prawą komorą).

Tuż obok wisiała na ścianie doniczka z rośliną, o której w moich stronach mówiło się „strzałka”, ale wiem, że ma też bardziej osobliwą nazwę: „zroślich”. Spomiędzy bujnych liści wyrastały niezbyt

piękne, ale niezwykle kwiaty. Rzeczywiście – pamiętam, że kiedyś czytałam, iż nie zakwitają one nigdy w warunkach domowych. Słowa Laury nabrały większej mocy.

Rzuciłam jeszcze krótkie spojrzenie na stolik i krzesło stojące po przeciwnej stronie pokoju, po czym oznajmiłam:

– Zostaję.

Szara widziała chyba, że nie ma sensu ze mną dyskutować, więc tylko westchnęła.

– To chociaż pozabieram te wszystkie duperele, żeby tu nie wadziły.

– Nie. – Zastąpiłam jej drogę. – Czy mogę prosić, żeby je pani zostawiła? Podobają mi się.

Wzruszyła ramionami i przytaknęła, zmęczona walką.

Powiedziałam, że jedyna zmiana, jakiej dokonam w tym pokoju, to przestawienie stolika pod samo okno, i zabrałam się do rozpakowywania.

Szara skapitulowała, rzucając tylko:

– Za godzinę obiad. Przyjdzie?

– Przyjdę. – Uśmiechnęłam się.

Smakowity aromat gotowanych klusek i podsmażanej cebulki rozchodził się po całym domu. Już

się rozpakowałam, zerknęłam na zegarek – chciałam być punktualna, bo zdawało mi się, że tradycyjna gospodyni przestrzega pór posiłków ze skrupulatnością szwajcarskiego zegarka.

Zeszłam do kuchni i zastałam Szarą nad garnkami. Ucieszyła się, widząc mnie – minę miała taką, jakby odczuła ulgę. W drugim końcu kuchni, łuskając bób, siedziała druga starsza kobieta, której nie zamykały się usta. Z tego, co mówiła, wywnioskowałam, że jest z innej wsi i przynosi najświeższe plotecki.

Szara przerwała jej bez zażenowania, jakby wiedziała, że z gadką tamtej jest jak z rzeką – nie wstrzymasz nurtu jedną małą tamą.

Spytała, czy będę jadła w kuchni, czy na zewnątrz. Bez wahania wybrałam to drugie. Uprzedziłam, że nie jem mięsa, ale nie grymaszę. Jak na obiad będzie kotlet z ziemniakami, to zjem same ziemniaki, i

tyle.

– Te miastowe dziewczyny! – oburzyła się nieznajoma kobieta. – Wszystkie jak patyki. Wiatr cię przewróci, dziecko, jak nie będziesz więcej jadła.

– A pytał cię ktoś, Remkowa? – rzuciła w jej stronę Szara i jednocześnie przytaknęła na moją prośbę.

Spytałam, czy ktoś jeszcze będzie dziś na obiedzie.

– Teraz nie – odparła Szara, wyciągając kluski z wrzątku. – Będzie miała jeszcze towarzystwo trzech gości od Soliwody, ale oni dziś cały dzień czają się po lesie. Szukają wilków. Może będą na kolacji. Zawsze to jakieś towarzystwo.

– Nie sądzę, żeby pani odpowiadało towarzystwo tych facetów – rzuciła Laura, która właśnie zbiegła ze schodów.

– Nie zbiegaj jak koń – rzuciła w jej stronę Remkowa tonem kogoś, kto zawsze ma prawo zwracać uwagę, czy to u siebie w domu, czy w gościach.

– A niby czemu pani miałoby się nie podobać towarzystwo tamtych trzech? – zapytała Szara wnuczkę.
– Panowie dobrej budowy. – Mówiąc to, zaśmiała się jak chochlik. – A dwóch to nawet w dobrym wieku...

– Ta, jeden bardziej wąsaty od drugiego! – rzuciła oburzona Laura.

– Dziecko! Nie pozwalaj sobie! – zdenerwowała się Remkowa. – A poza tym ta pani ma obrączkę, zgadza się? Może i jestem ślepa na stare lata, ale co trzeba – widzę.

– To prawda, mam męża – odparłam, trzymając w dłoniach talerz, na który Szara nakładała mi kluski.

– To co on tak panią puszcza samą? – dopytywała się Remkowa.

– Co ty panią tak gnębisz, ty stara, wścibska babo! – zaśmiała się Szara, po czym rzuciła do Laury:

– Zawołaj prababcie na obiad.

– Prababcia powiedziała, że nie wychodzi z pokoju. Mówi, że umiera.

Szara cmoknęła zniecierpliwiona.

– Chryste, ratuj mnie! – westchnęła, po czym dodała w moją stronę: – Matka umiera chyba od dziesięciu lat, a jest zdrowsza niż ja.

Wytarła dłonie w fartuch i poszła na górę, machając jednocześnie na Laurę, by poszła za nią.

– Niech już je, bo stygnie – rzuciła ze schodów w moją stronę.

Remkowa przyglądała mi się z zaciekawieniem, bez żadnego skrępowania. Głupio mi było ją tak po prostu zostawić, więc rzuciłam uprzejmie:

– Ja sobie pozwolę zjeść na zewnątrz, jeśli nie ma pani nic przeciwko.

Remkowa rozciągnęła się:

– A, ja też sobie wyjdę.

Ruszyła za mną – krok w krok. Usiadłam z talerzem klusek i surówką z kiszzonej kapusty przy długim drewnianym stole ustawionym na tyłach domu, gdzie Szara urządziła jadalnię na świeżym powietrzu.

Remkowa siadła tuż przy mnie. Wolałabym już, żeby też jadła. Głupio tak pałaszować obiad, gdy ktoś obserwuje każdy twój ruch.

Milczałyśmy przez chwilę. Chyba tylko ja czułam się niezręcznie.

– Co, pewnie jest pani w tej całej separacji, co? Teraz to wymyślają wynalazki...

– Nie, nie jestem w separacji. Po prostu przyjechałam bez męża.

– Tragedia, co za czasy! Mówię pani... Za moich czasów to było prosto i porządnie. Dajmy na to –

mój mąż świętej pamięci... Raz mnie zobaczył, oświadczył się i tyle było afery. Najpierw jego matka

przyszła jeszcze do mojej matki nieoficjalnie i powiedziała: „Remek się będzie oświadczał; przyjmiecie go?”. A moja matka na to: „Przyjmiemy”. Na następny dzień było, jak mówiła. I tyle.

– Wspaniała historia – mruknęłam kwaśno znad klusek.

– Potem się żyło, a na koniec umarł i ot, cała filozofia. Czasem tylko żałuję, że dzieci więcej nie miałam. Ale innymi razy z kolei nie żałuję. Te dzieci dziś – same kłopoty. Tylko jednego syna mam, a ile z nim było utrapienia, o Jezusie! Taki mniej więcej w pani wieku mój syn – ile pani ma? Remek

– po ojcu go Remigiusz też nazwaliśmy – trzydzieści cztery. Jedyne dziecko – przez tyle lat to było dziecko do rany przyłóż. Dopóki nie wydoroślał. To znaczy – tak mu się wydawało, że wydoroślał.

Ledwo zarost na nim było widać. Dla mnie to było jeszcze dziecko. Zresztą – dla matki to zawsze dziecko pozostanie dzieckiem. Ma pani dzieci?

Pokręciłam przecząco głową. Jadłam, słuchałam. Kluska, surówka, słowotok Remkowej.

Trzydaniowy obiad.

– Błąd. Błąd. Wy teraz za późno dzieci rodzicie, a potem wznosicie ręce do nieba. No ale wracając... Miał wtedy z osiemnaście lat. Świeżo jakoś skończył. Mieszkał ze mną – a mieszkam

tam.

– Wskazała ręką za las. – Ze dwadzieścia kilometrów od Tego Nowego. W Tym Starym. Wszyscy się zawsze ciekawią – co to za dziwne nazwy tych wsi. To Nowe i To Stare... No ale wracając... Ja Remkowi planowałam już ładnie przyszłość. Mąż mój umarł dawno – jak syn miał trzynaście lat, a dom był duży. Więc myślałam sobie – znajdzie żonę i wprowadzą się do mnie. Będziemy sobie razem mieszkać. Oni pomogą mnie, ja im, i dobrze będzie. Ale nie – syn widać wiedział lepiej.

Przyszedł do mnie i powiedział, że wyjeżdża. „Jak wyjeżdżasz?” – ja na to. On, że na studia, że świat chce zobaczyć, że ma dosyć życia w zamknięciu, że ma dosyć tej wsi, tego wszystkiego. A już wcześniej jeździł do miasta, bo miał muchy w nosie i nie chciał się tu uczyć nigdzie w zawodówce czy coś, tylko do szkoły ogólnej miastowej chciał chodzić. Codziennie – najpierw rowerem, potem pekaesem, na koniec na piechotę. Jeździł aż do Eskultor – tak sobie wymyślił, że jak ma się uczyć w mieście, to niech to będzie wielkie miasto. Uczyć się, uczyć! Już ja wiedziałam doskonale, co go z domu wyгнаło! Chuć! On się za dziewczuchami już zaczął dawno oglądać, ale widać teraz samo oglądanie mu nie wystarczyło. Co miałam zrobić? Był tak uparty jak jego ojciec – nie dało się nic urobić. Powiedziałam – tylko wróć do mnie, jak już sobie użyjesz. Wróć, bo inaczej co ja – stara, samotna tutaj pocznę.

– I co, wrócił? – spytałam, bolejąc nad losem nieszczęsnego Remigiusza juniora.

– Wrócił, wrócił, ale kiedy i jak! Myślałam, że zawału...

– Dasz już pani spokój czy nie? – przerwała jej Szara, wychodząc przed dom z naręczem suszonych ziół i dając je Remkowej.

– Ile za to chcesz? – spytała, przejmując sporą wiązkę suszek.

Szara machnęła ręką.

– Śliwek mi za to trochę nawieziesz, jak będziesz następnym razem. Z tej twojej śliwy dobre powidła wychodzą.

Remkowa przytaknęła.

W tym samym momencie – jak na zawołanie – rozbrzmiał dźwięk silnika jakiegoś dużego samochodu i ktoś trzy razy zatrąbił klaksonem.

– Przyjechał już twój transport – rzuciła Szara, wskazując ręką na front domu, dokąd docierała główna droga we wsi.

Remkowa podniosła się ślamazarnie. Widać było wyraźnie, że wcale jej się jeszcze nie chce iść.

Wzięła się pod boki i zwróciła się znowu do mnie:

– Tak, tak, proszę pani. Tak to jest z tą chucią... Ale mężczyźni wcale nie są najgorsi. Chłopy to chłopcy – proste. Gorzej kobiety. Tak, to najgorzej – takie ladacznice. Jak tamta! – Mówiąc to,

pokazała ręką dość wysokie wzgórce, które piętrzyło się samotnie nieopodal wsi. Widać je było wyraźnie już z drogi, na co zwróciłam uwagę, gdy tutaj dojeżdżałam. Dopiero teraz jednak zauważyłam, że na szczycie wzniesienia stoi samotny domek. A dookoła majaczy jakaś niewielka zagroda...

– Kto to jest „tamta”? – spytałam, po raz pierwszy zaciekawiona tym, co mówi Remkowa.

Stara uśmiechnęła się, czerpiąc przez chwilę energię z mojego zainteresowania jak stara jaszczurka ze słońca.

– Tam mieszka ta wiedźma! – rzuciła w końcu. – Ladacznica! To ona sprowadza na złą drogę wszystkich dobrych chłopaków. To przez takie jak ona grzech rozplenia się po świecie, nie przez tych prostych mężczyzn przecież...

Za dom wyszła Laura, trzymając w rękach talerz z kluskami. Siadła obok mnie i zaczęła je jeść dłońmi.

– Dziecko, zachowujesz się jak dzikie zwierzę! – rzuciła w jej stronę Remkowa. – Czy nie ma widelca albo łyżki w tym domu?!

Do naszych uszu ponownie dotarł dźwięk klaksonu. Tym razem jakby bardziej zniecierpliwionego.

Laura nic nie odpowiedziała, ale podniosła kluskę z talerza, wycelowała i wrzuciła ją do ust.

Mlasnęła, uśmiechając się do Remkowej, przegryzła parę razy, po czym otworzyła usta i pokazała starej ich zawartość.

– Ty pomocie! – wrzasnęła Remkowa i zamachnęła się laską.

– Wystarczy! – zawołała Szara.

Usłyszałyśmy ciężkie kroki. Ktoś wszedł frontowym wejściem, przeszedł przez cały dom i wyszedł do nas tylnymi drzwiami.

– Pani Remkowa – rzucił zniecierpliwiony młody mężczyzna w służbowej koszulce i czapeczce z logo Ruchu – jedzie pani czy nie jedzie? Ja mam swoje terminy, swoje sprawy. To jest praca, pani

Remkowa!

Kobieta opuściła laskę, ściszone głosem ciskając w stronę Laury przekleństwa. Pokiwała głową z niedowierzaniem, rzuciła Szarej spojrzenie pełne nagany, po czym odwróciła się na pięcie i poszła za kierowcą.

– Jasna cholera, po co ty ją prowokujesz?! – syknęła Szara w stronę Laury.

– Bo jej nie lubię!

– A ona ciebie!

– I dobrze!

– No i dobrze!

Szara złapała się za głowę.

– Przepraszam – powiedziała do mnie. – To była Remkowa. Przyjeżdża tu do nas co jakiś czas, zabiera się z transportem prasy, a potem wraca, jak kierowca skończy rundę.

– Przyjeżdża po zioła? – spytałam.

Szara machnęła ręką.

– Tak naprawdę to przyjeżdża, żeby pogadać. Ale tak – oficjalnie – po zioła. Zbieram i suszę czasem zioła.

– Na co?

Szara spojrzała na Laurę. Obie się zaśmiały.

– Na wszystko. Kamienie nerkowe, nadmierne poty, bolesność stawów.

– Koszmary senne, łomotanie serca, parchy – dodała Laura.

– I zioła na to wszystko działają? – Zaśmiałam się.

– Moje zioła działają na wszystko – odparła, tym razem poważnie i z dumą, Szara. – Nie tylko Remkowa się u mnie leczy.

Przytaknęłam, po czym wróciłam do tematu, który bardziej mnie interesował.

– Pani Szara... Kto mieszka tam na wzgórzu?

Babka i wnuczka wymieniły się spojrzeniami.

– Na wzgórzu...? A czemu pani pyta? – odpowiedziała, siląc się na obojętny ton.

Ja również się siliłam.

– Już jak do was jechałam, widziałam z drogi to samotne wzniesienie. Wygląda bardzo...

inspirująco. Jest tam tylko jeden dom, prawda?

– Prawda – odparła, zbierając mój talerz i widelec. – Mieszka tam Milena.

– Mieszka tam tylko jedna kobieta?

– Zgadza się.

– Pani rówieśniczka? – podpytywałam, bo zaczynałam już wierzyć w to, że poza Laurą w tej wsi żyją same stare kobiety.

Laura zaśmiała się.

– Babci rówieśniczka? O nie, raczej pani.

– Czy... zjawia się tutaj czasem? We wsi? – dopytywałam dalej, czując, że poruszam się po grząskim gruncie.

– Milena we wsi? – prychnęła Szara. – Nie. Ona nie opuszcza wzgórza.

– To raczej inni ją odwiedzają – rzuciła Laura, pastwiąc się nad ostatnią kluską.

– Laura! – warknęła Szara. – Proszę pozmywać gary i obrać ziemniaki!

Laura poderwała się z miejsca, ale nigdzie nie zamierzała się jeszcze wybierać. Obie ścierały się przez chwilę wzrokiem. Dziewczyna chwyciła zmasakrowaną kluskę i cisnęła ją ze złością w stronę małego kundelka, który pałętał się pod nogami. Kluska uległa natychmiastowej anihilacji w jego paszczy.

– Już! – wycedziła przez zęby Szara.

Laura przełożyła majestatycznie nogi nad ławą i powolnym krokiem skierowała się do kuchni, cały czas patrząc swojej babce w oczy. Szara rzuciła mi spłoszone spojrzenie, po czym również zniknęła w domu.

Pogładziłam się po brzuchu wypchanym mączną masą. Spojrzałam w stronę wzgórza. Oto mój cel.

Czas zacząć drążyć.

*

Na co dzień jadam zupełnie inaczej niż tutaj, więc tradycyjny posiłek na bazie mąki i kapusty pokonał mój nieprzyzwyczajony organizm i przyprawił go o nieprzejednaną senność. Mój żołądek przerabiał pracowicie kluski na glukozę, a ja wspierałam się po obiedzie do swojego pokoju na mały odpoczynek.

Pomyślałam, że wybiorę się na przechadzkę na wzgórze jutro, dziś natomiast jeszcze nieco odpocznę, uporządkuję sobie w głowie to, co mam do zrobienia, i zapuszczę w tym miejscu drobne korzonki.

Otworzyłam drzwi do swojego pokoju. Przed wyjściem z całą pewnością zamykałam okno. Teraz było otwarte na oścież. Firanka wydymała swój jasny brzuch w moją stronę. Podeszłam do okna i

wychyliłam się. Dopiero teraz przyjrzałam się dokładnie widokowi, jaki się stąd rozpościerał. Okno wychodziło na tyły domu, więc dokładnie pod sobą mogłam ujrzeć jadalnię za domem. Dalej widać było pola i las. Kiedy jednak wystawiłam głowę przez okno, dostrzegłam, że na prawo widać intrygujące mnie wzgórze. Przyglądałam mu się z zaciekawieniem przez chwilę, próbując wypatrzeć jakiś ruch przy domku, ale wzniesienie było zbyt daleko, bym mogła dostrzec takie szczegóły. Może gdybym miała lornetkę...

Wyciągnęłam ze swojej przepastnej torby mały notatnik, który zawsze noszę ze sobą, i pióro. Mój podręczny niezbędnik – moja apteczka z lekarstwem na nadmiar pomysłów. Zarówno notatnik, jak i pióro dostałam od mojego M. i bardzo je lubiłam. Zwykle nie przywiązuję się do przedmiotów – nie lubię się nimi otaczać i nie ma dla mnie znaczenia ich wartość. Co więcej – świetnie się czuję, pozbywając się ich, czy raczej – pozostawiając je za sobą. To chyba dlatego nigdy w życiu nie kupiłam w sklepie takich przedmiotów jak sofa, dywan czy karnisz. Tego typu rzeczy w moim otoczeniu zawsze należały wcześniej do kogoś, kto – widząc nasze lokalowe ubóstwo – ofiarowywał nam je, choć w zasadzie nigdy o to nie prosiliśmy. Razem z M. zawsze oscylujemy wokół jakiegoś rodzaju niezrozumienia ze strony naszych bliskich. Jesteśmy wiecznie zawieszani pomiędzy ich współczuciem a podziwem. Nie mamy swojego mieszkania – wiecznie przemierzamy w czymś wynajętym. Nasz samochód woła o pomstę do nieba. Ani myślę go wymieniać, mimo że lata jego świetności minęły dawno temu – zdaje się, że nastąpiło to niedługo po tym, jak opuścił linię produkcyjną gdzieś w Korei.

Mimo tego nieprzywiązywania wagi do posiadania przedmiotów mam wśród otaczających mnie rzeczy swoich ulubieńców, którzy po pewnym czasie dotykania ich, korzystania z nich i przebywania w ich cichym towarzystwie zaczynają mieć coś w rodzaju miniaturowej duszyczki. Zyskują dla mnie osobowość, stają się odrębnym bytem – wcale nie takim samym jak setki czy tysiące ich braci bliźniaków.

Jednym z takich przedmiotów jest właśnie pióro, które dostałam od M. Lubię je, ponieważ jest leciutkie, zgrabne i ma śliczną, srebrną stalówkę. Poza czerwonym kolorem korpusu nie ma w nim niczego fikuśnego. Klasyczny parker ze stalową nakładką.

Chwyciłam notatnik z pomarańczową okładką i pióro. Wychyliłam się przez okno

i naskicowałam schematycznie wzgórze Mileny wraz z majaczącym na jego szczycie zarysem domku i niewielkiej zagrody.

Położyłam się na łóżku i spoglądałam na wykonany przed chwilą szkic. Czulałam znajomy smak inspiracji. Tej nieodgadnionej i zarazem nieprzejednanej siły, która czasem nie daje człowiekowi spać, nie pozwala mu skupić się na czymkolwiek czy zająć się innymi obowiązkami.

Naprawdę wierzę w powołanie. Być może nie każdy odkryje swoje, a może i nie każdy by chciał.

Bo powołanie to ogromna odpowiedzialność. Uważam, że może ono objawiać się w różny sposób i nie zawsze musi dotyczyć wzniosłych rzeczy. Wierzę, że niektórzy kapłani odczuwają autentyczne

powołanie do pełnienia swojej służby Bogu czy też Kościołowi. Wierzę, że zwrot „nauczyciel z powołania” nie jest tylko pustym frazesem – że oznacza kogoś, kto przedkłada pragnienie prowadzenia innych i nawiązywania z nimi kontaktu nad własne zmęczenie czy też nad wymierność włożonej pracy i otrzymywanej zapłaty.

Wierzę też, że pisarzem człowiek staje się z powołania. Ta chęć pisania towarzyszy ci, jeszcze zanim jesteś w stanie to zrozumieć. Zanim jeszcze nauczysz się pisać – już chcesz opowiadać historie.

W moim przypadku tak właśnie było. Często słyszę to pytanie: Jaki jest udział talentu, jaki szczęścia, a jaki ciężkiej pracy w byciu pisarzem? Trudno na to odpowiedzieć. Szczerze mówiąc, uważam, że na sukces składa się osiemdziesiąt procent ciężkiej pracy. A pisząc „ciężka praca”, mam na myśli zarówno warsztat pisarski, który bez przerwy trzeba ćwiczyć i szlifować, jak i wszystkie działania, które trzeba wykonać poza samym procesem tworzenia. Wszystko to ogromnie ciężka praca, przez którą z wytrwałością, potem na czole oraz uśmiechem na twarzy należy przebrnąć.

Pozostaje jeszcze dwadzieścia procent. Tutaj dałabym talentowi piętnaście, a szczęściu pięć. Ale nie jestem wcale zadowolona z tego podziału, bo on nic nie mówi o rzeczywistej sytuacji. Należę do tych konserwatystów, którzy wciąż upierają się, że do tworzenia sztuki (a za taką uważam pisanie) potrzebne jest „to coś”, talent, a może po prostu jakaś iskra. Słyszę sporo o tym, że podążając za pewnym schematem i pisząc poprawnie, da się urodzić niejedną książkę – niejednokrotnie lepszą od tych, które powstają spod piór tak zwanych „prawdziwych pisarzy”. Podobno komputery też piszą książki, które zainteresowałyby niejednego czytelnika. Nie mam nic przeciwko. Bo być może różnica tkwi nie tylko w odbiorcy, ale też w samym nadawcy. Czy komputer odczuwa ekscytację, pisząc o losach swoich bohaterów? Czy drżą mu ręce, gdy poddaje ich próbom, czy serce bije mu jak oszalałe, gdy zmierza ku zakończeniu historii? Czy nie może spać po nocach, dopóki nie wymyśli zgrabnego zwrotu akcji?

Wydaje mi się, że dobrą analogią jest tutaj praca psychologa. Jestem głęboko przekonana, że każdy inteligentny człowiek, jeśli był pilnym studentem, czytał sporo i poznał schematy, zgodnie z którymi powinna przebiegać psychoanaliza, jest w stanie poprawnie ją przeprowadzić. A jednak do tego zawodu potrzebna jest pewna intuicja, pewien szczególny rodzaj inteligencji społecznej, szczególnie forma empatii, która pozwala nadać całemu procesowi rumieńców. Czy pacjent poddawany terapii odczuje tę różnicę? To chyba zależy od pacjenta, prawda?

Innymi słowy – żeby odpowiedzieć na to męczące i poprzecierane od zbyt częstego zadawania pytanie: Jaki jest udział talentu, jaki szczęścia, a jaki ciężkiej pracy – należałoby wyprowadzić jakiś skomplikowany wzór matematyczno-logiczny. Pełno byłoby w nim zwrotów w rodzaju „wtedy i tylko wtedy”, „jeżeli tak, to”, „jeżeli nie, to” i tak dalej. Wyobrażam sobie ten wzór jako gigantyczną zbitkę koniunkcji i alternatyw, w której sformułowania „talent” i „szczęście” przewijałyby się co chwilę, mimo iż sprawny matematyk udowodniłby w ułamku sekundy, że da się to zadanie poprawnie rozwiązać, nawet jeśli tak „talent”, jak i „szczęście” równają się zero.

Pogrążona w tych przemyśleniach przyglądałam się swojemu szkicowi i zaczęły w mojej głowie kielkować pierwsze pomysły. Spędziłam w ten sposób jedno z tych popołudni, w czasie których czas płynie dla mnie inaczej niż dla postronnego obserwatora. Dla mnie pędzi jak oszalały, dla niego –

wlecze się w nieskończoność. Ja czuję, że czaszka za moment eksploduje mi od intensywnego myślenia; obserwator sądzi, że spędziłam całe popołudnie, zalegając na łóżku z notatnikiem i piórem w garści. *Ř propos* tej względności czasu, przypomniała mi się niezwykle dramatyczna sytuacja z dzieciństwa, która powtarzała się niemal za każdym razem, gdy bawiłam się z moimi siostrami ciotecznymi...

Jako dziecko bardzo często odwiedzałam moje kuzynki (i na odwrót). Wydaje mi się, że byliśmy dość dziwnymi dziećmi, bo nasze zabawy nie należały do typowych... Na przykład – jedna z naszych ulubionych zabaw „w statek” polegała na tym, żeby napełnić wannę wodą i sukcesywnie zalewać nią podłogę łazienki. Bawiłyśmy się w rejs, ale przecież od czasu do czasu trzeba było przybić gdzieś do portu lub z niego wypłynąć; ewentualnie – zmierzyć się z tornadem czy innymi przeszkodami. We wszystkich wymienionych sytuacjach najstarsza z nas reagowała w taki sam sposób, czyli spuszczała wodę w toalecie, która (wydawało nam się to absolutnie oczywiste!) była sterem naszego statku.

Wyobraźcie sobie teraz trzy dziewczynki, które spędzają dłuuuugie godziny w łazience i wychlapują wodę z wanny, i naciskają spłuczkę w toalecie. A wszystko to przy akompaniamencie powtarzających się zawołań: „Cumy w górę, odpływamy!”, „Kotwica w dół, przybijamy do brzegu!”, „Burza, wiry wodne!”.

Ale wracając do dramatycznej sytuacji towarzyszącej naszym zabawom... Poza tymi nietypowymi, angażującymi spłuczkę od toalety i hektolitry wody, często również organizowałyśmy sobie czas bardziej tradycyjnie. Sztandarowym przykładem jest oczywiście zabawa w dom. Ponieważ moje siostry cioteczne miały sporo akcesoriów domowych, kuchennych i łazienkowych przeznaczonych dla lalek, zazwyczaj budowałyśmy na dywanie gigantyczną willę dla rodziny lalek, w której następnie – po nakreśleniu tła fabularnego – zamierzałyśmy się bawić. Pamiętam dokładnie to uczucie, że absolutnie NIEDOPUSZCZALNE byłoby zwyczajne wyciągnięcie lalek, ustawienie im trzech mebli na krzyż i po prostu – bawienie się nimi. Trzeba było nie tylko zbudować lalkom dom, ale też wymyślić rolę dla każdej z nich w rodzinie, ich relacje, to, dlaczego jedna lalka pracuje, a inna wciąż się uczy. Czemu pracuje akurat tutaj? Czy mają sąsiadów? Kto jest czyim mężem i dlaczego?

Jak to się stało, że zamieszkali akurat tutaj?

Burzliwe dyskusje, które towarzyszyły tym ustaleniom, przeplatane były kłótniami o to, kto pokieruje którą z lalek. Oczywiście każda z nas chciała kierować lalką mamą. Lalka tata była nieco gorszym kąskiem, ale również miała powodzenie. Najmniej atrakcyjna była oczywiście rola dzieci.

Nie dość, że ciągle musiały chodzić do szkoły (podczas gdy rodzice „rewelacyjnie bawili się” w pracy), gdzie notorycznie dostawały jedynki, to jeszcze trzeba było kłaść je wcześniej spać. To już lepiej było kierować zabawką psem, który przynajmniej mógł być niesforny, skakać na wszystkich i

wydawać odgłosy, od których rodzicom (naszym prawdziwym nie zabawkom) świdrowało w głowach.

Teraz czas na dramat, do którego zmierzam... Za każdym razem, podkreślam, absolutnie za każdym – gdy zakończyłyśmy żmudny, długotrwały i męczący proces tworzenia domu i ustalania relacji poszczególnych postaci – nadchodzili rodzice i mówili, że czas zbierać się do domu (względnie – czas kończyć zabawę i kłaść się spać). To było nasze przekleństwo! Nigdy nie mogliśmy pojąć – jak to jest możliwe, że ten czas tworzenia i ustalania ról (społecznych, rodzinnych, zawodowych i tak dalej) w życiu lalek trwał tak długo. Jak to możliwe, że my dopiero co zaczęłyśmy zabawę po pracochłonnym procesie przygotowywania się do niej, a rodzice zdążyli już omówić wszystkie tematy świata, wypić, wytrzeźwieć i zapomnieć.

Uczucie to towarzyszy mi do dziś. Całe szczęście nikt nie staje już nade mną i nie każe mi się kłaść spać! Dzięki Bogu nikt nie skłania mnie do złożenia do pudełka z zabawkami całej misternej konstrukcji fabularnej, którą układałam przez minione popołudnie. Jednak ta względność czasu, który podczas tworzenia pędzi jak oszalały, choć innym wydaje się wlec w nieskończoność – towarzyszy mi nadal.

Moje przemyślenia zdawały się potwierdzać również i teraz. Ledwo wspięłam się do pokoju, ledwo zabrałam się do trawienia klusek i kapusty, a już usłyszałam odgłosy rozkładanych na stole talerzy. Kolacja? Czy to możliwe? Spojrzałam na zegarek. Osiemnasta. Zerknęłam do notesu.

Sądziłam, że zdążę w nim nakreślić przynajmniej najważniejsze myśli związane z fabułą, która już pączkowała w mojej głowie, a tymczasem tkwił tam jedynie samotny szkic wzgórza Mileny.

Wychyliłam się przez okno i spojrzałam w dół na ogrodową jadalnię Szarej. Przy długim stole siedziało teraz trzech mężczyzn. Od razu – w okamgnieniu nazwałam ich w myślach Ekspertem, Specjalistą i Znaczą. Wystarczyło mi jedno spojrzenie, by utwierdzić się w przekonaniu, że to najlepsze dla nich pseudonimy. Ba! Według mnie powinni – dla własnego dobra i przyjemności –

wybrać się do urzędu stanu cywilnego i złożyć wniosek o oficjalne nadanie im takich właśnie imion.

Próbowali właśnie opowiedzieć Laurze o swoich leśnych przygodach, ale dziewczyna nie wydawała się szczególnie zainteresowana i czmychnęła, zanim włączyli się w fabułę. Zaśmiałam się pod nosem i zeszłam na dół, gdzie zastałam Szarą – jak zwykle nad garnkami.

– O! – ucieszyła się, widząc mnie. – Zje twarogu?

– Zjem.

– No – przytaknęła z aprobatą. – I pomidory. Trzeba jeść. Teraz sezon. Herbaty chce?

– Poproszę kawę.

– Kawę na noc? – zdziwiła się, ale nie była napastliwa.

– Tak – odparłam. – Trochę zmarnowałam popołudnie, chciałabym popracować w nocy.

Laura zaśmiała się za moimi plecami. Zerknęłam na nią.

– W tym pokoju nie pracuje pani nocą.

– Tak sądzisz? Dlaczego? – Zainteresowało mnie to.

– Mówiłam już pani. Tam straszy, a w nocy przychodzi ktoś szeptać do ucha. Nawet jak pani siądzie do biurka i zacznie coś tam skrobać, i tak przyjdzie szeptać i zaśnie pani – tu pstryknęła palcami – ot tak! Testowałam na sobie, serio.

Szara mruknęła coś w jej stronę, ale najwyraźniej była już dziś zbyt zmęczona wiecznym zwracaniem jej uwagi.

– Testowałaś na sobie? – spytałam z uśmiechem. – A co – ty też coś piszesz?

– Może. – Uśmiechnęła się tajemniczo i wzięła pomidora z talerza, który prawdopodobnie był właśnie przygotowywany dla mnie.

– Laura! – wrzasnęła Szara i uderzyła fartuchem w powietrze.

– A co piszesz? Opowiadania? Wiersze? – próbowałam ją ośmielić.

Przez chwilę wyglądała jak mała, przekorna dziewczynka.

– Może po prostu wypracowania szkolne...

– Jasne – zaśmiałam się, odbierając talerz z nowym pomidorem. – Wypracowań szkolnych nie pisze się po nocach w pokoju, w którym straszy.

Uśmiechnęła się zadziornie, skinęła głową i wielkimi susami – po dwa, trzy stopnie naraz – wbiegła po schodach.

Podziękowałam Szarej i odebrałam talerz oraz kubek. Wyszłam przed dom, gdzie już czekała na

mnie trójka mężczyzn spragnionych słuchaczy. Lada moment mieliśmy odbyć naszą pierwszą rozmowę na temat odstrzału zwierząt, literatury pisanej przez kobiety oraz zasadności tworzenia coraz to nowych książek. Miałam się także dowiedzieć, że moi współbiedniacy: doktor habilitowany Specjalista, profesor Ekspert oraz magister inżynier Znacznik przyjechali tutaj na „ekspedycję naukową”, podczas której monitorowali stan zwierzyny w tutejszych lasach. Pokoje wynajmowali u sołtysa Soliwody, u którego było „lepiej, bo telewizor i Internet”, posiłki zaś jadali u Szarej, bo gotowała „jak u mamy”.

Po zakończeniu tej męczącej pogawędki zebrałam swoje naczynia i wstałam od stołu.

– Panowie pozwolą. – Skinęłam w ich stronę.

Już miałam odnieść naczynia do kuchni, gdy nagle coś mnie tknęło... Skoro moi towarzysze byli tak chętni do gawędzenia, może wiedzą coś na temat, który mnie ciekawił.

– A, w zasadzie... – Odwróciłam się w ich stronę.

Twarze trzech mężczyzn rozpromieniły się.

Podeszłam ponownie do stołu i przysiadłam na ławie bokiem.

– Skoro jesteście, panowie, tak dobrze zorientowani – zaczęłam od małej manipulacji – może wiecie coś o tym wzniesieniu. – Wskazałam ręką wzgórze Mileny.

Spojrzeli po sobie jakby z lekkim rozbawieniem. Przez ich twarze przewijał się jakiś rodzaj poufałości, której na razie nie mogłam zinterpretować.

Profesor Ekspert wyciągnął fajkę, podпалиł ją, popykał chwilę i próbował rozeprzeć się na swoim siedzeniu, lecz niestety – brakowało mu oparcia.

– To chyba nie jest historia dla takich jak pani. – Uśmiechnął się protekcjonalnie.

– Dla takich jak ja? To znaczy dla jakich? – spytałam.

Zmierzył mnie wzrokiem.

– No dla takich... porządnym kobiet.

Niespecjalnie odpowiada mi podział świata na elementy „porządne” i „nieporządne” – to raz.

A dwa – co ty, stary capie, możesz wiedzieć o mojej porządności? – pomyślałam. Nie wiedzieć czemu, zdenerwowałam się – tak jakbym przeczuwała już, co zamierzają powiedzieć. Tak jakbym chciała bronić nie siebie (bo i też mnie osobiście nic przykrego z ich strony jeszcze nie spotkało), lecz osoby, którą – jak czułam – zamierzają obrazić.

Przełknęłam te wszystkie gorzkie myśli i niezrażona drążyłam dalej:

– Mimo to nalegam.

Specjalista napchał usta chlebem z twarogiem i prawił poprzez wilgotną zasłonę wąsów:

– Na tym wzgórzu mieszka kobieta. Sama. Żadnego chłopca, żadnego dziecka.

– Sama baba – objaśnił mi Znacznik, tak jakbym nie rozumiała wypowiedzi jego przedmówcy.

– Wiecie coś więcej na jej temat?

Ekspert pyknął fajkę i spojrzał porozumiewawczo na kolegów – tak jakby wahał się, czy ujawnić to, co wie.

– Gadaliśmy to tu, to tam – głównie z jakimiś chłopakami spod sklepu. Zdaje się, że mieszka tam taka lokalna kurewka.

– Kto tak twierdzi? – spytałam.

– Miejscowi – odparł.

Momentalnie przypomniał mi się tekst pewnej piosenki Nosowskiej. Skojarzenie to było tak oczywiste, że dziwię się, iż dopiero teraz pojawiło się w mojej głowie:

Milena to dziwka:

tak zwykli mawiać ci,

co jej nie mieli,

a bardzo chcieliby mieć...

– Wierzycie w to? – spytałam.

Spojrzeni po sobie.

– Bez powodu jej tak nie nazywają, no nie? – odezwał się Specjalista.

– Aha, a więc tak to działa. – Uniosłam brwi. – Pozostaje jeszcze pytanie – jaki ktoś miał powód, aby ją tak nazwać... Czy powodem przypadkiem nie jest to, że sam ma jakieś problemy ze sobą i zwykłą przyjemność sprawia mu oczernianie innych?

– Niech się pani tak nie unosi – odezwał się pojednawczo Ekspert. – Ja znam taki typ jak pani.

– Tak? Pewnie ma mnie pan za wojującą feministkę czy coś w tym rodzaju?

– Nie. – Uśmiechnął się. – To na pewno nie. Żadna z pani feministka. Pani chce wszystkich usprawiedliwiać. Wszystkich by pani chciała wytłumaczyć. Gdyby pani miała przeprowadzić Sąd Ostateczny, ani jedna duszyczka nie trafiłaby do piekła, zgadza się?

– A pan? – Uśmiechnęłam się złośliwie.

– Ja też nie. Może i panią trochę drażnię, może złości się pani na to, co mówię, ale gdyby przyszło co do czego, i tak stanęłaby pani w mojej obronie i powiedziała, że to nie moja wina, że taki jestem.

Zwróciłaby pani uwagę na to, że wychowywał mnie i czterech starszych braci ojciec wojskowy,

który nauczył mnie myśleć zero-jedynkowo, nie było miejsca na subtelności.

– A to prawda?

– Tak, prawda. – Uśmiechnął się i pyknął fajkę.

Stary grzyb miał rację. Kiedy tylko mi to powiedział, poczułam do niego nieco większą sympatię.

Nie ze względu na jego pewnie trudne warunki dorastania, ale dlatego, że był ich świadom. Nie spodziewałam się z jego strony tak rozbudowanej analizy...

– Może i ma pan rację, ale wciąż...

Przerwał mi:

– Tak, znam taki typ jak pani. To bardzo piękna cecha, ale trudno się z nią żyje. Musi pani zrozumieć: czasami, jak kogoś nazywają kurwą, to ten ktoś po prostu jest kurwą. I tak jest właśnie w tym przypadku.

– Przekonał się pan na... własnej skórze?

Znowu spojrzeli po sobie. Znaczący i Specjalista wciąż jakby niepewni, czy wolno się takimi informacjami dzielić z kobietą, ale Ekspert już odpuścił etykietę.

– Byliśmy u niej, owszem – powiedział w końcu z wahaniem.

Poczułam, jak serce mi przyspiesza.

– I co?

– Chodzi pani o to, czy zaoferowała nam swoje... usługi?

– Tak.

Pyknął fajkę.

– Otóż nie. Co więcej, kazała nam spier... bo nas poszczuje psami.

Odetchnęłam.

– A mimo to nadal nazywa ją pan w taki sposób?

Uśmiechnął się pod wąsem.

– Wystarczy mi, że widziałem, jak wygląda ta kobieta. Pomijam, że jest ewidentnie obłąkana. To się zdarza. Takie wariatki głodne seksu, które hipnotyzują wszystkich swoim niekwestionowanym seksapilem. Cóż, ona z pewnością ma go sporo – mogłaby sprzedawać.

– I pewnie sprzedaje – rzucił Specjalista.

– Wam nie sprzedała – odparłam.

Wzruszył ramionami.

– Ale komuś na pewno sprzedaje. Niekoniecznie za pieniądze.

– Jak nie za pieniądze, to chyba nie jest kurwą, zgadza się czy coś mi się pomyliło? – zakpiłam.

– A pani znowu swoje. – Ekspert pyknął fajkę. – Za różne rzeczy można sprzedawać tyłek.

Poczułam falę gorąca. Zamaszystym ruchem zebrałam swoje naczynia i podniosłam się z siedzenia.

– Dobranoc panom – warknęłam.

– I tak panią lubimy. – Ekspert uśmiechnął się.

– To zbytek łaski – mruknęłam i wyszłam.

Słyszałam jeszcze, jak któryś z nich mówi do reszty:

– I tak ją lubię. To jest w porządku babka, tylko trochę nerwowa.

Zmyłam po sobie naczynia (jakoś szybko mi to szło – prawie zbiłam kubek po kawie) i potupałam na górę do nawiedzonego pokoju. Miałam ochotę napisać jakiś paszkwil albo narysować coś głupiego

– jak za czasów szkolnych na ławce.

Jednak kiedy tylko przestąpiłam próg pokoju... cała złość nagle mi przeszła. Okno znowu było otwarte, mimo że z pewnością zamykałam je, wychodząc na kolację. Biała firana delikatnie powiewała, wpuszczając do środka zapach macierzanki, której wcale nie czułam, siedząc na zewnątrz.

Wychyliłam głowę przez okno i zerknęłam na dół. Moi współbiesiadnicy podnieśli się z siedzeń i opuścili podwórko Szarej.

Usiadłam przy biurku, chcąc coś napisać. Oparłam czoło o notes.

*

Było ciemno. Zerknęłam na zegarek. Druga w nocy. Ludzie, jak to jest możliwe, że zasnęłam po kolacji zaserwowanej o godzinie szóstej po południu i odłączono mi świadomość na prawie osiem godzin?!

Bolała mnie szyja, na policzku odbiły mi się atramentowe zapiski z dzisiejszego popołudnia.

W zasadzie nie zapiski, lecz mój nieszczęsny szkic. Podeszłam do lustra, które wisiało dokładnie naprzeciwko okna, i zobaczyłam na swojej twarzy rysunek wzgórze Mileny. Próbowałam go zetrzeć, jednak bez skutku. Atrament parkera dobrze trzyma.

Było cichuteńko. Z oddali wołał tylko tęsknie jakiś nocny ptak lub duch. Wyjrzałam przez okno.

W domku Mileny paliło się światło. Zaintrygowało mnie, że ona jeszcze nie śpi. Bardzo pragnęłam zobaczyć ją oraz jej zagrodę, ale zarazem wiedziałam, że nie powinnam się spieszyć. Muszę sączyć to

odkrycie powoli – jak drinka. Nie mogę się na nie rzucić dwoma haustami, bo wszystko popsuję.

Dopóki Milena pozostawała dla mnie kimś, kogo trzeba dopiero odkryć – dopóty otaczała ją mgiełka pobudzającej twórczo tajemnicy. Gdybym nagle poszła tam i zobaczyła jakikolwiek szczegół, który nie pasowałby do mojego wyobrażenia, byłby zbyt banalny, a może zbyt prawdziwy – cała konstrukcja mogłaby się zawalić. Chciałam najpierw stworzyć sobie mit Mileny, a dopiero potem skonfrontować go z prawdą.

Raz jeszcze spojrzałam w stronę wzgórze – światło już się nie paliło. Czy właśnie poszła spać, czy tylko mi się wydawało, że przed chwilą ze wzgórze docierał do mnie jasny ogień?

Usiadłam na łóżku z notatnikiem i piórem w garści.

I zasnęłam.

Sen 1

Od brzucha Mi wychodzą w dół korzenie świata

Matka Re wiedziała znacznie więcej, niż mu się wydawało. Matka Re pamiętała wszystko to, o czym on być może chciałby zapomnieć.

Każda matka wie, kiedy przychodzi ten dzień, gdy syn od niej odejdzie. Ale też każda matka wie, że zawsze może nadejść czas, kiedy syn do niej powróci.

Re przyszedł do matki tamtego dnia, gdy poranek był tak upalny, że ptaki mdlały w południe.

Matka czuła, że razem z Re kroczy w jej stronę ciemność i mroczny upał, który obezwładnia wszystko, czego dotknie. Młody Re stanął naprzeciwko niej i wykrzyczał wszystko, czego nienawidził, wszystko, czym go zniewoliła, to, czego robić nie chciał, a robić musiał, tamto, co czynić chciał, a nie mógł.

– Więc idź – westchnęła matka Re.

Zawahał się.

– Idź. Pożyj, użyj. I wróć do mnie. Idź po skarby, których pragniesz i które jesteś winien swojej naturze. Tylko wróć, bo sama tu uschnę i przepadnę.

I Re wyruszył.

Matka Re pogрузyła się w głębokim śnie. Widziała w nim syna, który przemierza całe połączenie nowych światów. Widziała Re stąpającego po łąkach, na których dotychczas nie stała ludzka stopa. Jej syn podjął karkołomną podróż – duchy lasu niosą go na swoich grzbietach, a Re zagląda pod każdy krzew, pod kępę mchu, do każdej dziupli – szuka w nich tego, co budzi w nim pragnienie. Szuka tego, co uczyni go mężczyzną. Chce znaleźć to, co da mu tożsamość.

A ona – jego matka – zostanie tu i będzie na niego czekać. Jej twarz porają nowe zmarszczki, siwe włosy sięgną jej kostek, ale się doczeka.

*

Re szedł przed siebie, a im bardziej oddalał się od domu, tym bardziej czuł, że to nie jest ta tożsamość, której poszukiwał. Widział cuda, które go przerażały, spotykał ludzi, których nie obchodził. Błąkał się po obrzeżach ludzkich osad. Po lasach, które znał, pomiędzy roślinami, które dawały mu ukojenie, wśród zapachu zwierząt leśnych, który czynił go spokojnym.

Re przemierzał drogi, czując, że szuka czegoś, kogoś. Czuł, że przeszuka dno oceanów i przeczesze cały muł leśnych strumieni, odkryje wszystkie kamienie i policzy ukryte pod nimi owady.

Zrobi to wszystko, by odnaleźć to, czego szuka. By znaleźć siebie w kimś innym. Re odnajdzie zwierzę, które w nim mieszka, i człowieka, którego potrzebuje. Na swojej drodze Re spotkał wiele kobiet. Wielu mężczyzn, którzy ich strzegli. Widział starców, którzy oczekiwali od niego deklaracji i obietnic. Lecz Re nie chciał nikomu niczego obiecywać. Patrzył na młode kobiety, jakby były przezroczyste. Smakował je bez przekonania i jakby od niechcienia. Przepływały przez jego usta nudnym strumieniem – jak woda przepływa przez gardło kogoś, komu nie chce się pić.

Kobiety są nudne i zbyt proste – myślał Re. Boją się. Wszystkiego się boją i dlatego każdej rzeczy chcą być pewne. Nie ma miejsca na może, nie wiem, zobaczymy. Ma być na pewno, na zawsze i choćby nie wiem co.

Kobiety oddają to, co mają, bez zaangażowania i pasji, ale w zamian za swoje oddanie chcą cyrografów i deklaracji na całe życie.

Jak Re miałby komuś przysięgać coś na zawsze, skoro sam nie wie, czego będzie chciał jutro? Jak Re ma obiecywać, kim będzie jutro, skoro wczoraj był innym człowiekiem...?

Ale młode kobiety, ich matki, a już zwłaszcza ich ojcowie nie rozumieli tego, co mówił im Re.

Młode kobiety, które przed chwilą wystawiały bijące w dwóch piersiach serca na wierzch, nagle zwijały się do skorup jak ślimak dotknięty patykiem. Ich matki wrzeszczały i złorzeczyły. A ojcowie bili.

Szedł więc Re przed siebie i dostawał na przemian widoki pięknych wdzięków i razy od ojców za brak deklaracji.

Przemierzył sto światów. Spał gdzie popadło – na mchu kłującym sierścią poprzednich lokatorów, drzewach i w wielkich dziuplach czy szopach na drewno.

I dopiero u kresu swej drogi... Dopiero kiedy chciał się już cofnąć... Zobaczył diablicę.

Setnej nocy Re usłyszał szept tak wdzięczny, że wyrwał go z głębokiego snu, choć był tak daleki, że żaden człowiek nie miał prawa go słyszeć. Lecz do Re dźwięk ten dotarł z pobliskiej polany – oddalonej o pół nocy drogi od jego legowiska. Słyszał go w sobie. Jakby już kiedyś go poznał i teraz tylko przypominał sobie jego sens.

Re słyszał bębny, choć bębnów nie było. Czuł miękkość, choć stąpał po twardych kamieniach.

Czuł tęsknotę, choć nie znał jeszcze tego, za czym tęskni.

Węszył przed sobą, nasłuchiwał, gnał do przodu i czuł, że jakieś wrzenie rośnie w nim tak głęboko, że porusza mu trzewia. Re musiał. Pragnął. Chciał. Wołał.

Daj-mi. Daj-mi. Potrzebuję! Daj-mi!

W gorączkowym szale odkrywcy Re szarpał krzewy i walczył z młodymi drzewami. Siekł przed sobą las, który stał się jego wrogiem, bo stał mu na drodze. Zbliżał się. Wiedział to na pewno – zbliżał się do szepotu, którego tak pragnął.

Szarzało brzaskiem, gdy Re doszedł do przerzedzenia lasu i zobaczył, że przed nim rozciąga się polana. Przestał biec. Serce waliło mu w piersi, jakby miało zaraz wypaść i zawisnąć na wielkich pniach naczyń.

Re pragnął tak, że chciało mu się płakać.

Schylił się jak łowca. Tropił. Zajrzał przez liście krzewu i zobaczył ją.

To była diablica. Długie włosy spływały po niej jak lawa, a wszystko inne było tak blade, że Re wydawało się, jakby jej ciało wykonano z najdelikatniejszego na świecie, najbardziej kruchego materiału, którego jeszcze nikt nie odkrył.

Diablica leżała na samym środku polany i szeptała. Jej ciało było właśnie porzucane przez poddający się blask księżyca i przejmowane przez nieśmiały świt. Jej ciało! Re czuł, że połknie własny język, że zadławi się własną pięścią i odgryzie sobie całą męskość, jeśli nie posmakuje tego ciała.

Diablica była całkiem naga, jedynie długie włosy okrywały jej ciało.

Re mrugnął. Powstrzymał się. Skupił zmysły. Szept. Nie przestawała szeptać.

– Daj mi spróbować – mówiła. – Gardzę tamtymi. Nie chcę tamtych. Daj mi spróbować, ale tak, żeby nikt nie wiedział, nikt nie pytał. Daj mi posmakować, ale tak, by nikt nie sprzedawał jednej rzeczy za drugą. Daj mi, ale nie zabieraj nic w zamian. Zabierz, ale nie każ mi dawać. Nie wymieniaj.

Nie targuj się. Nie obiecuj i nie żądaj obietnic.

Re poczuł, że podbrzusze zaraz mu pęknie.

Z bólu opadł na kolana. Z bólu zwinął się w kłębek. Podparł się rękoma na wilgotnej, zimnej ziemi. I zorientował się, że szept ustał.

W ciszy, która zapadła, usłyszał, jak jego własna ślina przecieka do gardła. Zaszumił trawą pod brzuchem, który pękał z pragnienia. I wtedy poczuł zapach, od którego zakręciło mu się w głowie.

Zapach, za który byłby skłonny umrzeć. Jej zapach.

Podniósł wzrok i zobaczył dwoje oczu – tak ciemnych i jarzących się, że Re chciałby w nie wskoczyć przez źrenice i pozostać na ich dnie już na zawsze. Diablica zawisła na odległość

wysuniętego języka nad jego twarzą. Zapach jej skóry przypominał Re całe dobro, którego zaznał w życiu, i był obietnicą dobra, którego jeszcze doświadczy.

Diablica przypatrywała mu się bardzo uważnie, z rodzajem leniwej ciekawości. Pochylała się nad jego twarzą i przyglądała się zarysowi nosa Re, jego zarostowi, jego twardym i niedużym ustom.

Wysunęła delikatnie swój różowy języczek, który przyprawił Re o skurcz trzewi tak silny, jakby ktoś umieścił w nich rój pszczół.

Diablica polizwała jego usta – jakby chcąc posmakować i upewnić się, z czym ma do czynienia.

Schyliła się ku klatce piersiowej Re tak, że dokładnie nad swoją twarzą zobaczył obie jej piersi. Re nie mógł zrozumieć, dlaczego są tak boleśnie piękne, co jest w nich tak niezwykłego. Nie rozumiał, nie rozumował, zrozumieć nie chciał. Dotknąć, zrobić coś im – sam nie wiedział co – wszystko, nagle, naraz – oto co chciał z nimi zrobić.

Diablica – pomyślał Re. Diablica. Tu i teraz.

– Mi – mruknęła diablica, oglądając z bliska brzuch Re, z którego szybko odgarnęła okrycie, żeby zobaczyć, co Re nosi w środku.

Mi – pomyślał Re. Mi. Mi. Mi!

Mi dotknęła nosem jego podbrzusza – wężąc i skupiając się na tym, co widziała. Spojrzała niżej z jeszcze większym zaciekawieniem. Nie czuła wstydu ani nie była zdenerwowana. Pochyliła się i nie dotknęła go nawet ustami. Ale gdy Re poczuł jej ciepły oddech, coś nagle w nim umarło i urodziło się na nowo. Coś dla Re się skończyło, coś w nim pękło – trzasnęło tak, że Re wydał z siebie okrzyk.

Mi przyglądała się z zainteresowaniem, jak Re umiera albo rodzi się. Krew uderzyła mu do głowy, twarz wykrzywił grymas bólu – zupełnie jakby się rodził. Ale jego oddech – urywany, wstrzymywany, powtarzany... To był oddech umierającego.

Re opadł na moment z sił i czuł pustkę w głowie. Nie pamiętał, kim był, kim chciał być i kim nigdy nie zostanie. Poczul tęsknotę, ból i szczęście. Lecz w chwili, gdy Mi powstała z klęczek i spojrzała mu w oczy, Re zrozumiał, że nie osiągnął wcale tego, czego pragnął, biegnąc na polanę.

Nie uwolnił się od bólu, śmierci i rozpacz, poznał jedynie lekarstwo.

Re wziął pierwszy spokojny oddech, odkąd zawitał w te strony, i przyjrzał się Mi z uwagą. Może i nie była diabolicą, ale z pewnością w każdej chwili mogła się nią stać.

Mi spojrzała na jego twarz – wymęczoną, lecz wciąż z wyrazem pragnienia, i uśmiechnęła się.

Zachichotała, a w chwilę potem wybuchła prawdziwie radosnym śmiechem.

Odwróciła się plecami do Re i ruszyła przed siebie – w stronę polany. Re mógł zobaczyć jej pośladki, gdy robiła krok, a długie włosy odsłaniały na moment jej krągłości. Szedł za Mi. Pierwszy raz rozejrzał się po polanie i dotarło do niego, że trafił do serca lasu, w którym – tak zawsze mówiono

– nic nie jest takie jak gdzie indziej. Tylko dlaczego go przed tym ostrzegano?

Nic nie jest takie jak gdzie indziej – przypomniał sobie i prawie zaczął się zastanawiać, czy

istnieje miejsce, gdzie wszystko jest takie jak gdzie indziej, ale wtedy Mi odwróciła się w jego stronę, znowu zobaczył jej ciało i przestał rozmyślać.

Był w łonie lasu. Między konarami drzew, między ich liśćmi dostrzegał kule światła – tak świat widzi rodzące się dziecko.

Prześwity dalekiego świata słońca, poranków i południ docierały cienkimi snopami pod ich stopy i Re zrozumiał, że do serca lasu docierają tylko promienie tego, co zna. Praw, które bronią. Przestróg, które każą. Norm, które objaśniają. Tu – w łonie lasu nic nie jest zabronione ani nakazane. Nic nie jest jasne ani zrozumiałe.

Mi spojrzała na niego tak, że Re znowu przestał myśleć. Usiadła na trawie – na kuli światła, która zaczynała parzyć w przyjemny sposób letnim porankiem.

Zbliżył się do niej. Dotknął jej wszystkim naraz i jego zmysły oszalały.

Mi zapadła się w nim, a Re zrobił coś, czego nikt mu nie tłumaczył, a co doskonale rozumiał.

I wtedy Re zrozumiał, że nie jest wcale w sercu lasu. Był na wiecznym drzewie życia, pośrodku *axis mundi*, która przechodziła dokładnie pomiędzy jego łędwami i podbrzuszem Mi. To stąd wyrastało wszystko, co żyło. To tu przestawało istnieć wszystko, co żyć już nie mogło. Stąd wychodzi pień wiecznego drzewa, w którego koronie mieszkają bogowie. Z tego miejsca wzrasta porządek świata, który konarami podtrzymuje nieboskłon. Od brzucha Mi wychodzą w dół korzenie świata, które drażą ziemię i docierają do zaświatów, gdzie odpoczywa wszystko, czego akurat nie ma, i czeka, czy kiedyś się stanie, czy nigdy nie będzie.

Rozdział 2

Ranek był prawdziwie letni. Okno mojego pokoju zwrócone było na wschód, więc słońce zajrzało do niego już koło piątej. Kolor światła optymistycznie jasny, zapach powietrza ziołowy, zielony, trawiasty. Do tego ptaki, szum liści poruszanych lekkim powiewem wiatru.

Otworzyłam oczy. Okno było uchylone, firana powiewała. Letnie poranki mają w sobie coś niezwykłego. Wydają się tak pełne możliwości. „Dziś wszystko może się zdarzyć – wykorzystaj to” – szepeczą wprost do ucha. To właśnie te szepty zrywają mnie zwykle latem bardzo wcześnie z łóżka.

Słońce zagląda do okna i czuję, że muszę wyjść na podwórko, na świeże powietrze, bo tam czeka na mnie całe mnóstwo możliwości.

Po porannym zerwaniu się z łóżka odczuwam wczesnym popołudniem senność i zwykle nie walczę z nią – po prostu robię sobie dłuższą drzemkę. Tym sposobem nie umyka mi żadna z moich ulubionych części dnia: bardzo wczesny poranek oraz bardzo późny wieczór.

Usiadłam w wykrochmalonej, pachnącej świeżością pościeli, którą wczoraj przyniosła do pokoju Szara.

Podeszłam do okna, odsunęłam firankę i podziwiałam niezwykły widok – budzące się do życia wzgórza Mileny, las, polana. Kolor światła bardzo silnie oddziałuje na moje odczucia – kiedy jest taki jak tego poranka, czuję, że wszystkie lęki i cała niepewność minionego dnia odchodzą w niepamięć.

Po południu – tak około trzeciej – światło wydaje mi się nieco nużące, jakby niepewne swojego celu i przeznaczenia. Jakby za wszelką cenę nie chciało poddać się przemianom dnia i walczyło o to, by pozostać wczesnym popołudniem.

Dopiero później – koło piątej – znowu nabiera magii. Jest już wtedy pogodzone ze swoim losem i powoli przechodząc w ciemność, cieszy jeszcze świat tysiącem odcieni niezwykłych barw.

Poczułam ciepło na twarzy, gdy plama słońca ulokowała się na moim policzku. Pomyślałam, że to

dobry dzień, że będzie twórczy i zarazem leniwy. By podtrzymać tę myśl i uczcić falę dobrego natchnienia, chętnie bym zapaliła. Ale kilka lat temu rzuciłam. Nie było mi ciężko w sensie fizycznym – nigdy tak naprawdę się nie uzależniłam. Za to do tej pory odczuwam skutki psychiczne.

Brakuje mi papierosa w czasie pisania, podczas podejmowania ważnych decyzji dotyczących fabuły lub w chwilach takich jak ta – gdy dobrą passę chce się uprzyjemnić dymkiem. Lubiłam zapalić podczas rozmyślenia nad nowymi wątkami. Albo kiedy zapadałam się we własnym świetle. Żadnych towarzyszy z zewnątrz. W chwilach takiej tylko mojej samotności. W wieczornym lub nocnym oknie – na parapecie. W wannie podczas obmyślenia nowej historii. Kiedy pisałam.

Ale w cholerę z tym! Rzuciłam, bo stwierdziłam, że szkoda mi zdrowia. Wiem, że to banalne; wiem – asekuracyjne i nieszczególnie „artystyczne”. Ale taka jest prawda. Na cholerę zdrowo się odżywiam – jem produkty jak najmniej przetworzone, biegam, spaceruję, pływam – po co to wszystko, skoro dzień zdrowych nawyków zniwelowałabym kilkoma szlugami.

Nie znoszę też, gdy ktoś mi mówi, że „na coś trzeba umrzeć”. Jak chce palić, niech pali – nie tylko mu przyklasnę, ale też będę jawnie zazdrościć, bo sama to lubiłam. Tylko niech nie gada, że ma w dupie to, czy papieros zaprowadzi go do grobu, czy nie. Otóż powiem tak: widziałam, jak wygląda umieranie „na papierosy”. Mój ukochany dziadek właśnie przez nie umierał. Rak trawił cały jego organizm, mimo że był silny i – zdawało się – nie do pokonania. Nowotwór nie tylko atakował go; on go pożerał kanibalistycznie, odbierając mu powolutku i po kolei wszystko, czym dziadek kiedyś był i co stanowiło dla niego jakąś wartość. Siłę, niezależność, samodzielność. Kiedyś ten facet był

podporą dla wszystkich – całe życie to on opiekował się innymi. Rak odebrał mu nawet to. Zjadał go od środka tak, że w końcu nie wiadomo już było, ile w dziadku dziadka, a ile raka. Pamiętam wydruk ze scyntygrafii, który pokazał nam lekarz z przychodni opieki paliatywnej. Wciąż jeszcze nie chcieliśmy się pogodzić z tym, że dziadek jest chory, i ciągle powtarzaliśmy mu, żeby walczył, żeby się nie dawał, że przecież wygra, skoro zawsze wygrywał. Dopiero tamten lekarz uświadomił nam, jaka jest sytuacja.

– Przestańcie go pouczać. To już nie ten etap. On będzie nie tylko cierpiał – przez te wasze mądrości będzie czuł, że zawiódł sam siebie. Że nie dał rady. Że przecież miał walczyć, miał się nie poddawać, a mimo to choroba wygrała. Przestańcie mu już wmawiać, że wciąż jeszcze ma jakikolwiek wpływ na to, czy umrze. Nie ma. Już od dawna. On umrze, a wy będziecie musieli pomóc mu w tym –

odprowadzić go tam, gdzie dozna ulgi, a nie przytrzymywać go kurczowo tutaj – zatopionego w wyrzutach sumienia i cierpieniu.

Podał nam wyniki badania scyntygraficznego.

– To, co świeci – powiedział – to komórki rakowe.

Zerknęłam na wydruk. Przedstawiał uproszczoną sylwetkę człowieka, z zarysem kośćca –

przypominało to trochę całun turyński. Dziadek na tym zdjęciu świecił, jakby jego szkielet wykonano z tego niezwykłego materiału, który za dnia trzeba trzymać na słońcu, a w nocy – podziwiać jego fluorescencyjną moc.

Pamiętam, że byłam wtedy strasznie zła na babcię. Zaczęła wyć jak na tanim filmie. Była jak zwykle skupiona na sobie i powtarzała coś w stylu: „Jak on mógł mi to zrobić? On mnie nie może zostawić, nie może mnie zostawić!”.

Byłam na nią wściekła za to, że nie potrafiła przełknąć swoich uczuć i nastawić się teraz na dziadka, nie na siebie. Ja tak właśnie zrobiłam. Udałam, że po prostu nie mam uczuć, a rak w krańcowym stadium to jest coś absolutnie normalnego, co nie przeszkadza mi w odwiedzaniu dziadka.

Nigdy nie poznałam drugiej tak silnej osoby jak on. Znałam go całe moje życie i pamiętałam, jak bardzo o nas dbał. Mnie starał się chronić przed wszystkim i dawał wszystko, co najlepsze. A teraz sam potrzebował opieki.

Nadeszły miesiące słabnącego apetytu i upokarzających dolegliwości pokarmowych.

Upokarzających dolegliwości moczowych.

Upokarzających dolegliwości skórnych.

Upokarzających dolegliwości nerwowych.

I upokarzających dolegliwości umysłowych.

Dziadek niknął na moich oczach. Chudł – oddając kilogram za kilogramem rakowi. A to, co z niego pozostawało, przypominało ciekłą skorupkę powleczonej jeszcze cieńszą skórą.

Trzeba było ciągle zwiększać dawki morfiny. Ale ona nie działała na dziadka tak, jak powinna. Nie na każdego działa. Senny – wiecznie zamroczony opioidami, z przerażającymi źrenicami wielkości główki od szpilki – tracił powoli świadomość tego, co się dzieje i co się do niego mówi. Jego skóra była chłodniejsza z każdym kolejnym dniem. W końcu nie było go już czym przykrywać. Wszystkie pierzyny, podwójne piżamy i swetry nie wystarczały, by go ogrzać. Było mu wciąż zimno, bo to śmierć zaczęła go powoli obejmować swoim ramieniem. Jej chłodny oddech omiatał chude kończyny dziadka. Kiedyś był bardzo postawny – miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Teraz zdawał się kurczyć i wysychać tak, że czasami nie miałam już pewności, czy pod tymi warstwami pierzyn, pod swetrami i czapkami nadal leży dziadek.

Cierpiał niemiłosiernie, nie mógł nawet odwracać się samodzielnie na drugi bok (on! człowiek tak dumny, że nigdy w życiu nie poprosił nikogo o pomoc w najdrobniejszej sprawie!). Nie mógł sam iść do łazienki – wstydził się tego, co ciało wyczyniało z jego duszą. Jego ciało zdradziło go – to pewne.

Pod tymi wszystkimi kołdrami było mu zimno, a mimo to pocił się naprawdę całymi litrami przez leki, które dostawał, i chorobę, która przejęła nad nim kontrolę. Przepacał na wylot najgrubsze pierzyny, a potem dygotał z zimna. Trzeba go było co chwilę przebierać, zmieniać wszystkie pościele, kołdry, kłaść materiał na przepocone łóżko.

Rak zjadł jego płuca, jego kości, wszystkie organy, które podtrzymywały go przy życiu. Rak wkroczył do jego mózgu i przejął kontrolę.

Czasem tak trudno jest zaakceptować cierpienie... A zwłaszcza gdy dotyka tych, których kochamy. Chciałoby się odwrócić wzrok, zapomnieć, wyobrazić sobie, że to się nie działo naprawdę.

Ale ja tego nie robię. Wiem, że moc tamtych wspomnień nie zadziała na nikogo tak jak na mnie. To, co kieruje naszymi czynami jest prywatne, osobiste, w gruncie rzeczy niezrozumiałe dla ludzi

z zewnątrz. Nasze najgłębsze i najbardziej bolesne przeżycia są dla innych tylko obrazem, który –

w miarę możliwości – starają się zinterpretować. To tak jak ze snami. Ten, kto obudził się z niezwykłego snu, przeżywa coś niepowtarzalnego. Jego emocje są poruszone, jakby przez całą noc ktoś grał na nich jak na instrumencie muzycznym. Człowiek, który śnił coś niezwykłego, mógłby całymi godzinami opowiadać o swoim śnie. Jednak dla postronnych słuchaczy zawsze pozostanie on tylko pewnym rodzajem ciekawostki. Nigdy nie będą w stanie wczuć się w te przeżycia jak ich prawowity właściciel.

*

Powspominałam jeszcze chwilę, pozwoliłam myślom luźno krążyć, po czym postanowiłam nadać jakąś formę swoim planom fabularnym. Nigdy jednak nie siadam do pisania bez kubka kawy – z tego nałogu nie zrezygnowałam. Postanowiłam więc zejść na dół do kuchni i zrobić sobie kawę.

Zwykle sypiam nago – gdy tylko temperatura na to pozwala, więc teraz zarzuciłam na siebie ogromny T-shirt należący do M. (na wyjazdy lubiłam zabierać ze sobą jakąś jego rzecz) i krótkie spodenki. Zeszłam na dół. W kuchni – ku mojemu zdziwieniu zastałam Laurę.

– Dzień dobry – odezwałam się.

– Dzień dobry – odpowiedziała kobieta-Laura.

– Która godzina?

– A jakie to ma tutaj znaczenie? – odpowiedziało pytaniem na pytanie dziecko-Laura. Zdziornie, nie opryskliwie.

Zaśmiałam się.

– Racja.

Podeszłam do czajnika, zważyłam go w ręce, by sprawdzić, ile jest w nim wody.

– Chcesz coś do picia? – spytałam.

Zaprzeczyła ruchem głowy, wskazując jednocześnie na kubek, z którego już piła.

Postawiłam czajnik na palniku i odwróciłam się w stronę Laury.

– Czemu tak wcześnie jesteś na nogach? Masz jakieś obowiązki o tej porze?

Wzruszyła ramionami.

– Po prostu... jakoś szkoda mi dnia. Mogę nawet cały zmarnować i nie robić nic pożytecznego, ale jak rano się budzę i widzę, że jest już jasno – nie mogę, po prostu nie potrafię leżeć w łóżku. Jakbym wiedziała, że czeka mnie coś ważnego...

– A czeka?

– Zwykle nie. – Wzruszyła znowu ramionami.

Spojrzała na moją koszulkę z jednym z tych napisów, które nie mają większego sensu – „Buddies favourite”.

Pomyślałam, że może Laurze trochę brakuje kontaktu z rówieśnikami, lecz po chwili

stwierdziłam, iż nie wygląda mi ona na jedną z tych dziewczyn, które „rzucą się” na każdego rówieśnika – aby tylko powłóczyć się z kimś po okolicy, pomazać po wiacie przystanku, popluć słonecznikiem albo wypić byle jakie wino.

– Mieszkasz u babci tylko w czasie wakacji czy cały rok? – spytałam ostrożnie. Byłam bardzo ciekawa, ale nie chciałam być zbyt wścibska.

Wzruszyła ramionami – był to najwyraźniej jej ulubiony gest.

– Cholera wie – odparła.

Rozbawiło mnie to. Cholera wie, czy mieszka tu w czasie wakacji, czy na stałe? Zrozumiałam sygnał – nie chciała mi się zwierzać, a może nie była jeszcze na to gotowa.

Uśmiechnęła się zadziornie. Dziecko-Laura.

– Cholera wie, jak to będzie. Wcześniej mieszkałam z ojcem – powiedziała po chwili, jakby chcąc nagrodzić moją powściągliwość.

Przytaknęłam.

– A Szara nie jest moją prawdziwą babcią – dodała.

Ponownie przytaknęłam, choć czułam wyraźnie, że znajdujemy się już w strefie nieco odrealnionej.

To nie była strefa kłamstwa. Raczej kraina fantazji.

– Szara jest moją cioteczną babką. To znaczy jest ciotką mojej matki. Siostrą mojej prawdziwej babki. Rozumie pani?

– Rozumiem. – Uśmiechnęłam się.

Ucieszyła się.

– Moja babcia umarła przy porodzie – rodząc moją matkę. To taka rodzinna klątwa. Dlatego Szara nie ma żadnych prawdziwych dzieci. Ma tylko mnie.

– A twoja matka...? – spytałam.

Laura zaczerpnęła powietrza, uniosła oczy ku niebu, przez chwilę się zastanawiając. W końcu odparła z uśmiechem:

– Moja matka była wielką władczynią. Jedną z tych dawnych arystokratek. Jej ród miał wielu wrogów – groziła im śmierć lub wygnanie. Matka nie chciała dziecka, bo wiedziała, że ich wrogowie albo je zabiją, albo odbiorą, by przekabacić na swoją stronę, rozumie pani? Dlatego w dniu porodu oddała mnie pod opiekę ojcu.

Woda na moją kawę zagotowała się. Wstałam i zalałam kubek wrzątkiem. Tak zwana kawa po turecku, którą pija się chyba tylko u nas, a w Turcji nikt o niej nie słyszał.

– To bardzo ciekawe, co mówisz – powiedziałam z nieudawaną fascynacją. – Myślałaś kiedyś o tym, żeby spisać to, o czym mi właśnie powiedziałaś?

– Dla potomnych?

– Dla potomnych i dla siebie. A może nawet dla innych czytelników.

Uśmiechnęła się. Dziecko-Laura.

– Ja wiem, co pani robi.

– To chyba nie tajemnica. – Uśmiechnęłam się.

– Zgooglowałam panią.

– Zgooglowałaś? – spytałam zdziwiona.

– A co – myślała pani, że na takim zadupiu jak to nie ma Internetu?

Zaśmiałam się.

– Być może.

– Więc przyjmijmy, że sprawdziłam panią w zwojach papirusu, albo nie – na glinianych tablicach, które trzymamy tutaj w kurhanach.

Śmiałam się szczerze. Miała bardzo dojrzały dowcip.

– No i co zapisano na tych tablicach?

Wzruszenie ramion.

– Różne rzeczy. Chodzi o to, że wiem, czemu mnie pani tak nagabuje o to pisanie.

– Czemu?

– Pani prowadzi zajęcia z takimi jak ja.

– To znaczy z jakimi?

– Znużone dzieciaki, które nie mają co ze sobą zrobić.

– Mylisz się, Lauro. Nuda nie jest kryterium włączającym.

– Tylko co? Problemy osobiste? – Spojrzała na mnie uważnie. Kobieta-Laura.

Teraz to ja wzruszyłam ramionami.

– Czy ja wiem? A jest ktoś, kto nie ma problemów osobistych?

Zaśmiała się krótko. Chyba udzieliłam dobrej odpowiedzi.

Spojrzała w stronę otwartych na oścież drzwi. Wnikało przez nie ciepłe, jasne powietrze pachnące rozgrzaniem drewnem, ogrodem i trawą.

– Ale dziś będzie upał – powiedziała. – Lubi pani?

– Bardzo.

– Serio? Zwykle ludzie narzekają.

– Ja narzekam, tylko jak jest zimno. Uwielbiam lato i słońce.

– Tu niedaleko jest jezioro. Mogę pani powiedzieć, jak dojść najszybciej. Lubi pani takie klimaty?

– Jeziorne?

– No, takie ogólnie: łono natury, las, jezioro.

– Lubię. Bardzo.

*

Znowu nie pisałam. Z moją kawą nie wróciłam już na górę do pokoju. Zagadałam się z Laurą na temat miejscowych atrakcji przyrodniczych. Opowiedziała mi trochę o samej miejscowości i jej okolicach.

Znała kilka ciekawostek, kilka interesujących miejsc do odwiedzenia. Dowiedziałam się, że oficjalne granice Tego Nowego sięgają dalej niż tylko do obrzeży wsi, która naprawdę była bardzo niewielka

–

liczyła ledwie kilkanaście, może trochę więcej gospodarstw. Do tego kościół, sklepy i świetlica w salkach katechetycznych. Nawet do podstawówki trzeba było dojeżdżać. Zresztą – jak poinformowała mnie Laura – dzieciaków mieszkało tu niewiele.

W granice wsi włączone były też okoliczne tereny – w tym coś, co Laura nazywała Dworem Kernelów: położone na uboczu wspomnienie z zamierzchłych czasów: dwór oraz pozostałości po folwarku należące do rodziny Kernelów. Jakimś cudem udało im się uchronić rodzinny majątek przed zniszczeniem lub przekazaniem na rzecz państwa – do użytku publicznego. Podobno nadal tam mieszkali, choć oczywiście ani wieś nie należała już do nich, ani folwark, który niegdyś tam funkcjonował.

Laura przekazała mi również, jak dotrzeć do jeziora, i uprzedziła, że jeśli chcę się tam wybrać, to tylko poza weekendem.

– W sobotę i niedzielę to królestwo grilla i disco polo puszczanego z otwartego samochodu – powiedziała z przekąsem.

W okolicy znajdowało się sporo jezior, ale to, nad które miałam się wybrać, było największe i najlepiej nadawało się do kąpeli, dlatego w weekendy mieszkańcy pobliskich wsi zjeżdżali się tam gromadnie, by wspólnie uprawiać nasz narodowy sport, czyli grillowanie.

Laura właśnie dzieliła się ze mną swoimi spostrzeżeniami dotyczącymi sposobu wydawania pieniędzy przez okoliczną ludność, gdy do kuchni weszła Szara.

– Widzi pani, to jest tak: jak ktoś ueziera swoje pierwsze, absolutnie pierwsze pieniądze, ma obowiązek kupić za nie starego golfa. To nie może być żaden inny samochód. To obowiązkowo musi być golf. Ewentualnie – jak ma więcej pieniędzy, może kupić beemkę. Ale zwykle ich nie stać (chyba że ktoś zacznie pracować w mieście), dlatego kupują golfy. A jak już tego golfa kupią, to muszą obowiązkowo poprzyklejać do niego różne plastikowe badziewie: plastik na koła, plastik na spojler, plastik na maskę. W środku siedzenia ze skaju, czyli w sumie też plastik.

– Laura, a co ty pani od samego rana gadasz jakieś głupoty? – spytała Szara, zdziwiona naszym spotkaniem w kuchni. – Zje jajka czy zupę mleczną? – Uśmiechnęła się do mnie.

– Jajka – odparłam.

– To nie są żadne głupoty, babciu. Nakreślam pani tutejsze tło społeczne.

Szara wytarła dłonie w fartuch.

– Sprawdź, czy prababcia wstała, i pomóż jej się ubrać.

Laura wstała, sięgnęła przez ramię Szarej po świeżo ukrojoną piętke chleba, ugryzła ją i mlasnęła ostentacyjnie.

– No już! – zawołała Szara.

Laura mlasnęła jeszcze kilka razy, po czym wbiegła po schodach – jak to miała w zwyczaju – kilkoma długimi susami.

Szara odwróciła się w moją stronę.

– Nie daje spokoju, co? Za nachalna? Mogę jej powiedzieć, żeby przestała przeszkadzać.

– Nic z tych rzeczy – odparłam z przekonaniem. – Laura nie jest ani trochę nachalna.

Z przyjemnością z nią rozmawiam. To raczej ja się jej narzucam – powiedziałam z uśmiechem.

Przyglądała mi się przez chwilę, po czym machnęła ręką.

– Ona tu nie ma dobrego towarzystwa. Jest trochę dziewczyn i chłopaków w jej wieku, ale to nie towarzystwo dla niej. Inne rzeczy ich interesują. Tamci tylko piją i obłapiają się po krzakach. Laura jest inna.

Przytaknęłam ze zrozumieniem. Cóż mogłam powiedzieć...?

– Pyskata jest strasznie – kontynuowała Szara. – Czasem to już słów na nią nie mam. I siły mi już nie starcza, żeby ją temperować. Ale to dobre dziecko jest.

– Jestem o tym przekonana – odparłam z uśmiechem. – Niech się pani nie martwi – takie osoby

jak Laura zawsze dają sobie radę. Jest silna, mądra i wie, czego chce. A przynajmniej – wie, czego nie chce.

Szara otarła oko rogiem fartucha.

– A bo ja wiem...? Jej matka też była taka: silna i wiedziała, czego chce. A jakoś...

– Dzień dobry, pani Szara! – usłyszałyśmy.

Znawca, Ekspert i Specjalista wkroczyli do zewnętrznej jadalni Szarej i kiwnęli do niej przez próg.

Kobieta natychmiast otrząsnęła się i pociągnęła szybko nosem.

- Dobry, dobry – odpowiedziała. – Co zjedzą: jajka czy zupę mleczną?
- A nie można tej kiełbaski, co przedwczoraj pani dawała? – spytał Znacwa.
- Nie ma dziś kiełbasy, bo piątek – fuknęła Szara.
- Nawet do jajecznicy? – nalegał.
- Nawet!
- A boczek? To prawie nie mięso.
- Zaraz kleik dostanie, jak będzie gadał o boczku.

Trzej mężczyźni zaśmiali się.

Wyszłam do nich przed dom. Rozmowa nawet w miarę nam się kleiła. Zapytałam, czy nie mają jakiejś zapasowej lornetki, którą mogłabym pożyczyć. Powiedziałam, że wybieram się nad jezioro i chcę pooglądać ptaki.

Z trudem odmówiłam wspólnej wyprawy. Poinformowałam, że będę pisać i nie chcę mieć towarzystwa. To po co mi lornetka, skoro idę pisać. Pomiędzy pisaniem będę obserwować ptaki. No to oni mogą pójść ze mną i mi pokazać parę ptaków (ha! ha!), a pomiędzy ptakami ja mogę sobie spokojnie pisać i nikt mi nie będzie przeszkadzał.

- Nie, dziękuję. – Byłam nieprzejednana.
- Idzie pani na podryw, co? – spytał Znacwa.
- Tak, idę na podryw z lornetką – odpowiedziałam zgryźliwie.

Znacwa zjadł najszybciej i zaoferował, że przyniesie lornetkę z samochodu, który mieli zaparkowany pod domem Soliwody. Trzy kroki stąd – jak powiedział.

Rzeczywiście, wrócił po jakichś dwóch minutach.

Ponieważ okazali mi życzliwość, pożyczając lornetkę (która na moje oko musiała mieć wartość większą niż mój samochód), postanowiłam również zachować się uprzejmie i podpytałam ich trochę, na czym polega ich praca. Powiedzieli, że robią „analizę terenu”. Coś mi się zdawało, że ta analiza wynika po prostu z tego, że nie chce im się w upał wracać do miasta, do pracy na uczelni, do spalin, zatłoczonych ulic. Woleli – i wcale im się nie dziwię – zostać jeszcze jakiś czas w tej zapomnianej przez świat okolicy, otoczonej lasami i jeziorami.

Podziękowałam za wspólne śniadanie i pogawędkę, chwyciłam lornetkę i wróciłam do pokoju.

Hipnotyzujące oddziaływanie okna mojej sypialni zmusiło mnie jak zwykle do tego, by wyrzeć na zewnątrz i zerknąć na wzgórze Mileny. Wydawało się teraz ciche i spokojne. Owiewane delikatnym

wietrzykiem, pieszczone promieniami słońca.

Przyłożyłam lornetkę do oczu, poprawiłam ostrość. Była naprawdę niezła – całe wzgórze widziałam teraz jak na dłoni. Rzeczywiście – na samym jego szczycie stała mała chatka – cała z drewna. Choć poziomy i pionowy tej konstrukcji zdawały się zapominać o tym, że powinny układać się względem siebie pod kątem prostym, wyglądała naprawdę ładnie – widać było kobiecą rękę. Na ścianach namalowane były prześliczne, jasne, tradycyjne wzory kwiatowe. W małych okienkach powiewały firanki, kwitły kwiaty. W ogóle dookoła domu, na jego ścianach i z całą pewnością w środku widać było zatrzęsienie kwiatów i innych roślin. Z dachu, czy może z rynny, wyrastała jakaś niewielka brzoźka, która zapewne za parę lat stanie się problemem. Skierowałam lornetkę na kolorowe grządki z dorodnymi warzywami, na kury i króliki pałętające się wszędzie, na kozy pasące się nieopodal domku, trzy psiaki biegające wokół tego przybytku – przeganiające się nawzajem i ujadające radośnie. Na jednym z zewnętrznych parapetów wylegiwały się dwa czarne koty, które co jakiś czas przerywały drzemkę, aby spojrzeć z wyższością i dezaprobatą na zabiegane za swoimi

ogonami kundelki. Wszystko to wyglądało tak sielankowo, że przywodziło na myśl obrazki zdobione materiały rozdawane przez świadków Jehowy. Wzgórze Życia – nazwałam to miejsce w myślach.

Takie określenie narzucało się samo – niemal automatycznie. Obraz dopełniały drewniane rzeźby, które poustawiano wokół domu. Przedstawiały głównie zwierzęta – drewniany niedźwiedź, drewniany wilk i jakiś drapieżny ptak. Pozostałe rzeźby przedstawiały postaci ludzkie lub półludzkie – zdaje się, że jakichś bogów ze starej mitologii albo może duchy lasu. Była tu kobieta z długimi włosami i obnażoną piersią trzymająca w ramionach niemowlę. Był krępy mężczyzna o szerokich ramionach, z brodą tak długą, że zasłaniała całą jego postać. Nieopodal stała rzeźba przedstawiająca nagą kobietę, obok niej ustawiono drewnianego wilka.

Wszystkie były grubo ciosane, a każda ich krągłość nosiła wyraźne ślady dłuta – widać to było nawet z tej odległości. Lecz cały ich urok polegał na prostocie.

Obejrzawszy całe wzgórze, zaczęłam coraz bardziej gorączkowo rozglądać się za jego mieszkanką.

Ale choć przeczesałam z lornetką całe wzniesienie, nie odnalazłam Mileny. Z komina jej domku unosiła się wąska strużka dymu – może właśnie przygotowywała śniadanie lub szykowała sobie jakiś posiłek na dalszą część dnia...

Odłożyłam lornetkę i wyszykowałam się do wyjścia nad jezioro.

Kierowałam się wskazówkami Laury, które okazały się bardzo przydatne. Bardzo szybko opuściłam wieś i weszłam do lasu, gdzie miałam iść wzdłuż strumyka aż do polany. Tam skręcić w prawo za składem drewna i iść tą drogą prosto, aż do samego jeziora.

Pierwszy dotarł do mnie nie jego obraz, lecz zapach. Był tak świeży, rześki, tak wakacyjny i błogi, że nogi niemal ugięły się pod mną.

Wyszłam z lasu wprost na brzeg jeziora. Spłoszony kos poderwał się z pobliskich krzaków. Ptaki prześcigały się w śpiewie – słońce nie było jeszcze w zenicie, ale nadchodzący upał już teraz dawał

o sobie znać.

Zdjęłam plecak i buty. Dno jeziora było dość przyjemne – w miarę piaszczyste, a nie z warstwą mułu po kolana. Weszłam do wody, by sprawdzić, jaką ma temperaturę, ale gdy tylko moja skóra zaznała z nią kontaktu, okazało się, że nie potrafię się powstrzymać, by natychmiast się w niej nie zanurzyć. Zrzuciłam krótkie spodenki i koszulkę. Miałam ze sobą strój kąpielowy, ale nie włożyłam go – nie lubię chodzić w nylonie, zwłaszcza w gorące dni. Wskoczyłam więc do wody jak stałam.

Dookoła nie było żywej duszy.

Sądziłam, że płynąc przed siebie, dotrę na środek jeziora, ale okazało się, że jego kształt jest na tyle nieregularny, a powierzchnia tak duża, że wypłynęłam jedynie na środek jednej z jego zatoczek.

Woda miała idealną temperaturę – była chłodna, kojąca, ale z całą pewnością nie zimna. Miałam ochotę zostać w niej do końca życia. Zamieszkać w tym jeziorze, zostać lokalną syreną. Ludzie karmiliby mnie chlebem – jak łabędzia. Od czasu do czasu zjadałabym resztki z grilla po

biwakowiczach i weekendowych gościach.

Pływałam chyba z godzinę, odpoczywając co jakiś czas na plecach i wpatrując się w błękitne niebo – czując, jak słońce ogrzewa i suszy natychmiast każdy centymetr mojej skóry.

W końcu postanowiłam powrócić na swoją maleńką plażę – jedną z wielu wydzielonych przez krzewy i drzewa pochylające się aż do wody.

Rozłożyłam na trawie koc i położyłam się na nim – pozwalając, by słońce zajęło się osuszaniem każdej kropelki wody.

Później włożyłam strój, by nie gorszyć przypadkowego przechodnia, który mógłby się tu zjawić – mimo iż według Laury poza weekendem nikt nie przychodził nad tę część jeziora.

Odetchnęłam z ulgą po porcji pływania – czułam, jak mój oddech przyjemnie się uspokaja, a szum gałęzi i śpiew ptaków mnie usypia. Obudziło mnie niejasne poczucie czyjejś obecności. We śnie przeturlałam się z koca na trawę i całe moje ciało znaczyły teraz ornamenty z odgniecionych liści i łodyg.

Podniosłam się na łokciach i rozejrzałam. Ani śladu żywej duszy. Przepatrzyłam zaspanym spojrzeniem tafłę jeziora. Pusto.

Nagle coś mnie tknęło – sięgnęłam do plecaka i wyciągnęłam lornetkę Znacwy. Przyłożyłam ją do oczu, ustawiłam ostrość i przeczesalam przeciwległy brzeg „mojej” odnogi jeziora. Pusto, pusto. Nic.

Trzciny. Plaża. Pusto.

Zaraz...

Skierowałam lornetkę ponownie na niewielką plażę – podobną do mojej, ale nieco bardziej zarośniętą wysoką trawą. Nie, nie wydawało mi się; wśród zarośli widoczne były sylwetki dwóch osób. Dwie głowy, piersi, biodro, kawałek kolana. Nadzy kochankowie leżeli spleceni ze sobą tak, że wyglądali jak jedno ciało o dwóch głowach. Trudno było mi dostrzec szczegóły, ale ich zachowanie sugerowało, że miłosny akt został już zakończony i teraz ich ciała dziękowały sobie wzajemnie za rozkosz, zapomnienie i za inne nieuchwytnie dla słów wartości, które rozumie tylko ciało.

Czułam się usprawiedliwiona – skoro się już nie kochają, to przecież wcale ich nie podglądam – teraz po prostu na nich patrzę. Tak jak i na mnie ktoś mógłby teraz patrzeć. Wolno mi, bo też odpoczywam nad tym jeziorem.

Kochankowie leżeli obok siebie jeszcze przez jakiś kwadrans, może dwa. W ich bliskości była zaborczość i pożądanie. To nie była para dzieciaków, które spotkały się po to tylko, aby dać ujście chuci. To było coś więcej.

W końcu podnieśli się. Dopiero teraz mogłam się im lepiej przyjrzeć. Oboje musieli mieć po trzydzieści–czterdzieści lat, choć wywnioskowałam to raczej z ich ruchów niż wyglądu. Włosy obojga

– czarne jak węgiel. On w ogóle był cały krzaczasty, cały zarośnięty – jak niedźwiedź. I podobnie jak niedźwiedź – miał bardzo masywną sylwetkę. Nawet z daleka widziałam, że był umięśniony, ale na pewno nie gruby. Miał sylwetkę potężnego gladiatora.

Ona za to była smukła. Jej skóra połyskiwała odcieniem lata i życia na wolności. Miała włosy tak długie, że zakrywały jej całe plecy i pośladki.

Wstali z ziemi i zaczęli się ubierać. Bez pośpiechu, ale też bez ociągania: metodycznie, sprawnie.

Ich twarze wciąż umykały mojemu wzrokowi.

Kiedy już się ubrali, stanęli naprzeciwko siebie i przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Było w tym coś intensywnego – jakby rozmawiali. Wtedy on wyciągnął do niej rękę i musiał jej coś dać – do picia lub do połknięcia. Nie zdążyłam wychwycić wzrokiem przedmiotu, który jej wręczył. Kobieta włożyła go do ust, odchyliła głowę do tyłu i połknęła – tabletkę, łyk napoju...?

Po chwili odwrócili się i bez oglądania się za siebie – rozstali.

*

Znad jeziora wróciłam z prostym planem – kolacja, kawa, pisanie.

Wysmagana słońcem w zamyśleniu siadłam przy końcu stołu i nie dałam się wciągnąć swoim trzem towarzyszom posiłków ani w rozmowę o mojej „samotnej wyprawie na podryw”, ani o liczebności lokalnej populacji zwierząt.

Po kolacji wspięłam się pospiesznie do swojego pokoju i zasiadłam do pisania. Stukałam i skrobałam, aż zaczęło świtać. Dopiero koło czwartej nad ranem ułożyłam się – w zasadzie już nie do snu, lecz raczej na krótką drzemkę.

Sen 2

Lecz pozostanie w łonie lasu

Leżeli obok siebie. Re chciał jej dotykać czymś – czymkolwiek, a najlepiej wszystkim. Nie czuł już pragnienia. Chciał tylko nadal być jej częścią i razem z nią odpoczywać, stawać się i rodzić się na nowo.

Mi leżała czerwona jak róża i miękka.

– Ja nie chcę nic – powiedziała cicho.

– Nic nie musisz – odetchnął Re.

Usta Mi: Nie chcę wymiany i obietnicy. Niczego mi nie dawaj za coś i nie bierz czegoś za nic. Nic.

Żadne.

Oczy Re: Żadne.

Łzy Mi: Nie tak jak oni wszyscy. Bez klątwy i przyrzeczenia.

Pocałunek Re: Bez. Bez niczego.

– Nie popsujesz? – Mi.

– Nigdy – Re.

*

Mi chciała ruszać w drogę. Ucałowała wszystko, co Re miał, i dała mu ucałować swoje. Re chciał iść za nią, ale mu nie pozwoliła.

– Bez niczego, pamiętasz? – spytała. – Nie popsujesz?

– Nigdy – powtórzył Re.

I poszła.

Re czuł, że *axis mundi* ucieka od niego. Mi zabiera ją razem ze swoim łonem. Widział, jak znikają jej pośladki, jej stopy. Aż zniknęła cała – nawet jej włosy.

Re nigdy nie opuści tego miejsca. To miejsce zostało poczęte na jego oczach – pod jego potem i łzami. Re zamieszka tu, zostanie na zawsze, choćby miał się zamienić w jedno z drzew albo kępę

mchu. Zarośnie, zdziadzieje, a potem się zezwierzęci. Lecz pozostanie w łonie lasu, dopóki ono nie wyda go znowu na świat – całkiem nowego i świeżego.

Rozdział 3

Tym razem obudziło mnie nawet nie słońce, lecz upał. Fala obezwładniająco gorącego powietrza wniknęła przez otwarte okno, położyła się na mojej klatce piersiowej i sprawdzała, jak długo wytrzymam.

Ale ja potrafiłam znieść naprawdę sporo. Nigdy nie byłam jedną z tych „jaszczurek”, które wylegiwały się całymi dniami na pełnym słońcu, aż ich skóra zaczynała skwierczeć, ale uwielbiam lato. Kluczową kwestią w miłości do lata jest – jak sądzę – umiar i odpowiednia taktyka. To pora roku bardzo intensywna – wiele daje, ale też wiele wymaga. Jest prawdziwą, gorącokrwistą diwą, z którą trzeba wiedzieć, jak postępować. W słoneczne poranki można z nią flirtować do woli – chodzić na spacer, biegać, pływać – cokolwiek. Ale w najcieplejszym momencie dnia – gdy temperatura jej uczuć staje się już nazbyt gorąca, należy ustąpić, łagodzić jej humory, próbować ją udobruchać, uspokoić, przejednać. Schować się przed słońcem i nie nażerać się nim jak lodami pod nieobecność mamy. Trzeba dać latu wyszaleć się trochę i samemu od niego odpocząć.

Dopiero wieczorem – gdy kolor światła zmienia się w jaskrawy, soczysty pomarańcz – dopiero wtedy można z latem iść pod rękę jak równy z równym. Ba! A nawet je lekko zdominować –

prowadzić przed sobą po długich przyjęciach, spotkaniach na świeżym powietrzu, ogniskach i tańcu aż do bladego świtu.

*

Podniosłam się z łóżka i zerknęłam na swoje wczorajsze notatki. Zastanawiałam się przez chwilę, czy to, w jaki sposób chcę wprowadzać czytelnika w akcję, będzie dla niego jasne. Zawsze staję przed tym dylematem. Lubię zawiłości i pętle: czasowe, fabularne, znaczeniowe. I lubię je wprowadzać do swoich książek. Z pętlami trzeba jednak uważać – traktować je jak rzadką, intensywną przyprawę.

Jeśli doda się jej zbyt dużo, czytelnika odrzuci intensywność. Gdy za mało – będzie to dla niego tylko kolejna potrawa o niepełnym smaku. Być może książki – podobnie jak potrawy właśnie – mogą powstać na bazie ledwie kilku – kilkunastu podstawowych składników. Dlatego to właśnie od proporcji, a także od dodatków zależy, czy danie będzie miało niepowtarzalny smak. Uważam też, że każdy pisarz powinien w swoim tajemnym ogrodzie przy pełni księżyca wyhodować własną, niepowtarzalną przyprawę. Nosić ją w maleńkim woreczku na szyi – jak najcenniejszy medalion.

I dodawać do każdej swojej książki szczyptę, może czasem dwie. Tak żeby ktoś, kto sięga ledwie po jeden rozdział, mógł rozpoznać smak wyjątkowej przyprawy – charakterystycznej tylko dla jednego twórcy.

Ważne, by niczego nie robić na siłę. Tak jak z perfumami – z całą pewnością na każdego czeka mieszanka zapachów, która jest dla niego idealna, ale jeżeli wybierze za szybko, posłucha rady

innych, pogubi się – nie odnajdzie tego zapachu. Toteż wierzę głęboko w to, że każdy może stworzyć swoją własną przyprawę fabularną. Jednak powinien robić to ostrożnie i z wielką cierpliwością.

Pamiętając też o tym, że jej skład i zapach będą zmieniały się z czasem – podobnie jak sam twórca.

Czasami będzie on musiał uzupełnić swój woreczek nowymi nutami, dodać czegoś, czego dotychczas nie brał pod uwagę. Ważne, by pozostawił choć jeden składnik, który należy wyłącznie do niego.

*

Przeciągnęłam się z zadowoleniem i odruchowo sięgnęłam po lornetkę. Niepokojące – przez wzgórze Mileny zaczęłam nabierać nawyków rasowego podglądacza. Przyznam jednak, że bardzo intrygowała mnie ta kobieta. Chciałam za wszelką cenę poznać jej tajemnicę. Bo że jakaś tajemnica kryła się w jej historii – tego byłam pewna. Dlaczego Milena mieszka na tym wzgórzu sama? Czy kiedyś mieszkała

tam ktoś jeszcze? Skąd wziął się dom na wzgórzu tak bardzo oddalonym od reszty wsi? Od jak dawna Milena jest banitą i dlaczego inni się jej boją? Bo tego, że się boją, byłam niemal tak samo pewna jak tego, że w historyjce o wygnanej na wzgórze kobiecie lekkich obyczajów kryło się jakieś drugie dno.

Wzgórze Mileny stało się dla mnie punktem odniesienia. Znałam już wszystkie jej zwierzaki – wiedziałam, ile ma kóz i kotów. Miałam wrażenie, że znam charakterystykę jej trzech psiaków.

Lecz samej Mileny jeszcze nigdy nie widziałam.

Kim jest ta kobieta – zjawia...?

Siadłam przy biurku, by zapisać swoje spostrzeżenia...

Dźwięk tłuczonych naczyń. Trzaśnięcie drzwiami. Huknięcie (pięścią w ścianę? pięścią w stół?).

– Nie ma mowy! Nie! Nie! – usłyszałam.

Głos Laury.

– A właśnie, że tak, ty uparta dziewczucho! Mam już dosyć twoich dąsów! Zachowujesz się jak jakaś hrabianka! Wszystkie baby śmieją się ze mnie, że nie potrafię cię trzymać krótko!

– A kto powiedział, że ludzi trzeba „trzymać krótko”?! Po co słuchasz tych obłąkanych bab?!

Jesteście wszystkie jak z jakiejś prehistorii! Każdy może sobie robić, co chce! Nie! Nie zgadzam się!

– Pojedziesz do niej i jej pomożesz, Laura!

– Nienawidzę jej!

– To nieprawda!

Otworzyłam drzwi swojego pokoju i po cichu zeszłam na dół. Nie chciałam się wtrącać, ale lepsze to niż siedzenie w sypialni i udawanie, że niczego nie słyszę.

– Dzień dobry? – zapytałam na przywitanie.

Szara zmieszła się.

Usiadła na ławie, jakby lekko zasłabła. Zaczęła wachlować się swoim fartuchem.

– Co za wstyd, co za wstyd... – jęknęła. – Przepraszam za zamieszanie, ja już z tym dzieckiem nie wytrzymam, nie wytrzymam... To nie na moje nerwy.

– Ani na moje! – rzuciła obrażona Laura z rękoma skrzyżowanymi na piersiach. – Nie pojedę do tej starej łajzy. Ona mnie nienawidzi!

– O! Masz! – Uniosła ręce Szara. – Podobno przed chwilą to ty jej nienawidziłaś.

Laura mruknęła naburmuszona:

– Nienawidzimy się nawzajem. Ale ona zaczęła pierwsza, ja tylko odpowiadam na jej niechęć.

Chwila ciszy. Wstawiłam wodę na kawę, zaczęłam kroić chleb i przygotowywać inne produkty wyłożone przez Szarą na śniadanie.

– To stara kobieta i potrzebuje twojej pomocy – zaczęła znowu Szara, tym razem łagodniej.

– Nieprawda. Ona nie potrzebuje niczyjej pomocy. Chce mieć tylko poddanych, którymi będzie dyrygowała. A robi to tylko po to, żeby pokazać innym, jak to oni się na niczym nie znają i jak to ona wszystko wie najlepiej.

Szara dostrzegła, że kroję pomidora. Zerwała się na równe nogi, jakbym wykonywała właśnie zakazaną pracę.

– Niech zostawi! – zawołała zawstydzona. – Niech nie robi, ja zrobię. Co za wstyd. Ja zrobię, niech zostawi!

– Ale to żaden problem – powiedziałam zrezygnowana, bo wiedziałam już, że walka jest przegrana. Szara odebrała mi nóż i zabrała się do roboty.

– Widzisz! – syknęła w stronę Laury. – Co za wstyd! Pani chce tu wypocząć i pracować, skupić się. A ty się ze mną ciągle kłócisz!

– To ty się ze mną kłócisz!

Szara spojrzała na mnie, jakby oczekiwała, że rozsądzę ich spór, i streściła problem:

– Remkowa dzwoniła, że potrzebuje pomocy przy śliwkach. Czy Laura może przyjechać i pomóc.

– A dlaczego niby ja mam jej pomagać? – rzuciła ze złością Laura.

– Bo jesteś dobrze wychowanym dzieckiem i wiesz, że starszym trzeba czasem pomóc – odparła ze złośliwą słodyczą Szara.

– Nie każdy „starszy” zasługuje na mój szacunek – Szara jęknęła na te słowa i powachlowała się fartuchem – a Remkowa przecież doskonale sama sobie radzi ze śliwkami. Po prostu jej się nudzi i chce kimś podyrygować.

– Ona te śliwki również dla nas robi – wypada pomóc.

– Ta! – parsknęła Laura. – Ona te śliwki robi dla nas tylko dlatego, że jej z uprzejmości powiedziałaś, żeby zapłaciła za twoje zioła śliwkami. Powiedziałaś jej, że ma dobre śliwki, choć dobrze wiesz – są okropne. Powiedziałaś tak tylko po to, żeby Remkowa sądziła, że i ona ma coś do zaoferowania. I przez was wszystkich ona taka właśnie jest! Chyba jej się wydaje, że siedzi po prawicy Boga i przekazuje Jego wyroki.

Na to już Szara podniosła się z krzykiem.

– Dość! – Po raz pierwszy wydawała się naprawdę groźna. – Ani słowa więcej! Pojedziesz do Remkowej i pomożesz jej przy tych cholernych śliwkach! I będziesz dla niej miła. A jak Remkowa powie ci, że coś źle robisz i masz robić inaczej, to się uśmiechniesz, przytakniesz i będziesz robiła tak, jak ona mówi!

Mierzyły się przez chwilę wzrokiem. Zbrodnia wisiała w powietrzu.

– Jak chcesz, Lauro, mogę ci pomóc – wtrąciłam cicho. – Wtedy krytyka rozłoży się na nas dwie. –

Uśmiechnęłam się.

Szara złapała się za głowę.

– Nie, nie – to jest Laury robota.

Spojrzałam jej w oczy.

– Ale ja naprawdę chętnie pojedę.

Oczywiście wcale mi nie zależało na tych śliwkach. Po pierwsze chciałam trochę wesprzeć Laurę.

Rozumiałam Szarą, która chciała, żeby dziewczyna wyszła „na ludzi”, ale jednocześnie lubiłam bardzo Laurę, ceniłam jej charakter, jej niezależność, butę. Wiedziałam, że z takich rogatych dusz

wyrastają zwykle mądrzy i niezależni ludzie. A ja takich właśnie lubię.

Dodatkowo coś mi mówiło, że postać Remkowej stanowi jeden z istotnych elementów tutejszej pajęczyny zależności, którą próbowałam zbadać. Wielkim atutem tej kobiety był niewyparzony język.

W przeciwieństwie do Szarej nie potrafiła go trzymać za zębami, podobnie jak nie potrafiła zatrzymać dla siebie swojej opinii... zwykle krytycznej.

Laura spojrzała na mnie podejrzliwie.

– Naprawdę chce pani jechać?

– No pewnie.

Mierzyła mnie przez chwilę wzrokiem.

– Jak można dobrowolnie zgłosić się na wizytę u Remkowej?

Zaśmiałam się.

– Widocznie za słabo ją jeszcze znam. Nie zdążyła mi dopiec.

Szara próbowała jeszcze protestować, ale udało mi się ją spacyfikować.

Zjadłyśmy szybkie śniadanie, wypiliśmy kawę i stanęłyśmy przed domem Szarej – gotowe do drogi.

Już teraz widziałam, że to była dobra decyzja. Laura naprawdę była zadowolona, co bardzo mnie ucieszyło. Polubiłam ją. I w ogóle – zwykle lubię młodzież. Wiem, ile się teraz mówi o młodych ludziach – że żyją w kulturze obrazkowej, że nie mają szacunku, że nadmiar bodźców, że Bóg, że wojna.

Wiem również, że w dorastającym człowieku mnóstwo jest pretensjonalności, wiele

nieopierzonych, gwałtownych poglądów i buntu, który czasami nie ma przeciwko czemu być kierowany. Ale wiem też, że z najbardziej pretensjonalnych postaw wyrastają często wyważone i mądre poglądy. Bywa, że kłótlivi i oporni buntownicy dojrzewają na ciekawych świata i samodzielnych ludzi.

Rozwahałyśmy przez chwilę, czy jechać do Remkowej samochodem, czy rowerami. Udało mi się

namówić Laureę na rowery – sądziłam, że będzie to znacznie ciekawsza wycieczka, niż gdybyśmy wybrały się tam dusznym, nagrzanym samochodem.

– Po co jechać rowerem, gdy ma się samochód? – rzuciła pytanie Laura. – Jak ja zrobię prawo jazdy, będę nawet do sklepu po bułki jeździła samochodem.

– Jasne. – Zaśmiałam się. – I do sypialni – po schodach na górę.

– Jeśli się tylko da – odpowiedziała ze śmiechem.

Rowery wyciągnęliśmy ze starej szopy, która stała za domem Szarej. Dwa składaki (Wigry i Romet) przywodziły mi na myśl czasy mojego dzieciństwa. Nieco przykurzone i zastałe – jak dwa wiekowe rumaki zapomniane przez swoich jeźdźców.

Laura kapnęła trochę smaru na łańcuch, ruchome elementy pedałów oraz kół i mogliśmy ruszać.

Przez pierwsze parę metrów towarzyszył nam odgłos wesołego skrzypienia. Szczególnie mój rower miał wiele do powiedzenia na temat tego, że dawno na nim nie jeżdżono. Romet Laury wyciągany był z szopy nieco częściej, więc i protestował ciszej.

W końcu smar rozszedł się po starych elementach jak po wysuszonych i obolałych stawach starszego człowieka i rowery przestały popiskiwać.

Było tak gorąco, że odnosiło się wrażenie, jakby mózg przyklejał się do czaszki, a język wydawał

się ciałem obcym. Dostałyśmy jednak od Szarej kompot truskawkowy prosto z lodówki, który dodawał nam sił jak magiczna mikstura jakiejś wiedzy.

Pomimo obezwładniającego upału jechało się nam przyjemnie – jedyny ruch powietrza, na jaki można było liczyć, to ten, który same generowałyśmy, kierując rowerem, czułam więc, że i tak jesteśmy w komfortowej sytuacji.

Laura zerknęła na mnie co jakiś czas, jakby chciała o coś zapytać, a może podzielić się jakąś refleksją. W pewnym momencie zapytałam:

– Dlaczego tak bardzo nie lubisz Remkowej? Nie wierzę, że tylko za jej trudny charakter...

Laura zaśmiała się głośno.

– „Trudny charakter”! A to dobre! Ona jest po prostu okropna!

Milczałyśmy przez chwilę, przejeżdżając przez prowizoryczny drewniany mostek zbudowany przez miejscowych, by można było przejść przez strumyk suchą stopą.

Laura jechała pierwsza, ale gdy pokonałyśmy mostek, zwolniła nieco, by się ze mną zrównać.

– Ta kobieta jest po prostu dokładną odwrotnością mnie, mojego charakteru, tego, w co wierzę i tak dalej. Jest straszną despotką, która chciałaby, żeby cały świat jej słuchał, usługiwał jej i najlepiej co chwilę powtarzał: „O Boże, co my byśmy bez ciebie zrobili, Remkowa!”.

Przytaknęłam. Laura zaczerpnęła powietrza, zastanowiła się chwilę, po czym kontynuowała:

– Jej syn, Remigiusz, to naprawdę świetny facet i nie mam pojęcia, jak mógł tak długo z nią wytrzymać. Wydaje mi się, że czuł się za nią odpowiedzialny – za jej utrzymanie i tak dalej. Jak stary Remek zmarł, on miał kilkanaście lat. Wie pani, jak to jest – stał się jakby głową rodziny.

– Rozumiem...

– Ale najgorsze jest to – mówiła Laura, coraz bardziej angażując się emocjonalnie – że Remkowa tego wszystkiego w ogóle nie potrafiła docenić. Zamiast się cieszyć, że ma takiego syna, ciągle suszyła mu głowę, mówiła, jak ma żyć, co ma robić i tak dalej. Jej się po prostu gęba nie zamyka, a jak jest otwarta, to nigdy nie wypływa z niej nic innego jak tylko krytyka i wieczne „dobre rady”.

Wiem od Szarej i nawet od samego Remka, że on, odkąd pamięta, chciał się uczyć, wyjechać stąd, chciał podróżować. Miał straszny apetyt na świat i na życie – mówiła Laura z miną, która bezsprzecznie oznaczała, że i ona odczuwa taki apetyt – ale nigdy nie mógł się stąd ruszyć, bo Remkowa zawsze tkwiła przy nim jak kamień przy nodze.

– Remkowa mówiła, że chodził (w zasadzie jeździł) do szkoły w mieście. Tak zrozumiałam – że zamiast wybrać którąś z pobliskich szkół, poszedł do ogólniaka w Eskultor?

– No właśnie! Ale widzi pani, o czym to świadczy – że on miał taki pęd do wiedzy i do świata, że nie wystarczały mu tutejsze szkoły, gdzie mógłby się nauczyć, co najwyżej jak naprawić silnik od traktora. Chodził do szkoły średniej w Eskultor, czyli około stu kilometrów od Tego Nowego. Każdy normalny dzieciak mieszkałby w takiej sytuacji w internacie przy szkole, ale Remek nie mógł, bo Remkowa ciągle trajkotała mu, żeby jej nie zostawiał samej. A mógł wybrać internat! Był bardzo zdolny i dostawał stypendium – szkoła opłacałaby mu noclegi, a nawet posiłki. Ale nie! Bo Remkowa jest najważniejsza. Wychodził z domu o czwartej rano, bo musiał dotrzeć na przystanek pekaesu, potem dowlec się nim do miasta, a na miejscu jeszcze przejść kawał drogi, żeby dotrzeć do szkoły.

I to samo z powrotem. Lekcje odrabiał w autobusie; wracał wieczorem do domu, słuchał narzekań Remkowej, pomagał jej w domu i ze zwierzakami. A potem siadał jeszcze do nauki.

– Mówisz, jakbyś miała okazję obserwować to osobiście, a to chyba niemożliwe. – Uśmiechnęłam się. – Ile Remek ma lat?

– Trzydzieści pięć – odpowiedziała bez zająknięcia. – Powiedzmy, że wiem to wszystko z relacji z pierwszej ręki.

– Jak się to wszystko potoczyło po skończeniu szkoły? Edukacja Remka i tak dalej – podpytałam.

Laura zaśmiała się.

– A jak mogło się potoczyć? W końcu nie wytrzymał. Skończył szkołę z wyróżnieniami – dyrektor prawie płakał, jak go żegnali. Remek miał tak dobre wyniki, że mógł pójść na cokolwiek –

architekturę, medycynę, prawo... A tymczasem Remkowa uznała, że skończył już „swoje szkoły”, więc pora zabrać się do roboty. Załatwiła mu pracę w pobliskiej ubojni – wyobraża to sobie pani?

Ogłuszanie, patroszenie, przerabianie na kiełbasy. I Remek pośrodku tego wszystkiego. Mieszkający ciągle ze swoją matką.

– Nadal tam pracuje?

Laura zaśmiała się diabolicznie.

– O nie, długo nie wytrzymał... Jeszcze w tym samym roku powiedział Remkowej, że odchodzi.

Przynajmniej na jakiś czas. Że musi znaleźć sobie miejsce w świecie. Że chce się po nim trochę pobłąkać, a potem dokonać wyboru. Że już nie może wytrzymać w jej domu, że się dusi, że ona go przytłacza.

– Co na to Remkowa?

Laura wzruszyła ramionami.

– Niczego oczywiście nie zrozumiała. Przecież ona nie ma pojęcia, co to jest głód świata.

Ubzdurała sobie, że jedyną aspiracją Remka było pójście na baby. Chuć, chuć – powtarzała ciągle i do tej pory powtarza. Jak Remek wyjechał, podobno codziennie łąziła po sąsiadkach, po sklepach, po parafiach i lamentowała, że syn – jedyny syn ją opuścił! W gorsze dni wyzywała go od niewdzięcznych pijawek. W lepsze – rozповідаła wszystkim, że on wyruszył szukać żony, że trochę go nie będzie, bo musi dobrze wybrać. Że trudno jest wybrać taką, która będzie odpowiadała jego matce, a z całą pewnością to jest dla niego najważniejsze kryterium.

Zaśmiałam się cicho. Lecz był to smutny śmiech. Zobaczyłam kobietę, której wcześniej umarł mąż, która być może nigdy nie zaznała żadnej przyjemności w życiu. Wychowano ją na cnotliwe dziewczę, potem kształtowano ją na zaradną żonę, a w końcu – na przykładną matkę. Gorycz życia pozbawiła ją ciekawości świata, dążenia do przyjemności i szczęścia...

– Ja wiem, co pani sobie myśli. – Spojrzała na mnie Laura. – Pani ją usprawiedliwia. Proszę tego nie robić. Ona jest naprawdę okropna i jest to wyłącznie jej wina. Niech pani spojrzy na Szarą – ta to dopiero miała przekichane w życiu, a mimo to nie zamieniła się w taką zrzędliwą jędzę jak Remkowa.

Chciałam zapytać, co ma na myśli, mówiąc o przekichanym życiu, ale wtedy naszym oczom ukazał się dom Remkowej. Jego właścicielka stała na środku drogi z rękoma opartymi na biodrach.

Gdy tylko nas ujrzała, zawołała:

– Co tak długo?! Zaraz sama wszystko oporządczę. Śliwki już poprzypalane, a te sobie wycieczkę rowerową urządzają.

*

Praca przy śliwkach Remkowej zajęła nam prawie cały dzień. Pracowałyśmy z podziałem na zadania jak w prawdziwej fabryce.

Mycie, wybieranie robaczywych owoców – moja robota, bo najmniej skomplikowana.

Wydobywanie pestek i mielenie mięszu w maszynie do mięsa – robota Laury.

Stanie nam nad głowami i komentowanie każdego ruchu dłonią, każdego westchnienia, każdego otarcia czoła – robota Remkowej.

Gdy już uszykowała z Laurą solidny stos śliwkowej masy, Remkowa łaskawie przygotowała wszystko do smażenia powideł. Wyciągnęła z za pieca ogromny gar, który musiał służyć wyłącznie do tego – pokolenia śliwek węgierek musiały za jego sprawą przejść niezwykle proces przemiany –

z owoców, które po kilku dniach od zerwania popsułyby się nieodwracalnie – do owocowej masy, której nie ruszą ani lata stania w piwnicy, ani wojna, ani przemiany społeczne.

Kłóciły się w zasadzie bez ustanku – Remkowa i Laura. O wszystko, bo też i na wszystko, co Laura robiła, Remkowa próbowała wpłynąć. Największa bitwa poszła o dodatki. Laura sugerowała wanilię i odrobinę rozmarynu, a za to mało cukru; Remkowa pragnęła co najmniej jednej porcji cukru na dwie porcje śliwek.

Kilka razy niewyparzony język Laury doprowadziłyby do rękoczynów, gdybym nie broniła jej własną pierśią (a w zasadzie – własnym słowem) przed laską Remkowej, sugerując, że może nie jest to najlepsze rozwiązanie konfliktu. Z kolei Laura trzy, a może cztery razy zagroziła, że ma tego dość, natychmiast opuszcza to „despotyczne centrum wszechświata” i nigdy już nie przekroczy progu tego domu. Następnie wybiegała z chaty Remkowej, zaciskała upaprane w masie śliwkowej dłoń na rowerowej kierownicy i wołała, żebym uciekała razem z nią.

Remkowa krzyczała, że Laura jest popsutym bachorem, który ma pełną dupę i nic sobie nie robi

z autorytetów i rad starszych. Laura z kolei nazywała Remkową nadętą staruchą, która myśli, że zawsze ma rację, a tymczasem – zawsze się myli. Remkowa na to, że Laura jest typowym bękartem, którego nikt na świat nie prosił, i dlatego teraz zachowuje się, jakby miała diabła pod skórą. Laura odkrzyczała więc, że Remkowa z kolei jest bezzębną wiedźmą, z którą już nikt na świecie nie wytrzyma i wszyscy modlą się, żeby już kopnęła w kalendarz.

Moja rola ograniczała się do rozdzielania ich i wzdychania, gdy już któraś przesadziła z dosadnością.

Gdy nadszedł wieczór, byłam tak zmęczona, że niemal zemdlałam – z twarzą w masie ze śliwek

węgierek. Wszystkie trzy byłyśmy upaprane ciemną mazią, jakbyśmy właśnie urządziły sobie bitwę w śliwkowej masie zamiast w kisielu czy błocie.

W pewnym momencie atmosfera była tak napięta, że Remkowa (nie mogąc przyłożyć Laurze laską, ponieważ zagradałam jej drogę) rzuciła w dziewczynę garścią śliwkowych pestek.

Na to Laura nabrała w dłoń porcję świeżo przygotowanej masy śliwkowej i cisnęła nią prosto w twarz Remkowej. Wyglądało to niemal jak jedna z tych scen na amerykańskich filmach, gdy wszyscy zaczynają się rzucać kawałkami jedzenia, finał zaś zawsze (zawsze!) polega na tym, że ktoś dostaje tortem w twarz. O ile jednak w filmach wszyscy pod koniec śmieją się do rozpuku, o tyle coś mi

mówiło, że w naszej sytuacji bitwa na powidła mogłaby skończyć się inaczej – na przykład wylaniem wrzącej masy powidłowej na czyjaś głowę.

Orzekłam więc, że dość już tego wszystkiego. Dzień już i tak powoli chylił się ku końcowi, a my musiałyśmy wrócić na naszych składakach przez łąki, pola i lasy do Tego Nowego, a nie chciałam tego robić po ciemku.

Remkowa machnęła na nas ręką. Powiedziała, że i tak jej w niczym nie pomogliśmy, a dodatkowo narobiłyśmy bałaganu, i ona teraz całą noc będzie musiała go sprzątać. Zauważyła też, że nasz wkład w robienie powideł był niemal zerowy, bo ona i tak przez dwa najbliższe dni „będzie musiała użerać się” z gotowaniem masy śliwkowej, ponieważ uznaje tylko powidła trzydniowe, powidła jednodniowe zaś uważa za największe zło tego świata.

Całe upačkane śliwkami wsiadłyśmy na rowery i w milczeniu wróciłyśmy do domu Szarej.

Zostawiłyśmy rowery na podwórku, nie mając siły chować ich do szopy. Wspięłyśmy się po schodach na górę i – wymieniwszy porozumiewawcze spojrzenia – zamknęłyśmy się w swoich pokojach, by odchorować wizytę u Remkowej.

Ledwo weszłam do sypialni, przyrzekłam sobie, że już nigdy nie zjem śliwki węgierki, a jak ktoś mi zaproponuje powidła, ucieknę z krzykiem. Byłam tak zmęczona, że padłam na łóżko i odpłynęłam.

Sen 3

Jej syn nie wróci do domu

Matka Re czekała całe miesiące. Re wyruszył wczesną wiosną.

Wiosną każdy chce swobody – myślała wtedy matka Re. A na pewno młodość. A na pewno samczość. Ale wróci, wróci do mnie.

I matka Re wyobrażała sobie – jak wróci. Z kim wróci. Z dziewczyną o włosach jak kłosa. Śniadą, rumianą, pracowitą.

„To moja żona”, powie Re. „To moja matka”.

Młoda żona będzie grzeczna. I uprzejma. Trochę przestraszona, bo to nie jej dom w końcu, ale dom matki Re. Ona tu była pierwsza i ona pierwsza będzie decydować. Młoda żona będzie jej słuchać, będzie uprzejma. Nocami będzie spełniała swoje obowiązki i rano wstawać będzie taka dumna, lecz za dnia to matka Re tu decyduje. Na obiad zrobimy to i tamto. Na kolację obierzemy to z tego i przemielimy. Daj, ja to zrobię, bo ty to źle robisz. Ty nie wiesz, jak to robić, a ja wiem.

I młoda żona będzie słuchała. A Re będzie patrzył na dwie kobiety i myślał tak: Oto żona moja.

Kocham ją i ona do mnie należy. Ale oto matka moja, ją kocham jeszcze bardziej, bo ja do niej należę.

Po wielu miesiącach matka Re pozwoli młodej żonie na więcej. Jeśli będzie miła, matka Re nauczy ją wiele o kuchni, życiu, przetworach. A nawet o dzieciach.

Po kilku latach – bo wcale nie od razu – rumiana młoda żona urodzi piękne dziecko. Podobne do Re jak dwie krople wody, a co więcej – podobne do matki Re. I będzie to syn. Matka Re powie – nazwiecie go, jak chcecie, ale ja sędzę, że powinien się nazywać Mały Re.

I wtedy młoda żona powie: „Jaki to wspaniały pomysł, teściowo”. A Re doda: „Matka zawsze ma dobre pomysły”.

Potem okaże się, że matce Re dziecko przeszkadza. Ono będzie płakało i wymagało, a przez karmienie go i urodzenie młoda żona stanie się trochę ważniejsza. Ale za to matka Re będzie ją mogła uczyć o dzieciach, bo tamta jest niedoświadczona, a matka Re – owszem. Trzy razy była w ciąży. Za pierwszym razem urodziła martwe dziecko, bo źle upadła i się potłukła. Drugi raz urodziła Re. Trzeci raz – urodziła córkę, ale ona umarła bardzo młodo.

I tak będą sobie szczęśliwie żyli: matka Re, Re, Mały Re.

I młoda żona.

*

Ale po wiośnie nadeszło lato. A Re nie zjawiał się ani sam, ani z młodą żoną. Trudno mu wybrać – powtarzała w duchu matka Re. Dobry syn wie, że żona musi się podobać i jemu, i matce, więc jest wybredny.

Lecz po lecie przyszła jesień. Zimne burzowe wieczory przepelniały duszę matki trwogą. Deszcze zacinały jej do domu i do serca. Gdzież to błąka się jej syn i w jak odległych miejscach szuka swojej żony? Czyżby tak krucho było z młodymi kobietami w tych czasach?

A potem przyszła zima. I matka Re zamarzła od środka. Żyła, ledwie oddychając. Jadła garstkę okruchów, a piła trzy krople wody na miesiąc. Niczego nie chciała, niczego nie potrzebowała. Zimą zasnęła snem dzikich zwierząt.

Przeczekaj mrozy – myślała. Nawet bym nie chciała, żeby mój syn w takie zimno i zawieje wracał do domu. Niech poczeka na przedwiośnie. Spłynie do domu razem z topniejącym śniegiem.

Śnieg cały stopniał. A syna nie było. Mróz cały puścił. A Re nie wracał. Kwiaty zakwitły, zwierząt przybywało. I wtedy matka Re pomyślała, że jej syn nie wróci do domu.

Rozdział 4

Jakieś szepty, szurania. Ktoś stawia na podłodze wiadro z wodą. Ktoś woła przyciszonym głosem, żeby przynieść mydło.

Zerknęłam na zegarek. Kilka minut po czwartej rano.

Podniosłam się z łóżka i spojrzałam z dezaprobatą na swoje dłonie w spłowiałym kolorze niedoszłych powideł śliwkowych. Z coraz większą intensywnością docierały do mnie ożywione szepty. Dobiegały z kuchni Szarej, gdzie zawsze toczyło się całe życie tego domu.

Delikatnie nacisnęłam klamkę i uchyliłam drzwi.

– Szybciej, szybciej, nie ma czasu – usłyszałam szept Szarej. – Nie płacz, dziecko, nie płacz. Aj, coś ty sobie zrobiła, coś ty zrobiła.

Miałam zamiar zejść na dół po cichu, ale drewniane schody tak skrzypiały, że okazało się to niewykonalne. Moim oczom ukazał się przedziwny widok. Pośrodku kuchni na ławie leżała, podpierając się na łokciach młoda dziewczyna. Jej dziecięca twarz przywodziła na myśl młodego chłopca. Mogła mieć ze czternaście lat. Twarz dziewczyny wykrzywiona była w grymasie bólu i jeszcze większego strachu. Gdy zobaczyła, że schodzę do kuchni, próbowała się poderwać na równe nogi, ale Szara ją powstrzymała, szepcząc uspokajająco.

– Ćśśś... Ćśśś, to przyjaciółka, nie bój się – powiedziała do dziewczyny.

Dopiero teraz dostrzegłam, że uda przestraszonego dziewczęcia były czerwone od krwi. Ciemna, zdawało się tłusta maź spływała niewielkimi porcjami spomiędzy nóg. Dziewczyna ścisnęła długą spódnicę poplamioną krwią. Jej stopy zanurzone były w misce – chyba z wodą. Szara klęczała przy niej i obmywała jej uda oraz łono.

Matka Szarej okazała się niezwykle zwawą staruszką – uwijała się razem z Laurą przy kuchni, przygotowując jakiś napar, dodając zioła, porcjując jakiś korzeń, szatkując brązowe łydgi, a przy tym wszystkim – paląc fajkę (!).

– No to narobiłaś bigosu, dziecko – odezwała się matka Szarej z fajką w zębach, zwracając się do młodej dziewczyny i mieszając jednocześnie napar. – Laurka, przynieś gazę.

Laura przytaknęła bez mrugnięcia i przerwała krojenie aromatycznych ziół. Kiedy wychodziła z kuchni, wymieniliśmy się spojrzeniami. Laura wciąż miała na sobie resztki masy śliwkowej, która jednak była podobna do mazi wypływającej spomiędzy nóg młodej dziewczyny. Widok był przerażający.

– Mamo, teraz już nie pora na te słowa – odezwała się Szara. – Zrobiła, co zrobiła. Dobrze, że tu przysła. Że też Sizwe musiał akurat teraz wyjechać na te cholerne szczepienia.

– Przecież ona sobie to zrobiła właśnie teraz, bo wiedziała, że Czarnogłowego nie będzie – domyśliła się matka Szarej. – Który cię zbrzuchacił, dziecko, co? Który to zrobił?

Dziewczyna zacisnęła zęby i pokręciła przecząco głową – nie powie.

Do kuchni wróciła Laura z czystymi kawałkami gazy. Przy przerażonej dziewczynie wydawała się nagle dużo starsza. Laura-kobieta. Podeszła do Szarej, by wręczyć jej opatrunki, i pogładziła uspokajająco po plecach i głowie dziewczynę.

– Już dobrze, Alu. Ala, spójrz na mnie. Gorzej już nie będzie, teraz może być tylko lepiej.

Wszystko będzie dobrze. Nie będzie już bardziej bolało, pomożemy ci, spokojnie – mówiła łagodnie do przerażonej Ali, którą Szara zdążyła już kilkakrotnie umyć do czysta, ale spomiędzy nóg dziewczyny wciąż wypływały porcje krwistej mazi. Ocknęłam się i zorientowałam, że przez cały ten czas stałam pośrodku kuchni, obserwując trzy kobiety.

Podeszłam do Szarej.

– Jak mogę pomóc? Zawołać kogoś? Zadzwoić po pogotowie?

Na te słowa Ala poderwała się na równe nogi i tym razem przez długi czas nie dawała się usadzić z powrotem na miejscu.

– Nie! Nie, nie, nie. Nie-nie-nie-nie – powtarzała jak mantrę, patrząc przerażonym wzrokiem to na Szarą, to na mnie.

– Ćśśś, Alutka, cichutko – uspokajała ją Szara i próbowała nakłonić, żeby usiadła. – Nigdzie nie dzwoniemy, po nikogo nie wołamy.

Matka Szarej dodała już wszystkie składniki naparu, zdjęła go z ognia i mieszała, chłodząc i sprawdzając jego klarowność.

– To najmłodsza córka Soliwody – powiedziała do mnie. – Gdyby się Soliwoda dowiedział, zabiłby ją i tego kawalera, który ją tak urządził.

Chciałam powiedzieć, że zawsze się tak mówi, że rodzice o wszystkim zwykle dowiadują się ostatni właśnie dlatego, że dzieci powołują się na ten argument. A przecież żaden normalny rodzic nie zabiłby swojego dziecka – za cokolwiek.

Jednak matka Szarej patrzyła mi prosto w oczy z taką determinacją, że nie powiedziałam ani słowa.

– Nie znasz go – powiedziała. – Zabiłby. Naprawdę.

– Jedyne, czego żałuję, to że Sizwe nie ma z nami – jęknęła Szara z klęczek i dodała do Ali: –

Niepotrzebnie zrobiłaś to, kiedy on wyjechał. On by pomógł. Nikomu by nie powiedział, jakbyśmy poprosiły.

– Kto to jest... Sizwe? – spytałam.

– Weteryniarz – powiedziała matka Szarej. – Czarnogłowy.

– Pojechał na objazd ze szczepionkami na wściekliznę – dodała Szara. – Wszystkie wiochy w okolicy. Wróci pewnie dopiero za dwa dni.

– Masz, pij – odezwała się matka, nalawszy trochę naparu do kubka i upewniwszy się, że ma odpowiednią temperaturę. – Duszkiem. Gorzkie, ale wypij wszystko.

Ala chwyciła kubek drżącymi dłońmi i bez ociągania się wlała jego zawartość do gardła.

Szara wstała z klęczek i zajrzała do drugiego gara z innym naparem.

– Wylej to z miski, umyj dokładnie i przynieś mi czystą – zwróciła się Szara do Laury.

Dziewczyna bez mrugnięcia okiem wykonała jej polecenie. Poprosiła łagodnie Alę, by ta wyjęła stopy z miski, i zabrała ją do łazienki.

Po nogach Ali nie spływały już strugi krwi.

Szara przetarła jej uda i łono suchą gazą. Przełała napar z garnka do mniejszego naczynia.

Zamoczyła w nim nowy gazik, wykręciła z nadmiaru płynu.

Po chwili Laura przyniosła miskę – Ala znowu włożyła do niej stopy, Szara zaś przemywała jej delikatnie łono gazą namoczoną w ziołowym naparze.

– Będzie dobrze – powiedziała spokojnie. – Dzisiaj, jutro i pojutrze masz leżeć w łóżku i spać.

Powiesz matce, że się zaziębiłaś, że masz grypę. Będzie gorączka, to ci uwierzy. Przy łóżku ma cały czas stać dzbanek z piciem. Kompot albo najlepiej ta herbata, którą ci damy. Masz popijać. Co chwilę

– dwa łyki i położyć się. Sikać i położyć się. I znowu – dwa łyki i spać. Jak wypijesz wszystko z dzbanka, masz wołać matkę, żeby zaparzyła jeszcze raz. Pić cały czas, rozumiesz?

Przytaknęła.

– Masz się podmywać tym, co ci dam. Co najmniej trzy razy dziennie. Ale to starczy tylko na jeden dzień. Napar zawsze musi być świeży, rozumiesz? Każdego dnia przygotujemy świeży. Laura będzie podawać przez okno – nikt nie zobaczy.

Ala bez słów potwierdziła.

– Ale jedno masz mi obiecać. Jak wróci Sizwe – obejrzy cię. Dasz się mu obejrzeć.

– Nie. Nie, nie, nie.

– Cicho, uspokój się. Jemu można zaufać. Każę mu obiecać. Obieca i nic nie powie. Ojcu, nikomu.

Jak wróci, zaproszę twoją matkę na targ i na kawę. Ojciec będzie w drugim domu – nikt się nie dowie.

Sizwe cię odwiedzi i obejrzy. Obiecuj.

Przytaknęła po chwili wahania.

Szara wytarła jej uda i łono kolejną suchą gazą i przygotowała opatrunek. Szara i Laura ubrały Alę i odprowadziły do drzwi.

– Musisz wrócić sama, bo jak nas zobaczą o tej porze razem – domyślą się. Idź powoli. Jak wrócisz do domu – od razu się połóż.

Dziewczyna przytaknęła. Szara otworzyła drzwi, jednak zanim ją wypuściła, dotknęła jej ramienia.

– Ala. Nigdy więcej tak nie rób. Teraz się to rozwiązuje inaczej. Nie trzeba tak robić.

Błada twarz dziewczyny pokryła się kroplami potu, więc Szara puściła jej rękę i pozwoliła odejść, wręczając wcześniej dwa słoiki naparów ziołowych.

Obserwowała ją przez jakiś czas, żeby się upewnić, że sobie poradzi, po czym zamknęła drzwi.

Matka Szarej kręciła głową.

– Nic się nie zmienia. Nic się nie zmienia. Te same przychodzą do nas od dziesięcioleci. Do mojej matki przychodziły, do mnie przychodziły, do ciebie przychodzą. Ciągle to samo. A jest na to prosta recepta: trzymać nogi razem.

Szara oparła łokcie na blacie stołu.

– Oj, mammo... Wiesz, że to nie zawsze dobra rada.

– Zawsze.

– Naprawdę sądzisz, że czternastoletnia dziewczyna z własnej woli...? A zresztą... wola nie ma znaczenia – to jeszcze dziecko.

Matka Szarej machnęła ręką.

– Nic się w życiu nie zmienia. Tak było kiedyś i tak samo jest teraz. Wszyscy popełniają błędy, ale tylko niektórzy mają odwagę ponieść konsekwencje. Tak jak Jankowa. Albo Anna od Żłoty. Albo Milena.

Uniosłam lekko głowę, przysłuchując się rozmowie.

– Z Mileną to było co innego. Bo ona nie popełniła żadnego błędu. – Szara się zamyśliła.

– Ano tak. Bo była zbyt butna, żeby się do błędu przyznać.

– Nie, mamó. Ty może nie pamiętasz, jak ona wtedy wyglądała. Tam nie było miejsca na błędy –

w tej jej twarzy. W jej oczach. Tam była sama radość, samo życie, sama świeżość. Milena to jest inna historia, bo jej nikt nie uwiódł. To ona uwiiodła. I była szczęśliwa – wspominała Szara.

Matka Szarej z wprawą pyknęła fajkę.

– Szczęśliwa to może i była przez chwilę. Bo każdy jest przez chwilę szczęśliwy, jak odkryje chuć.

Ale zobacz, co się z nią porobiło.

Szara poderwała się z miejsca i zaczęła pospiesznie sprzątać bałagan po wizycie Ali.

– Nic się z nią nie „porobiło” – syknęła Szara. – Żyje, jak chce. Koniec kropka.

– Żyje na wygnaniu. – Matka Szarej walnęła pięścią w stół.

– Wygnanie jest wtedy, gdy ktoś ci każe odejść. A ona sama chciała. Miała dosyć ludzi, miała dość... osądzania.

Milczały przez chwilę, rozmyślając. Twarz Szarej rozjaśniła się od tych wspomnień:

– Pamiętam, wiesz, mamó... Jak ona wtedy wróciła do domu... Wiesz, niczego jeszcze nie było niby widać, a ja wszystko dostrzegłam... W jej oczach. Nagle zobaczyłam ten błysk, który się ma, gdy się przestaje być dzieckiem. Jedni go tracą ze smutku – gdy życie nie pozwala im na prawdziwe dzieciństwo. Inni go tracą z radości – gdy zasmakują czegoś, co jest dzieciom niedostępne.

– Oj tam, niedostępne – mruknęła staruszka.

– Najlepiej pamiętam to uczucie... gdy z nią wtedy rozmawiałam. Że już nie jest dla mnie jak córka. W jej oczach pojawiło się nagle to coś, ta dojrzałość. I stała się dla mnie jak siostra.

Wiedziała, że już nie będę mogła jej pouczać, że już na nic nie zdadzą się moje rady...

W tym momencie do kuchni powróciła Laura, która także wzięła się do sprzątanania po wizycie Ali.

Szara spłoszyła się nieco i zamilkła. Miałam ochotę ją zachęcić, chciałam wiedzieć, co było dalej, jak później potoczyły się losy Mileny, która tak zahipnotyzowała mnie swoją historią, swoją postacią i tym wzgórzem górującym nad wsią.

Oczywiście domyślałam się już na początku opowieści Szarej – co się wydarzyło jakieś szesnaście lat temu, ale chciałam wiedzieć więcej. Dlaczego Milena mieszka na wzgórzu, a Laura z Szarą –

tutaj... Tak bardzo chciałam zapytać Szarą o to teraz, gdy tak chętnie mówiła i powróciły wspomnienia... Ale czułam, że pojawienie się Laury zamknęło jej usta. Tylko dlaczego? Czy to możliwe, żeby dziewczyna nie wiedziała...? Wydawało mi się to nieprawdopodobne. Przecież sama opowiadała mi o tym, że Szara nie ma własnych dzieci – że jest siostrą babci Laury. Że babka Laury –

ta prawdziwa matka jej matki – umarła przy porodzie. Wiedziała to wszystko, znała te szczegóły, a zatem musiała wiedzieć i to...

– Babciu, zaraz trzeba wydać śniadanie – zauważyła Laura. Wydawało się, że przez ostatni kwadrans wydorosła.

Szara klepnęła się w czoło i się uspokoiła. Dopiero teraz, oderwawszy się od wspomnień, dostrzegła mnie. Oczywiście przedtem bardzo starałam się, aby mnie nie widziała – próbowałam być całkiem przezroczysta, by Szara mogła swobodnie mówić o zdarzeniach, które tak bardzo mnie teraz interesowały.

Moja gospodyni poderwała się z miejsca, wytarła ręce w fartuch i razem z Laurą zabrały się do szykowania śniadania.

– Profesory zaraz tu będą – powiedziała, zerkając teraz na mnie wymownie. – Nie powinni się domyślać, co tu się wydarzyło. Wszystko musi iść swoim porządkiem.

Ocknęłam się.

– Nie martwcie się. Ja im nic nie powiem. Nikomu nic nie powiem – zapewniłam.

– Ale napisze pani w książce – rozweseliła się Laura.

– Jak chcecie, to nie napiszę.

– Niech pani pisze, niech pisze – może następne pokolenia coś z tego wyniosą. – Szara machnęła ręką, odzyskując dobry humor. – Kto wie, może tu zaczną zjeżdżać na wycieczki i o autografy prosić.

– Na pewno. – Zaśmiałam się. – A w wejściu do waszego domu postawią bramkę i będą sprzedawać bilety – jak przed ulicą, na której mieszkał Kafka.

– Co? Kto mieszkał? Jaka kawka? – Szara się zaśmiała.

– W Pradze cała ulica, na której mieszkał kiedyś Franz Kafka – ten pisarz, jest zamknięta i sprzedają bilety.

– Sprzedają bilety na ulicę?! – zawołała Szara. – O mój Boże, to nie może być!

Ona i matka śmiały się teraz do rozpuku.

– Mamo, stawiamy widły w poprzek ulicy i sprzedajemy bilety! Ha, ha! O mój Boże, czego to ludzie

nie wymyślą.

– Poważnie pani mówi? – zainteresowała się Laura.

– Tak.

– Żenujące – skwitowała.

– Zgadzam się. I smutne. Cicha i klimatyczna niegdyś uliczka, na której mieszkał, jest teraz tak zatłoczona turystami z aparatami, z telefonami na kijkach do robienia sobie zdjęć, że...

– Kijki do robienia zdjęć! – zawołała ubawiona po pachy Szara. Wycierała już łzy śmiechu w fartuch. – Najpierw robili zdjęcia aparatem, potem telefonem, a teraz kijkiem? O Chryste, bo padnę!

– To nie jest kijek do robienia zdjęć. – Zaśmiałam się. – Tylko do trzymania tego, czym się to zdjęcie robi.

– A po co na kijku to trzymać? Ugryzie? – Szara wpadła już w głupkowaty nastrój i chichrała się razem ze swoją matką jak małe dziecko.

– Trzymają na kijku, bo chcą sfotografować siebie z pewnej odległości – o tak. – Pokazałam.

– A to nie można kogoś poprosić, żeby zrobił zdjęcie? – parsknęła Szara. – Trzeba do kija się przywiązywać? O, nie wytrzymam, brzuch mi ze śmiechu zaraz pęknie.

– Nie chcą nikogo prosić – odparłam.

– Dzieńdoberek, a co tu panie mają takie dobre humorki? – zapytał Znacwa, zaglądając do nas przez otwarte drzwi. – Kto nie chce kogo prosić? I o co? Jak mnie któraś z pań o coś poprosi, to gwarantuję, że się zgodzę – dodał tonem, który prawdopodobnie miał być zalotny.

– Ta, zwłaszcza jak ja poproszę – zaskrzeczała matka Szarej z kąta.

Szara powachlowała się fartuchem po dekolcie.

– Dobry, dobry panu. A widzi pan – pani pisarka nas zabawia historiami o ulicach na bilety i kijach do robienia zdjęć.

– Kijach... a tak. A ja uważam, że takie teleskopowe ramię może być bardzo przydatne.

Kobiety parsknęły śmiechem – trudno powiedzieć, czy bardziej rozbawiły je same słowa Znacwy, czy też fakt, że poniekąd przyznał się do posiadania „teleskopowego ramienia”.

Jeszcze nie widziałam Szarej w tak wesołym nastroju. Po raz pierwszy obserwowałam też, jak wszystkie trzy kobiety – w tym Laura – żartują i przestają choć na chwilę sprzeczać się ze sobą.

Trajkotały jak trzy przekupki i wyglądały teraz na bardzo szczęśliwe.

Zjadłam szybkie śniadanie w kuchni i postanowiłam wybrać się nad jezioro. Po pobudce, którą przecież zaliczyłam jeszcze przed świtem, czułam się niewyspana, jakby spowolniona. Wiedziałam, że przez parę godzin będę jeszcze na chodzie, ale potem dopadnie mnie zmęczenie i odbierze jasność umysłu. Pomyślałam więc, że zabiorę pracę ze sobą i będę pisać, dopóki mój umysł da radę budować spójne zdania. Potem po prostu rozciągnę się na brzegu jeziora i zdrzemnę na kocu.

Plan wydawał się idealny, zwłaszcza że zapowiadał się upalny dzień. Słońce ogrzewało twarze tak, że momentalnie się rumieniły, wysuszało w okamgnieniu trawę z porannej rosy i zapowiadało senny i leniwy dzień. Mój pokój mieścił się na piętrze; zdążyłam się już przekonać, że po południu słońce intensywnie ogrzewało dach do niewyobrażalnych temperatur. W pokoju robi się duszno, a myśli kleją się do siebie zamiast do kartki papieru.

Zebrałam się dość szybko, wrzuciłam do plecaka notatniki, pióro, książki. I wyruszyłam nad jezioro drogą wskazaną mi przez Laurę.

Rozmyślałam o wydarzeniach sprzed kilkunastu lat, a także jak mogłabym to opisać. Nie zależało mi na tym, żeby za wszelką cenę utrzymać napięcie – wolałam raczej dobrze odzwierciedlić proces.

Pewna doza tajemnicy dobrze robi powieści, ale ja lubię ujawniać ją stopniowo i zaczynam zwykle dość wcześnie. Nie piszę kryminału, więc nie chodzi mi wcale o to, żeby wszystko wyjaśniło się dopiero na ostatniej stronie. Gdyby moja książka miała stać się kryminałem, to prawdopodobnie już na pierwszych stronach czytelnik dowiedziałby się, kto zabił, ale przez resztę książki próbowalibyśmy dociec, dlaczego tak się stało. Wydaje mi się, że same czyny rzadko mówią o nas na tyle dużo, by tylko na ich podstawie można było zrozumieć człowieka. Ja potrzebuję poznać motywy – nie tylko zdarzenia. Fabułę można by przyrównać do nici Ariadny, która ma prowadzić czytelnika. W tym labiryncie, w którym chcę umieścić akcję, powinno pojawić się jakieś napięcie – jakiś Minotaur powinien czaić się za rogiem. Ale to nie musi być bestia budząca strach. Napięcie bierze się również z ciekawości, z oczekiwania, z chęci poznania zagadki, a przede wszystkim – z chęci zrozumienia.

Można by przez całą fabułę prowadzić czytelnika zawiłymi korytarzami i dać mu do zrozumienia, że w tym labiryncie czai się na niego coś niespodziewanego. Napięcie można ciągnąć aż do ostatniej strony, aż do ostatniego akapitu. Kiedy zagubiony w labiryncie już niemal traci zmysły, nagle – bum!

Spotyka Minotaura. I zarazem upewnia się, że on istnieje naprawdę. I wtedy już – w zależności od

wizji autora – może Minotaurowi umknąć (powieść przygodowa), może go pokonać (fantastyka), może zginąć z jego ręki, czy raczej rogów (dramat), albo ujawnić, że łeb Minotaura to tylko maska, pod którą kryje się twarz amanta i oczy pełne pożądania, a następnie się w nim zakochać i żyć długo i szczęśliwie (romans).

Wszystkie te pomysły są dobre.

Ale mój jest inny.

Mojego Minotaura spotykamy dosyć wcześnie. Może nie za pierwszym zakrętem, ale za trzecim, czwartym... Najpierw mignie nam jego cień. Potem usłyszymy jego parskanie. A kiedy już sami nie będziemy pewni, czy Minotaur istnieje naprawdę, czy tylko nam się wydawało, że przypadkowo go dostrzeżliśmy, on wyjdzie nam na spotkanie i przemówi do nas ludzkim głosem.

Okaże się, że nikt nie umieścił go w labiryncie bez jego woli. Labirynt to jego dom. Co więcej – nikt nie stara się go zamknąć w tym domu, ale wręcz przeciwnie – wszyscy próbują go namówić, żeby wyszedł. Lecz on nie chce.

Wędrujemy razem z Minotaurem po jego przytulnym, bezpiecznym labiryncie i powolutku – słuchając tego, co mówi, oglądając jego rodzinne fotografie, zapamiętując jego mimikę i gesty – staramy się dociec, dlaczego nie chce zdjąć tej maski, która przecież jest tylko sfatygowanym trofeum myśliwskim, które wisiało niegdyś nad kominkiem jego ojca...

*

Nad jeziorem pachniało obezwładniającą błogością. Jego powierzchnia parowała i uwalniała ten niepowtarzalny zapach czystej wody. Wiatr niósł ze sobą woń kwiatów i traw. Słońce nagrzewało powierzchnię ziemi.

Ułożyłam się w tym samym miejscu co poprzednio, zastanawiając się jednocześnie, czy i dziś będę świadkiem schadzki dwojga kochanków. Położyłam się na brzuchu i zabrałam się do intensywnej pracy. Zaczęłam od spisywania wszystkiego, co chcę ujawnić niemal na samym początku. Potem stopniowo zaczęłam rozwijać nić Ariadny.

Pracowałam zawzięcie przez ładnych kilka godzin, aż poczułam znajomą ciężkość. Sen przyszedł do mnie szybciej, niż mogłam przypuszczać. Ułożył mój policzek na zapisanej stronie notatnika i pozwolił atramentowym literom przenikać przez kartki. Najpierw odcisnęły się na mojej skórze, potem przesiąkły do jej wnętrza, wchłonęły się w moje gąbczaste myśli i wypełniły umysł.

Sen 4

Pamiętaj o tym

Mi powróciła tam, skąd przyszła.

– Gdzie byłaś? – spytała ciotka Sza znad chorego brzucha młodej ciężarnej. Wypływało z niego zielone i śliskie. Sza już wiedziała, że to dziecko ciężarnej wysłała wiadomość: Żyłom, ale umarłom.

Byłom, ale mnie nie ma.

Sza podniosła wzrok na córkę.

I nie musiała już o nic pytać. W jej oczach zobaczyła błysk drugiej strony życia. Tej, w której nikt już nie powie nam, co robić. Tej, w której już zawsze sami będziemy płacić za to, cośmy zrobili.

Urodzimy, cośmy spłodzili, i wyrzygamy, co wypiliśmy.

Sza uśmiechnęła się z dziwnym smutkiem.

Wyszeptała coś do ciężarnej i zawołała swoją matkę, która dotknęła wielkiego brzucha pełnego śmierci.

– Każdy z nas nosi w sobie życie i śmierć – powiedziała.

Ciężarna zapłakała.

– Im człowiek starszy, tym więcej śmierci w sobie nosi.

Ciężarna wyła.

Ono nosiło w sobie śmierć od początku. Już go nie ma. Teraz i ty musisz wypluć śmierć z siebie.

Ciężarna szalała i wrywała się, ale Mi nie potrafiła odnaleźć dla niej współczucia. Czowała, że jest jej przeciwieństwem. Że kojąc jej ogień, ugasiłaby ją całą. Bo Mi teraz płynie wieczną rzeką życia, która nie zna dna i nie ma brzegów. Mi jest biegiem tej rzeki, jej źródłem i początkiem. A ciężarna z zielonym śliskim wypływającym z brzucha jest tej rzeki końcem.

– Nie skacz, gdy ona tam szaleje – szepnęła ciotka Sza, ale bez nagany.

– Ta w jakieś pokrzywy włożyła dupsko czy co? – spytała stara matka. – Schowaj ją, bo tamta sobie zaraz serce wygryzie.

– Schowaj ją – zaśmiała się Mi. – Schowaj!

Jak można schować taką radość, która wypływa z uszu, tryska z oczu, radość, którą się smarka, sra i poci. Mi była radością i chowanie tu nic nie pomoże.

– Daj pokój – szepnęła ciotka Sza i poszła z Mi do drugiej izby. Przyglądała się córce przez jakiś

czas – z ciekawości tylko; nie z braku zrozumienia. Sza zrozumiała wszystko, gdy tylko na nią zerknęła.

– Mów – odezwała się.

Mi ociągała się, droczyła, podśmiewała głupkowato i radośnie.

– Mów.

– Powtarzali zawsze, że w życiu składa się coraz to nowe części – odezwała się Mi. – Mały człowiek jest tylko jednym elementem.

– Mów dalej.

– Starszy człowiek poskładał sobie tych elementów więcej. Jeden to praca. Drugi to ludzie. Trzeci to wiara. A potem się czeka na ostatni element.

– Mów.

– Na drugiego człowieka – przypomniała Mi.

– Ale? – spytała Sza, wiedząc, że jakieś ale musi być.

– Ale to tak nie jest.

Mi padła na ziemię. Kochała tę podłogę i te miejsca do spania, które dzieliły z ciotką i jej matką.

Kochała tę chatę – kiedyś tak wielką i tak pustą. Teraz sama Mi wystarczyłaby do wypełnienia wszystkich chat, na które spogląda słońce.

– A więc jak jest? – spytała Sza, uśmiechając się do siebie.

Mi zamyśliła się.

– Jak się człowiek rodzi – powiedziała – to jest kompletny. Ma wszystkie kawałki. A potem powoli się rozpada. I te kawałki go gniotą, kłują, gryzą. Jak jest starszy, to już od tych kawałków wytrzymać nie może i chce ich zrzucić jak najwięcej. Ale dopiero...

– Dopiero co? – zainteresowała się Sza, choć nie musiała pytać.

– Dopiero drugi człowiek... Te wszystkie cząstki rozrzuca po całym świecie. I już się nie jest w jednym kawałku nawet. Leży się na wszystkich krańcach świata i wszystko się wie bez wiedzenia i wszystko się widzi bez patrzenia.

Sza zamyśliła się. Nie miała już córki. Miała siostrę, z którą będzie mieszkać jeszcze jakiś czas.

A potem ją ta siostra opuści i przewyższy w mądrości.

- Opowiem ci historię – szepnęła Sza. – O zarazie, pamiętasz?
- Och, ciotko! – zaśmiała się Mi. – Ja już nie myślę o tamtej zarazie. Nie tak jak kiedyś.
- Bo już sama jesteś chora. – Sza uśmiechnęła się.
- Ha, ha, ha – śmiał się brzuch Mi. Śmiały się jej łądzwie – tak pełne, wypełnione wspomnieniami i radosne.
- Opowiedz mi, ciotko, opowiedz mimo to.
- Była kiedyś osada – szepnęła – otoczona wysokim ogrodzeniem. Wszyscy tam byli zdrowi, piękni i niczego nie pragnęli.
- A teraz powiedz, ciotko, co było na zewnątrz – zaproponowała Mi-wszechwiedząca, Mi-doświadczona, Mi-pewna swego.
- Na zewnątrz był jeden tylko człowiek.
- Który chorował – dopowiedziała Mi.
- I jeden tylko trup.
- Który zmarł na tę samą chorobę.
- Zgadza się. Człowiek chciał dostać się do wnętrza osady.
- Ale zdrowi ludzie nie chcieli go wpuścić.
- Nie chcieli. Zagrodzili wrota, podwyższyli ogrodzenie. Sam jeden chory człowiek nie mógł pokonać tych murów.
- I co zrobił, ciotko? Bo nie mam pomysłu.
- Uwiązał do pasa swego gruby sznur. Na drugim końcu przywiązał trupa. Z trupem na sznurze wspiął się na najwyższe i zarazem najbliższe ogrodzenia drzewo, które znalazł. Dzień cały spędził na tym. Pot cały wylał przy tym. Ale wciągał trupa ku górze.
- A kiedy już wspiął się na szczyt drzewa?
- Odwiązał się od trupa. I wrzucił go do osady.
- I co się stało? Cóż ludziom po trupie?
- Zarazili się. Wszyscy zachorowali. A kiedy już zachorowali, otworzyli wrota i wpuścili chorego. Lecz jemu nie wystarczyło, że został wpuszczony.

- Czego jeszcze mógł chcieć?
- Chciał wszystkiego. Białe miało stać się czarne. Wolne kazał zniewolić. Zniewolone wypuścić.
- Co zrobili ludzie z osady?
- Zgodzili się.
- Dlaczego, ciotko? Dlaczego?!
- Bo go wpuścili.
- Nie.

Mi się z tym nie zgadzała. Zaraza nie taką była i nie tak działała.

- Ja niczego nie zmienię – warknęła. – I na nic się nie będę godzić. Rozumiesz?! Będę chorować, na co zechcę, i wpuszczać, kogo zapragnę. Ale niczego nie zmienię i nikt mi niczego nie rozkaże.
- To jest wymiana, córko. Wpuszczasz do środka – godzisz się na to.
- Nie. – Spojrzała na nią wrogo. – Nie ja. Obiecał mi i ja sobie obiecałam. Nie chcę jak oni. Nie będę jak reszta.
- Sza uśmiechnęła się smutno.
- Zrobisz, jak zechcesz, córko. Ale pamiętaj – coś za coś. Wymienisz, nawet nie wiedząc tego.

Wolność za klatkę. Rozkosz za porządek rzeczy. Pamiętaj, to działa od dawna.

- Ja wymyślę Nowe – syknęła Mi.
- To i wymyślisz. Ale coś za coś i tak wymienisz, córko. Pamiętaj o tym.

Rozdział 5

- A co to, w domu takie hałasy, że spać musi nad jeziorem?

Podniosłam głowę. Rozglądałam się przez chwilę zdezorientowana – nie mogłam sobie

przypomnieć, gdzie jestem ani co tu robię. Po głowie obijała mi się historia Mileny i życia, które nosiła w sobie.

Przetarłam oczy: koc, moje notatki, jezioro.

Nogi Szarej.

Zaśmiała się na mój widok.

– Obudziłam? Myślałam, że tak tylko lekko drzemie. Jakbym wiedziała, że odsypia ranne wstawanie, nie budziłabym.

Usiadłam na kocu.

– Pani Szara. To pani w ogóle wychodzi z kuchni? – Zaśmiałam się, mając nadzieję, że zrozumie żart.

Zrozumiała. Zaśmiała się.

– Ze cztery razy do roku, owszem.

Wyglądała jakoś nierzeczywiście. Na nogach miała chodaki – te same, w których chodziła po domu. Nie zdjęła nawet fartucha (który był cały pokryty mąką). Czyżby przeszła całą tę drogę (a był

to całkiem spory kawałek, i to w pagórkowatym i zalesionym terenie, gdzie chodaki średnio dają sobie radę) po to tylko, aby stanąć nad brzegiem jeziora i ze mną pogawędzić...?

W dłoniach ugniatała ciasto. Zobaczywszy, że przyglądam się sporej kuli, którą obraca pomiędzy palcami, wyjaśniła:

– To na kopytka. Na obiad dzisiaj.

– Pani Szara, przyszła tu pani z ciastem na kopytka, w kuchennym fartuchu i chodakach po to, aby mnie odwiedzić?

– Może. – Uśmiechnęła się. – Obiad będzie za dwa kwadransy. Przyjdzie?

– Przyjdę.

Odwróciła się i już chciała zniknąć w lesie.

– Pani Szara?!

Odwróciła się.

– Czy pani jest prawdziwa?

Jej śmiech był teraz czysty i perlisty. Nie przypominał śmiechu starszej kobiety.

– Może tak. Może nie.

– A mogłaby pani usiąść obok mnie na chwilę?

– Jakbym była prawdziwa, tobym nie mogła, bo garnki na ogniu zostawione.

– Ale jednak pani usiądzie?

Uśmiechnęła się.

– Może na chwilę.

Podeszła do mnie, nie przerywając ugniatania ciasta. Wskazałam jej miejsce na kocu, wyciągnęłam rękę, żeby łatwiej jej było się ułożyć. Siadła. Wzięła głęboki wdech, spoglądając na taflę jeziora. Naprawdę było tu przepięknie i ten widok działał na wszystkich. W tym zapachu jeziornym było coś hipnotyzującego, coś, co wywlekało wspomnienia z ich najgłębszych zakamarków.

– Mogę o coś zapytać?

Przytaknęła.

– Jak to było z Mileną? Ona była... to znaczy jest pani siostrzenicą, zgadza się?

– Zgadza.

– Była inna niż jej rówieśniczki. Inna niż wszyscy. Miała swoje zdanie. Była wyzwolona.

Niepokorna. Zgadza się?

– Zgadza.

– I pewnego dnia wyszła z domu. Nie było jej parę dni. I wróciła w ciąży. Zgadza się.

– Zgadza.

– Nie chciała powiedzieć, kto jest ojcem. Nie martwiła się, a wręcz przeciwnie – była szczęśliwa.

Szara przytaknęła.

– To nie tylko tak, że ona nosiła w sobie dziecko. Ona nosiła w sobie życie. Wszystko, co nowe.

Wokół Mileny robiło się aż gęsto – czuć było, że ona niesie za sobą coś, czego tutaj do tej pory nie było – nie było w tych stronach. Ona chciała odmiany. Albo może wiedziała, że nadejdzie, i po prostu była na nią przygotowana.

– Jaka była Milena?

Szara uśmiechnęła się i odpowiedziała jednym słowem:

– Artystka.

Westchnęła do swoich wspomnień i dodała:

– Wszystko, czego dotknęła, było inne. Bałyśmy się tego. Wiedziałyśmy, że ciężko nam będzie ją wychować, że czekają ją kłopoty. Ale ona się ich nie bała. Ona się niczego nie bała. Niczego. Moja siostra umarła przy porodzie – trzymałam ją wtedy za rękę. Obiecowałam jej, że wychowam Milenę na porządną kobietę, że zapewnię jej dobre wychowanie. „Nie da się” – odpowiedziała moja siostra.

Nic więcej. Tylko tyle. Nie da się. i miała rację – nie dało się. A w tej naszej rodzinie coś tam jest pomieszane z tymi sprawami kobiecymi. Jeszcze moja babka mówiła, że mamy klątwę w brzuchach.

Moja matka wydała na świat tylko mnie i moją siostrę. Ale w ciążę zachodziła ze dwanaście razy.

Resztę straciła, poroniła. Nie należało tyle razy być brzemienną, ale cóż było robić – musiała dawać potomków. Ja byłam pierwsza. Potem dziesięć razy zachodziła w ciążę i dziesięć razy poroniła. Na koniec powiedziała – ostatni raz, ostatnia szansa i już nigdy więcej się nie zgodzę. I udało się.

Urodziła moją siostrę. Ta od razu powiedziała, że nie wyjdzie za mąż, bo to nie my przynosimy pecha, ale nasi mężowie. I tak jak Milena wróciła któregoś dnia, mówiąc, że oczekuje nowego życia.

Donosiła do ostatniego dnia, ale ciąża nie przebiegała gładko – Milena rwała się na świat już od siódmego miesiąca i doktor mówił, że moja siostra powinna tylko leżeć, leżeć i się nie ruszać. Cięży pomogło, ale jej samej nie uratowało. Rodząc Milenę, umarła w bólu i cierpieniu. A ze mną jeszcze gorsza historia – ja w ogóle nie mogę mieć dzieci. Po prostu nie mogę. I tak od zawsze mieszkałam z matką i odkąd moja siostra urodziła Milenę – traktowałam ją jak swoją córkę. Ale to była rogata dusza i niełatwo się ją wychowywało...

– Ale Milena nie wydawała się przerażona tym, że zaszła w ciążę? Pomimo tej – jak pani mówi – klątwy?

Szara zaśmiała się.

– Klątwa? Milena tyle robiła sobie z klątwy! Figa! Już mówiłam, że Milena niczego się nie bała, za nic miała diabła i całą jego świtę. Niczego się nie bała – powtórzyła dobitnie Szara.

Spojrzałam na jej ręce – całe w cieście. Zamiast kulistej masy trzymała teraz w dłoniach ulepione z ciasta dziecko – było tak zwinięte, jakby wciąż jeszcze przebywało w łonie matki.

– Tworzenie czegoś z niczego to największa tajemnica świata – szepnęła Szara.

Sen 5

Jedyny

Mi teraz śpiewała. Lepiła. Wymyślała. Stwarzała Nowe i Nowego pragnęła. Pomalowała wszystko, co miała. Nazwała wszystko, co знаła, i poznała to, czego wcześniej znać nie pragnęła.

– No i najgorsze się stało – rzekła pewnego dnia stara matka.

– I co tam jęczysz, starucho? – zaśmiała się wesoło Mi, widząc skwaszoną minę kobiety.

– Nie wiedziałaś, co z niej będzie – gderwała staruszka do Sza. – No to już wiemy. Na nic się nie zda gadka. Zobacz.

Malowane figurki. Garnki z nacięciami, ornamenty na ścianach, warkocze z ziół, rzeźby z konara.

– I cóż, matko? – spytała Sza, patrząc na te przedmioty.

– I to – dodała starszka, wskazując palcem powietrze, w które ulatywały słowa urodzone i wyśpiewane przez Mi.

– Mi-artystka. Mi-samotniczka. Mi-myślicielka. Oto co z niej będzie.

– Tak, wiem – odparła Sza.

– Mi-rozpustna – dodała matka.

– Bo co? – zbuntowała się Sza. – Bo nieobiecana? Bo nienależąca, bo nieofiarowana jednemu?!

– Tak – odparła gderliwie matka. – Bo to właśnie.

A Mi tylko tworzyła Nowe i kpiła ze słów starej matki. Na wszystko nagle miała ochotę, na wszystko miała czas. Rozdzielona na dwie części – jedna pomagała ciotce w domowych obowiązkach, druga szukała, wciąż czegoś szukała. A to koloru, a to słowa, a to uczucia.

Popołudniami Mi wychodziła przed dom i kładła się w słońcu. Śniła wtedy taki sen: Mi siedzi pośrodku polany, a w rękach ma glinę, którą dali jej bogowie. Ulep człowieka – mówią. Lecz Mi nie pamięta, jak wyglądają głowa, nogi czy ramiona. Lepi najpierw kuleczkę. A dla kuleczki małe mięsko do spania – w tym mięsku będzie mu i ciepło, i miło. Potem Mi lepi długą rękę, która podaje pomysły, a kuleczkę otacza wciąż nową gliną. Dłuuuga, chuda ręka sięga od mięska do środka kuleczki i wtedy Mi przypomina sobie, jak wygląda człowiek. Z głowy lepi głowę. Z nóg daje nogi, z rąk wkłada ręce.

Z jego brzucha wciąż wychodzi trzecia – długa i chuda ręka, która łączy się z mięskiem. Mi wybucha śmiechem. Skąd jej się to mięsko wzięło? I ta długa, śmieszna ręka. Przecież ludzie nie mają trzeciej ręki ani mięska przyczepionego do brzucha.

Mi zabiera mięsko i rękę. Zostaje mały ktoś.

– Dobrze – mówią bogowie, widząc, że Mi przypomniła sobie, jak stworzyć człowieka.

– Ale wciąż zostało mi trochę gliny po tamtych niepotrzebnych. – Pokazuje Mi, otwierając dłoń z gliną.

Bogowie patrzą na Mi przez czas jakiś.

– To zostanie dla ciebie – mówią w końcu. – Z tego małego kawałka stworzysz, co tylko będziesz chciała. Ale na drugiego człowieka już ci nie starczy, Mi. – Patrzą na człowieczka ulepionego przez Mi. – To jedyny człowiek, jakiego ulepisz – mówią. – Pamiętaj, Mi. Jedyny.

Ocknęłam się.

Nadal leżałam nad jeziorem. Na moim policzku odcisnęły się słowa zapisane wcześniej w notatniku. Musiałam spędzić w jednej pozycji sporo czasu, bo faktura koca odgniotła się boleśnie na mojej skórze.

Tafla jeziora była jak zwykle nierzeczywiście spokojna. Jej gładką powierzchnię przecinała teraz tylko mama kaczka z sześcioma kaczkami. Płynęły wytrwale na drugi brzeg, jakby tam czekało na nie coś ważnego.

Poczułam głód. Przypomniałam sobie ciasto na kopytka, chodaki Szarej, jej fartuch ubrudzony mąką. Dziwne rzeczy się dzieją.

Zebrałam notatniki, książki, koc i wróciłam do domu Szarej.

Już od drogi czułam, że przez jej wiecznie otwarte drzwi wydobywa się zapach gotowanych kopytek. Mój brzuch zareagował bardzo żywiołowo na ten bodziec.

Machnęłam na powitanie Znacwy, Specjaliście i Ekspertowi i weszłam do domu, żeby umyć ręce przed posiłkiem. Zerknęłam na Szarą krzątającą się wśród pary wydobywającej się z garnków.

– Pani Szara – zagaiłam.

Odwróciła się z uśmiechem.

– O, dobrze, że przyszła. Nakładam.

Nie miałam pomysłu, jak podpytać ją o...

– Pani Szara... czy pani czasem wychodzi z tej kuchni? – zapytałam z uśmiechem.

– Ja? – Zaśmiała się. – No, jakieś cztery razy do roku, owszem.

Spojrzałam na nią uważnie, chcąc upewnić się, czy daje mi jakieś znaki, czy uśmiecha się porozumiewawczo: czy robi cokolwiek, co świadczyłoby o tym, że jej odwiedziny nad jeziorem (z kulą ciasta na kopytka w dłoniach) nie były tylko strzępkiem mojego snu...

Ale pewności nie miałam. Szara tylko uśmiechała się, nuciła pod nosem i nakładała porcje.

Zjadłam obiad w milczeniu – zabawiana przez Znacwę, Eksperta i Specjalistę opowieściami na temat lokalnej flory i fauny. Miały one ogromny potencjał i mogły być niezwykle porywające, gdyby nie to, że każdy z moich rozmówców miał tendencję do rozwlekania najdrobniejszego szczegółu w nieskończoność. Co więcej, mieli w zwyczaju powtarzać po sobie te same szczegóły historii.

Słuchając opowieści o stadzie saren, które wybiegło im na drogę, gdy jechali swoim jeepem, dowiedziałam się najpierw, jakie umaszczenie miały te zwierzęta, jak wyglądały ich racice, czy

strzygły uszami, czy też nie, czy któraś z nich wysuwała się na prowadzenie, czy rozglądały się na boki. Dopiero kiedy już wszyscy trzej zmęczeni się trzykrotnym powtarzaniem tych samych szczegółów, udało mi się uzyskać informację – czy sarny w końcu wybiegły im przed maskę, czy się cofnęły, a także – czy któraś z nich potraçałi.

Nie, nie wybiegły. Nie, nie potraçałi.

Nad nami musiały tańczyć jakieś dwa odmienne fronty, bo dotychczas wszystkie dni były słoneczne i upalne, a teraz – gdy trzej panowie kończyli już swoją opowieść, a ja zbierałam talerze i sztuce, poczułiśmy na twarzach nagły powiew. Przyniósł ze sobą zapach innej pogody. Zawiało trzy razy i obraz nieba całkowicie się zmienił. Błękit zaszedł niskimi chmurami, w powietrzu dało się wyczuć wilgoć ciepłej, letniej burzy.

– Będzie padać – ocenił Specjalista. – Niż się ściiera z wyżem.

– Będzie ulewa – uściślił Znacwa. – Tak, tak. Będzie lało jak z cebra.

– Tak. – Spojrzał w niebo Ekspert. – Tak, tak.

Pogadali jeszcze chwilę o frontach, ale niebo wydało pomruk nadchodzącej burzy – niezbyt jeszcze głośny, ale głęboki. Moi trzej rozmówcy zabrali się więc szybko i popędzili truchcikiem do swoich kwater.

Podziękowałam Szarej za posiłek i postanowiłam wrócić do pracy. Mimo że bez wątpienia zapowiadało się na deszcz, jakoś nie miałam ochoty pisać w pokoju. Przypomniało mi się, że kilka kroków od domu Szarej jest niewielki teren, który Szara zagospodarowała na potrzeby ewentualnych gości z namiotami. Nie widziałam jeszcze, jak to wygląda, ale gospodyni kilka razy powtarzała mi, że mogę sobie korzystać do woli z tego miejsca, więc postanowiłam przenieść się tam ze swoją pracą.

Podwórko okazało się dość spore – pomieściłoby spokojnie namioty całego spływu kajakowego albo niewielkiego obozu. Pośrodku pola postawiono dość dużą, zadaszoną wiatę z drewna. Było też palenisko z siedziskami, a nawet ruszt.

Pole z całą pewnością nie gościło nikogo tego lata – wysokie trawy wzięły w absolutne władanie ten kawałek ziemi. Porastały go teraz, sięgając mi niemal do pasa i tym samym – przywodząc na myśl sawannę z zaroślami, z których w każdej chwili może wyskoczyć jakieś zwierzę.

Wszystkie zielenie, żółcie, brązy uspokoiły się; nabrały szarości, odkąd gęste chmury zawisły nad naszymi głowami. Przez chwilę wydawało się, że świat trwa w niepewności, co się wydarzy.

Rozłożyłam się ze swoimi rzeczami pod drewnianą wiatą. Nie minęły dwie minuty, jak zaczął

padać pełen aromatu, letni deszcz, którego zapach budził zmysły i wprawiał w senny, eteryczny nastrój.

Zaczęłam porządkować wydarzenia oraz planować kolejność ich przedstawienia w książce.

– Ja bym się bała – usłyszałam zza pleców.

Głos Laury.

Odwróciłam się – stała oparta o wiatę. Miała wilgotne włosy. Zamyślona, wyglądała trochę jak muza jakiegoś artysty, a trochę jak dziecko, które nudzi się w czasie deszczu. Jak zwykle: Laura-kobieta i Laura-dziecko.

– Czego byś się bała? – spytałam.

– Pisać.

– Dlaczego? – zdziwiłam się. – Wierzysz, że spotkasz wszystkie swoje postaci w zaświatach i one będą się na tobie mścić za problemy, jakie im stwarzasz? – Uśmiechnęłam się zachęcająco.

– Nie. Bałabym się krytyki. Że komuś się nie spodoba to, co napisałam, i będzie po mnie jeździł.

Jak pani to robi, że się tego nie boi?

Parsknęłam.

– Żartujesz? Spójrz na mnie – czy ja wyglądam jak cyborg?

– Noo... chyba nie. – Uśmiechnęła się słodko.

– No właśnie. No jasne, że się boję.

– Ale kiedy już skrytykują – po prostu się pani nie przejmuje?

– Przejmuję. I cierpię.

Zaśmiałyśmy się, choć to nie było śmieszne. Ale i nasz śmiech nie wynikał z rozbawienia – raczej ze sprzeczności w tym, co powiedziałam.

Laura patrzyła na mnie z wyczekiwaniem, więc westchnęłam i usiadłam wygodniej. Chciałam jej powiedzieć coś prawdziwego, coś, co będzie sobie mogła przypomnieć, kiedy to ją samą ktoś zrani.

– To jest tak. Najbardziej wszystko przeżywasz, gdy jesteś bardzo młoda. Bo i ty sama masz jeszcze nieutwardzoną skorupkę, i twoja sztuka. Twoje dzieło – bo tak chcesz o tym myśleć – jest jeszcze całkowicie nienasiąknięte cudzymi opiniami, jest też bardziej kruche od wszystkiego, co stworzysz później. I ty, i twoja sztuka jesteście jak dwie gąbki w świecie pełnym kałuż, jeśli mogę sobie pozwolić na takie banalne porównanie. Czasami zdarza się wpaść do kałuży z błotem. Innym razem do kałuży z mlekiem i miodem. Ale najczęściej wpadasz po prostu do tego, co znamy z prawdziwego świata – do zwykłej wody, która zawsze jest krystaliczna, ale jest w niej też trochę mułu i pachnie stęchlizną.

– Czyli co – po prostu się człowiek przyzwyczaja?

– Trochę tak. A trochę może uczy się reagować. Posłuchaj, Laura, ja tego naprawdę nie mówię z pozycji eksperta – spójrz na mnie. Nie jestem stuletnim starcem, który zna odpowiedzi na wszystkie pytania. Co więcej, tak jak ci powiedziałam na początku – nadal się przejmuję cudzymi opiniami...

ale w inny sposób niż kiedyś.

– To znaczy?

– Kiedyś bolało mnie, jeżeli komuś po prostu nie podobała się moja książka. Ból okrutny. Bo nie wiesz, jak piszesz, nie wiesz, czego tak naprawdę chcesz, nie wiesz, kim są twoi bohaterowie i czym są twoje książki. Dlatego na początku szukasz tych odpowiedzi u innych. Ale potem znajdujesz swoją drogę. Zaczynasz rozumieć, co odróżnia cię od innych, i wiesz, że to właśnie powinnaś robić. To, co cię wyróżnia, a nie to, co cię upodabnia. Nawet jeżeli nie wszystkim się to spodoba. Najbardziej lubię w literaturze to, że może lawirować pomiędzy fantazją a rzeczywistością. Jest jak potrawa, w której wyczuwasz pewne składniki, ale część z nich na zawsze powinna pozostać tajemnicą. Opowieści, które snuję, są niejednoznaczne. Wilk zamienia się z Czerwonym Kapturkiem miejscami i razem szukają odpowiedzi na ważne pytania. Czasami wilk nosi czerwoną czapeczkę, czasami Kapturek ma na sobie wilczą skórę. Tylko że pod koniec wiele osób oczekuje, że klaśniesz w dłonie i powiesz: dobra, PRAWDA była taka a taka. Ale ja wolę zadawać pytania niż na nie odpowiadać. Tak jak iluzjonista, który nigdy nie zdradza swoich sekretów. Oglądając jego pokaz, wiesz, że to złudzenie, i zostajesz pod jego urokiem, a podczas innego domyślasz się, na czym polega trik. Ale cóż to byłoby za sztuka, gdyby pod koniec iluzjonista wyjawiał, co się stało z królikiem...? – Uśmiechnęłam się.

– I to się niektórym nie podoba?

– Zgadza się.

– I tym się pani przejmuje?

– Nie. Tym nauczyłam się nie przejmować. Może nawet cieszę się, gdy ktoś krytykuje książkę, pisząc, że nie wie do końca, o co w niej chodziło, bo autorka zamiast wyłożyć kawę na ławę, bredziła jak poparzona, snując wątki fantastyczne zmieszane z realistycznymi.

– A więc czym się pani przejmuje? – drażyla Laura.

– Przejmuję się, gdy ktoś nie doceni mojej pracy. Gdy ktoś uzna, że jakiś zabieg jest przypadkowy, podczas gdy taki nie był. Dopracowuję swoje książki z najdrobniejszymi szczegółami. Nawet ich niepewna geografia jest przeze mnie dopieszczona. I tak samo jest z wątkiem fabularnym. Nie lubię dawać oczywistych odpowiedzi, ale zawsze zakładam, że scenariusz oparty na prawdziwych zdarzeniach jest bardziej prawdziwy niż inne. Tyle tylko, że nie chcę czytelnika traktować jak idioty.

Nie chcę na niego patrzeć z góry. Jest moim partnerem – idziemy razem, a więc chcę, by to on zdecydował, jak jego zdaniem należy interpretować daną historię. I teraz, jeżeli w takiej sytuacji

ktoś skomentuje, że powieść jest niedopracowana, bo ma luki albo jest urwana w połowie zdania, bo autorce nie chciało się chyba go dokończyć lub zasnęła nad kielichem... wtedy czuję się rozżalona. To trochę przypomina bieg na orientację. Przygotowujesz dla czytelnika różne wskazówki i symbole, żeby potrafił się zorientować w terenie. Nie chcesz jednak pozostawiać za sobą oczywistych śladów, bo pragniesz, aby ten, kto podąża ich tropem, miał przyjemność z rozszyfrowywania, z szukania.

Jedna osoba cię za to doceni. A inna powie: no fajny byłby ten bieg po lesie, tylko po co pozawieszałaś tyle szmat i plastikowej folii na gałęziach? To mi psuło cały efekt.

– No właśnie czegoś takiego się boję. Albo tego, że ktoś mnie zjedzie od góry do dołu nie za to, co stworzyłam, tylko dlatego, że mi zazdrości albo że z jakiegoś powodu mnie po prostu nienawidzi.

Westchnęłam. Nie będę okłamywać szesnastoletniej dziewczyny, mówiąc, że to się nie zdarza.

Albo że to nie boli.

– Wiesz co? Powiem ci coś, ale chcę, żebyś wiedziała, że ja również się tego dopiero uczę. To jest naprawdę, naprawdę trudne. Ale cóż, trzeba trenować... Pamiętaj, że ludzie są zawistni głównie wtedy, gdy czują, że mogliby spokojnie znajdować się na twoim miejscu, tyle tylko, że zaprzepaścili swoją szansę. A przynajmniej wydaje im się, że zaprzepaścili.

– Myśli pani, że to prawda – że to jest kraj zawiści, nienawiści i zazdrości?

Zamyśliłam się przez chwilę.

– Musiałabym przeżyć drugie, pełne życie w innym kraju, żeby to wiedzieć, żeby mieć porównanie. Ale powiem ci jedno. Tam, gdzie nie ma potencjału, nie ma prawdziwej zawiści.

Lekkoatleta nie darzy zawiścią rzeźbiarza, a malarz nie zazdrości konstruktorowi mostów. Dlatego, że to nie jest ich bajka. W naszym kraju jest pełno zdolnych ludzi, którzy mają wiele talentów. Ale wciąż jeszcze dość rzadko je wykorzystują, wciąż jeszcze dość rzadko stawiają wszystko na jedną kartę i chcą się temu talentowi poświęcić. Tak mi się wydaje. Dlatego tak to u nas wygląda. Jeżeli ktoś czuje, że być może zmarnował swoją szansę, rośnie w nim gorycz. A goryczy trudno się pozbyć.

Wystarczy jedna kropelka, by wypełnić tym smakiem usta, żołądek i całe trzewia. Czasem szklanka słodczy nie jest w stanie przebić smaku jednej gorzkiej kropli. Myślę, że właśnie dlatego tak to wygląda.

Laura przytaknęła, zamilkła na moment. Widać było, że się waha, że chce coś powiedzieć.

Otworzyła usta, wzięła głęboki wdech i w końcu się zdecydowała:

– Będzie pani pisać o nas?

– A nie chciałabyś?

Chwila milczenia. Dziecko-Laura.

– No właśnie chciałabym.

Zdziwiła mnie ta odpowiedź. Spodziewałam się, że powie coś wymijającego albo że jej obojętnie.

– Chciałabyś, żebym o was napisała? – upewniłam się.

Spojrzała mi w oczy.

– Tak.

Pomyślałam, że jestem jej winna pewne wyjaśnienie.

– Wiesz, Lauro... Nie jestem reporterką. Bardzo chętnie inspiruję się tym, co ludzie mówią, czym się martwią lub cieszą, czego się boją, ale zdajesz sobie sprawę, że to nie byłoby tak...

– Tak, wiem. Nie chodzi mi o to, żeby opisała pani naszą historię jak w gazecie. Chodzi mi o to, że... pani czuje i rozumie pewne sprawy. I mogłaby... wyjaśnić. Bo ludzie zazwyczaj nie rozumieją

i przez to wyciągają... złe wnioski.

Zawahałam się. Czy to jest już odpowiedni moment, żeby zapytać Laurę...?

– Chodzi ci o Milenę?

Spojrzała na mnie bystrymi, czarnymi jak piekło oczyma.

– Być może – odparła. – Ludzie tego nie rozumieją. I ja zresztą też kiedyś tego nie rozumiałam, ale już rozumiem i chciałabym, żeby pani po prostu dobrze to opisała.

– Ludzie nie rozumieją tego, co jest inne. Zawsze tak było. I zawsze będzie.

– Tak, ale pewne rzeczy można im pokazać, prawda?

– Prawda. – Uśmiechnęłam się łagodnie.

Westchnęła.

– Wie pani, że Milena kiedyś mieszkała tutaj – w tym domu, prawda?

– Domyśliłam się. Bo Milena to twoja mama, prawda? Tylko mało kto o tym wie.

Laura przytaknęła bez zmieszania.

– To było tak, że ona zawsze odstawała. Zawsze była inna. Babcia niechętnie o tym opowiada, ale z prababki da się czasem sporo wyciągnąć. Tyle że ona zapamiętała to wszystko inaczej; ona w ogóle widzi wszystko inaczej. Prababcia twierdzi, że Milena zawsze była trochę inna, ale dopiero pewnego dnia „wstąpił w nią diabeł”. Prababcia ma swój punkt widzenia i uważa, że po świecie chodzą normalni ludzie, ale chodzą też zjawy, duchy, diabły, rusałki. Ona ich wszystkich rozpoznaje – tak

twierdzi. I mówi, że pewnego dnia – tutaj, do tego domu zapukał prawdziwy wysłannik diabła.

Laura westchnęła.

– To jest wszystko długa historia... Nie chcę pani zawracać głowy. – Spojrzała na mnie z wyczekiwaniem.

– Uwielbiam długie historie. – Uśmiechnęłam się zachęcająco. – Mów, mów wszystko i nie pomijaj żadnego szczegółu.

Dziecięca buzia Laury rozświetliła się.

– No więc... Znam pewną legendę związaną z tą wsią, z tymi okolicami, ale przede wszystkim z moją rodziną. A dokładniej – z kobietami tej rodziny. Rzecz w tym, że według prababci cała ta historia jest prawdziwa. A mówi ona, że dawno, dawno temu (niedługo po tym, jak w tych okolicach zaczął w ogóle mieszkać człowiek) w osadzie pojawił się diabeł.

Diabeł słyszał, że ludzie są naiwni, łatwowierni i łatwo jest ich sobie podporządkować. Kierują się strachem, dlatego też bez trudu można mieć nad nimi kontrolę, grożąc, że utracą coś, co jest dla nich cenne, lub spotka ich cierpienie. Słyszał też, że w osadzie mieszkają przepiękne kobiety, które w przeciwieństwie do diabolic – nie chcą niczego w zamian za swoje wdzięki i z łatwością można je sobie podporządkować, ponieważ są słabe i bardzo boją się wszystkiego, co silniejsze – mężczyzn, diabłów, świata.

Zjawił się więc diabeł w tych stronach i postanowił wprowadzić nowy porządek. A były to czasy, gdy Dobro i Zło dzieliły się terenami i wyznaczały – jak na grządkach w ogródku – gdzie będą rośli ludzie dobrzy, gdzie źli, gdzie bogobojni, a gdzie cynicy. Toteż diabeł ogłosił, że obejmie w panowanie całą tę wieś i ma zamiar zaprowadzić w niej nowy porządek, a wszyscy ludzie będą musieli słuchać jego rozkazów. Aniołowie na to przystali, ale pod jednym, jedynym warunkiem. Że diabłu uda się – czy to metodami pokojowymi, czy siłowymi, czy to przekupstwem, czy zastraszeniem

– przeciągnąć na swoją stronę wszystkich mieszkańców wsi. Wszystkich. Każdy dom w osadzie ma zostać podporządkowany diabłu, bo jeśli nie – wieś nie zostanie mu ofiarowana, a ludzie w niej mieszkający nie staną się jego podwładnymi.

Diabeł zatarł ręce. Wziął ze sobą kilka pomniejszych złych duchów i naprzemiennie: groźbami oraz ładnymi słowami przejmował kolejne domy i rodziny. Mówił, że kto będzie mu przychylny, dostanie wszystko, co najlepsze, i nie zazna biedy, ale kto mu się sprzeciwi – zginie i narazi na śmierć całą swoją rodzinę, wszystkich swoich krewnych. Chodził od domu do domu ze swoimi duchami i sprawdzał, czy ludzie chętnie przyjmują jego warunki. Każdy, kto zgodził się podporządkować diabłu, miał wyrzucić z domu wszystkie znaki dawnej wiary, a zamiast nich wystawić na obejście nowe – ustalone przez diabła. Wszystko szło jak po maśle – przerażeni mieszkańcy wsi spełniali jego żądania, bojąc się o swoje domy, rodziny i o własne życie.

Lecz wtedy diabeł przyszedł do domu, który różnił się od innych. W jego obejściu nie wystawiono nowych znaków i panował w nim stary porządek. Był to dom Szarych. Mieszkała w nim Stara Szara,

Szara i Młoda Szara.

Diabeł zawędrował w ich progi, nie mogąc się nadziwić, jak mógł przeoczyć ten dom. W środku zastał tylko trzy kobiety, był więc pewny swego. Jakże się mylił.

Z początku próbował zachęcić trzy Szare do tego, aby zaakceptowały nowe prawa. Jednak one nie miały zamiaru podporządkować się ani aniołom, ani diabłom. Diabeł spróbował więc siły. Ale przymus, groźby i straszenie klątwami nie zrobiły na kobietach wrażenia.

Diabeł przerzuczał się słowami z Szarą i Starą Szarą, która nie chciała go nawet wpuścić za próg.

Już miał rozkazać swoim duchom, by podpaliły dom i zagrodę, gdy nagle stało się coś dziwnego. Do izby weszła Młoda Szara, a diabeł, który zobaczył ją po raz pierwszy, zakochał się w jej urodzie, w jej zadziorności, w jej ruchach, słowach – we wszystkim, co nosiła w sobie i co roztaczała wokół.

Widząc, że siłą niewiele wskóra w tej rodzinie, diabeł spróbował przekonać je łagodnością. Jednak i to nie działało. Groził więc znowu i prosił ponownie. Bezskutecznie – żadna z Szarych nie chciała się podporządkować – nikomu.

Młoda Szara tak bardzo zauroczyła jednak diabła, że nie mógł przestać o niej myśleć. Popadł

w prawdziwą obsesję i za wszelką cenę chciał ją zdobyć, posiadać na wyłączność i dodać do swojej kolekcji ludzi podporządkowanych.

Młoda Szara ani nie przystawała na jego warunki, ani go jednoznacznie nie odrzucała. Wodziła go za nos i kusiała. Diabeł podobał jej się, tyle że nie chciała być jego, nie chciała, by posiadał ją na wyłączność. Toteż dawała mu trochę siebie, a potem odbierała – tak by nigdy nie zaznał pełnej satysfakcji.

Jednak czas diabła powoli się kończył. Miał podporządkować swojej woli całą wieś, a tymczasem ten jeden dom wciąż pozostawał mu nieprzychylny. Bojąc się, że straci wszystko, co zdobył, postanowił w końcu zastosować u Szarych tę samą metodę co wszędzie. Groźby.

Przyszedł tego dnia inny niż dotychczas. Nie uwodził Młodej Szarej, nie okazywał jej przychylności. Urósł z półtora metra, a skórę miał przydymioną od ognia piekielnego. Czarne jak otchłań ślepiec drażyły tunele w twarzach Szarych, gdy wszedł do ich domu z pochodnią i bronią.

Okazało się, że Stara Szara bardzo osłabła, odkąd diabeł zjawił się w tych stronach, i teraz – kiedy przekroczył próg domu, czuła, że jej czas niebawem się skończy. Mimo to zarzekała się, że nikt nigdy nie będzie jej mówił, co ma robić, co ma mówić, co ma myśleć. Diabeł zamachnął się, chcąc odebrać starej życie, jednak nim to uczynił – odeszła sama. Po swojemu – niepodporządkowana nikomu i niczemu.

Ponieważ to Stara Szara była mu najbardziej nieprzychylna, gdy tylko wyzionęła ducha, diabeł zatarł ręce, sądząc, że dopiął swego. Wtedy jednak w izbie rozległ się przerażający śmiech. To

Młoda Szara śmiała się z diabła i gładziła się po brzuchu.

„Może i zdobyłeś ten dom, diable. Może i posiadasz moje serce. Ale nigdy nie posiadziesz na wyłączność wszystkich z tego rodu”. Mówiąc to, wskazała na swój wydatny brzuch. Dopiero teraz diabeł zrozumiał. Odkąd się poznali, Młoda Szara była w ciąży. Rozkochując go w sobie – była w ciąży. Oddając się mu – była w ciąży. Krzycząc z rozkoszy lub złości – była w ciąży. Przez cały ten czas dawała mu siebie, ale w środku nosiła coś, co do diabła nie należało.

„Nawet jeśli ja przejdę na twoją stronę, diable – krzyczała teraz Młoda Szara – to nowe życie nigdy nie będzie należało do ciebie! Nigdy też nie będzie się ciebie bało. Bo zna cię na wskroś – lepiej niż ty sam”.

Diabeł wpadł w szal. Zamachnął się na Młodą Szarą i uderzył z całej siły. Wstydział się swojej porażki, a jego przydymione policzki palił gniew.

Wywlekl Młodą Szarą z domu i kazał jej opuścić wieś, która miała należeć do niego. Wybudował Młodej Szarej skromną chatę na wzgórzu – z dala od innych ludzi i z dala od osady.

„Żyj sobie tutaj, jak chcesz – powiedział. – Rozkładaj nogi, przed kim pragniesz. Ale to dziecko i tak należy do mnie. Bo tyle razy mi się oddawałaś, nosząc je w sobie, że rozpozna we mnie ojca”.

Dopiero wtedy Młoda Szara przeraziła się. Bała się tylko jednego – że ktoś mógłby odebrać wolność – jej samej lub jej dziecku.

Nie było innego wyjścia – postanowiła urodzić w ciszy i tajemnicy. Myślała, że prędzej uśmierci niemowlę, niż odda je diabłu. Jednak kiedy urodziła, okazało się, że nie potrafi zabić własnego dziecka. Oddała je więc w tajemnicy – wyrzekając się go na zawsze. Nie chcąc znać jego imienia ani płci. Nie chcąc go nigdy zobaczyć. Bała się, że jeżeli choć raz ujrzy swoje dziecko, diabeł odczyta w jej oczach całą prawdę, odnajdzie niemowlę i porwie na zawsze.

Kiedy diabeł odkrył, że los z niego zadrwił i nie dostanie dziecka, bo ono – jak powiedziała mu Młoda Szara – przyszło na świat martwe i zostało pochowane, nim zdołał je odebrać, wpadł w szal.

Postanowił zrównać całą wieś z ziemią i uśmiercić wszystkich jej mieszkańców – przede wszystkim zaś ukarać Młodą Szarą.

Już rozpalał pochodnie, już miał wciągnąć całą osadę do piekieł, gdy nagle na horyzoncie pojawiła się świta anielska.

„Czego chcesz od tych ludzi, zły duchu? – spytał jeden z aniołów. – Nie masz tu żadnych praw.

Twój czas minął, a osada nie należy do ciebie, nie wszyscy jej mieszkańcy przeszli bowiem na twoją stronę. Od wczoraj po świecie chodzi niewinne dziecko, które przyszło na świat tutaj, a nie należy do ciebie”.

Anioł zamachał skrzydłem, by zmieść diabła podmuchem, ale ten uniósł palec i powiedział:

„Dobrze więc. Nie mam prawa do tych ludzi. Ale mam prawo nałożyć klątwę na tę, która mnie kochała, a mimo to oszukała. Na nią oraz na cały jej ród. Klątwa moja spełniać się będzie po wsze czasy – wciąż na nowo i na nowo odradzając swoją moc i objawiając się w każdym pokoleniu. A oto jej brzmienie: Zawsze w tym domu będą żyły trzy kobiety: Młoda Szara, Szara i Stara Szara. Nigdy nie zamieszka z nimi żaden mężczyzna. Żadnego nigdy w pełni nie pokochają. I same też nie zostaną w pełni pokochane. Na świat będą odtąd przynosiły jedno tylko dziecko na całe pokolenie. A dziecko to będzie im nieposłuszne i krnąbrne”.

Anioł przytaknął i znów zamachał skrzydłem, lecz diabeł ponownie uniósł palec.

„To nie koniec mojej klątwy. Kobiety te nie przyjęły nowego porządku, który im przyniosłem, mimo że i gnębiłem, i obiecywałem im dobrobyt. Dlatego w każdym pokoleniu doświadczą będą nowego porządku. Nie chciały ugiąć przede mną karku. Dlatego w każdym pokoleniu będzie u nich zjawiał się ktoś, kto prośbą lub groźbą spróbuje je zmusić do posłuszeństwa. Kobiety te nie przyjęły ani mojego zła, ani mojego dobra. Dlatego w każdym pokoleniu będą doświadczały i dobra, i zła.

A one już nigdy nie będą potrafiły odróżnić, co jest czym”.

*

Laura spojrzała na mnie rozpalonymi oczyma.

– Niesamowita opowieść, niesamowita – powiedziałam z zaangażowaniem. – Czy wiesz, kto ją wymyślił? Od jak dawna jest w rodzinie?

Laura uśmiechnęła się.

– Ona jest znana nie tylko w rodzinie. Cała wieś zna tę legendę. Prababcia twierdzi, że to nie żadna bajka, tylko czysta prawda.

– To naprawdę bardzo interesujące. – Zamyśliłam się.

– Ta klątwa rzeczywiście w jakimś sensie spełnia się u nas w każdym pokoleniu – zauważyła Laura i spojrzała na mnie porozumiewawczo.

– Lauro... – zaczęłam łagodnie. – Czego ode mnie oczekujesz? Chcesz, żebym opisała to, co mi opowiedziałaś?

– Tak – odpowiedziała z błyskiem w oczach. – Ale nie chodzi mi o samą legendę. Chodzi o to, żeby wyjaśnić... jak ona wpłynęła na naszą rodzinę, jak klątwa diabła ziściła się w prawdziwym życiu.

Te wszystkie przekleństwa wracały do nas w kolejnych pokoleniach. Wszystkie Szare spotykały jakiegoś swojego „diabła” i wszystkie – w każdym pokoleniu zmuszane były do dokonania jakichś wielkich zmian, których nie chciały. Bo diabeł z legendy powiedział, że Szare nie przyjęły jego

porządku, dlatego ich karą ma być, że: „w każdym pokoleniu doświadczą będą nowego porządku”.

Porządek ten – wedle klątwy diabła ma być narzucany – nieważne, czy sam w sobie jest dobry, czy zły. Mówił: „Nie chciały ugiąć przede mną karku. Dlatego w każdym pokoleniu będzie u nich zjawiał się ktoś, kto prośbą lub groźbą spróbuje je zmusić do posłuszeństwa”. Ale i tak najgorsze są ostatnie słowa diabelskiej klątwy: „Kobiety te nie przyjęły ani mojego zła, ani mojego dobra. Dlatego w każdym pokoleniu będą doświadczały i dobra, i zła. A one już nigdy nie będą potrafiły odróżnić, co jest czym”. Prababcia mówiła mi, że to od zawsze był wielki problem Szarych: nigdy nie potrafiły poddać się nowemu porządkowi, niezależnie od tego, czy był on względnie dobry czy zły. Szły przez świat samotnie – nie dając się nakłonić ani do dobrych, ani do złych czynów w imię idei, sprawy, przemian i tak dalej. Były uparte i zawzięte. Ich upór czasami zdawał się przerastać wagę sprawy.

Dlatego właśnie chciałabym opisać tę ich historię...

Uśmiechnęłam się do jej zapału.

– Chodzi ci o to, żeby opisać, jak te baśniowe wydarzenia odbiły się na prawdziwym życiu Szarych?

– Tak. Mam nawet taki pomysł... Gdyby pani opisała, jak się to wszystko zaczęło, ludzie mogliby wszystko zrozumieć, ta historia nareszcie nabrałaby „znamion prawdziwości” – powiedziała, a widząc, że robię minę pełną podziwu dla jej pięknego słownictwa, dodała; – Przeczytałam to w *Opracowaniach baśni i legend*.

Spojrzałam na nią z uwagą.

– Lauro... Czy ty planujesz... odwrócić bieg historii?

Zawahała się, rozejrzała jak spiskowiec z kreskówki.

– Zamierzam odwrócić klątwę. Zakończyć ją. Tu i teraz – w moim pokoleniu, w moim życiu.

I potrzebuję do tego pani pomocy, rozumie pani?

Spojrzałam jej głęboko w oczy.

– Rozumiem.

– Klątwa diabła sama w sobie nie była taka straszna. Najgorsze okazało się w niej to, że miała się powtarzać w nieskończoność – w każdym pokoleniu, wciąż na nowo. Tak jakby Szare brały udział

w wyścigu i każde pokolenie pokonywało kolejne okrążenie wokół tego przeznaczenia, które wyznaczył im diabeł. Dlatego chciałabym opisać jedno z takich „okrążeń”. Najlepiej pierwsze okrążenie tuż po rzuceniu klątwy. Mogę liczyć na pani pomoc?

– Możesz.

Laura-dziecko rzuciła mi się na szyję.

– Jest! Wiedziałam, że jest pani super, wiedziałam.

– Laura! Laura! Dziewczyno, gdzie ty się podziewasz? – usłyszałyśmy wołanie z wnętrza domu.

W drzwiach ukazała się Szara. Widząc nas, złapała się za głowę.

– Boże miłosierny, ja nie wytrzymam z tą dziewczyną... Laura, od godziny miałaś mi pomagać z truskawkami, a ty nie dość, że nie pomagasz, to jeszcze znowu pani przeszkadzasz.

– Laura mi nie przeszkadza. – Uśmiechnęłam się. – Opracowujemy razem spisek.

– Spisek? – Szara wzięła się pod boki.

– Spisek literacki. – Uśmiechnęłam się.

Szara zaśmiała się dobrodusznie, kręcąc jednocześnie z niedowierzaniem głową.

– Trafił swój na swego – mruknęła z rozbawieniem.

Laura mrugnęła do mnie raz jeszcze i szepnęła coś w stylu: „odwrócimy klątwę; uda się!”, po czym podbiegła do Szarej, by pomóc jej w kuchni.

Pozostałam pod wiatą zupełnie sama.

Odetchnęłam świeżym i niezwykle wonnym powietrzem tych okolic, pogładziłam dłonią notatnik

i powiedziałam do siebie: „dobrze, dobrze, mam już pewien pomysł”.

Pogrążona w pracy nad zapiskami ledwo zauważyłam, jak przestało padać i zza chmur wyszło słońce – po to tylko, aby pożegnać się ostatnim błyskiem jeszcze przed samym zachodem.

Po deszczu i zarazem pod wieczór zrobiło się nieco chłodno, ale nie przeszkadzało mi to, bo byłam ciepło ubrana: w ogromny sweter należący do M. oraz obrzydliwie niekształtne, pozbawione stylu i gustu spodnie dresowe z grubej bawełny. W ogóle jeśli chodzi o takie ubiorowe klimaty, to zauważyłam ciekawą prawidłowość dotyczącą wyjazdów w tak zwany plener... Na co dzień nie noszę

się jakoś szczególnie elegancko i przedkładałam wygodę nad poddawanie się na siłę najnowszym trendom. Mimo to nawet w swoim bagażu, który pakuję z myślą o wypadzie na łono natury, zawsze zabieram ze sobą jakieś tam sukienki czy spódnice, co najmniej parę świetnie skrojonych dzinsów i bluzki, które przy odrobinie dobrej woli mogą nawet uchodzić za eleganckie. Wszystko to oczywiście traci na jakimkolwiek znaczeniu około drugiego–trzeciego dnia wyjazdu. Z początku noszę

się jeszcze jakoś w miarę cywilizowanie, ale potem następuje proces kompletnego „splenerowania”.

Wkładam na siebie rzeczy, co do których w ogóle wahałam się, czy je brać (bo tak bardzo są znoszone i bez stylu), a następnie okazuje się, że miałam je na sobie praktycznie cały czas z krótkimi przerwami na przepierkę. Zwykle są to – podobnie jak teraz – jakieś powyciągane spodnie dresowe, które biorę ze sobą tylko na wypadek bardzo chłodnych nocy – by ubrać je pod kołdrę bez świadków. Wspólnikiem w tym procederze jest też zwykle – jak wspomniałam – jakiś luźny sweter, zazwyczaj należący do M., który również biorę ze sobą tylko „na wszelki wypadek”, a tak naprawdę niemal nie ściągam go z siebie. Do tego buty. Trapery, które zazwyczaj zabieram na takie wyjazdy, bardzo szybko idą w ką i nagle okazuje się, że nieustannie biegam albo w klapkach (gdy jest słońce), albo w kaloszach (gdy pada lub gdy jest mokro). Tym samym dopełniam całości stroju szykownymi dodatkami i wyglądam

naprawdę przebojowo. Nie muszę chyba dopowiadać, że coś takiego jak makijaż idzie w absolutne zapomnienie na cały czas wyjazdu, a szczotka do włosów staje się moim przyjacielem tylko wtedy, gdy odbicie w maleńkim lustrze zawieszonym na ścianie straszy mnie po nocach. Gdyby ktoś ze znajomych przejeżdżał w tym czasie przez wieś i zobaczył mnie, istnieje wielkie

prawdopodobieństwo, że by mnie nie poznał.

Ale to nie wszystko. Zauważyłam jeszcze jedną ciekawą prawidłowość, która ujawnia, że my wszyscy tak naprawdę jesteśmy ze wsi. Mentalnej czy rzeczywistej. Dwa pokolenia wstecz czy piętnaście.

Już przechodzę do rzeczy... Otóż jest taka prawidłowość, z której często śmieją się mieszkańcy miast, że ludzie na wsi lubią siadać przed domem na ławce i obserwować – a to przechodniów, a to przejeżdżające samochody, a to przyjezdnych. Podobnie gdy do wsi przyjedzie ktoś nowy, każdy z „rdzennych” chce go prędzej czy później „przypadkiem” spotkać, więc nagle wybiera się na zakupy do sklepu (jeśli tamten akurat wpadł do tego samego sklepu), odwiedza z dawna niewidzianego sąsiada (jeśli tamten akurat u niego mieszka) albo kręci się gdzieś w pobliżu (jeśli nie ma innej sposobności, by obejrzeć sobie przyjezdnego). Otóż ogłaszam wszem wobec – wszyscy reagujemy tak samo; może jedynie różnimy się skalą tej reakcji. Już czwartego dnia pobytu tutaj rozpoznałam podobne zachowanie u siebie. Wracalam akurat ze sklepu. Obok mnie przejechała furgonetka piekarza, a potem rozczłapany golf dwóch chłopców z sąsiedniej wsi, którzy robili codziennie objazd po tutejszych drogach, bo jeden z nich uczył drugiego prowadzić samochód. Nagle usłyszałam nieznanomy warkot silnika. Sama się zdziwiłam, że rozpoznałam tę różnicę. Odwróciłam głowę i ujrzałam tak odmiennego od wszystkiego, co tutaj jeździ – lśniącego białą dostawczaka firmy kurierskiej. Na boku busa widniał dekoracyjny napis: „Prestige Trans”. Kierowca włókł się w żółwym tempie, rozglądając się dookoła po numerach domów i zapewne szukając właściwego adresu. Ku swojemu rozbawieniu i zdziwieniu przyspieszyłam kroku, jakby chcąc za nim nadążyć – by zobaczyć, do kogo to może zajeżdżać. Zatrzymał się dopiero na końcu wsi, a ponieważ tam właśnie znajdował

się dom Szarej, która siedziała przed domem, obierając bób, to do niej właśnie się zwrócił:

– Dzień dobry! – zawołał przez szybę.

– Pochwalony – odparła rozbawiona Szara, widząc, że facet próbuje korzystać z mapy na GPS-ie.

Już nawet ja wiedziałam, że numeracja domów w tej wsi nie przystaje do żadnej mapy.

– Szukam numeru jeden – powiedział kierowca, wysiadając z samochodu.

– A kto tam mieszka? – spytała Szara, nie przerywając roboty.

Kierowca spojrział na paczkę.

– Państwo Kernel.

– O! Kernelowie! – Machnęła ręką. – To nie tutaj.

Kierowca podrapał się po głowie.

– Napisane jest „W.P. Kernelowie, To Nowe 1”.

– Musi jechać do Dworu Kernelów – powiedziała Szara, jakby to coś wyjaśniało. – Oni adres mają podpięty pod wieś, ale mieszkają o tam, kawałek stąd.

Szara poinstruowała kierowcę, który uchylił jej daszka czapki, a następnie odjechał.

Rozbawiło mnie moje drobne wścibstwo i ta nowa, zupełnie tutejsza ciekawskość. Wtedy jednak

uświadomiłam sobie, że na mniejszą skalę podobny proces zachodzi w zasadzie wszędzie. Na przykład gdy się wyjeżdża na dłuższy biwak. Po pewnym czasie na polu namiotowym wszyscy przyzwyczajają się do siebie, do rozplanowania namiotów i do tych małych terytoriów, które chcąc nie chcąc, ustanawiamy wokół siebie. Przekształcamy przestrzeń, a wokół namiotu zaczynają wyrastać coraz to nowe udogodnienia, które są tym bardziej zaawansowane, tym bardziej „nasze”, im dłużej w danym miejscu przebywamy. Najpierw przy namiocie pojawia się sznurek na bieliznę. Potem ktoś z patyków struga klamerki. Potem dochodzą kijki zastrugane do pieczenia kiełbasek nad ogniskiem. Czasem ktoś nawet wpadnie na to, żeby wykopać maleńką ziemiankę na jedzenie, albo zbuduje kranik do butli na wodę i tak dalej, i tak dalej. Te wszystkie udogodnienia przemieniają ziemię wspólną w ziemię

„moją” i przywracają nas choćby na moment do tych chwil, kiedy to po raz pierwszy zazналиśmy osiadłego życia. I właśnie nawet na takich biwakach można zaobserwować podobną prawidłowość –

wodzenia wzrokiem za „nowymi”. Na przykład taka sytuacja: jest popołudnie, wszyscy przed swoimi namiotami jedzą przygotowane naprędce obiady – a to z ogniska, a to z grilla, a to zagrzane na kuchence gazowej. Porozkładani na trawie, na plastikowych krzeselkach lub na kocach – co kto lubi.

Nagle na środek pola wjeżdża nowy samochód – z nowymi biwakowiczami. Czy jest ktoś, kto nie będzie wodził za nimi ciekawskim wzrokiem? Czy jest ktoś, kto nie rozpozna w nich (może z lekką, ale jednak kpina) tego miastowego blichtru, którego pozbędą się pewnie już na następny dzień? Czy ktokolwiek na tym polu nie zastanowi się: gdzie się rozstawią, czy aby nie za blisko tego, czy aby nie za daleko tamtego, czy zasłonią słońce swoim namiotem i samochodem, czy będą przestrzegać tutejszych obyczajów, które same z siebie ukształtowały się przez ostatnie dni czy tygodnie...?

*

Jest jeszcze jedna ciekawa rzecz w tych wyjazdowych klimatach... Rytm przyrody. Nie chodzi mi o rytm w skali makro, czyli pory roku, zakładanie gniazd i odlatywanie ptaków do ciepłych krajów.

Mam na myśli skalę mikro, w ramach której przyroda również funkcjonuje i którą człowiek z przyjemnością w jakiś sposób przejmuję. Na dachu, tuż nad moim pokojem w domu Szarej bociany założyły gniazdo. Widać, że nie pierwszy raz gniazdują w tym miejscu, bo konstrukcja jest już wielopoziomowa i zapewne coraz wyższa z sezonu na sezon. W gnieździe siedzą cicho jak trusie dwa małe bocianki i gdyby ich rodzice nie przylatywali co jakiś czas z porcją jedzenia, można by się w ogóle nie zorientować, że ktoś tam mieszka. Ale jednak przylatują. Gdy ojciec lub matka nadlatują, towarzyszy im charakterystyczne klekotanie, które za każdym razem wprawia mnie w zdumienie i jakiś rodzaj podziwu. To dźwięk tak dobrze nam znany, a jednak tak niezwykły. Zawsze, gdy słyszę ten odgłos, wychylam się przez okno albo wybiegam z domu, żeby zobaczyć niski lot ojca lub matki bocianich dzieciaków i precyzyjne lądowanie w gnieździe, któremu towarzyszy akompaniament syków i klekotań.

Poza bocianami, których lądowania nigdy nie mogę sobie odpuścić, mam tu też znajomego jeża.

Zauważyłam, że podwórko Szarej znajduje się na jego wieczornej i porannej trasie, więc za każdym razem, gdy zorientuję się, że nadchodzi, zbiegam na dół i idę przyjrzeć się, jak wypełnia swoje jeżowe obowiązki. Jeże są niezwykłymi zwierzętami – fascynuje mnie ich sposób poruszania się. Są przecież małe i tak się maskują, że mogłyby z łatwością ukryć się przed wzrokiem człowieka, gdyby nie wychodziły z wysokiej trawy. A mimo to, jeżeli dookoła jest stosunkowo cicho, wychodzą ze swoich kryjówek. To niezwykle, ile te niewielkie zwierzaki robią hałasu podczas swoich wieczornych i porannych przechadzek. Każdy, kto choć raz słyszał i widział jeża, wie, o czym mówię. Ich sposób poruszania się pomiędzy liśćmi i trawami trudno nazwać bezszelestnym. A do tego poruszają się według swojego – tylko sobie znanego schematu, który obejmuje zwykle ze dwa–trzy kroki do przodu, chwilę przerwy i krok w bok. Również ich węszenie, a niekiedy nawet syczenie (gdy spotkają innego jeża) jest bardzo głośne. Gdy się siedzi w ciszy, którą przerywa tylko delikatny wiatr, nagłe nadejście jeża przywodzi na myśl jakiś minibułdożer. „Mój” jeż nie wyróżnia się także na tle innych sposobem reagowania na bodźce z otoczenia. Nie ma zbyt dobrego wzroku, więc można spokojnie przyglądać mu się z bardzo bliska. Jeśli jednak wykona się jakiś gwałtowny ruch, jeż prewencyjnie stawia swoje piękne igły, marszczy skórę na czole i zwija się – na początku tylko na próbę. Jeśli żadne zagrożenie nie nadchodzi – znowu zaczyna węszyć i maszeruje, jakby udając, że nie zwinął się przed chwilą w kłębek ze strachu.

Rozmawiałam z Szarą na temat tego jeża, ponieważ zauważyłam, że na jego trasie znajduje się kopczyk obranych z łupin orzechów. Szara machnęła ręką i powiedziała, że kładzie je tam „na wszelki wypadek”.

– Jeż nie zawsze zje orzecha – powiedziała. – Gardzi wszystkim, co nie jest pysznym owadem, chyba że akurat ma smak na coś innego albo chce zgromadzić trochę tłuszczu.

Rozczuliła mnie ta jej obserwacja, jak i to, że wystawia jeżowi orzechy – tak na wszelki wypadek

– gdyby miał ochotę się poczęstować. To również Szara poinformowała mnie, że jeże wcale nie zjadają chętnie ślimaków i dżdżownic, a już na pewno „jej” jeż ich nie jada.

– Bo one mają w sobie robale, które potem przenoszą się na jeża – poinformowała mnie. – I jeż, jak ma wybór, to nie ruszy czegoś, co mu szkodzi.

*

Tam, gdzie mieszka człowiek, muszą naturalnie być także i koty. Dom Szarej znajduje się na terytorium czterech. Błędem byłoby twierdzić, że są to koty Szarej, należą one bowiem wyłącznie do siebie samych. No chyba żeby uznać wzajemność tych związków – że Szara należy do nich, a one do Szarej – wtedy owszem.

Jeden z kotów – o niezwykłym popielato-rudym, łaciatociapkowatym umaszczeniu – to samiec.

Ma klapnięte ucho – może tak mu się krzywo zagoiło po jakiejś walce, a może po prostu takie ma. Nie daje się nigdy dotknąć i nie podchodzi bliżej niż na wyciągnięcie ręki czy nogi, bo do kończyn człowieka odczuwa wielki respekt i za każdym razem, gdy się nieumyślnie szurnie butem, czmycha o dwa susy i wraca dopiero po chwili. Szara woła na niego Buras i lubi go za jego nieufność i powściągliwość. Wbrew zaleceniom miejskich znawców, którzy trąbią, że kotu nie wolno dawać mleka, bo dostaje od tego cukrzycy, polewa Burasowi solidną miskę tłustego mleka od kozy i patrzy z przyjemnością, jak kot je wypija, myje się, po czym wraca do swoich spraw.

Do domu Szarej przychodzą też bracia. Dwa bure kocurki, które dopiero co wydorosłały i wciąż jeszcze trzymają się razem. Ponieważ z początku nie przestrzegały godzin odwiedzin, dostały kilka razy w łeb od Burasa. W końcu jednak nauczyły się, że jeśli tamten przychodzi rano, to one nie mają wyjścia i muszą zjawiać się po południu.

Tylko czwarty z kotów odwiedzających Szarą – kotka Kicia – przychodzi, kiedy jej się podoba, i nigdy nikt jej nie przegania. Kicia jest też najbardziej „tutejsza”. Często śpi w domu, nie unika pieszczot, a wręcz prosi o nie i z niepoprawnym uporem wskakuje do łóżka wszystkim, którzy jej przypadną do gustu – w tym i mnie od jakichś dwóch dni.

Kicia jest czarna tą śmieszoną kocią czernią, która wpada w rudy, gdy tylko oświetli ją światło słoneczne. Ma – jak przystało na Kicię – biały krawacik, białe skarpety i absolutnie białe wibrysy.

Nauczyła się wchodzić do mojego pokoju po drzewie i wskakiwać do niego przez okno. Tą samą drogą potrafi go również opuszczać.

*

Nastał wieczór, a ja wciąż byłam pochłonięta pracą i skrupulatnym notowaniem wszystkiego, co planowałam zawrzeć w swojej opowieści. Za domem, gdzie pisałam, nie było elektrycznego światła, więc gdy się ściemniło, Szara przyniosła mi lampkę oliwną (przepiękne cudo pamiętające odległe czasy) i pogderała chwilę, że wzrok sobie psuję. Nie chciałam jednak wracać do pokoju, póki nie dokończę rozpoczętego wątku. Dopiero kiedy skończyłam ostatni akapit, zebrałam się spod wiaty za

domem i wróciłam do środka. Wzięłam gorący prysznic, umyłam porządnie włosy, czując, że od jutra wszystko będzie nowe, a moja historia nabierze rumieńców.

Przed snem raz jeszcze zerknęłam przez okno na wzgórze Mileny. Paliło się u niej światło.

Obiecałam sobie, że jeszcze rozdział, jeszcze dwa i odwiedzę ją w jej niezwykłym domu otoczonym samotnością.

Sen 6

Nim zadała cios, umarła

I wtedy nadeszło złe.

Sza i jej matka wciąż szeptały.

– To już wolę ziemię gryźć – gderała staruszka. – Przetnij mnie, córko. Przetnij, bo ja tego oglądać nie chcę.

– Nie bądź głupia, matko-gdero, i ty, matko przedwcześnie wiedząca.

– Będzie gorzej, Sza. Będzie najgorzej. Widać świat zatoczył już koło i teraz przyjdzie zapadłe. Po nim będzie obfite. Ach, dlaczego, dlaczego ja mam na to patrzeć? Moje stare oczy powinny być oszczędzone.

– Jaki świat? Jakie koło? – zainteresowała się Mi.

Kobiety zamilkły.

– Powiedz jej, przecież jej będzie najgorzej – mruknęła stara matka. – Ona to wszystko będzie musiała przetrwać.

– Sama jej powiedz. Nic nie jest pewne.

– Wszystko jest tu pewne, córko! Prędeż mi z dupy Nowe wyleci, niż się mylę!

– Jaki świat, jakie koło? – powtórzyła Mi.

Sza westchnęła.

– Matka moja twierdzi...

– Ja nie TWIERDZĘ, ty głupio-córko, ślepo-córko ty. To JEST. To nie TWIERDZI.

– Dobrze, matko. – I do Mi: – Matka moja jest pewna, że świat toczy cielsko. I co jakiś czas się przetoczy.

- W co?
- Jak człowiek pijany toczący się po ziemi. Raz głę w błoto, raz twarzą do słońca.
- No i? W co się teraz przetoczył?
- Głę w gówno – skwitowała stara matka. – I będzie w tym gównie czas długi. Ja już nie doczekam końca tego smrodu. Po co mam doczekać jego początku? Córko, przetnij mnie raz a dobrze, ty naiwne dziecko.
- Daj pokój, matko. – Sza masowała czoło.
- Tchórzo-córka. Jęko-córko. Miałko-córko – gderała matka.
- Co z tego, że świat? – dziwiła się Mi. – My nie jesteśmy światem. My możemy inaczej.

Staruszka zaśmiała się.

- Spójrz. – Pokazała na twarde brzuch Mi. – Co tam rośnie?
- Matko – szepnęła Sza. – Daj pokój.
- Co tam rośnie? – warczała matka. – Nowe rośnie. Czym ty jesteś? Dla Nowego światem. Co ono może? Nic nie może. Co zrobisz, ono zrobi. Co połkniesz, ono wciągnie. Gdy umrzesz, ono umrze. Ty jesteś światem, ono jest sobą. I tak my jesteśmy sobą, a świat jest światem. Co świat zrobi, my zrobimy. Co on połknie, my wciągniemy, ty głupio-dziecko, ufno-dziecko! Cóż, że się obrócisz z boku lewego na bok prawy. Świat jest światem, a ty jesteś tylko ty.

*

I złe naprawdę nadchodziło. Mówiły o tym kobiety, co przyszły po poradę do Sza i jej matki.

- Tamtemu spalili to. Temu kazali tamto. Dwóch zabili, bo nie chcieli. Jakieś Nowe, jakieś dziwne. Kazali robić – wiem. I robią.
- My tu nic nie robimy, to może i zmieniać nie będą kazali – szepnęła Sza, ale nie wierzyła w to.
- Każdy będzie musiał. Czy robi, czy nie robi. Będzie musiał jak oni. Albo pokazać, że robi – mruczała stara matka, siedząca w kącie.
- Jedni uciekali – mówiła kobieta z dziwnym jajkiem na boku. Jajkiem ze skóry, które prosiła wyciąć. Więc Sza wycinała. – Jedni uciekali – powtórzyła kobieta. – To ich wszystkich zabili. Nie uciekać macie – mówili. – Nie ma ucieczki. Zmienić – oto co musicie. A my sprawdzimy i dopilnujemy. Policzymy.

– Mnie tam już mogą z liczenia wyjąć – gderała matka z kąta. – Stary człowiek to jak pół człowieka, a ja się i na połowę dla tych szmato-synów, kurwi-synów nie nadam.

– O czym wy mówicie? – dopytywała się Mi. – Co ma nadejść, nadejdzie. Ja się tego nie boję.

Kobieta z jajkiem spojrzała smutno na wielki brzuch Mi.

– Ty się bać powinnaś. Na małe patrzają najbardziej. Bo małe, co wypiją z mlekiem, takie potem urosną. I nie będą pamiętały, że matka chciała inaczej. Wypiły, co wypily, i tak już będą żyć. Oni to wiedzą. I oni Nowe najbardziej chcą zmienić.

– Niech tylko spróbują – warknęła Mi.

– Głupio-dziecko ty. Jakie ty głupoty gadasz, takie krzywdy potem poniesiesz.

– Ucieknę. Albo się schowam.

– Policzą. – Pokręciła głową kobieta z jajkiem. – I wtedy na pewno znajdą i zabiją.

– Cicho, ty męcząca! Cicho, ty miękka! Słaba ty! Jajko ty skórzaste i brzydoto! Tfu! Psia twoja mać – krzyczała Mi. A tak przy tym patrzyła na kobietę z jajkiem, że tamta zwinęła łachy w jedno mgnienie oka i już jej nie było. Za drzwiami tylko krzyknęła:

– Oj, doigrasz się ty, Mi! Doigrasz!

*

W dwie noce później przyszło złe. Zadudniło i obudziło, gdy kobiety jeszcze spały.

Na dudnienie pierwsza obudziła się stara matka. Druga Mi. Sza spojrzała jej wyblakłymi oczyma głęboko w serce.

– Przetnij mnie, Mi – powiedziała krótko. – Nie chcę w tym gównie się taplać.

Lecz i Sza się ocknęła.

– Daj pokój, matko – powiedziała jak zwykle.

Dudnienie.

– Wyjść albo wejść! – usłyszały.

– Idę! – krzyknęła Sza. – Zawinę się i idę. – Do Mi: – Siedź z tyłu i nie pokazuj się. – Do matki: –

Siedź cicho i ani słowa.

Dudnienie.

Otworzyła drzwi, a za nimi zobaczyła złe. Ale tak piękne, że nie mogła przemówić. Złe było mężczyzną. Tak wielkim jak wiara. Mocnym jak strach. Czarnym na włosach, czarnym na brodzie – brodą będącym.

Oczy jego – dwa ognie wprost w duszę. Głos jego – burza i skryj się.

Odsunął Sza z progu, który mu zastąpiła. I wszedł do środka.

– Won, ty nowo-synu – warczała stara matka, ale z kąta, więc mógł udać, że nie słyszy starej, która się nie liczy.

Zobaczył Mi i coś mu w oczach tak zabłyszczało, że Sza opadła na taboret.

– Przetnijcie i mnie – szepnęła do siebie. – Bo nie ma ratunku.

Złe i piękne patrzył w burzowe oczy Mi. Patrzył mocno i długo, a gdy się z tego patrzenia ocknął, powiedział:

– Oto Nowe.

Cisza.

– Oto Nowe – powiedział raz jeszcze i uniósł dwa patyki. – To Nowe jest już teraz wasze i wy też musicie stać się Nowe.

Mi patrzyła nie na patyki, nie na to, co pokazywał, ale na niego – tylko na niego.

– Gdzie macie stare? – spytał.

– Tutaj – warknęła stara matka, pokazując na siebie.

– Cicho, kobieto, bo spalę cię jak całe stare. Gdzie macie inne stare?

Sza podniosła się z trudem ze stołka.

– My nie miałyśmy ani starego, ani żadnego innego, panie. Nowego też nie chcemy. Nie potrzebujemy żadnego.

Mężczyzna zagryzł zęby. Jego ręka była gotowa zabić Sza.

– Ty mi powiedz. – Spojrzał na Mi. – Ty jesteś Nowe i Nowym powinnaś żyć. Gdzie wszystko stare, co macie?

Mi – jak siedziała, tak wstała. Jak patrzyła, tak zamknęła oczy. Spokojna jest i wyzywa go bez słów.

– Ja jestem Mi – odpowiada. – Ta, która przepada, gdy chce, i gryzie, gdy potrzebuje. Z kim mówię?

Mi stanęła tak blisko mężczyzny, że jej wielki brzuch oparł się o jego ciało.

Sza skryła twarz w dłoniach, już płacząc nad utratą córki.

Ale złe i piękne zawahał się.

– Ja jestem Sol – odpowiedział. – Ten, który walczy i z walki pochodzi. A ty jesteś Nowe, Mi. Tak jak i ja jesteś Nowe, które przynoszę.

Mi odwróciła się i prychnęła.

– Ja nie jestem ani Nowe, ani stare – rzuciła. – Ja jestem ja. Nie chciałam ani starego, ani Nowego nie pragnę.

– Nowego zapragniesz, Mi. A jak nie zapragniesz, to ci wciśniemy.

– Wciskać możecie, ale czy przyjmę – tego już nie będziecie wiedzieli.

– Gdzie jest stare, Mi? – spytał raz jeszcze i odwrócił się w stronę szafek, szafeczek, kominków, ołtarzyków, obrazków. Szukał i znaleźć nie mógł. Nie było tu niczego, co znajdował gdzie indziej. –

Nie szkodzi – powiedział. – Dajcie mi cokolwiek, bo was spalą.

– Spalą? – spytała Mi. – Czyli już jesteś po naszej stronie? – Uśmiezek złośliwy.

– Spalimy. Nie igraj, Mi. Daj mi cokolwiek albo sam sobie wezmę.

– Więc sam sobie weź – odrzekła Mi i tak się położyła na posłaniu, że ani Sol, ani Sza nie mogli wiedzieć, co też miał wziąć i co Mi oferowała.

– Kurwi-córka – skwitowała cicho stara matka z kąta.

Sol oderwał wzrok od tego, co oferowała Mi. Rozejrzał się. Jakąś figurkę, jakiś obrazek, jakiś ornament. Chwycił, obejrzał. Nada się. Wianek z traw – nada się. Mała rzeźba z konara – nada.

– Dobrze wiesz, że to nic nie jest – syknęła złośliwie Mi.

– Coś zabrać muszę. Nie można wprowadzić Nowego, gdy się nie zabierze starego. Znowu wyciągnął jakieś dwa patyki. To zawieście tutaj – powiedział. – Takich podobnych zróbcie sobie jak najwięcej i pozawieszajcie wszędzie.

– A jak nie zechcemy? – spytała Mi.

– Zginiecie.

– A jak uciekniemy?

– Znajdziemy was i zginiecie. Zginą ci, których znaliście. Nie walczcie jak inni. To Nowe jest lepsze.

– A co za różnica – czy stare, czy Nowe? – Zerwała się z kąta stara matka. – Ty naiwny, ty głupi!

Kurwi-syn, suczo-syn! Jemy to samo, tylko z innych naczyń. Wiesz, czemu ludzie walczą, głupi ty?

Bo im po chatach łazicie i garnki na miski wymieniacie. Jeść będą to samo. To po co im każecie z miski, jak oni z gara chcieli?

– W takim razie niech się zgodzą tym bardziej – odparł wciąż jeszcze spokojnie. – Skoro pokarm ten sam, cóż za różnicę im robi naczynie?

– Taką różnicę! – wrzeszczała stara. – Taką!

Rzuciła się do misek ułożonych tuż obok. Trzask! Miska poszła na ziemię. Pizd!

– Ty głupi! – Rzuciła miską w Sola. – Taką mi to różnicę robi, że sobie będę na stare lata jadła, z czego chcę!

Sru! Wszystkie miski na ziemi w skorupach. A tamci? Tamtych mi bardziej szkoda niż nas! Bo my jadłyśmy, z czego chciałyśmy, Nowe ty, głupie ty! I nie robiło nam – czy z gara, czy z michy. A tamci w swoje gary wierzyli, głupie ty Nowe!

Sol napiął rękę do zdzielenia starej. Raz a dobrze.

– Nie, proszę. – Dotknęła ręki Sza. – Daruj jej. Jest stara.

Sol spojrział na Mi. Nie broniła starej matki. Nie pomagała mu wybrać. Wciąż leżała tak, że Sol chciałby, żeby ani starej, ani Sza tu nie było. Spojrział w rozsądne oczy Sza.

– Zrobimy, co trzeba. Starą przekonamy – upewniła go.

– Nigdy mnie nie przekonacie! – Trzask! Miska w pył.

– Przekonamy.

Sol uspokoił się.

– Nowe jest lepsze – powiedział do Sza i znowu pokazał jej dwa patyki. – Naróbcie takich dużo i powieście gdzie się da.

*

Przychodzili teraz często. Sprawdzali. Liczyli ludzi, liczyli pozawieszane patyki, sprawdzali popalone ozdoby. Sol ze wszystkich był najczęściej i najczęściej sprawdzał dom trzech kobiet. A gdy przychodził, do innych mężczyzn, którzy sprawdzali, mówił:

– Tu ja sam sprawdzę, idźcie dalej.

Mi siedziała wtedy przed domem w słońcu i przyglądała się temu. Widziała, że Sol jest najwyższy, ma najszersze ramiona i najdziwsze spojrzenie. A tamci go słuchają.

– Jak idzie struganie patyków? – spytał, zachodząc do Mi.

– Jak idzie struganie głupa?

– Nie igraj, Mi. Nie znasz mnie, nie wiesz, do czego jestem zdolny.

– Wiem o tobie tyle, co trzeba. Tyle co o każdym z was.

– Inni mnie nie widzą takim łagodnym, Mi. Nie przesadź, bo zobaczysz mnie takim, jak widzą inni.

– Boją się ciebie? – prychnęła.

– Boją się bardzo.

– To nie od ciebie się strach zaczyna. To od nich. Oni się ciebie zaczęli bać, zanim cię zobaczyli.

A ja się ciebie nie boję, odkąd o tobie usłyszałam.

– Myślisz, że nie robię rzeczy, o których krążą słuchy?

– Zabijasz, palisz, ścigasz. A cóż mi z tego?

– Ciebie też mogę zabić, twój dom spalić, a bliskich twoich ścigać całe życie.

– To czemu tego nie zrobisz?

Zawahał się.

– Wierzę, że z ciebie większy będzie pożytek, gdy będziesz żyła. Jesteś młoda i nosisz w sobie Nowe. My też nosimy Nowe i chcemy, żeby poszło dalej.

Mi dotknęła wielkiego brzucha i syknęła jak kotka.

– Tym się nie interesuj. Moje Nowe robi, co zechce. Ani to, co mówisz ty, ani to, co mówi stara matka. Co zechce.

– Nie, Nowe weźmie to, co my przynosimy – odparł z taką pewnością, że Mi po raz pierwszy przeszły ciarki po plecach.

– Nowe jest moje!

– Nowe należy do wszystkich. Bo jest Nowe.

Mi wstała z nagrzanego słońcem siedziska i weszła do domu, trzaskając drzwiami.

– Nie igraj, Mi! Przyjdę po to, czego chcę! Zawsze dostaję, czego pragnę! – krzyknął spod drzwi, poprawił patyki przy płocie i odszedł.

*

Stara matka czuła się ostatnio nieswojo. Więcej polegiwała, mniej jadła, co gorsza – więcej gderała.

– Zgubisz się, głupio-dziecko, zgubisz siebie i zgubisz to Nowe. Na co się zadajesz z nim? Nie widzisz, że on pośród nich jest najważniejszy? Głupie ty dziecko.

– No i co z tego, że najważniejszy? – prychnęła Mi, wracając ze słonecznego dworu do ciasnego, dusznego i ciemnego domu, w którym stara matka leżała na pościeli i na który przenosiła cię własnej starości.

– Najważniejsi mają największe ambicje – mruknęła stara matka. – Temu nie wystarczą patyki i popalone figurki. Ten będzie chciał ciebie i twoje Nowe. Głupie ty dziecko, że nic nie rozumiesz.

– Nie denerwuj się, matko – szepnęła Sza, siadając przy leżącej.

– Zrobię, co zechcę – mruknęła Mi. – Ani jego nie posłucham, ani ciebie, starucho.

– No to on cię weźmie, i tyle będzie Mi-wolnej, Mi-dawnej, Mi-naszej! – zdenerwowała się stara matka.

– A może... – uśmiechnęła się złośliwie Mi – a może ja chcę, żeby on mnie wziął?

– Oj ty głupia, głupia kurwi-córko! Ile lekcji przegapiłaś, że dopiero teraz o tym gadasz? Taki jak on – jak bierze, to całą. Weźmie sobie wszystko twoje i zrobi z tym, co zechce.

– Nie – warknęła Mi. – Stara jesteś, słaba jesteś. Weźmie, co będę chciała, by wziął. Nowego nie ruszy, Mi-wolnej nie tknie. Zostawi, co rozkażę, a weźmie, co pozwolę.

Stara matka opadła na pościel i coś sobie przysięgała, na coś się zarzekała. Ale na co – tego Sza i Mi nie mogły dosłyszeć. W kolejnych dniach stara matka słabła w oczach. Zieleniała na twarzy, nos jej jakby bardziej wystawał, a oczy wklęśły się, jakby chciały być bliżej umysłu staruszki, nie świata, na którym tyle było złego.

Pewnego dnia tak pozieleniała, wyschła i wystygła, że zapłakana Sza zawisała nad nią i śpiewała bez końca, smarowała bez przerwy, nacierała, nakraplała i okadzała.

Stara zapadła się w pościel, jakby pod pościelą powstał tunel, który zaprowadzi ją w końcu do podziemnych zaświatów.

Mi podeszła do matki-skorupki, matki-puchu, matki-pyłu.

Dotknęła dłonią jej chłodnego czoła, a dłoń staruszki położyła sobie na wielkim brzuchu.

– Między nami pokój, matko Sza. Nie obawiaj się. Nowe się uratuje. A o mnie się nie martw.

Stara otworzyła oczy, które były matowe jak stare jabłka.

– Między nami pokój – wyszeptała suchymi ustami. – Pokój.

Mi zapłakała. Jej łzy opadły na czoło staruszki, wpłynęły w głębokie bruzdy jej zmarszczek, ze zmarszczek do kącików oczu. Powieki zwilżyły się od środka i stara matka teraz też mogła zapłakać.

Usłyszały dudnienie.

Stara matka sądziła, że to zaświaty od spodu posłania dobijają się i zaraz otworzą wrota.

Ale Mi wiedziała, że to nie tamten świat się odezwał.

– Otwórzcie albo sam wejść! – Sol.

– Wynoś się albo sama cię wyniosę! – wrzasnęła przez drzwi Mi.

I wtedy stało się coś dziwnego. Sol nie posłuchał. Otworzył drzwi z takim impetem, że Mi, która się o nie opierała, padła na bok jak liść zerwany z drzewa.

Sol stanął w drzwiach – wielki, ciemny. Wypełniał całe wejście. A za nim nieduży człowiek.

– Co to? – spytał, wskazując na Sza, która dymiła, śpiewała i nacierała matkę.

Mi ocknęła się z osłupienia. Celowo dłużej pozostała przewrócona, żeby Sol zobaczył, co narobił, ale on nie mrugnął nawet.

Wstała z ziemi.

– Stara matka odchodzi w zaświaty. To niedobry moment na patyki i szukanie figurek, Sol.

Lecz on spojrzał na nią tak dzikim wzrokiem, że Mi prawie zrobiła krok w tył.

– To najlepszy moment – wysapał. – Cóż to, Sza? Co tu robisz?

Ale Sza była pochłonięta. Sza tu nie było. Tylko jej ciało się kołysało i nuciło.

Sol odepchnął ją od łóżka starej tak samo, jak przed chwilą odepchnął Mi.

– Babko, oto czego ci trzeba – powiedział, pochylając się nad starą matką. – To jest Si. On ci pomoże. Wcale jeszcze nie umierasz, a nawet jeśli – to on cię odprowadzi gdzie trzeba.

Na nic się zdały wrzaski Mi, dzikie syki i rzucania. Dopiero teraz jasne stało się, że Sol jest silniejszy od nich wszystkich razem i zawieszona na jego plecach Mi może sobie jedynie brzuch obić, ale z pewnością nie wyrządzi mu krzywdy.

– Si, zajmij się staruszką.

Nieduży mężczyzna pochylił się nad starą matką i przemówił do niej łagodnie.

Lecz stara matka: jak umierała, tak nagle ożyła. Jak leżała bez ducha, tak skoczyła w górę.

Z zębami na Si, z ostrym nożem na siebie. Z rykiem na wszystkich.

Podniosła ostrze na swoje serce. Nim zadała cios, umarła.

Rozdział 7

Następnego ranka na śniadaniu u Szarej pojawił się niezwykle gość.

Był bardzo wysoki – musiał mieć ze dwa metry wzrostu. W rękach trzymał torbę lekarską, ubrany był w dzinsy, koszulkę z napisem „Dire Straits” oraz japonki. Jego czarny (nie brązowy, nie czekoladowy, lecz hebanowoczarny!) kolor skóry wprowadził mnie w zachwyt, bo jednolitość tego odcienia przywodziła na myśl twór tyleż doskonały, co nierzeczywisty. Z ciemnego obrębu jego hipnotyzującej twarzy wybijały się tylko niezwykle jasne białka oczu i także zęby, gdyż niemal bez ustanku się uśmiechał.

– A, Sizwe! Wróciłeś wcześniej! – ucieszyła się Szara, widząc, jak wchodzi do jej domu, pochylając się pod futrynę drzwi, by się zmieścić. – Wejdz, wejdz. Śniadanie akurat daję. Kawy czy herbaty?

– Herbaty. – Uśmiechnął się, postawił swoją torbę na krzesło w kuchni i wyszedł do zewnętrznej jadalni, gdzie póki co – siedziałam tylko ja.

– Dzień dobry – powiedział i znowu uśmiechnął się szeroko.

– Dzień dobry – odparłam i podałam mu dłoń, po którą wyciągnął swoją rękę.

Przedstawiliśmy się sobie po imieniu. Sizwe usiadł przy mnie – uśmiechnięty, zrelaksowany, napawając się pięknym porankiem. Nie mówił jak obcokrajowiec; choć jego zagraniczny akcent był momentami miękki, jakby klejący – niczym cukierek toffi, to jednak wypowiadał się całkiem poprawnie – odpowiednio stosując wszelkie struktury i odmiany. Musiał tu mieszkać od dawna.

– Sizwe to nasz weterynarz. – Szara uśmiechnęła się, wychodząc do nas z kubkami herbaty, kawy i słoikiem dżemu.

– Truskawkowy. – Uśmiechnęła się do niego słodko. – Twój ulubiony. Z tego roku – sama robiłam.

Szara promieniała w jego towarzystwie – widać było wyraźnie, że darzyła go ogromną sympatią.

Trudno było się dziwić – Sizwe wzbudzał takie uczucia, nawet nic nie robiąc – stale pogodny, uśmiechnięty i spokojny.

– Weterynarz – kontynuowała Szara – ale tak naprawdę to wszyscy się u niego leczymy. Do przychodni kolejki, a poza tym – tam same patałachy pracują. A Sizwe wie co i jak.

Przytaknęłam ze zrozumieniem.

– Od dawna tutaj pracujesz? – spytałam.

Interesowało mnie, dlaczego wybrał sobie akurat małą wieś. Wydawałoby się, że popyt na usługi – czy to weterynaryjne, czy lekarskie nie jest tu zbyt duży.

– Od zawsze. – Uśmiechnął się. – A w każdym razie tak mi się wydaje.

– Sizwe zna się na wszystkim – poinformowała mnie Szara. – Na ziołach, na masażach, na akupresurach i na lekach.

Mężczyzna zaśmiał się wesoło.

– Ty się też na tym wszystkim znasz, pani Szara.

– Ale ty się też znasz na tych wszystkich receptach, szczepieniach i anestezjach.

– Taki trochę szaman. – Sizwe mrugnął do mnie.

– Szaman od wszystkiego – od ludzkich i zwierzęcych chorób, od problemów sercowych, od konfliktów międzyludzkich. Jak tylko jest jakiś problem, zaraz go Sizwe rozwiąże.

Pokiwałam głową z uznaniem.

– Wystarczy zobaczyć jego ręce, żeby wiedzieć, że to dobry doktor.

Sizwe – rozbawiony tymi oględzinami okazał mi do oceny swoje dłonie. Były ogromne, ale bardzo delikatne – tak czyste i wypielęgnowane, że paznokcie zdawały się lśnić z daleka.

Po chwili dołączyli do nas Znacznik, Ekspert i Specjalista, którzy najwyraźniej znali już Sizwe i zdaje się, że za nim nie przepadali. Musiało to wynikać z tego, że pomimo swojej rozległej wiedzy i tytułów nie byli w stanie przebić go w żadnej dziedzinie. Mimo iż to oni zajmowali się badaniem tutejszej populacji zwierząt, to Sizwe doskonale wiedział, jakie stada teraz biegają po lesie, czy samice mają już ruję, czy doczekały się po tej rui potomstwa i ile młodych zdołało przeżyć.

Później Szara powiedziała mi, że od lat wszyscy zachodzą w głowę – kiedy Sizwe śpi i czy w ogóle odpoczywa, bo ma codziennie tyle obowiązków, a mimo to – zawsze ma czas, który chętnie poświęca innym – na odwiedziny czy długą pogawędkę. A przecież codziennie przyjmuje pacjentów –

tych legalnych, tych nielegalnych i tych absolutnie potajemnych (jak córka Soliwody, która zjawiła się u Szarej w wiadomej sprawie). Do tego codziennie spędzał wiele godzin w lesie, gdzie starał się być na bieżąco w sprawach zwierząt i roślin, zbierał zioła razem z Szarą i dbał o swój niezwykły

ogród, który wyglądał jak Eden, mimo że Sizwe twierdził, że wszystkie rośliny, które w nim rosną, są rodzime, choć rzadkie, i w dodatku wysiały się same.

Sizwe spałaszował w zawrotnym tempie mniej więcej pół bochenka chleba podzielonego na ogromne pajdy, które smarował grubo masłem i jeszcze grubiej dżemem truskawkowym Szarej.

Skończył, popił herbatą i podziękował za towarzystwo.

– Mam nadzieję, że jeszcze porozmawiamy. – Uśmiechnął się do mnie. – Pewnie masz do mnie sporo pytań.

– Ja, pytań? – zdziwiłam się.

– Zgadza się. Pracujesz tu nad jakąś historią.

Zaśmiałam się.

– Czy to aż tak widać?

– Nie widać. Ale ja widzę. Dobrze, czas ruszać. Ruszać się jak najwięcej, dopóki nas śmierć nie zatrzyma – to najważniejsze w życiu. – Zaśmiał się wesoło.

Wstał, pożegnał się i przeszedł z Szarą do kuchni – widać mieli coś ważnego do omówienia.

Pewnie sprawę Ali, córki Soliwody...

Dopiero kiedy Sizwe nas opuścił, Specjalista odważył się odezwać.

– Imponująca wiedza to wciąż jeszcze nie jest to samo co szczegółowa wiedza.

Ekspert przytaknął:

– Takie sztuczki-magiczki wiele już złego wyrządziły na świecie.

– A jeszcze więcej szarłatańskie praktyki – dodał Znaczący.

Wzięłam głęboki wdech – specjalnie przeznaczony do tego, aby się z nimi pokłócić. Nadszedł już na to czas... Jednak Znaczący wszedł mi w słowo:

– Wie pani, że jutro rano wyjeżdżamy?

Wypuściłam powietrze. Skoro tak... może nie warto tracić na was energii?

– Ach tak? – spytałam ni to obojętnie, ni to z zaciekawieniem.

– Tak. I z tej okazji urządzamy dziś u Soliwody małe przyjęcie – dodał z uśmiechem. – Mamy nadzieję, że pani przyjdzie. Będzie okazja lepiej się zapoznać przed samym pożegnaniem, wypić brudersaft...

– Bardzo kusząca propozycja – mruknęłam i już chciałam uprzejmie odmówić, gdy nagle Sizwe wychylił głowę z kuchni Szarej i zapytał z tym swoim rozbajającym uśmiechem:

– Czy szarlatan też jest zaproszony?

Specjalista spłoszył jak wiśnia. Ekspert chrząknął i odwrócił wzrok – nagle zajęty swoim butem, a Znacznik zaczął się jąkać – zły na to, że odpowiedzialność za opinię ich trzech spadła nagle na niego.

– Cóż... nie będzie tam zbyt wiele miejsca... Nie jest to oczywiście żadna huczna impreza... No ale zaprosiliśmy paru znajomych z tej okolicy, więc myślę, że... przeciwwskazań nie ma.

– To świetnie! – Sizwe klasnął w dłonie. – Bardzo dziękuję za zaproszenie.

Mówiąc to, spojrzał na mnie.

– Ty też przyjdiesz, prawda?

Nie mogłam opanować śmiechu.

– No skoro to takie oficjalne pożegnanie trzech szanownych panów... nie mogłabym tego chyba opuścić.

Specjalista energicznie wstał od stołu – on najbardziej odczuł, że się z nich lekko pokpiwa.

– Doskonale zatem – rzucił sucho. – Proszę przyjść o dwudziestej. Będzie grill, piwo, wódka...

Umówiliśmy się z panią Szarą, aby dziś nie robiła w związku z tym kolacji.

Znacznik i Ekspert wstali w ślad za Specjalistą. Wszyscy trzej ukłonili się dyskretnie i odeszli.

Sizwe machnął do nich przyjaźnie, po czym uśmiechnął się rozbawiony w moją stronę.

– Chciałeś im trochę utrzyć nosa? – spytałam.

– Może odrobinę – odparł, pokazując dłonią gest, jakby chwycił właśnie szczyptę soli.

Zaśmiałam się ze zrozumieniem i machnęłam mu krótko na pożegnanie, gdy odwracał się, by otworzyć furtkę i opuścić podwórko Szarej.

Pomyślałam, że dziś czeka mnie sporo ciekawych spotkań jak na kogoś, kto „zaszył się na krańcu świata”, by pracować.

Sizwe już niemal zniknął z mojego pola widzenia, ale zdążyłam jeszcze zobaczyć, jak spotyka po drodze Laurę, która wracała skądś z kanką pełną mleka. Pисnęła z zadowoleniem, tak jak to czynią nastolatki na widok jakiejś gwiazdy, po czym rzuciła mu się na szyję i wskoczyła na niego, obejmując go nogami w pasie. Laura-dziecko. W pozie tej trwała ledwie dwie sekundy, sama reakcja zaś była

spontaniczna i zupełnie niewinna.

Laura zeskoczyła z Sizwe, który uśmiechał się teraz od ucha do ucha. Zamienili ledwie kilka zdań, Laura wskazała na kankę z mlekiem, wywracając oczyma i komentując krótko (zapewne Szara „kazała jej” pójść dokądś po to mleko i Laura właśnie narzekała na jej fanaberie). Sizwe przytaknął i również krótko skomentował, po czym pożegnał się z dziewczyną, głaszcząc ją lekko po głowie, jak małe dziecko.

Siedziałam wciąż przy ogrodowym stole, więc Laura, przeszedłszy przez furtkę, podbiegła do mnie uradowana.

– Poznała pani Sizwe? – spytała z uśmiechem.

– Tak, ale rozmawiałam z nim tylko przez chwilę.

– On jest super! Podobno chodził do szkoły gdzieś w Europie – chyba w Anglii, potem na studia przeniósł się do Stanów, wrócił na praktykę – najpierw do Anglii, potem do Francji, a potem do RPA.

Wie pani, że on mówi biegle chyba dziesięcioma językami?! W tym oczywiście językiem xhosa – swoim rodzimym.

– Nie sądzisz, że to bardzo ciekawe... że po takich doświadczeniach postanowił się osiedlić właśnie tutaj? – zainteresowałam się.

– No, to prawda. Nie wiadomo, co go tutaj ściągnęło, ale coś musi być, bo mieszka tu już od wielu lat. Właściwie odkąd pamiętam.

Ciekawe. Wygląda na jakieś trzydzieści–czterdzieści lat, nie więcej.

– To ile on ma lat, że już zdążył mieszkać, kształcić się i praktykować w tylu miejscach?

Laura uśmiechnęła się tajemniczo.

– Nikt tego nie wie! A babcia mówi, że z pewnością ma znacznie więcej lat, niż na to wygląda.

– Ciekawe... – mruknęłam zaintrygowana.

– No, ale on tutaj mieszka przez większość czasu, owszem, ale nie przez cały rok. Zawsze na początku zimy wyjeżdża i wraca dopiero na pierwszy dzień wiosny. A na letnie przesilenie (zawsze na letnie przesilenie!) wyjeżdża do swojego kraju i też tam załatwia jakieś sprawy.

– Bardzo intrygujący człowiek...

– I fajny! I... – Laura zawahała się. – Wie pani, że on ocalił Milenę?

W mojej głowie przeskoczył jakiś ważny trybik.

– Jak to?

Laura rozejrzała się spłoszona.

– No... Opowiem, jak będzie okazja, dobra? Obiecałam teraz pomóc babci, a to z Mileną i z Sizwe... i nie tylko z nimi... to jest dłuższa historia.

Przytaknęłam ze zrozumieniem, zbierając w sobie opanowanie dojrzałej osoby, by znaleźć siłę i nie uwiesić się na Laurze z błaganiem: „No poooooweeeeedz mi teraz, no powiedz – proszę, proszę, proszę, proszę!”.

Rozmowę przerwała nam Szara, wołając Laurę do kuchni i pytając, czy już całe mleko w kance zdążyło skwaśnieć przez ten czas, czy choćby kropelka jakimś cudem się uchowała.

Machnęłam do Laury i sama również odeszłam od stołu. Miałam na dzisiaj sporo planów, a ten rano jakoś tak szybko mi umknął... Może to przez pogodę, która nadeszła tego dnia, zmieniając wszystkich w zmęczone życiem, marudne istoty. Czułam się jak owad, na którego właśnie spadła kropla żywicy i który próbuje jeszcze jakoś się w tej mazi poruszać, ale idzie mu to opornie i opada z sił.

Poprzednie dni były ciepłe, wręcz upalne, ale towarzyszyła im delikatna bryza znad Jeziora Nowego, które miało rynnowe ukształtowanie i tym samym – działało jak tunel, przez który świeże powietrze docierało do wsi z lasu. Potem jednak zmienił się kierunek wiatru i jezioro przestało spełniać rolę lokalnego klimatyzatora. Spadł deszcz i trochę się ochłodziło, wiatr dalej wiał z tego samego kierunku. Przez to powietrze było zupełnie nieruchome, zdawało się martwe. Niebo pozbawione najmniejszej chmury dawało od samego rana znać, że to nie będzie lekki dzień – nawet dla takich miłośników słońca jak ja. Całkowicie bezwietrzna pogoda zwabiła już od samego ranka chmury – powtarzam: chmury much. Wśród nich pojawili się między innymi moi „ulubieńcy”, czyli gzy, które – jak informuje encyklopedia – reprezentują w istocie kilka gatunków owadów. Niektóre z nich nazywają się naprawdę ładnie. Na przykład: jusznic deszczowa. Choć nazwa wydaje mi się dość udana, domyślałam się, skąd mogła się wziąć. Jusznice zostały tak nazwane zapewne ze względu na to, że rozjuszały swoje ofiary szczególnie wtedy, gdy przychodził upalny, duszny dzień zapowiadający nadchodzącą burzę. W taki dzień wszystko, co żyje, poci się na potęgę i paruje.

A jusznice zacierają odnóża i kąsają wszystko, co podłeci.

Nie znoszę tych sprytnych owadów, ponieważ mam na nie uczulenie – każde ugryzienie kończy się opuchlizną na całą łydkę tudzież pośladek, rękę, pół pleców (i tak dalej), które utrzymuje się przez trzy tygodnie, a powoduje swędzenie i ból przez pół roku. Nie pomagają na to żadne leki antyalergiczne, żadne wapno czy domowe sposoby. Na uroczę jusznice zaś nie pomaga chyba nawet pakt z diabłem.

Było zatem parno i tak gorąco, że miałam mroczki przed oczami, mimo że nie wybiła jeszcze dziesiąta. Wzięłam długi, chłodny prysznic, zamknęłam okno w pokoju i wbrew głosowi rozsądku wybrałam się na rekonesans.

Spakowałam do plecaka lornetkę (zaraz przecież będę ją musiała oddać), wodę i notes wraz z piórem. Postanowiłam odwiedzić wzgórze Mileny.

Żałowałam swojej decyzji już po przekroczeniu progu domu. Było w nim odrobinę chłodniej niż na zewnątrz, ponieważ drzewa rosnące w ogrodzie Szarej osłaniały go przed słońcem. Opuściwszy ich kojący cień, poczułam, jakby ktoś mnie zdzielił obuchem po głowie – masy ciężkiego powietrza osiadły na moich barkach i próbowały przygnieść je do ziemi. Moja głowa stała się ciężka, jakbym niosła na niej kilkilitrowy dzban z wodą.

Opuściłam wieś w sposób komiczny dla obserwatora, tragiczny zaś dla mnie – umykając jak oszalała przed rojami much, jusznic i cholera wie czego tam jeszcze. Sama nie wiem, dlaczego tak bardzo się uparłam, żeby akurat tego dnia dotrzeć na wzgórze Mileny, skoro aura zdecydowanie nie sprzyjała wycieczkom, ale jakoś nie mogłam odpuścić. Już po chwili moje nogi zamieniły się w dwie spuchnięte, czerwone banie, ale brnęłam przed siebie, udając niezrażoną.

Dotarłam do stóp wzgórza i znowu nie mogłam się nadziwić jego ukształtowaniu... Cały teren dookoła był albo zupełnie płaski, albo pokryty maleńkimi pagórkami. Jedynie wzgórze Mileny było wysokie – zupełnie jakby nie powstało w sposób naturalny, lecz jakby ktoś je wzniósł siłami ludzkimi lub nadludzkimi. Ciekawa była też porastająca je roślinność, pojawiała się bowiem dopiero przy samym czubku wzgórza – krzewy i niskie drzewa okalały wzniesienie niczym korona. Na samym szczycie zaś rosło dodatkowo kilka wyższych drzew. Pozostała część wzgórza była gładka – pokryta jedynie trawą i dzikimi kwiatami.

Gdy zaczęłam się na nie wspinać, w oczach miałam łzy. Nie mogłam złapać tchu, a bólu, pieczenia i swędzenia po ugryzieniach oszalałych owadów nie dawało się już dłużej ignorować. Pomyślałam, że odpuszczę sobie dalszą wspinaczkę, obejrzę wzniesienie przez lornetkę i wrócę czym prędzej do domu Szarej, gdzie wezmę lodowaty prysznic.

Wtedy jednak zdarzyło się coś dziwnego... Zrobiłam kilka kroków i odkryłam, że na wzniesieniu

Mileny panuje zupełnie inny mikroklimat. Nie dawało się tego wytłumaczyć geograficznie czy posługując się meteorologią... Teoretycznie na szczycie wzgórza powinno mocniej wiać, jednak tego dnia wszystko zamarło.

A jednak wiatr nadszedł. Każdy kolejny krok dawał mi ukojenie. Powietrze było tu bardziej rześkie, chłodniejsze, ruchliwsze.

Z radością i ulgą wspinałam się, aż dotarłam do roślinnej korony, którą przed chwilą oglądałam z dołu. Ponad nią górował spory wierzchołek odsłoniętego szczytu. Stapałam po trawie, która zdawała się nierealnie miękka, a zarazem sprężysta. Słońce świeciło tutaj mocniej niż u stóp wzgórza, usiadłam więc w cieniu jednego z drzew, by się napić i odetchnąć chwilę po wspinaczkę. Pochylony pień drzewa okazał się idealnym oparciem dla moich pleców. Wyciągnęłam przed siebie nogi, oparłam łopatki o drzewo i z uczuciem ulgi wzięłam kilka łyków wody z butelki. Miejsce było naprawdę przepiękne. Korona z krzewów i mniejszych drzewek, którą niedawno minęłam, przywodziła na myśl granicę magicznej krainy. Właśnie do niej weszłam i od razu moją uwagę

zwrócił urok tego miejsca. Teren okalany przez koronę był dość spory, a zatem nie dawał

klaustrofobicznego odczucia. Jednak jego kulistość budziła dziwne skojarzenia. Przywodził na myśl planetę Małego Księcia lub wnętrze szklanej kuli, gdzie świat wydaje się w pewien sposób idealny, a zarazem nierzeczywisty. Czuło się, że to miejsce skrywa jakąś tajemnicę, której nie sposób zgłębić, będąc na zewnątrz. Gdyby się wyszło z domu Mileny i podążało tylko w jednym kierunku, żeby wrócić w to miejsce, trzeba by było iść jakieś czterdzieści minut. Jej świat był więc okrągły i do pewnego stopnia mogła – tak jak Mały Książę – uczestniczyć codziennie w kilku zachodach i wschodach słońca, przestawiając krzesło tak, by podążało za linią słońca. Przyglądając się tutejszym kwiatom, ptakom na drzewie, o które się wsparłam, owadom na źdźbłach trawy, szczególnie mocno odczuwało się, że wszystko tu jest cykliczne. Umiera, a potem odradza się – jak w każdym ekosystemie, lecz tutaj zdawało się to wszystko zachodzić szybciej, sprawniej. Przez głowę przeszła mi myśl, że samiec kapturki, która śpiewa nad moją głową, dochowuje się ze swoją partnerką dwóch jajek, z których wykluwa się on sam i ona – wciąż na nowo i wciąż na nowo.

W tym świecie rządziły reguły, które nasze ludzkie serca tak szybko i lekkomyślnie nazywają okrutnymi. Obserwują ból i śmierć, boją się ich i nazywają je złem lub odwracają wzrok. W naszym świecie – a w tym mikroświecie szczególnie – panuje tak wiele niespójności, których nie rozumiemy.

Pragniemy przecież wierzyć, że natura jest z zasady dobra, podobnie jak i my. Widząc więc cierpienie, chcemy je albo wytłumaczyć, albo sprawić, żeby przestało istnieć.

Ileż to dzieci wylało hektolitry łez, oglądając programy przyrodnicze, na których lampart zabija antylopę, a maleńkie gepardziątka giną zagryzione przez lwy... Mamy odwracają wtedy wzrok tych dzieci od niewygodnego bólu, bo przecież tak naprawdę same nie potrafią go wytłumaczyć. Lampart musi zabić antylopę, bo przecież w domku czekają na niego małe, głodne lamparciątka – mówi czasem mama do dziecka. Wtedy jego ból jest może trochę bardziej znośny, ale nadal trudno go zaakceptować. Natura nie jest ani dobra, ani zła. Ona po prostu jest. I opiera się na zasadzie:

„Wszystko, co otrzymałeś, będziesz kiedyś musiał oddać”. Każdą cząstkę energii, każdy atom swojego ciała. Jedno ginie, rodzi się nowe. Akceptacja tego porządku sprawia, że cenimy życie. To

jednak wcale nie osłabia bólu i cierpienia. Mam wrażenie, że do tego nie można się przyzwyczaić.

*

Z mojego miejsca odpoczynku widziałam już wyraźnie zagrodę Mileny. Wyglądała trochę jak makieta. Zabudowania przypominały klocki dla dziecka z zestawu „Mała farma” czy raczej „Samotna kobieta kochająca naturę”. I do tego kilka kóz pasących się na tej bujnej, zielonej trawie. Ogromne króliki i kury biegające samopas. Mała zagroda na lewo, ogródek z kwiatami na prawo. W centrum grządki z warzywami, które wyglądały jak z katalogu. Domek odmalowany, ale z lekko chwiejącym się dachem. Firanki w oknach, okiennice i kwiaty w donicach – tak bujne, że zdawało się, jakby to one chciały przejąć panowanie nad tym miejscem. Mileny nie widziałam. Z komina domku wydobywała

się strużka dymu, więc musiała coś gotować. Nagle dostrzegłam, że zza domu wybiegły trzy kundelki,

które obserwowałam przez lornetkę. Już wcześniej myślałam, że gdy tylko mnie wyczują, zapewne zaczną szczekać i zdradzą moją obecność. Wtedy po prostu powiem Milenie (tak sobie zaplanowałam), że postanowiłam się przejść po okolicy, jej wzgórze mnie zaintrygowało i oto jestem.

W zasadzie to prawda...

Ku mojemu zdziwieniu psiaki podniosły łebki – najpierw najmniejszy, potem dwa większe – powęszyły, spojrzały w moją stronę, po czym wróciły do zabawy. Ciekawe... ich zachowanie świadczyłoby o tym, że przywykły do częstych odwiedzin gości. Czemu jednak nie szczekały? Nawet jeśli ktoś się tutaj często zjawiał, mój zapach był przecież nowy, obcy.

Nagle zobaczyłam, jak jedno z okien otwiera się i wychyla się z niego smukła ręka. Jej właścicielka zamachnęła się i coś rzuciła. Jak na zawołanie zjawily się dwie wrony, które głośno skrzecząc, wylądowały nieopodal. Koślawo podskakując, podbiegły do resztek wyrzuconych przez Milenę, chwyciły je w dzioby i odfrunęły na pobliskie drzewo.

Dopiero teraz zauważyłam, że za domem Mileny – bliżej roślinnej korony znajdował się paśnik.

Karmidło zbito z kilku desek, a obok stała lizawka z solą. Żłób był teraz pusty – zapewne nie napełniała go latem, ale lizawka pozostała i widać było po jej kształcie, że jest chętnie i często odwiedzana. Przypomniały mi się obrazy Fridy Kahlo i pomyślałam, że ich kolory, przekaz i estetyka bardzo pasowały do tego miejsca, zupełnie jakby to właśnie je odzwierciedlały. Nie chodzi mi o te obrazy, na których Frida malowała stopy wystające z wanny czy kobietę dźgniętą wielokrotnie nożem we własnym łóżku, lecz o te autoportrety, na których wokół Kahlo były zwierzęta i rośliny. Te, które ukazywały bogactwo przyrody, jakim lubiła się otaczać. Pieski i małpki, które rozpieszczała jak dzieci, bo swoich mieć nie mogła. Ta mnogość zwierzaków zamieszkujących wzgórze Mileny i żyjących z nią w symbiozie bardzo mocno przypominała mi relację Fridy z jej własnymi pupilami.

Wtedy pomyślałam, że może dość już siedzenia pod drzewem i podglądania Mileny. Muszę zdecydować – albo zapukam do jej drzwi i się ujawnię, albo opuszczę jej wzgórze i pozwolę jej żyć tak, jak lubi – w spokoju i samotności.

Już miałam się podnosić, gdy nagle – po przeciwnej stronie wzgórza dostrzegłam jakiś ruch.

Psiaki również musiały go zwietrzyć, jednak zareagowały dokładnie tak samo jak na mój widok –

spojrzały w tamtą stronę, skupiły uwagę na kilka chwil, po czym wróciły do swoich zajęć. Tymczasem zza drugiej strony wzgórza ktoś nadchodził. Pomimo obojętności ubrany był w spodnie z długimi nogawkami i bluzę z kapturem. Słońce świeciło mi prosto w oczy, więc nie mogłam dostrzec wyraźnie jego twarzy. Z pewnością jednak był to mężczyzna. Jego twarz pokrywał czarny, gęsty zarost – tyle mogłam dojrzeć z tej odległości i przy tym świetle. Musiał być bardzo wysoki, potężnie zbudowany. Miał dość ciężkie, posuwiste ruchy, stąpał pewnie i spokojnie. Natychmiast przypomniał mi się mężczyzna znad jeziora – ten, który spotkał się na drugim brzegu ze

swoją kochanką. Nie mogłam mieć stuprocentowej pewności, że to on – ani wtedy, ani teraz nie widziałam go wyraźnie. A jednak jego budowa ciała i ruchy były na tyle charakterystyczne, że...

Zobaczyłam, jak drzwi od domu Mileny uchylają się i wychodzi z nich kobieca postać. Była zupełnie naga, a jej czarne włosy sięgały za pośladki. Jej skóra była opalona, bursztynowa, a postać smukła, z wydatnymi biodrami. Wypisz, wymaluj kobieta znad jeziora.

Pomyślałam, że należy dać tym ludziom trochę prywatności, i już chciałam czmychnąć na paluszkach, gdy nagle Milena odwróciła się w moją stronę. Po raz pierwszy ujrzałam jej twarz –

zrobiła na mnie takie wrażenie, że niemal wryło mnie w trawę. Wyglądała jak starsza, bardziej dojrzała, piękniejsza wersja Laury. Te same poważne, melancholijne oczy. Ten sam wyraz twarzy z potencjałem ukrytego w rysach dziecka, a zarazem wiecznej kobiety.

Milena odwróciła do mnie twarz – nasze spojrzenia spotkały się na parę sekund. Wtedy spuściła powieki, uniosła w moją stronę otwartą dłoń i wykonała nią krótki, delikatny ruch do przodu.

Wyglądało to trochę jak pozdrowienie, a trochę jakby chciała powiedzieć: „spokojnie”, a może: „zostań”.

Zastygłam w bezruchu. Milena odwróciła się ponownie w stronę mężczyzny, który z całą pewnością mnie nie dostrzegł. Zbliżali się teraz do siebie, a kiedy już znaleźli się na wyciągnięcie swoich ramion, on porwał ją na ręce, przewiesił przez ramię i zaniósł do domu na szczycie wzgórza.

Drzwi zatrzasnęły się za parą kochanków, a ja uznałam, że najwyższa pora wracać. Napiję się tylko przed męczącym powrotem do przedburzowej duchoty i ruszam. Oparłam głowę o pień

„mojego” drzewa, by wygodniej mi się piło. Woda była taka kojąca, taka przyjemna. Na wyciągnięcie ręki przebiegł samczyk kosa, który rozgarniał opadłe liście w poszukiwaniu owadów. Kilka oddechów i wracam...

Oczy kleiły mi się same, a powieki zdawały się coraz cięższe...

Sen 7

Wolne

Mi dostała swoje wzgórze.

Gdy TO nadchodziło z daleka i od dawna, Mi zawsze wiedziała. Z czasem zaczęła rozpoznawać wszystkie nadchodzące TO, zanim one same się pojawiły.

Najczęściej przychodził Sol, który uważał Mi za swoją własność. Ją oraz wszystko, co w sobie nosiła. Mi wychodziła przed dom na wzgórzu, zapuszczała palcami korzenie w ziemi i czuła – zaraz nadejdzie. Gdy przychodził – to akurat lubiła – czuła nawet strach. Zawsze czekała w napięciu, gdy słyszała, że nadchodzi. Kiedy stawał nad nią – taki wielki, roszczeniowy i pragnący – Mi miała

dreszcze.

Kiedy leżał przy niej, czuła ulgę, zadowolenie. Wyższość nad nim. Bliskość to jego zawsze pokonywała, nie ją, bo to on był bardziej wdzięczny.

Gdy odchodził, Mi odzyskiwała swobodę, ale zawsze czuła wtedy ból. Jakby wolność nie była darowana raz na zawsze. Wolność – tak samo jak oswojenie – postępuje powoli i trzeba się jej uczyć.

A każde nowe dotknięcie jest bolesne.

Kiedy Sol do niej przychodził, wrastał w Mi swoimi korzeniami. Zapuszczał pędy w jej sercu i w jej wnętrznościach – stawał się po części nią i dawał jej siebie. Mi nie chciałyby, żeby zostało tak na zawsze, ale gdy Sol odchodził, każdy najdrobniejszy pęd zapuszczony w jej sercu trzeba było wyrwać i Mi wyła z bólu, gdy razem z pędem wrywano jej kawałki ciała.

Potem zostawała sama. Rany się goiły, po pędach zostawały tylko blizny i Mi czuła się dobrze.

Chciała być sama i wolna. Chciała, żeby do niej przychodził i odchodził. Pragnęła słyszeć to dudnienie, gdy nadchodził, czuć strach, potem uniesienie, radość, dzikość, szczęście. Na końcu wyższość, spokój. I znowu ból, gdy odjeżdżał. Chciała tak, nie pragnęła nikogo innego. Do czasu.

Sol sapał jak zwierzę, ale Mi bardzo to lubiła. Gdy brał ją, był zwierzęciem, więc musiał sapać.

Lał strumienie potu i kochał mocno, wytrwale, strasznie. Nie zawsze brutalnie – wcale nie. Po prostu słuchał instynktu, a on podpowiadał mu, że Mi zwykle pragnie, by wytrząść z niej ludzkie przywary, lęki i zło. Chciała, żeby cała niepewność zniknęła z tym wytrzeszeniem i żeby w środku została tylko pustka.

Choć czasami, gdy Sol przychodził, Mi była puszysta, krucha i leciutka. Pragnęła tulenia, ocierania i lizania. A Sol dawał jej to – wcale nie zmuszał do czegoś, czego by nie chciała.

Pewnego wieczoru – gdy burza nadawała ich zbliżeniu sens, a wszystkim słowom, które padły – aurę wieczności, Mi powiedziała:

– Gdy zechcę, odejdę i już nie będzie nas. Będę ja i ty. Osobno.

– Nie – odparł krótko Sol.

Mi poczuła smak paniki głęboko, głęboko w gardle.

– Tak – powiedziała z naciskiem.

– Nie. Możesz nie chcieć mnie stale. Możesz nie chcieć tylko mnie. I ja się na to godzę. Ale ja ciebie chcę zawsze. Jesteś moja.

– Nie należę do nikogo! – warknęła Mi.

– Do mnie należysz – odpowiedział spokojnie. I ten spokój właśnie miał największą moc i budził największy strach Mi. – Możesz należeć też do innych. Ale to moja jesteś najbardziej. Moje jest wszystko, co jest tobą, i wszystko, co nosisz w sobie.

Mi wstała z posłania i odsunęła się do przeciwległego kąta sypialni, jak zaszczute zwierzę, które podpira się plecami o ścianę i gryzie na oślep.

– Ono nie jest twoje – powiedziała ze słodką rozkoszą, wskazując swój brzuch. – Nowe nie jest twoje!

– Jest – odparł spokojnie. – Wszystko, co masz, jest moje.

Mi-złękciona, Mi-zagubiona, Mi-ograbiona:

– Nie! Przecież wiesz, że Nowe nie może być twoje. Było tu, zanim się pojawiłeś.

– Nieważne. Tyle razy cię wziąłem, że całe twoje łono jest moje. Nowe też stało się moje. I ja będę o nim decydował. Znacznie bardziej niż o tobie, Mi. Ty możesz żyć, jak chcesz, byleś nie żyła źle.

Widuj, kogo chcesz, oddawaj się tym, których przyjmiesz. Twoje ciało – twoja wola. Ale Nowe jest moje. I będzie moje. Będzie żyło, jak ja chcę. Nowe będzie żyło tak, jak Nowe nakazuje.

Mi: ciemno, strasznie, głucho. Coś nadchodzi i kryć się, kryć się! Z daleka słysząc dudnienie i strach zre flaki od środka. Mi: nogi się trzęsą – uciekać, uciekać! Nigdy nie wrócić! Nie oglądać się.

Mi chwyciła się za wielki brzuch. Przerazona, jakby wokół niej wybuchł pożar. Nowe przecież zaraz wyjdzie. Tylko kilka dni – nie więcej. Mi musi uciekać, ma mało czasu. Nowe musi być wolne, musi robić, co chce, i unikać, czego nie chce. To jedno Mi jest mu winna. Nic więcej. Tylko to.

– Idź już – warknęła do Sola.

Ale Sol nie poszedł. Sol się nie przeląkł. Co więcej, Sol się uśmiechnął tak, jak kot uśmiecha się do myszy.

– Nie próbuj uciekać – powiedział, patrząc na stopy Mi.

One już biegły. Już stukały o ziemię. Porzuciły korzenie, które zapuszczały we wzgórze, porzuciły ciepły ogień, trawę w tym miękkim miejscu, po którym kochały stąpać. Stopy Mi już uciekały.

– Zrobię, co zechcę – syknęła Mi.

– Tak – co zechcesz. Ale nie to, na co ja ci nie pozwolę.

Mi podniosła rękę i zamachnęła się z całej siły na Sola. Trzasnęła po zaroście – dłoń boleśnie ją

piekła. Nic. Sol nawet nie mrugnęła. Zamachnęła się znowu – trzasnęła mocniej. Znowu i znowu – po głowie, po kudłach zmierzwionych wiatrem i deszczem. Po plecach dźwigających piętna, ciężary i ciosy. Po rękach zabijających i wskazujących winnych. Nic, nic, nic. Sol nawet nie drgnęła.

– Jeśli uciekniesz – powiedział ze smutkiem, ale takim, że Mi nie wątpiła w jego słowa – jeśli uciekniesz, przysięgam na wszystko, co Nowe i stare – zabiję Sza. Zabiję wszystkich, których znałaś.

Zabiję każdego, kto odwiedził wasz dom. Spalę wszystkie domy, w których mieszka ktokolwiek, kto zna wasze imię. Uwierz, Mi. Zrobię to.

– Nie odważysz się! – wrzasnęła z płaczem. Odważy się – wiedziała to. – Nie wierzę ci! – warczała i pluła. Ale wierzyła. – Nienawidzę cię! – syczała i przeklinała. Ale go nie nienawidziła. Bo był taki jak ona, tylko odwrotny. Ona chciała wszystko uwolnić, a on zniewolić. A przecież wschód nie może naprawdę nienawidzić zachodu, bo wzajemnie zależą od siebie.

– Nowe należy do Nowego – powiedział znowu. – A ja powstrzymam każdego, kto sądzi inaczej.

Nawet ciebie, Mi. A może ciebie najbardziej.

– Oby Nowe było martwe! – wrzasnęła Mi.

Teraz to Sol się zamachnęła. Mi nawet nie zauważyła, co zrobił. Poczowała najpierw coś ciężkiego na twarzy, potem smak krwi, a dopiero na końcu ból. Podparła się rękoma o ziemię. Upadła. Biła pięściami pod sobą i w siebie.

Sol położył ją na posłaniu.

– Leż tak. Będiesz wolna. Będiesz przyjmować, kogo zechcesz i jak zechcesz. Nie zabronię ci.

Nic mi nie musisz obiecywać. Zostaniesz na swoim wzgórzu i nikt ci niczego nie rozkaże. Nawet ja.

Jedyne, czego nie możesz, to uciec. Jedyne, co musisz mi dać, to Nowe.

– Wyjdź.

Sol wstał.

– Wynocha!

– Wróć. A ty przemyśl wszystko.

– Won!

Wyszedł.

Co robić?! Co-robić?! Corobić, corobić?! Corobićcorobićcorobić?! – myślała gorączkowo Mi.

Miała mało czasu. Nowe zaraz będzie. Nowe zaraz przyjdzie. Nie będzie czekać, a Sol nie zmieni zdania.

– Nowe musi być wolne. Nowe musi nie musieć. Nowe musi chcieć, co chce, i nie musieć, czego

nie pragnie – powtarzała Mi. Przypomniała sobie starą matkę. Przypomniała sobie, jak stara rzucała miskami i rozbijała je w drobny pył. Nowe. Lepiej, żeby go nie było, niż żeby mu kazano. Nowe.

Lepiej, żeby nie żyło, niż żeby musiało.

Na ciało Mi wystąpiły poty, twarz Mi poczerwieniała. Oczy rozbiegły się, zęby szczękały. Mi

dostała gorączki, jęczała w amoku, rzucała się na ściany, na podłogę, na wielki brzuch. Ciskała ciosami we wszystko, co znalazła pod ręką – w dom i w podłogę, w siebie i w Nowe. Zabić się może.

Zabić siebie i Nowe. Jak stara matka. Ale ona była stara. Czekwała na śmierć. A Nowe... Mi jest mu winna życie, skoro już powstało. To nie Nowe chciało się pojawić. To Mi to sprawiła. Jest mu winna życie.

Ale jest mu też winna wolność.

Nieżywe Nowe będzie przynajmniej wolne.

Tak. Wolne.

Rozdział 8

Słońce raziło mnie w oczy tym charakterystycznym kolorem, którego nabiera światło tuż przed zachodem. Rozchyliłam powieki. U moich kolan spał spokojnie zwinięty w kłębek najmniejszy z psiaków Mileny. Bardzo estetycznie skundlony pudelek, który wyglądał teraz jak mały, czarny baranek. Kiedy zobaczył, że się obudziłam, podniósł łeb, ziewnął, otwierając szeroko pysk, i zabawnie się przeciągnął. Po chwili wstał i pobiegnął lekkim, psim truchtem w stronę szczytu wzgórza.

Zdezorientowana swoją niespodziewaną drzemką, zachowaniem psiaka i w ogóle całą tą sytuacją,

zaśmiałam się sama do siebie. Uniosłam głowę, by spojrzeć na dom Mileny, i ku wielkiemu zdziwieniu odkryłam, że ta wychyla się z okna i patrzy w moją stronę. Nie było w tym spojrzeniu żadnego przesłania ani nawet chęci nawiązania kontaktu. Po prostu – obserwowała mnie tak, jak obserwuje się kota przechodzącego przez ogródek albo ptaka lądującego na parapecie. Z pewną dozą ciekawości, bez oczekiwań. Obserwowała mnie zatem niczym element przyrody, który pojawił się na jej wzgórzu i zaraz je opuści.

Nasze spojrzenia znowu się spotkały, a jej poważne oczy (tak podobne do oczu Laury!) błysnęły w moją stronę jakimś cieniem uśmiechu. Tym razem to ja uniosłam otwartą dłoń i wykonałam ten sam gest, co Milena wcześniej.

A potem wstałam i zesłam powoli z jej magicznego wzgórza – wprost w duszny, pełen chaosu świat rozciągający się u jego stóp.

*

Dopiero gdy wróciłam na rogatki wsi, zorientowałam się, że po pierwsze – jestem głodna, a po drugie

– musi być już na tyle późno, że przyjęcie organizowane przez „trzech króli” (jak nazwałam ich teraz w myślach) już się rozpoczęło.

Ruszyłam różnym krokiem w stronę domu Szarej. Po tej oblepiającej wycieczce chciałam się chociaż trochę odświeżyć, nim spotkam się z tutejszą śmietanką towarzyską.

W domu nikogo nie było. Wbiegłam więc kilkoma susami na piętro – tak jak to czyniła zwykle Laura, wzięłam szybki prysznic i przebrałam się. Miałam nadzieję, że na tym jakże wystawnym przyjęciu nie obowiązują stroje wieczorowe. Ja w każdym razie takich tutaj nie miałam. Ubrałam się w czarną bluzkę i džinsy – szczyt elegancji. Wycisnęłam resztki wody z włosów i ruszyłam do domu

Soliwody.

Już z daleka dotarła do mnie dość przyjemna woń dymu i pieczonych potraw oraz odgłosy rozmów. Na miejscu odkryłam z zadowoleniem, że zamiast grilla zdecydowano się na ognisko. Na tyłach domu Soliwody rozciągał się znacznie większy plac niż u Szarej; poza tym było tu palenisko, rozłożono ogromny parasol, ustawiono stoliki i plastikowe krzesła. Na środku terenu znajdował się stawek z umieszczoną centralnie fontanną: klasyczny nagi chłopczyk, który jednak był na tyle uprzejmy, by nie siusiać wprost do wody. W dłoniach trzymał ogromną rybę, która pluła wodą nieprzerwanym strumieniem. Nie przepadam za takimi obiektami. Jakkolwiek uwielbiam wodę i wszystko, co z nią związane, mam od dzieciństwa takie dziwne przeświadczenie, że zbiornik wodny, w którym nie można się wykąpać, jest swego rodzaju oszustwem, które drażni moje zmysły. Stawek Soliwody był dość spory, a mimo to nie mógł przecież służyć za basen. No chyba że... noc jeszcze młoda.

Miałam świetny humor, mimo że na stołach dostrzegłam kilka flaszek wódki, która zawsze wywołuje u mnie pewien niepokój.

Na moje przywitanie wypłynęli (bo już chyba mieli na czym płynąć) Znacze w asyście Specjalisty.

– Nasza pani pisarka! – krzyknął jowialnie Znacze. – Już się baliśmy, że pani nie przyjdzie.

– Widzę, że znaleźliście sposób, by ukoić ten strach – odparłam żartobliwie.

– Utopmy smutki w kieliszku wódki – zanucił Specjalista, który zdawał się trzymać trochę gorzej niż kolega.

– Czy poznała już pani naszego gospodarza? – spytał Znacze.

Nie, uświadomiłam sobie ciekawą rzecz – nie tylko nie poznałam dotychczas Soliwody, ale też ani

razu nie widziałam go na oczy. Wyobrażałam sobie jednak, jak może wyglądać. Pewnie zaraz podejdzie do mnie w jasnej koszuli w paski lub pastelową kratę – z luźnymi rękawami do łokci.

Kołnierzyk będzie miał już rozpięty na dwa lub trzy guziczki, dzięki czemu moim oczom ukaże się okazały, owłosiony tors, na którym zalśni jakiś złoty łańcuszek – prawdopodobnie z Matką Boską.

Sołtys wyciągnie ku mnie opaloną, zaokrągloną tradycyjnymi obiadami rękę (może na najmniejszym palcu zobaczę jakiś złoty sygnet?). Pochwyci moją dłoń i ku mojemu zażenowaniu i niechęci usadzi na niej całus powitalny. Jego twarz będzie lekko rumiana i łagodna, ale oczy dość przebiegłe, by obserwować wszystko, co się dzieje.

„Typowy sołtys” był już niemal gotowy – stanął przede mną niemal jak żywy; dodałam jeszcze do jego stroju jasne, lniane spodnie i letnie mokasyny.

– Witam – usłyszałam jednak i powołany przeze mnie do życia sołtys rozpiął się jak mgła.

W jej oparach stał teraz człowiek, którego nigdy w życiu nie posądzałam o pełnienie tej funkcji.

Był niemal tak wysoki jak Sizwe, ale znacznie od niego potężniejszy. Przywodził na myśl

czarnego niedźwiedzia stojącego na dwóch łapach, lecz nie było w nim ani grama otyłości. Solidna konstrukcja kośćca zdawała się nosić na sobie tylko potężne mięśnie. Twarz miał zarośniętą czarną szczecina. Tak idealnie pasował do rysopisu człowieka, którego obserwowałam tego popołudnia u Mileny, że na moment zaniemówiłam. Wtedy nie widziałam dokładnie jego twarzy, a zatem pewności nie było. Ale jego ruchy, postura, gesty... Wszystko to pasowało jak ulał.

Dopiero po chwili odwzajemniłam uścisk dłoni, którym mnie przywitał, i bąknęłam:

– Dobry wieczór, bardzo mi miło.

Oczy tego człowieka zdawały się dzikie, nieujarzmione. Białka były lekko zaczerwienione, a tęczęwki miały odcień głębokiego brązu. Takie oczy należą do zdobywcy, a nie do posiadacza. Do przywódcy barbarzyńców, a nie do zwierzchnika wsi.

Przyglądał mi się przez chwilę, jakby chcąc ocenić moją rolę na świecie na podstawie wyglądu.

Podobnie jak uczyniłam to ja – przed chwilą.

– Sołtys był tak miły, że sam zorganizował to wszystko – bełkotał Znamca. – Jedzenie, stoliki, ognisko, nawet wódkę.

– To bardzo miło z pana strony. – Uśmiechnęłam się.

– Żaden problem – powiedział krótko i z powagą.

Wydawał się bardzo pewny siebie, ale jakby przytłoczony problemami. Nie zawracał sobie głowy

paplaniem o głupotach ani recytowaniem uprzejmościowych formułek.

– Bawcie się dobrze – powiedział Soliwoda, po czym pochylił lekko głowę w geście pożegnania i się oddalił.

– Świetny gość – zauważył Specjalista. – Tylko trochę mruk.

– No już. – Znawca klasnął w dłonie. – Czas się napić! My dzisiaj postanowiliśmy panią upić.

– To wspaniale – mruknęłam.

Rozglądałam się za kimś znajomym – szukałam Laury, Sizwe albo nawet Szarej. Gości z przyjęcia znałam jedynie z widzenia. Mijałam się z nimi co dzień – wieś była przecież niewielka –

i wymienialiśmy przywitania, ale to wszystko.

Dopiero kiedy butelka ciepłej wódki zawisała nad moim kieliszkiem jak groźba, dostrzegłam wybawienie. Nadeszło od strony furki, miało szeroki uśmiech od ucha do ucha i dzierżyło w dłoniach parującą chłodem butelkę napoju i miskę sałatki.

– Sizwe! – Uśmiechnęłam się.

Podszedł do nas (ku pewnemu niezadowoleniu Znawcy i Specjalisty), wyciągając przed siebie butelę, na której osadziły się kropelki wilgoci.

– Mam tu coś lepszego. – Zaśmiał się, spoglądając na ciepłą wódkę. – Jabłecznik. I sałatka.

– Pierwszy raz widzę, żeby facet przygotował sałatkę na ognisko – zauważyłam, zadowolona z jego towarzystwa.

– Pierwszy raz widzisz? No to jeszcze pierwszy raz spróbuj.

Nałożył mi porcję, potem sobie, nad Znawcą i Specjalistą zawisł z łyżką sałatki, ale oni machnęli niechętnie głowami. Po chwili jednak rozchmurzyli się nieco. Sizwe opowiadał o tutejszych wilkach, o których również oni sporo wiedzieli, a ponieważ znaleźli słuchacza, który zaczął okazywać im zainteresowanie, rozmowa po jakimś czasie zaczęła się nawet kleić.

Jedliśmy, piliśmy, gawędziliśmy o głupotkach. Wypiłam te nieszczęsne bruderszafty zarówno ze Znawcą, Specjalistą, jak i Ekspertem – z każdym z osobna.

Ściemniło się, ale ognisko i liczne latarenki powtykane to tu, to tam dawały razem wystarczająco dużo światła, by wszyscy się widzieli. Byłam już nieco ululana jabłecznikiem Sizwe, więc całe to podwórko jawiło mi się jak tajemnicza scena, na której toczy się kilka spektakli naraz. Gdzieś za kulisami przemykał co jakiś czas samotny Soliwoda, który donosił kolejne talerze i butelki, a wynosił puste szkło.

– Sołtys mieszka sam? – spytałam Sizwe. Zwykle to żony czują się w obowiązku dogadzania gościom i donoszenia coraz to nowych porcji jedzenia i picia, a tymczasem tutaj nikogo takiego nie widziałam.

– Tak, tutaj tak – odparł, spoglądając na niego.

– Co masz na myśli, mówiąc „tutaj”?

– W tym domu. Ma jeszcze jeden dom, w którym mieszka jego rodzina. Żona i dzieci. Ten z czerwonej cegły, niedaleko kościoła, wiesz który?

Wiedziałam.

– Dlaczego nie mieszka ze swoją rodziną?

Sizwe uśmiechnął się.

– Czasem mieszka. Głównie zimą. A na lato i wiosnę wyprowadza się tutaj.

– Czemu nie mieszka z rodziną przez cały rok?

Westchnął tak, jakby za dużo było opowiadać.

– Powiedzmy, że ceni sobie prywatność. Oficjalna przyczyna jest taka, że ten dom przeznaczony jest do wynajmowania pokoi, więc Soliwoda mieszka w jednym z nich, bo tak mu łatwiej pilnować interesu. Ale tak naprawdę ma ledwie dwa–trzy pokoje pod wynajem.

– To co robi w pozostałych pokojach? – spytałam, szacując, że ma ich jeszcze sporo. Dom był naprawdę duży.

– Mówiłem ci już, że ceni sobie prywatność... – odparł Sizwe dziwnym tonem.

Zamyśliłam się.

– To ciekawe. Zwykle na sołtysa wybiera się kogoś takiego... wiesz... bardzo kontaktowego, kto lubi przebywać z ludźmi i tak dalej.

Sizwe zaśmiał się z nutą cynizmu.

– Ależ on jest bardzo kontaktowy. Raz w tygodniu urządza w tych pokojach takie orgietki, że oko bieleje.

– Co masz na myśli? – zainteresowałam się.

Sizwe rozejrzał się dookoła, jakby chciał się upewnić, że nikt nas nie podsłuchuje.

– Mam na myśli grupę dorosłych ludzi, którzy chcą się bawić w niekonwencjonalny sposób.

Westchnęłam ciężko. Domyślałam się oczywiście, o co mu chodzi, ale chciałam, żeby nazwał sprawy po imieniu.

– Można jaśniej? – prychnęłam.

– Sex, drugs and rock & roll. Czy to wystarczająco jasne? – spytał, patrząc mi w oczy.

– Tak. – Uśmiechnęłam się sceptycznie. – Wystarczająco.

Nie mogłam ogarnąć tej sytuacji. Czułam, że czegoś brakuje w tej historii, jakiegoś istotnego szczegółu...

– Czy wszyscy wiedzą o tych orgietkach? – Ugryzłam temat od tej strony.

– Wiedzą, ale udają, że nie widzą.

– Ale godzą się na to? Skoro udają, że nie widzą, to znaczy, że im się to nie podoba. W takim razie dlaczego Soliwoda jest sołtysem? Przecież to ludzie go wybierają.

Sizwe zaśmiał się, jakby miał właśnie do czynienia z największym przykładem naiwności od czasów historii o lisie Witalisie, który obdarował wszystkie zwierzęta w lesie kotletami ze śniegu.

– Bo to urodzony przywódca. Jest bardzo silny – odparł.

– Jaką siłę masz na myśli? Fizyczną? Duchową? – drażyłam upierdliwie.

– Każdy rodzaj. – Spojrzał na mnie z powagą. – Soliwoda zjawił się we wsi szesnaście lat temu.

Znikąd. Nikt go nie znał, nikt go wcześniej nie widział. Przyniósł za sobą władzę, pieniądze i dziwne układy, których nikt do końca nie rozumiał. Natychmiast stało się jasne, że to on będzie tu teraz przewodził. Zanim tu przybył, wieś była zapuszczona. Po jego przyjeździe wszystko się zmieniło.

Utwardził drogi, wyremontował sklep, wybudował kościół, świetlicę i remizę. Postawił przystanek autobusowy – wcześniej żaden pekaes tu nie zajeżdżał. Wybudował bibliotekę i sprowadził

bibliotekarza z miasta. Sprowadził też strażaków, księdza i weterynarza...

– Masz na myśli... siebie? – spytałam z niedowierzaniem.

– Tak. Mam na myśli właśnie siebie. To Soliwoda mnie znalazł i to on mnie zatrudnił.

Skończyłem właśnie staż w Eskultor i zastanawiałem się, co chciałbym robić. Miałem ochotę na jakąś odmianę, na coś innego niż szum miasta i ciągły gwar. Nagle – jakby wyskoczył spod ziemi specjalnie na moje zawołanie – zjawił się przede mną Soliwoda. Znalazł mnie w knajpie. Jest takie miejsce w Eskultor, w którym lubiłem przesiadywać, gdy nasza mnie ochota na przemyślenia. Knajpa nazywała się „Uszy Jamnika” i panował w niej klimat sprzyjający zadumie. Siedziałem tam w

oparach dymu, trzymając w dłoni kolejny kufel piwa. Nie miałem pomysłu, co ze sobą zrobić. W mojej głowie

zaświtał nawet pomysł, by wrócić na jakiś czas do kraju, gdy nagle... W progu knajpy pojawił się Soliwoda. Dzwonek zawieszony we framudze oznajmił jego wejście. Soliwoda był tak ogromny, że wypełniał niemal całą futrynę. Bez wstępów i wahania dosiadł się do mnie. Zapytał, czy jestem weterynarzem. Powiedziałem, że tak. Spytał, czy znam się na farmakologii, na leczeniu ziołami, czy potrafię sam wytwarzać leki i tak dalej. Potwierdziłem. Bez zbędnych ceregieli zaproponował mi pracę w Tym Nowym. Mówił o tej wsi jak o swojej własności, jak o włościach, które wybudował specjalnie po to, abym mógł do nich wyjechać i rozpocząć tam pracę. Powiedział też coś dziwnego – że ceni sobie przede wszystkim dyskrecję i że nie jest szczególnym miłośnikiem litery prawa.

Zapytałem go, skąd się o mnie dowiedział – jak zgadł, że jestem lekarzem weterynarii, skąd wiedział, że będę w tej knajpie. Odpowiedział krótko, że szuka dobrego specjalisty i wie, że za takiego mnie może uważać. Dodał, że „zasięgnął języka” w mojej sprawie i stąd o mnie wie. Nic więcej.

Zgodziłem się od razu. Miał taki dar przekonywania, że nawet do głowy mi nie przyszło, żeby mu odmówić. Zdawało mi się, że złapałem Boga za nogi, że ta oferta to spełnienie moich marzeń.

Powiedział, że zaczynam pracę następnego dnia. Zdziwiłem się, ale przystałem na to. Miałem stawić się w umówionym miejscu o piątej rano. Sądziłem, że zajedzie po mnie samochodem, a on tymczasem wynajął cały autobus. W środku czekali już bibliotekarz, dwóch strażaków i ksiądz. Cała ekipa. Zapakował nas do autobusu jak osadników, którzy mają zasiedlić bezludną wyspę. Masa pytań rodziła się w mojej głowie – zastanawiałem się, co ten człowiek planuje, co ukrywa i dlaczego płaci tak dobrze. Nie mogłem się jednak doszukać żadnego haczyka. Wszyscy pasażerowie autokaru zostali zwerbowani podobnie jak ja. Byli po prostu kimś z zewnątrz – bez układów, bez znajomości, a zarazem znali się na swojej robocie.

Zastanawiałem się, jak silnie ugruntowana musi być pozycja Soliwody w tej wsi, że zdecydował

się na taki krok... Jakież było moje zdziwienie, gdy po przyjechaniu na miejsce okazało się, że i jego nikt tutaj nie zna. On po prostu znalazł tę wieś i postanowił się tutaj osiedlić. Wziął ją w posiadanie razem ze swoją ekipą specjalistów, takich jak ja. Kupił największą ruinę we wsi i wyremontował ją tak, że do dziś nękają go agenci nieruchomości chcący kupić ten dom, mimo że znajduje się na kompletnym zadupiu. Drugi dom zbudował sam. Już w pierwszym roku został wybrany na sołtysa, a za wszystkie remonty, które przeprowadził we wsi, zapłacił... z własnych pieniędzy. Trudno powiedzieć, czy ludzie się go z początku bali, czy czuli wobec niego respekt. A może po prostu wyczuwali w nim urodzonego przywódcę, który w naturalny sposób obejmuje władzę nad ludźmi i ziemią. Nikt nie wiedział, skąd Soliwoda ma tyle pieniędzy, ani w ogóle kim jest. Wiadomo było tylko, że prowadzi jakieś szemrane interesy, że jego wpływy sięgają dużo dalej niż tylko do granic Tego Nowego.

– O jakich szemraniach interesach mówisz? Mówmy wprost, Sizwe.

Wzruszył ramionami.

– A bo ja wiem? Myślisz, że Soliwoda kogokolwiek wtajemniczył?

Parsknęłam.

– Przestań. Zapewne się domyślasz.

– Owszem – przytaknął – każdy wiedział, że Soliwoda ma coś wspólnego z nielegalnym pędzeniem bimbru na skalę przemysłową. Każdy wiedział, że ma jakiś związek z handlem prochami, ale nikt nie znał szczegółów.

– Wspaniały sołtys – mruknęłam. – Zbudował biblioteki i kościoły z pieniędzy zarobionych na dilerce.

– Nie do końca. Nikt nie wie, skąd dokładnie brał pieniądze. Są tacy, którzy twierdzili, że pochodzi z obrzydliwie bogatej rodziny i po tym, jak jego ojciec odszedł z tego świata, postanowił wykorzystać pieniądze, „kupując sobie wieś”. Zresztą teraz to już nie ma żadnego znaczenia.

– Dlaczego?

– Nawet jeśli kiedyś zajmował się handelkiem, dziś jest już uczciwym przedsiębiorcą. Ma udziały w kilku większych firmach w Eskultor, gra na giełdzie, trochę uprawia hazard. Nic nielegalnego, nic naganego.

– Ale sam przyznałeś, że orgietki nadal urzęduje...?

Sizwe wzruszył ramionami.

– Jest dorosły. Podobnie jak wszyscy, którzy przyjeżdżają do niego na te „spotkania”. Biorą, co chcą, piją to, na co mają ochotę.

Nagle przypomniała mi się scena, którą widziałam dziś na wzgórzu Mileny.

– Czy... Milena też bierze udział w tych „spotkaniach”?

Sizwe zaśmiał się smutno.

– Milena to osobny rozdział.

– Co masz na myśli?

Pociągnął solidnego łyka. Spojrzał na mnie poważnie.

– Milena mieszka w domu, który wybudował specjalnie dla niej Soliwoda. Na wzgórzu zagospodarowanym dla niej przez Soliwodę. I owszem, uczestniczy w regularnych „spotkaniach”

z Soliwodą. Ale są to raczej wizyty indywidualne, a nie grupowe, jeśli wiesz, o co mi chodzi. Milena i Soliwoda urządzają sobie prywatne „imprezy”. A przynajmniej kiedyś tak było. Czas wszystko zmienia...

Nagle usłyszeliśmy stłumione chichoty, szepty; ktoś się potknął, ktoś parsknął. Za nami rozciągał się ogromny żywopłot Soliwody. Odwróciłam się, gałęzie żywopłotu poruszyły się i z zielonej czeluści wyłoniła się Laura z jakimś starszym chłopakiem. Miała rumieńce i była rozchichotana.

Sizwe spojrzał na mnie uspokajająco:

– Całowali się. W zasadzie tylko tyle. A wcześniej podebrali mi butelkę jabłecznika. Zaraz im przejdzie – on działa krótko i schodzi z głowy bez bólu.

– Czy ty masz oczy dookoła głowy? – Zaśmiałam się.

– Tak – odparł poważnie.

Laura zerknęła na nas krótko – lekko zmieszana, ale też rozweselona. Pociągnęła chłopaka za rękę i siadła z nim przy ognisku. Wtuleni w siebie spędzili tam resztę imprezy – kołysząc się delikatnie na boki w takt piosenki, którą ktoś śpiewał przy akompaniamencie gitary.

– Sizwe... Czy Laura jest...?

Podążył za moim wzrokiem. Patrzyłam właśnie, jak Soliwoda wnosi kolejne butelki i jak usadza pijanego w pień Znacwę na jednym z plastikowych krzeseł.

– Nie. – Pokręcił głową. – On nie jest ojcem Laury.

– A wiesz, kto nim jest?

– Ja wiem wszystko. – Zaśmiał się. – Byłem przy tym, jak Laura przychodziła na świat. I osobiście oddawałem ją do rąk jej ojca. Nie jest stąd.

Przypomniała mi się legenda opowiadana przez Laurę. Próbowałam teraz połączyć to wszystko w całość – historię rodu Laury, opowieść Sizwe. Majaki legendy i więzy pokrewieństwa.

Rozmawiałam z Sizwe, aż dopaliło się ognisko. Uczestnicy przyjęcia albo rozeszli się do domów, albo posnęli tam, gdzie byli. Sizwe ułożył wygodnie na trawie chłopaka Laury, a później wziął ją na rękę.

Odprowadził nas do domu Szarej: Laurę-dziecko i mnie – idącą o własnych siłach, ale tak przejętą usłyszaną historią, że potykającą się o najdrobniejszy kamyk.

Ułożyliśmy Laurę na łóżku w jej pokoju. Podziękowałam Sizwe za wszystko i opadłam na swoją

pościel.

– Dobranoc, duchy – szepnęłam do mieszkańców tego pokoju, przytuliłam do siebie czarno-rudą

Kicię i zasnęłam.

Sen 8

Do La

W sercu lasu – tam, gdzie bieg zaczynają strumienie, gdzie rodzą się młode zwierzęta i gdzie owady rosną wielkie jak pięści – żyła dzika bestia. Tak mówiły legendy zwierząt. Bo leśne zwierzęta mają swoje legendy, choć ich nie opowiadają. Mają swoje baśnie, choć ich nie powtarzają. I mają przesady, chociaż w nic nie wierzą.

Ich legendy: inny zapach – zło, zło i nieznanne.

Ich opowieści: tamten kształt – obce chwytą. Tamten szelest – uciekać, nie pytać.

Ich przesady: gdzie nienasikane, gdzie niezaznaczone – nie chodzić – nie sprawdzać.

Bestia w sercu lasu była jedną z legend. Pojawiła się niedawno. Był jeden miot. Wcześniej gody.

Wcześniej NIC zimowe. I znowu miot i wcześniej gody. Wtedy się właśnie pojawiła bestia. Zajęła serce lasu, ale pozwala przychodzić. Najpierw strach był bestii. Potem oswojenie. Bestia coś tam zabijała, kogoś tam jadła. Ale to jak zawsze w lesie. I poza tym nic złego.

Mimo że tyle już w lesie mieszkała, dalej śmierdziała. Dzik nie śmierdzi, sarna nie śmierdzi, wilk nawet nie śmierdzi, choć śmierci. A bestia śmierdziała. I śmierdzieć będzie zawsze.

Siedziała cicho i niedużo łąziła. Czasem coś warczała czy pomrukiwała. Ale rzadko.

Spała, siedziała, chodziła. Jak każdy. Piła, jadła, biegała. Też jak każdy. Tylko w księżycowe noce zwierzęta bardzo bały się bestii. Wtedy nigdy nie zostawały w sercu lasu. Bo bestia wtedy jęczała, skakała, warczała czy pluła. Tak robiła, jak zwierzęta nie robią.

Czasami odchodziła na trochę, ale potem wracała. Poza jednym razem.

Bestia obudziła się zaraz przed świtem. Powęszyła, powęszyła i już wiedziała. Będzie burza. Ale straszna. Pioruny – nic. Wichura – nic. Grad nawet wiosenno-letni – nic. Ale błyski. Będzie tak w nocy, jakby to był dzień – pomyślała bestia. I to będzie straszne.

Ale węszyła dalej. Bo bestia czuła coś jeszcze większego. Coś jeszcze gorszego, a może straszniejszego. Czuła pot, czuła krew, czuła łzy.

Strach czyjs tak paniczny, że chce się uciec dalej, niż się widzi.

I potem takie tchnienie lekkie, że znika lęk, spada ciężar z serca. A zostaje pewność tak przejrzysta, że przez nią wszystko zdaje się oczywiste. Zdecydowanie tak jasne, że może oświetlić wszystkie zakamarki strachu. Pójdzie, nadejdzie. Ocali. Weźmie, co jej, i zniknie.

Więc biegła bestia. Przed burzą, przed deszczem. Byle nie za późno, oby nie za wcześniej. Bestia z powiewem wiatru pędzi szybciej. Pomaga bestii mech – nasuwa się miękko przed jej stopy.

Pomagają konary – usuwając się spod jej kroków. Małe drzewka i krzewy schodzą z drogi, którą biegnie bestia – odgarniają gałęzie, zatrzymują pędy wzrostu. Wielkie drzewa przesunąć się nie mogą, ale prostują konary i wpuszczają słońce – niech bestia widzi, gdzie biegnie. Niech patrzy jasno.

Chciała do domów, do ludzi. Ale nie. To nie tam. Na wzgórze – oddalone i ciemne, a smagane wiatrami tak, że tej nocy ledwo ustoi na miejscu.

Bestia dobiega pod wzgórze – trzask: lunął deszcz.

Słyszy nagły skowyt. I rwanie ciała. Nie, wydaje się bestii. Nie słyszy tego przecież. Dopiero ma to usłyszeć.

Huk. Burza.

Bestia wspina się pod wzgórze – na nim stoi mały domek. A bestia wie – czuje, odkrywa, doznaje – że tam w środku jest jakaś jej część. Nigdy się z tą częścią nie połączy i nigdy nie będą całością.

Ale jednak jest to jej część i bestia nagle odczuwa ból jej braku.

Podchodzi do drzwi – zapomina, że to łagodnie trzeba: tu popchnąć, tam pociągnąć, wcześniej postukać. Włazi jak lis do gniazda: bum-bum!

W środku: posłanie, krew, krew, miazga. I teraz dopiero: skowyt, rwanie ciała.

Kobieta, która się w te płyny zamienia, z nich wychodzi lub to one z niej wypływają – trudno stwierdzić. Wrzeszczy ze strachu, gdy dostrzega bestię. Ale nie. Nagle rozumie.

– Re? – pyta.

Bestia przypomina sobie – tak, zanim zarosła, zanim omszała i las ją pochłonął całkiem, była Re.

Tak na nią mówili.

– Tak – odpowiada i nagle zamienia się w tego, czyje imię nosi. Nie w bestię leśną, ale człowieka, który w tym lesie mieszkał.

– A ty jesteś Mi – mówi Re.

– Źle bardzo. Ze mną i z Nowym – mówi Mi, sapiąc i pocąc się na potęgę pomiędzy błyskami burzy i pomiędzy ściskami wielkiego brzucha i wielkiej krwi.

Nowe nie będzie żyło. Nie może żyć. Ja pójdę razem z nim.

Re słyszy straszny pomruk w sercu. Nie, to miało pójść inaczej. Re wie, kiedy godzić się na śmierć, ale czuje, że to nie teraz.

– Pomogę – szepcze. Ale Mi pluje wciąż nowymi płynami, Nowe nie wychodzi, a jej usta bledną – już są jak księżyc w nowiu. Jedno, co Re wie na pewno – tak usta nie powinny wyglądać.

Błysk burzy. Wiatr. Dach trzeszczy – zaraz go urwie, myśli Re. I znowu błyski. Takie, że pomiędzy nimi wszystko jest czarne – Mi, jej krew, mięso, które obok niej leży, i świat, na który wychodzi Nowe. A kiedy błyski się pojawiają – przychodzi bladość tak straszna – Mi jest bielsza od śniegu, jej krew na posłaniu czerwiejsza od krwi w środku serca, a mięso dookoła – lśniące jak ryba.

I wtedy: błysk, dudnienie. Trzask, dudnienie. Grzmot, dudnienie. Do drzwi – rozumie nagle Re.

– Nie – ocknęła się Mi. – Nie! To on, to on! Nie wpuszczaj! Przetnij mnie, Re! Mnie i Nowe. To gorące ręce czekają na zewnątrz. Ręce, które wyciągną się po Nowe i po mnie. Zabiorą Nowe, zamkną w klatce.

Lecz nim Re zdołał rzucić się do drzwi, one same się otworzyły. Z wiatrem i z deszczem. A do środka weszły dłonie chłodne, nie gorące. Palce delikatnie i zwinne. Wszedł Si – ten, który miał czuwać nad śmiercią starej matki. Ten, który odprowadza konających i wita rodzących się.

Mi chciała wrzeszczeć. Won! Won!

Ale Si szeptał spokojnie. A jego szept był głośniejszy niż wrzaski Mi.

Spojrzał na krew, na flaki, na Mi.

Źle bardzo. Lecz robił swoje.

*

Mi bez czucia, bez pamięci. Mi-słabość. Mi-bez krwi.

– Si – szepczą usta Mi, choć nie wydają żadnego dźwięku.

Si pochyła się.

– Nowe było martwe – szepczą usta Mi.

– Nie, Mi. Bardzo słabe. Ale żyło.

– Nowe jest martwe.

– Nie, Mi, ono żyje. Leży na tobie. Ssie twoją pierś, zobacz, Mi.

– Zaklinam cię, Si. Było martwe.

Si zawahał się.

– Zaklinam cię, Si. Przysięgam na wszystko, że zabiję Nowe i siebie. Jeśli nie było martwe, to będzie. – Do Re: – Weźmiesz Nowe. Nie chcę nic wiedzieć. Nie chcę znać imienia. Nie chcę go widzieć ani go dotknąć.

Re na Si. Si na Re.

– Dobrze, Mi – Re.

– Co mam mu powiedzieć? – Si. – Co powiedzieć temu, który oczekuje na Nowe?

– Martwe – Mi. – Martwe, rozumiesz?

*

Koniec burzy. Koniec błysków. Biegnie Re przez las i niesie w sercu Nowe. A drugie Nowe niesie w ramionach. Ma być, czym zechce, i nie być, kim nie chce. Ma robić, czego pragnie, i unikać tego, co mu wstrętne. Jedyne słowa Mi. Reszta nic. Nawet imię. Nawet spojrzenie – nic.

A Nowe jest piękne – myśli Re. Jest maleńkie. Dla Nowego w sercu Re rośnie specjalne miejsce.

Nie wiedział wcześniej, że takie miejsce może urosnąć. Kochanie inne niż wszystko i wielka dziura w sercu wypełniona tylko miłością do Nowego.

Do Nowej. Do La.

Rozdział 9

Nad ranem była gwałtowna burza, przysła przerażająca ulewa. Obudziłam się koło siódmej i zamknęłam okno, przez które niestety zdążyło wpaść mnóstwo wody – całe szczęście nie zalało mi ani notatek, ani laptopa. Mimo porannej godziny świat pogrążony był w ciemnościach. Ołowiane chmury zawisły nad Tym Nowym, strasząc je swoją nieustępliwą potęgą. Było to jednak krótkie panowanie. Ulewa się skończyła, burza odeszła w zapomnienie, chmury zniknęły, kiedy zaczęły przenikać przez nie jasne snopy światła, przywodzące na myśl coś nieskalanego; życie pełne obietnic i możliwości.

Wyrzałam przez okno – udeptanymi ścieżkami spływały prawdziwe potoki, we wszystkich zagłębieniach terenu powstały niewielkie stawki. Pomyślałam, że ci, którzy zasnęli wczoraj (w zasadzie to już dziś, bo było grubo po północy) przy ognisku, musieli mieć dość rześką pobudkę.

– Słońce i chłonna ziemia uporają się szybko z tym nadmiarem wody – szepnęłam do siebie z uśmiechem i zesłam na śniadanie.

W kuchni pachniało mlekiem i lanymi kluskami. Szara ucieszyła się na mój widok, przywitałyśmy się. Zapytała, czy jak zwykle chcę jeść na zewnątrz, mimo że wszystko jest mokre. Drzwi były otwarte na oścież, wyszłam z domu, żeby się przekonać.

Świat pachniał obezwładniająco. Nic nie pachnie tak wspaniale jak letni deszcz – zwłaszcza o poranku. Na wszystkich roślinach Szarej, na jej kolorowych kwiatach i warzywach zieleniących się pod płotem, osadziły się przepiękne krople deszczu, które schły teraz w pierwszych promykach.

Podeszłam do długiej, drewnianej ławy i siedzisk ustawionych równoległe do niej. Całkowicie mokre. Szkoda mi było jednak rezygnować z tych zapachów i tej świeżości. Przyniosłam ortalionową kurtkę i rozłożyłam ją na siedzeniu. Szara wyniosła na zewnątrz dwa kubki. Postawiwszy je na ławie, rozciągnęła i wygładziła niezajęty kawałek ortalionowej kurtki i usiadła obok mnie. Rozmawiałyśmy swobodnie, gdy na ścieżce pojawiły się trzy postaci. Znawca, Specjalista i Ekspert we własnej osobie.

– Dzień dobry. Przyszliśmy się jeszcze raz pożegnać – powiedział Specjalista, opierając się o płot.

Byli ubrani inaczej niż zwykle. Trzy sztruksowe marynarki w trzech odcieniach brązu. Zamszowe buty i dzinsy. Wyglądali trochę jak trzy wersje tego samego człowieka oglądane w trzech telewizorach o różnej jakości obrazu.

– Szerokiej drogi. – Szara się uśmiechnęła. – Przyjeżdżajcie czasem na obiad.

Zaśmiali się.

– Chętnie – powiedział Znawca, po czym dodał w moją stronę: – Wszystkiego dobrego. Dużo...

natchnienia – czy tego się życzy pisarzowi?

– Pewnie, czemu nie – odparłam, podchodząc do płotu, i uściśniłam wszystkim trzem po kolei dłonie.

– I co – znalazłaś tu w końcu jakąś inspirację? – zapytał Specjalista.

– Być może. – Uśmiechnęłam się tajemniczo.

Machnęli do nas raz jeszcze, wsiedli do wyładowanego po brzegi dżipa i odjechali.

Szara westchnęła.

– Przyjeżdżają, wyjeżdżają. A człowiek się przyzwyczaja...

– Jak to w życiu. – Uśmiechnęłam się do niej.

Zapadła chwila milczenia – czułam, że Szara chce o czymś ze mną porozmawiać, ale nie przerywałam ciszy.

– Ja wiem, co tu się święci, kochanie. Wiem, o czym będziesz pisać – powiedziała w końcu, po raz pierwszy zwracając się do mnie na ty. Nie wspominając już o „kochanie”. – Wiem, domyślałam się.

Widziałam, że Laura bardzo cię polubiła, i z pewnością musiała cię o to poprosić...

Otworzyłam usta, by coś powiedzieć, jednak Szara kontynuowała:

– Czy wiesz, od jak dawna Laura tutaj mieszka?

Zaprzeczyłam ruchem głowy.

Szara uśmiechnęła się.

– Za dwa tygodnie minie rok.

Niesamowite... Laura zdawała się tak idealnie dopasowana do tego miejsca, do wszystkich zakamarków i tajemnic...

– Przez piętnaście lat nie miałam nawet pojęcia o tym, że mam wnuczkę. Że Milena urodziła to dziecko. Była w ciąży – owszem, to pamiętam. Oj, możesz mi wierzyć, że doskonale to pamiętam...

Ale pod koniec ciąży wyprowadziła się od nas. A potem dowiedziałam się, że dziecko urodziło się martwe. Straszne, straszne. Ale taki los w tej naszej rodzinie. Klątwa czy pech – trudno powiedzieć.

Mnie w ogóle nie dane było urodzić, a Milena dostała szansę, ale tylko raz. Bo w tej rodzinie każdy dostaje wyłącznie jedną szansę.

Szara otarła rękawem wilgotne oczy.

– Dziecko urodziło się martwe, martwe – powtarzałam. Milena tak mówiła. Sizwe tak mówił.

A więc musiało tak być. Ale Sizwe zawsze bardziej bronił tajemnic swoich pacjentów, niż dbał

o ujawnienie prawdy. Nawet takiej prawdy... – Szara łyknęła kawę z kubka, choć pozostały tam już w zasadzie tylko fusy. Westchnęła ciężko. – To było ostatnie lato, kiedy moje dziecko było tutaj w domu. Moja mała Milenka. Urodziła ją moja siostra, ale dla mnie zawsze była jak córka. Zawsze była i zawsze będzie. Tamtego lata wyniosła się od nas bez słowa pożegnania. Z wielkim brzuchem.

Sama. Towarzyszył jej tylko cień mężczyzny, który uważał, że ma ją na własność. Wybudował jej dom na wzgórzu i usadził tam Milenę – z dala od nas wszystkich. Ale on nie musiał jej zmuszać.

Milena sama odeszła i do dziś tam jest. Potem rodziła dziecko. Nikogo przy niej nie było. I samotnie cierpiała po jego stracie. „Martwe” – powiedział Sizwe, wracając od Mileny tamtej nocy. Pamiętam to jak dziś, bo nadeszła taka burza, że zastanawiałam się, czy dom na wzgórzu w ogóle ją przetrwa.

Nigdy wcześniej i nigdy później nie było takiej burzy jak wtedy.

– Ale Laura jednak nie urodziła się martwa – odezwałam się.

– Nie. – Szara się uśmiechnęła. – Urodziła się silniejsza od nas wszystkich. Silniejsza od losu i od klątwy. Dość silna, by przetrwać. Milena oddała ją, ani razu na nią nie spoglądając. Nie dowiadując się nawet, jakiej jest płci. Oddała ją. Jej ojcu.

Zapadła cisza. Szara uśmiechnęła się do mnie.

– Bo ty wiesz już, kto jest jej ojcem, prawda?

Przytaknęłam.

– Remigiusz.

– Zgadza się – westchnęła Szara. – Remek. Laurka przez czternaście lat mieszkała i wychowywała się w domu Remkowej i jej syna. Wyobrażasz to sobie?

– Czternaście? – spytałam i dokonałam jakże prostego obliczenia w głowie. Laurze zgubił się gdzieś rok życia. Skoro teraz ma szesnaście, mieszka tu od roku, a u Remkowej mieszkała przez czternaście lat...

Szara spojrzała mi w oczy.

– Laura musiała wyprowadzić się stamtąd, bo miała problemy...

W tym momencie usłyszaliśmy głośne tupanie po schodach i wątek został przerwany. Szara obejrzała się za siebie, gdy Laura przestąpiła próg domu.

– Jest jakieś śniadanie? – zapytała. – Co wy tu tak spiskujecie?

Pomyślałam, że życie pisze czasem dziwniejsze scenariusze niż niejeden melodramat. Miewa też

lepsze wycucie chwili niż w wielu kryminałach.

Szara podniosła się z ławy, zebrała kubki i powróciła do swojego zwykłego tonu:

– A co to – do garnków sama nie potrafisz zajrzeć? – fuknęła przyjaźnie.

Spomiędzy odgłosów kuchennych dobiegł do mnie jeszcze jeden dźwięk. Z początku wydał mi się jakiś obcy – jakby z innego świata. Dopiero po chwili zrozumiałam – to mój telefon.

Wstałam od stołu i pobiegłam schodami na górę, otworzyłam drzwi od swojego pokoju i zaczęłam znużone poszukiwania. Telefon dzwonił coraz donośniej, a ja nie mogłam dojść, gdzie go rzuciłam.

W końcu udało mi się odnaleźć go na dnie szafy, w jednym z traperów.

Dzwonił M. Odebrałam.

– Cześć, kochanie.

– Tak, żyję.

– Nie, u nas nie było aż takiej burzy, nie zerwało dachu z domu.

– Dobrze, bardzo dobrze. Tak, piszę jak szalona.

– Tak, mam świetny temat, a także, mam nadzieję, świetny pomysł, jak go rozwinąć.

– Nie, nie nudzę się, wręcz przeciwnie.

– A jak tam u ciebie? Aha, aha. No to świetnie, nie mogę się doczekać, aż zobaczę na żywo.

– Super, dzięki. Wysłałeś mi może tę książkę, o której ci pisałam? Tak? O, to wspaniale. Super, dzięki. Nie, w takim razie na pewno dziś dojdzie – sama widziałam tu raz samochód kuriera.

– Nie, opowiem ci wszystko, jak wrócę. I jak będę miała już zamknięty temat. Świetnie, świetnie.

– Dobrze. Ja za tobą też. Bardzo się cieszę, kochanie.

– Dobrze, to pa. Dzięki jeszcze raz. Pa, buziaki!

*

Odłożyłam telefon do szafy i schowałam go w traperze – zdaje się, że było mu tam całkiem wygodnie, więc po co zmieniać miejsce przechowywania?

Zabrałam się do pakowania plecaka. Postanowiłam dzisiaj nie wracać do Szarej na obiad i urządzić sobie jakąś dłuższą pieszą wycieczkę. Chciałam się trochę zmęczyć, trochę oderwać od tego, w czym

tkwiłam od paru dni, a przede wszystkim uporządkować sobie w głowie historię, którą planowałam napisać. Na razie robiłam tylko notatki, ale zapowiadało się, że na jednym zapisanym brulionie nie skończę i dopiero gdy dopnę cały pomysł w spójną klamrę, rozpocznę właściwe pisanie.

Od dawna już chciałam stworzyć tego typu historię. Historię, która pokazuje, że choć wszystko w życiu się zmienia, tak naprawdę pozostaje zarazem takie samo. Bo życie z założenia jest cyklem, a jego krańce w pewnym punkcie się spotykają. Odkąd tylko powstało, odmieniło cały świat i poddało go rytmowi cykliczności. Może i przedtem Ziemia kręciła się w rytmie dobowym i w rytmie rocznym, ale dopóki nie ma życia, nie ma pór roku, nie ma puszczania liści i zakwitania. Nie ma cyklu życia i śmierci. Nie ma człowieka, który od zarania dziejów szuka w tym wszystkim nie tylko porządku, ale też sensu.

Wiem doskonale z własnego doświadczenia, że zabieranie na dłuższe wycieczki (w szczególności piesze) książek do plecaka to absolutna porażka. Prawdziwy ciężar książki ujawnia się dopiero, gdy niesie się ją na plecach. Do tego mam wrażenie, że każda kolejna książka w plecaku zwiększa jego wagę nie dwukrotnie, lecz do drugiej potęgi.

Mimo to zabrałam ze sobą trzy tomiska i notes. Bez niego się nie ruszam. Skoro i tak planowałam się zmęczyć, to dlaczego nie dźwiganiem na plecach setek stronic?

Od razu słyszę gdzieś na granicy świadomości: „możesz przecież wziąć czytnik, na którym zmieścisz tyle książek, ile chcesz”... Tak, wiem, że mogę. I czasami z tego korzystam. Ale traktuję to rozwiązanie jako ostateczność. Nie lubię czytać na ekranie, a w szczególności – jeśli jestem na tropie jakiejś tajemnicy sprzed wieków, czytam źródła albo ryciny dotyczące przeszłości. Muszę wtedy mieć kontakt z prawdziwym papierem. Zawsze, gdy czytam e-booka, czuję się jak ktoś, kto odwiedza swojego kochanka w więzieniu i dotyka go tylko przez szybę.

Przygotowałam ekwipunek jak dla zawodowca: wielka butla wody, mapa okolicy. Nawet kanapki i plastry. I jednak telefon. Tym razem byłam pewna, że chcę wyruszyć sama. Wciąż jeszcze miałam sporo pytań do Szarej, do Laury... do wszystkich. Ale teraz nadszedł czas, kiedy sama musiałam to wszystko uporządkować sobie w głowie.

Dzień zapowiadał się bardzo ładny, lecz upalny. Na szczęście duchota minęła. Od czasu do czasu owiewał mnie przyjemny wiaterek, ale z bezchmurnego nieba spoglądało słońce, które zapowiadało, że tego dnia jeszcze pokaże, co potrafi.

Pożegnałam się z Szarą, informując, żeby nie gotowała dla mnie obiadu, i ruszyłam przed siebie.

Spojrzałam jak zawsze na wzgórze Mileny, które od początku – poza tym, że tajemnicze – zdawało mi się w jakiś sposób kojące. Jakby nade mną czuwało. Jakby Milena była jednym z dobrych duchów, które nigdy nie śpią i zawsze mają na ludzi oko, sprawując nad nimi pieczę z góry.

Tym razem jednak ruszyłam w przeciwną stronę. Początkowo szłam główną ulicą wsi i właśnie gdy miałam skręcić, dostrzegłam tę samą furgonetkę kurierską co poprzednio. „Prestige Trans”.

Niewiele myśląc, wyskoczyłam na drogę i pomachałam do kierowcy, żeby się zatrzymał.

– O co chodzi? – zdziwił się, spoglądając na mnie jak na jakąś wariatkę.

– Może ma pan dla mnie przesyłkę? – spytałam, podając mu nazwisko i adres.

Zajrzał do swoich dokumentów.

– Mam – ucieszył się. – To pani?

Pewnie był zadowolony, bo oszczędziłam mu ponownych poszukiwań. Niewiele osób w tej wsi przejmowało się umieszczaniem na domach numerów i szczerze mówiąc, nawet adres, który podawali w urzędach, był jakby symboliczny.

Podpisałam dokument, odebrałam paczkę i zamachałam do kierowcy na pożegnanie. Za

samochodem wzbiły się tumany kurzu – droga na tym odcinku nie była nawet pokryta asfaltem.

Nie mogąc się powstrzymać, rozerwałam opakowanie i wyciągnęłam książkę przesłaną mi przez M. Spojrzałam na tytuł i piękną ilustrację na okładce. *Rodzanice*. A na obrazku – trzy kobiety z długimi włosami przedające długą nić nad kołyską. Malowidło wykonane było w stylu prymitywnym, ale bardzo mi się podobało. Zresztą zazwyczaj bardzo lubię ten styl – prosty, ale za to intrygujący, niezwykle, z przepiękną kolorystyką. Moją ulubioną odmianą są malowidła wykonywane jako wota dziękczynne. Odnoszą się zwykle do jakiegoś wydarzenia z życia codziennego – na przykład do

choroby, z której ktoś ozdrowiał, wypadku, z którego cudem uszedł z życiem, czy innego zdarzenia, które pomyślnie się zakończyło. Przedstawiają wtedy samego autora dziękczynienia i boską moc, która – wedle opinii zainteresowanego – sprawiła, że został uratowany lub że mu się powiodło. Do tego zwykle dopisana jest krótka modlitwa dziękczynna. Uwielbiam ten styl, kiedy w niezwykle sposób stykają się dwa motywy: realny (na przykład człowiek leżący w łóżku) i drugi – niebiański (na przykład Matka Boska wychylająca się ze świetlistych obłoków). Całość daje według mnie efekt wprost obłądny. Można się na te dzieła natknąć w niektórych kościołach, ale łatwiej znaleźć, wpisując w wyszukiwarce „ex voto” lub „exvoto”. Wśród tych malowideł znajdują się niekiedy zaskakujące przedstawienia, takie jak choćby dziękczynienie żony, że nie została przyłapana w łóżku z kochankiem, albo podziękowanie za uratowanie od plagi zwierząt gospodarskich.

Szłam, pozwalając swoim myślom luźno błąkać się po świecie i wracać do mojej głowy z nowymi pomysłami. W plecaku dźwigałam dodatkową książkę, więc każdy kilometr dawał mi się we znaki.

Mimo to miałam dobry humor i zrobiłam sobie przerwę dopiero wczesnym popołudniem, gdy zgłodniałam na tyle, że wizja kanapek w plecaku zdominowała moje myśli.

Znalazłam sobie przyjemne miejsce na niewielkim wzniesieniu – wśród kilku drzewek, które dawały kojący cień. Wyciągnąwszy jedzenie, zerknęłam na mapę. Nie miałam ściśle wytyczonego planu wędrówki, ale wyglądało na to, że znajdowałam się w połowie drogi do rozlewiska rzeki, które –

jak oczekiwałam – powinno być bardzo urokliwe. Przemogłam więc drobne lenistwo, które zawładnęło mną po jedzeniu, i postanowiłam pokonać jeszcze ten dystans, zanim przysiadę na dłużej, odpocznę i zabiorę się do przeglądania przytaczanych tu książek i robienia notatek.

Najbardziej kusiły mnie *Rodzanice*. Wiedziałam, że były to trzy duchy kobiet, które (jak greckie Mojry) decydowały o ludzkim losie. Przędły swoją nić, rozwijając ją i zwijając systematycznie – tak jak zwijaniu i rozwijaniu ulega przez cały czas życie człowieka. Sprawowały pieczę nad ciężarnymi kobietami, pojawiały się przy narodzinach dziecka i w innych przełomowych chwilach. Motyw rodzanic wydawał mi się już od dawna bardzo inspirujący, a odkąd tylko przybyłam tutaj, nie mogłam o nim zapomnieć. Słuchając historii opowiedanej przez Laurę, Szarą, Sizwe – miałam przez cały czas przed oczyma trzy rodzanice, które mają wpływ i na tę historię, i na mnie.

Od dziecka fascynowały mnie opowieści o przeznaczeniu i tym, jak każdy z nas w pewien sposób

je wypełnia. Głęboko wierzę w to, że w każdym istnieje pewien potencjał tych-a-nie-innych możliwości. Tym bardziej jestem przekonana, że możemy ten potencjał zmieniać. Podobnie jak nie o wszystkim decydują nasze geny, nasze przeznaczenie – choć niektórzy uważają, że jest zapisane –

nie jest niezmienne, musimy mieć na nie wpływ. Dzięki własnej woli. Twierdzę, że istnieje tu analogia – to genotyp człowieka daje mu pewną podstawę: to w nim skrywa się informacja, czy będziemy wysocy, czy raczej niscy, otyli czy chudzi jak szczapa. Ale jednocześnie wiele tych słabości można pokonać. A przynajmniej próbować. Zdrowo żyć i nie dostać zawału, mimo że dziadek i pradziadek dostali. Ruszać się i nie być otyłym, mimo że babka i prababka były. Pewnych rzeczy

zmienić oczywiście nie możemy, ale czy nie warto stawiać wyzwań...? Uważam, że podobnie jest z przeznaczeniem. Sagi rodzinne podkreślają, że kolejne pokolenia popełniają te same błędy. Márquez pokazuje, że potomkowie rodu odbierają los z rąk swoich przodków i muszą go wypełnić. Gina Nathai twierdzi, że Bóg ma słabą wyobraźnię, dlatego w każdym kolejnym pokoleniu danej rodziny zrzuca podobne zmartwienia, troski, tragedie. I klątwy.

A mimo to wierzę, że tę passę warto przełamywać. Wykuwać los swoim własnym dłutem –

nieważne, z jakim skutkiem. Zawsze kwestionować to, co nam dane, i próbować, wciąż próbować.

Cóż, moje rodzanice czy Mojry muszą mieć ze mną chyba same utrapienia. Od samych narodzin

próbują tknąć moją nić równomiernie i systematycznie ku określonym punktom. A ja wciąż wyciągam ręce w ich stronę i plącze tę włóczkę, tapiruję, odwracam jej bieg lub staram się rozdwoić jej ściegi.

*

Dotarłam nad rozlewisko rzeki. Spłoszona czapla przeleciała kawałek dalej. Gdy się zbliżyłam do wody, na niedalekiej gałęzi pojawił się szafirowy zimorodek. Motyle przeganiały się pomiędzy żdźbłami traw. Nad łąką unosił się niski odgłos bzyczenia trzmieli i pszczoł. Gdybym miała pędzel i farby (i potrafiła malować), stworzyłabym na podstawie tego widoku najbardziej sielski i kiczowaty

pejzaż, jaki jest możliwy bez udziału delfinów i łabędzi ze splecionymi szyjami.

Rozłożyłam się na wznak na ziemi. Poczułam pod głową miękką trawę. I oddałam się we władanie sielskości.

Sen 9

Gdzie młoda żona o włosach jak kłosy?

Matka Re wrzasnęła przerażona, gdy syn jej przekroczył próg domu. Nie syna się jednak przestraszyła. Prawda – był zarośnięty jak zwierzę, śmierdział jak coś zdechłego, a brud i kurz osiadły na nim twardą skorupą. Ale to było do wymycia, ogolenia i Re powróci do niej jak dawny.

Matka Re złąła się jego oczu. Dzikich, rozbieganych, przekrwionych.

– Kto cię goni, synu? – spytała szybko, nie witając go nawet. Ktoś czyha na jego życie. Nie ma czasu na okrzyki i dzięki za cuda.

Lecz Re coś warczał, coś rzeził. Mamrotał i rozglądał się nerwowo, jakby wykradł bogom błyskawice.

– Synu, kto cię goni? Co zabrałeś i komu?

Mamrocze, powarkuje.

Matka Re spojrzała na jego futrzaste łachmany. I zrozumiała, że Re musiał ukraść coś bardzo cennego. Trzymał za pazuchą jakieś zawiniątko. Jeśli nie błyskawice, to chyba tylko kwiat paproci – pomyślała z przestachem.

Wyciągnęła rękę. Re odskoczył. A spojrzał na nią takim wzrokiem, że prawie by uwierzyła – mógłby ją skrzywdzić w obronie. Zajrzał za pazuchę.

– Co tam masz, synu?

Dotknęła. Odskoczył.

I nagle zrozumiała. Ranny. Trafiony w serce. Broczy krwią. Umiera.

Matka Re rozejrzała się pod stopami za śladami krwi. Nic. Na ubraniu Re – krew zakrzepła, skruszona, poprzyklejana bordowymi soplami do włosia futra.

Jej syn umrze. Trafiony dawno temu – nie ma ratunku! Matka Re zabije się chyba razem z nim, jeśli to prawda, że nie ma ratunku.

Już właśnie Re wyciąga z piersi swoje serce. Trzyma je ostrożnie, nie chce upuścić. Siada na stołku i kładzie serce przed sobą na kolanach.

Matka Re podchodzi, a to serce ma głowę. Małą, bo małą, ale jest. To serce ma ręczki i nóżki.

A wywija nimi, jakby próbowało nadal pompować krew.

I wtedy matka Re czuje, że już niczego nie rozumie.

– Matko, to jest La – mówi Re i pokazuje na brudne dziecko. Ubrudzone wnętrzem jego pazuchy.

Buzia w błocie, włosy ciągle jeszcze w zakrzepłej krwi. Ale nie płacze.

– Co to jest? – pyta matka.

– To jest La.

– Skąd to jest?

Re zamyśla się chwilę. Czy tłumaczyć matce, skąd się dzieci wyjmują?

– Nieważne, skąd jest – mówi wreszcie. – Ważne, dokąd jest. A jest do tutaj. Do naszego domu i do nas.

Matka Re jest słaba. Umiera, najpewniej umiera, bo z głowy odpłynęła jej cała krew. Ktoś sprzedał jej synowi diabelskiego noworodka. Owszem, słyszało się o takich rzeczach. Przegrał zakład, musiał przyjąć dziecko. Będzie je karmić kaszą i mlekiem, a ono będzie rosło i rosło, aż rozsadzi ich mały dom i pożre matkę Re i jej syna.

Ale cóż tu umierać? – myśli matka. Tu szkoda czasu. Jak zaczniesz żreć, zaczniesz rosnać i wszelka nadzieja przepadnie.

– Jest takie urwisko – mówi więc szybko, łapiąc się za czoło. Słabo jej, ale mówi.

– Co za urwisko?! – pyta szybko Re, wstając z miejsca i chowając prędko dziecko za pazuchę jak kociaka.

– Normalne. Ale wysokie. Możemy tam pójść – mówi matka. Dlaczego ona zawsze musi syna wyciągać z kłopotów...? Czy wszystkie matki muszą to robić? Czy nawet dorosłe dzieci wciąż potrzebują wyciągnięcia z kłopotów...?

– Zamilcz! – krzyczy Re.

Matka łapie oddech. Nie mógł wołać do niej. Jak – do niej by tak zawołał?

– Nie mów, matko, jeśli chcesz powiedzieć coś złego. Bo nie zawaham się przed niczym.

– Ale co? – pyta ogłupiała. – Kto ci to dziecko diabelskie wcisnął, że nie możesz iść nad urwisko?

Re wyciągnął zawiniątko, ale tylko na tyle, by samemu móc się mu przyjrzeć.

– To nie jest diabelskie dziecko. To moja córka.

Wtedy już matce Re zawirowało w głowie. Syn wywinął kozła przed oczyma matki, a ona sama padła na ziemię. Tuziny warkoczy jak kłosa, stosy rumianych policzków, kopy sprawnych i pracowitych ramion – oto co widzi matka Re w swoim omdleniu. Młoda żona miała być. Pracowita i uprzejma. Grzeczna dla matki, posłuszna synowi.

– Gdzie młoda żona? – majaczy matka Re. Jak można pomylić dziewczę o warkoczach jak kłosa z noworodkiem? Gdzie popełniła błąd, że nie nauczyła syna odróżniać kobiet od noworodków?

Re położył matkę na posłaniu – miękkie pod głowę, twarde pod kark. Powinno pomóc.

Leżała osłupiała i udawała, że nie widzi, jak Re wywleka dziecko z zawiniątka – całe zasrane zielonkawym wodorostem. Ściąga wszystko, co dziecko ma nawleczone na maleńkie członki, a czyni to z taką uwagą, jakby tego dziecka nie rozbierał, tylko właśnie składał z maleńkich kawałków. Gotuje wodę, chłodzi wodę, sprawdza. Myje dziecko. A ono tylko patrzy na Re wielkimi oczyma i ani nie płacze, ani nie kwęka.

Matka Re czuje, że jej dni są policzone. Zaraz odda ostatnie tchnienie. Lecz z ciekawości dożywa jeszcze kolejnej chwili. I następnej. Bo musi zobaczyć, jak Re wyciąga z kieszeni małe naczynie z żółtym mlekiem i karmi nim dziecko. Już ma oddawać ducha, lecz musi popatrzeć, jak syn jej kładzie dziecko na ręce i kołysze, kołysze i nuci tak, że matka Re sama zasypia.

Budzi się w środku nocy.

Zostało jej ostatnie tchnienie, ale musi wstać i zobaczyć, bo może jej się wydawało. Podnosi się z trudem i zagląda do posłania syna. I widzi: leży Re, chrapie jak niedźwiedź, a pod jego pachą dziecko tak małe jak dłoń Re. Śpi spokojnie i nic sobie nie robi – ani z chrapania, ani z szorstkości, ani z wielkiego cielska, które może je przewałkować jak ciasto na placek.

A więc to prawda. Dziecko jest prawdziwe.

– Synu. – Matka nie wytrzymuje i budzi Re. Ogląda się przy tym na dziecko, jakby miała nadzieję, że diabelski noworodek nie usłyszy przez sen.

Re warczy, pochrapuje, mlaszcze.

– Synu.

Budzi się. Spogląda na dziecko. Sprawdza, poprawia. Coś tu się zawinęło, to odwija. Coś nóżka krzywo, to prostuje. Nadstawia ucha, czy oddycha. Sprawdza, czy serce bije. I dopiero wtedy:

– Czego chcesz, matko, o tej porze?

– Co to za dziecko? – pyta nieufnie. Nie patrzy na noworodka i liczy, że noworodek jej nie słyszy.

– Moje. Powiedziałem ci już.

O wszystko, co święte! Zrozumiała nagle matka! Toż to żaden diabeł! Żaden przegrany zakład, ale historia stara jak świat. Baba znalazła naiwnego i nawymyślała bzdur. Że jego dziecko, że tylko z nim przecież. Ale biedna, słaba, nie da rady i musi oddać.

– Która to (kurwa – dopowiedziała w myśli) ci naopowiadała, że to twoje dziecko? To się da odkręcić, tym się nie przejmuj, synu.

Re nad dzieckiem: poprawił kocyk. Przykrył kołderką. Podwinął skarpetki. I spojrzał na matkę tak strasznie, jak nikt inny nie potrafiłby na nią spojrzeć.

– Matko. Bój się mnie, jeśli popełnisz coś złego. Nie waż się mówić. Nie waż się myśleć. Bo świat nas już nie ujrzy razem.

Matka Re tak się zlekła, że przez kolejne dwa dni nie odezwała się ani słowem. Nie chciała jeść, nie chciała pić. Nie mogła spać. Tylko leżała i przyglądała się synowi. Jak w kółko to samo: szmateczka, wanienska, kąpiel. Zawiniątko, mleko, kołderka. I śpiewa przy tym, tuli i mruczy.

A dziecko tak ciche, jakby było zaklęte.

Dopiero na trzeci dzień matka Re odezwała się, choć bardzo cicho:

– Powiedz chociaż, kim jest jej matka.

– Nie ma matki. Ma mnie. – Re przewijający. Re kąpiący. Re karmiący.

O losie i wszystko, czym nas zaskakujesz – zapłakała w myślach matka Re. Gdzie młoda żona o włosach jak kłosa?

Rozdział 10

Najpierw poczułam przejmujący chłód i strach. Dopiero potem zdałam sobie sprawę z tego, że jestem kompletnie mokra. Podniosłam głowę – moimi włosami szarpnął gwałtowny poryw wiatru. Sen, w który zapadłam, musiał być nadzwyczaj głęboki i mocny, bo nie obudziło mnie nawet to, że moją mapę wiatr zwiął do rzeki – widziałam, jak jej zarys majaczy daleko – porwana z nurtem płynęła w siną dal beze mnie.

Wszystkie moje rzeczy – łącznie z książkami i notesami – zamokły tak bardzo, że można je było wykręcać. Najbardziej przejmująca była jednak ta ciemność, która zapadła – jak mi się zdawało – zupełnie nagle i w zasadzie – w środku dnia.

Moje ubrania – podobnie jak pozostałe przedmioty, które miałam przy sobie, były całkiem przemoczone. Przy każdym podmuchu wiatru odczuwałam to boleśnie. Zrobiło się okropnie zimno, choć ledwie parę godzin temu przemierzałam rozświetlone łąki skąpane w letnim upale.

Podniosłam się z ziemi kompletnie zagubiona. Ku mojemu najszczerzszemu zdziwieniu deszcz, który padał równomiernie wielkimi kroplami, zmienił się w grad i u moich stóp w mgnieniu oka zgromadziła się biała warstwa pokrywająca szczelnie całą ziemię – ani myśląc się topić czy ustępować.

W pośpiechu zebrałam wszystkie swoje rzeczy do plecaka, z którego również można było wylewać wodę, i ruszyłam w drogę powrotną. Wbrew obiegowej opinii na temat kobiet zazwyczaj mam dosyć dobrą orientację w terenie. Tym razem jednak nie mogłam tego o sobie powiedzieć. Owszem, byłam w stanie wskazać kierunek, z którego przyszłam, dopóki za swoimi plecami miałam nurt rzeki. Kiedy jednak traciłam ją z pola widzenia, mój jedyny punkt odniesienia zniknął i nie byłam pewna, w którą z leśnych ścieżek powinnam pójść. Wiedziałam mniej więcej, jaki powinnam obrać kierunek, ale gdy wybierałam jakąś dróżkę, po pewnym czasie okazywało się, że wije się przedziwnymi zakosami, co mnie kompletnie dezorientowało. Wracałam więc do ostatniego pewnego punktu na trasie i próbowałam przypomnieć sobie drogę powrotną. Jakimś dziwnym trafem kilka razy wracałam nad brzeg rzeki. W końcu zrezygnowałam z zawracania i postanowiłam ruszyć przed siebie. Po chwili marszu ledwie udeptane dróżki zamieniły się w mgliste ścieżyny, którymi być może od czasu do czasu przechodziło jakieś zwierzę. W końcu i te szlaki się skończyły, a przede mną zaczął rozciągać się las tak gęsty, dziki i nieprzebyty, że marzyłam o maczecie, by móc torować nią sobie drogę. Zdawało mi się, że znalazłam się w samym sercu tego boru, gdzie nawet zwierzęta zachodziły rzadko, rośliny bowiem tak bezwzględnie przejęły ten teren, że trudno było pomiędzy nimi postawić choćby stopę.

Zaczynała mnie ogarniać rozpacz – a do tego miałam mokre ubranie. Nawet tak gęsty las jednak nie był w stanie uchronić mnie przed nawałnicą – lało jak z cebra, a krople były tak wielkie, że spadając na moją twarz, zalewały mi oczy i utrudniały widzenie. Grad przestał padać dość szybko, jednak ani myślał się stopić. Nawet tu, w głębokim lesie, tworzył na wszystkim cienką, ale jednolitą, białą warstwę. Ogromne krople deszczu, które spadały na białą skorupę pokrywającą teraz ziemię, nie czyniły w niej żadnych uszkodzeń – same były bowiem lodowate.

Usta zaczęły mi drżeć, cała się trzęsłam. Było mi tak zimno, że miałam ochotę wyć. Szłam przed siebie bardzo wolno, nie mogąc się przedrzeć przez gęstwinę i – co gorsza – z każdą chwilą tracąc pewność, czy idę we właściwym kierunku. Obserwując, po której stronie pnia układają się porosty, i stosując inne metody, które wpaja się dzieciom, byłam w stanie określić, gdzie jest północ.

Przynajmniej na początku. Później las stał się tak gęsty, a roślinność tak dominująca, że trudno było mówić o jakiegokolwiek stronie porośniętego pnia. Porosty przypominające kozie brody i mech grubości perskiego dywanu pokrywały szczelnie każdy wolny centymetr przestrzeni. Niebo zasłane chmurami uniemożliwiało dojrzenie słońca, gwiazd, czegokolwiek. Do tego już nie byłam pewna, czy idę we właściwą stronę. Owszem, pamiętałam mniej więcej trasę na mapie, ale po pewnym czasie –

gdy już moja zuchwa uderzała o szczękę w tempie *prestissimo*, straciłam dawną pewność... A może to nie było wcale południe, tylko południowy zachód...? Lub wschód.

Byłam już naprawdę zrozpaczona – nie wiedziałam, czy powinnam iść przed siebie w taką pogodę i w takim stanie, czy może gdzieś przeczekać te straszne warunki. Tylko gdzie? Obejmując własne ramiona (nic to nie dawało, byłam przemarznięta do szpiku kości), usiadłam w końcu na spróchniałym pniu i czując lodowate strugi deszczu spływające mi po włosach, plecach, ramionach, rozplakałam się jak dziecko. Było mi przeraźliwie zimno, czułam się zagubiona, jak mała dziewczynka. W dodatku musiałam już długo błędzić, bo robiło się coraz ciemniej. Na drzewach zaczęły kłaść się cienie, a nadchodząca noc przenikała od ich wierzchołków ku pniom, aż wreszcie – objęła również i mnie –

marne stworzenie skulone w najniższej warstwie lasu.

Nagle wyczułam coś dziwnego. Czyjaś obecność. Nie usłyszałam, jak się zbliża, ale wiedziałam, że jest niedaleko. Zrobiło się już na tyle ciemno, że nawet rozejrzawszy się dookoła, nie byłam w stanie stwierdzić, kto lub co mi się przygląda i gdzie dokładnie stoi. Wtedy poczułam ciepły dotyk na plecach. Odwróciłam się gwałtownie i dopiero wtedy byłam w stanie stwierdzić, że prawdopodobnie mam do czynienia z człowiekiem. Prawdziwa nocna ciemność, ciemność lasu, jest nie do wyobrażenia dla kogoś, kto rzadko opuszcza miasto i zna tylko mrok rozświetlony latarniami.

Jest to mrok nieprzenikniony, taki, którego nie sposób rozrzedzić, nawet wtedy gdy wzrok przywyknie już do ciemności.

Byłam tak zziębnięta i przygarbiona, że moje ciało nie potrafiło się nawet sprzeciwić, gdy ktoś zdjął ze mnie bluzkę. Przytrzymując moje łokcie, ktoś postawił mnie na nogi i zsunął krótkie spodenki, które z racji całkowitego przemoknięcia nie chciały opuścić dotychczasowego miejsca i zapierały się o tępą od wody skórę.

Potem poczułam na skórze szorstką suchość od ręcznika. Później ktoś zarzucił mi na ramiona długi, wełniany płaszcz, który drapał moją skórę. Było to jednak miłe, rozgrzewające uczucie – tak odmienne od lodowatej wody, która spływała po mnie potokami przez ostatnie godziny.

Sprawne ręce wcisnęły mi przez głowę nieprzemakalną pałatkę, na głowę nałożyły kaptur i – chwyciwszy mnie za nadgarstek – pociągnęły za sobą.

Dopiero dotyk na mojej ręce sprawił, że pojęłam, iż mam do czynienia z kobietą. Jej delikatne dłonie prowadziły mnie przed siebie.

Droga nie była wcale tak długa, jak można by się spodziewać. Widocznie wcześniej musiałam pokonać większość trasy, tyle tylko, że ugrzęzłam w buszu, zamiast z niego wyjść.

Las nie był już tak gęsty. Po chwili ujrzałam łąki i niewysokie pagórki, które dobrze znałam.

Byłyśmy niedaleko Tego Nowego.

Dłoń pociągnęła mnie jednak w innym kierunku. Dopiero kiedy skierowałyśmy się w stronę znajomego wzgórza, pojęłam, że osobą, która po mnie przyszła, była Milena.

*

Pod jej domem przywitały nas trzy radosne psiaki, które widząc Milenę, wykonały taniec radości, merdając ogonami, kładąc po sobie uszy i popiskując. Przed domem paliły się latarenki – jedne z tych, które przez cały dzień kumulują energię, by po zmroku rozświetlać ciemności.

Milena otworzyła drzwi (nie były zamknięte na klucz) i wprowadziła mnie do środka. Dopiero tutaj było na tyle jasno, bym mogła się jej przyjrzeć z bliska. Znowu doznałam szoku – ona naprawdę wyglądała jak poważniejsza, nieco starsza wersja Laury. Podobieństwo było tak uderzające, że utrzymywanie pokrewieństwa w tajemnicy było farsą.

Milena patrzyła na mnie jak na popsute urządzenie, zastanawiając się, jakie zabiegi należy wykonać, aby je naprawić. W końcu zdjęła ze mnie pałatkę, potem wełniany płaszcz i takimi samymi, wprawnymi, zdecydowanymi ruchami natarła całe moje zziębnięte i nagie ciało jakąś maścią rozgrzewającą. Potem rzuciła w moją stronę bawełniany T-shirt i spodnie od piżamy lub dresu.

– Ubierz to i wejdź do łóżka – odezwała się po raz pierwszy. Jej głos był głęboki i niski; znać było, że rzadko go używa.

Zrobiłam, jak kazała. Weszłam do obcego łóżka i przykryłam się aż po nos pachnącą świeżością i krochmalem pierzyną.

Wokół Mileny rozkwitło teraz życie. W drzwiach wejściowych znajdowała się klapka dla zwierząt, przez którą przecisnęły się przed chwilą nie tylko trzy psiaki, ale też rudy kocur. Po chwili spod łóżka

wynurzyła się bura kotka, za nią zaś wysypała się gromada kociaków przypominających kłębki wełny.

Milena krzątała się przy kuchni. W domu była tylko jedna izba. Na lewo znajdowała się kuchnia: piec, palenisko, szafki, garnki i tak dalej. Dalej niewielka jadalnia z drewnianym stołem i stołkami (meble wyglądały na własnoręcznie wyrzeźbione i złożone). Mała wersalka, i pufy stały w sąsiedztwie miejsca wyznaczonego na sypialnię, a na prawo od wejścia – sypialnia z ogromnym łóżem, w którym właśnie leżałam.

Milena dołożyła trochę drewna pod kuchnię i zajęła się przygotowywaniem posiłku. Za jej plecami

– na podłodze, tuż przy stole, stało z tuzin misek. Milena nałożyła skrupulatnie porcję jedzenia do każdej z nich. Podgrzała zupę. Wlała do miseczki, podała mi i kazała zjeść. Zagotowała wodę, zrobiła kawę. Odcedziła fusy, przelała płyn do glinianego kubka (czyżby sama go wykonała?). Dodała do niego trzy solidne łyżki miodu. Podgrzała mleko, dodała je do tego samego kubka. Na

koniec wyciągnęła z szafki butelkę z jakimś bimbrem czy innym alkoholem. Wlała do kubka solidną porcję.

Kończyłam właśnie zupę, gdy wyciągnęła do mnie dłoń z tą zabójczą miksturą i powiedziała:

– Wypij tak szybko, jak dasz radę.

Kawa, czy raczej mikstura kawowa, była bardzo gorąca, ale nie na tyle, by nie dało się jej konsekwentnie sączyć. Słodka aż do zemdlenia, mocna tak, że wypicie groziło palpitacjami serca.

Dopiero upewniwszy się, że wypiałam już połowę, a na moje policzki wypłynęły czerwone jak burak rumieńce, uśmiechnęła się i usiadła przy stole na jednym ze stołków. Zwinęła sobie papierosa, przyjęła bez protestów na kolana kota i najmniejszego psiaka, które wskoczyły na jej nogi. Zapaliła z widoczną przyjemnością i przyglądała mi się z pewnym zaciekawieniem.

Nie rozmawialiśmy, ale też nie unikałyśmy swojego wzroku. Co jakiś czas nasze spojrzenia się spotykały i patrzyłyśmy na siebie: ja zafascynowana, Milena zaintrygowana.

Rozglądałam się po jej domu. Najbardziej zaciekawiła mnie drewniana kołyska – tak samo toporna jak inne meble, ale też równie piękna i zdobiona płaskorzeźbami wystruganymi wprawną, uzdolnioną dłonią. Kołyska stała tuż przy łóżku i wyglądała na starą. U jej wezłowia wryto zdobną literę „L”.

Widać było wyraźnie, że inicjał zrobiono znacznie później niż sam mebelek – drewno na jego powierzchni nie zdążyło pociemnieć jak pozostałe elementy.

Cały ten dom wypełniony był pięknymi przedmiotami – z pewnością wykonanymi przez Milenę.

Większość z nich miała charakter użytkowy: na ścianie wisiała cała rodzina drewnianych łyżek: ojciec łyżka z drewnianym wąsem i posępną twarzą, mama łyżka z długimi, rzeźbionymi w drewnie włosami i małe łyżeczki z wesołymi buźkami. Krzesła i stołki ustawione przy stole (dostrzegłam to dopiero teraz) przywodziły na myśl drugą drewnianą rodzinę – tym razem wilczą. Największe krzesło miało na oparciu wyrzeźbiony wizerunek wilka samca. Mniejsze krzesło to drobniejsza w budowie wilczyca.

Stołeczki – małe wilczki.

Poza sztuką użytkową w domu Mileny pełno było bibelotów, które nie musiały do niczego służyć:

figurki przedstawiające sceny rodzajowe, zwierzęta podczas zabawy czy w czasie snu. Niewielkie rzeźby w drewnie, w mydle, postaci wykonane z gliny i rzeźby z papier mâché. Dominowały tu dwa motywy.

Pierwszy: rodziny. Rodziny zwierząt z gromadką młodych, rodziny wazonów z ferajną wazoników, dostojna familia plecionych koszy z małutkimi koszykami.

I drugi motyw: trzy postaci kobiece. Największą reprezentacją drugiego motywu był sporych

rozmiarów obraz, który wisiał nad wezglowiem łóżka. Milena z pewnością nie namalowała go sama, ponieważ wyglądał na bardzo stary. Przedstawiał centralnie ustawioną kołyskę, rozświetloną słońcem wpadającym przez uchylone drzwi, oraz trzy kobiety zgromadzone dookoła. Jedna z nich zgięta w pałąk – była w sędziwym wieku, druga miała ze trzydzieści lat; trzecia była jeszcze dzieckiem.

Wszystkie trzy zawijały na palcach długą nić, która była równie jasna jak światło słoneczne padające na kołyskę i przez to przypominała promień słońca, który nie podlega prawom fizyki.

Rodzanice! – pomyślałam z przejęciem i wychwyciłam wzrokiem co najmniej pięć kolejnych zestawów figurek, malowideł lub innych wizerunków, które przecież musiały być rodzanicami.

Pomyślałam, że to niezwykle przypadek, że w moim plecaku rozmaka właśnie książka na ich temat, tymczasem u Mileny wyglądają one na zadomowione od dawien dawna.

Myśląc o plecaku, przypomniałam sobie, że wszystko w środku zamokło. Również mój telefon.

Telefon, czyli kontakt ze światem.

– Szara nie wie, że tu jestem. Pewnie się martwi. Muszę się do niej odezwać, bo jeszcze wezwie policję – powiedziałam, czując jednocześnie, że słowa niechętnie opuszczają moje usta, że układają się w ich wnętrzu jak kot na piecu i nie mają ochoty stamtąd wybiegać. Jeśli w ogóle udawało mi się zmusić je do tego, wychodziły ociężałe, leniwe i powolne.

Milena drapała kota za uchem. Wypuściła z ust chmurę dymu i powiedziała krótko:

– Szara wie, że tu jesteś. Śpij.

Chciałam zapytać, skąd ta pewność, że Szara wie, i dlaczego w ogóle mam tutaj spać, ale gorąca mikstura, którą przed chwilą wypiłam, wypełniła już szczelnie moje naczynia krwionośne. Nagle poczułam obezwładniającą ciężkość i obojętność na sprawy tego świata. Zdażyłam jeszcze pomyśleć, że może właśnie następuje moja śmierć, a jeśli tak, to oddaję się w jej ramiona bez żalu. A potem już wszystko straciło dla mnie znaczenie.

Sen 10

Możeżycmusisz

Mi wydaje się czasem, że jej życie wyśpiewują trzy widziadła. Raz zdają się młode, kiedy indziej starsze niż śmierć. Nucają słowa, które są życiem Mi, i mruczą to, kim Mi się staje. Czasem jedna z nich jest dzieckiem, a pozostałe to staruszki. Innym razem Mi słyszy, że to nie śpiew, ale gaworzenie – nie zjaw, lecz trojga niemowląt.

Niekiedy w życiu Mi nastaje taka cisza, że nawet trzy widziadła o niczym nie śpiewają. Nie ma BĘDZIE dla Mi. Nie ma BYŁO dla Mi. Jest tylko TERAZ i wtedy nastaje cisza.

Mi spogląda na kobiety i widzi, że siwieją w oczach, zapadają się w sobie. Zaraz umrą. Ale nie.

Pierwsza staje się drugą, druga przechodzi w pierwszą, a trzecia znika i pojawia się na nowo.

Wtedy Mi budzi się z głębokiego snu.

Albo otrzepuje się z zamyślenia.

Przestaje patrzeć ze wzgórza na świat.

Słońce zachodzi, a jego gorąca twarz rzuca ostatnie spojrzenie na Mi.

W takich chwilach trzy widziadła milkną.

Po tym, jak Mi urodziła Nowe, zjawy nawijały bez ustanku:

– *Misiejmieniasz. Miczasmija.*

– Teraz? Potem czy za chwilę? – pytała Mi w amoku.

– Co ona mówi? – woła Sol, który czuwał przy niej noce i dni po wydaniu na świat martwego Nowego.

Si spogląda na gorącą twarz Mi.

– Bredzi w gorączce, Sol. Bredzi.

– A jednak coś mówi.

– To nic, to nic.

Lecz Sol nie wierzy. Mi w gorączce wyjawia sekret Nowego – wydaje mu się. Mi się wygada, jak było naprawdę.

Kiedy Mi zasypia na chwilę spokojnie, Sol chodzi na tyły jej domu na wzgórzu i klęka. Spoczywa tam pod ziemią pusta skrzyneczka, do której Sol się modli. Nad skrzyneczką kamyczek z nacięciami.

Sol czyta te nacięcia bez końca, bo mówią o nieprzejednaniu Nowego. Jedno Nowe umiera – mówią, drugie wciąż trwa. Nowe zawsze przynosi następne Nowe – mówią nacięcia, a Sol w to wierzy.

Zawsze gdy tam klęczy, walczy. Chce pochylić się nad ziemią, która kryje skrzyneczkę, i rozerwać jej łono palcami, połknąć kamienie, przekopać się aż do skrzyneczki, wydobyć ją, roztrzaskać i sprawdzić, co jest w środku. Sprawdzić, jak wyglądało martwe Nowe. Ale nie wolno. Tak nie można.

Więc Sol walczy bez końca.

Kiedy jest przy skrzyneczce – nie tylko się modli. Nie tylko walczy. Od czasu do czasu wstaje z klęczek i zakrada się do tylnej ściany domu Mi. Za tą ścianą jest sypialnia, gdzie Mi leży w gorączce

– majaczy. Sol wystrugał tam małą szparę między belkami domu i podsłuchuje Mi, kiedy ta majaczy. Podgląda Mi, kiedy ta się ocknie. Chce wiedzieć. Musi wiedzieć, co skrywa serce Mi.

Mi podnosi się niekiedy na łokciach i błędnym wzrokiem rzuca to tu, to tam, jakby kogoś widziała.

– Wczoraj, dziś i jutro? – spytała raz Mi. – Oto, kim jesteście.

– *Może* – odpowiedziały jej widziadła, których Sol nie widział, nie czuł ani nie słyszał.

– Jutro złe, jutro dobre i brak jutro? – dopytywała się.

– *Możemoże. Możenie. Możetak.*

– Los mój, los Nowego i... los...? – majaczyła Mi.

– *Możeniemiemy. Możewiemy* – szeptały zjawy i pochylone nad łóżkiem Mi zawijały się nawzajem na palce. Jedna drugiej wyciągała z kudłów długie i grube pasmo, zawijała na palce – raz przy razie, raz przy razie. I kiedy tak jedna zawijała, drugiej stawało się jakby mniej. A kiedy jednej stawało się więcej, inna zaczynała ją owijać na siebie: raz przy razie, raz przy razie.

Mi pamiętała, że trzy widziadła siedziały w kącie jej pokoiku, gdy przyszła na świat.

– Głupio gadasz – mówiła zawsze Sza. – Taka mała nie może pamiętać.

– Oj może, może. Zależy co. Takie może – mruzczała wtedy stara matka. – Widziadła znikają z oczu dziecka. Z każdym dniem jest ich mniej – szepnęła stara matka. – Ale kiedy się człowiek starzeje, zjawy wracają i widzi się je czasem jak ja was.

Lecz Mi zawsze mogła zobaczyć widziadła. Nie ciągle na nie patrzyła i nie ciągle one były przy niej. Nie na jawie i nie we śnie zawsze.

Czasem Mi zmrużyła oczy i spojrzała w słońce – trzy zjawy siedzą na jego tarczy.

Kiedy indziej zasnęła w upalny dzień i przyszła ulewa – trzy widziadła majaczą w kroplach deszczu.

Mi budzi się wczesnym rankiem i widzi – jedna zjawy nawija na palce oddech starej matki, druga zawija jej włosy, trzecia odwija tamte dwie i wkłada starej matce do ucha.

*

Mi pamięta, jak jej matka umierała. W łóżku pełnym mokrego śmierdzącego. I wtedy przy jej łóżku tkwiły trzy widziadła. Jedno chwyciło róg pościeli matki Mi i splatało je z mokrym śmierdzącym.

Drugie szeptało coś matce do ucha. Trzecie wisiało nad kołyską Mi i chwyciło ją za kołderkę.

– *Możeżyćbędziesz. Możeżyćniebędziesz. Możeżyćchcesz? Amożeżyćniechcesz?*

I zajrzała Mi tak głęboko w oczy swoimi ślepiami, a w tych ślepiach miała ślepie wielu takich jak Mi i wielu takich jak jej matka. Wiele bólu, którego Mi się bała, i wiele strachu, który bolał.

Następnego Mi już nie pamięta, ale jej opowiadano. Nagle dziecko w kołysce – spokojne jak kamień, tak się wydarło, jakby to świat rozerwał się wpół i wraz z ziemią rwało się niebo, a z nimi

i czas. A całe to darcie taki właśnie wydawałoby odgłos jak nagły wrzask małej Mi.

– *Możeżyćbędziesz* – szepnęła zjawą z tajemniczym uśmiechem i nawinęła słowa swoje na palec. –

Będieszżyćmoże – odwinęła słowa druga zjawą. – *Możeżyćmusisz* – zawinęła ostatnia.

Rozdział 11

Nie mam pojęcia, o której godzinie się ocknęłam, ale nadal panowała całkowita ciemność. Obudził

mnie jakiś dziwny dźwięk. Najpierw skojarzył mi się z popiskiwaniami jakiejś małej myszki, a może z kwileniem kocięcia...

Z trudem otworzyłam oczy – mikstura Mileny wciąż wypełniała moje żyły. Czułam się ociężała, nierzeczywista – jak w gorączce.

Nadal leżałam w łóżku Mileny – tyle udało mi się ustalić na początek. Próbowałam wypatrzeć w mroku kociątko, które pomiaukuje, ale po chwili mój wzrok odgarnął nieco zasłonę ciemności i dostrzegłam prawdziwe źródło kwilenia.

Przy stoliku siedziała Milena – tym razem już bez kota i psa na kolanach. Tuż obok – mój plecak – wybebeszony jak wypatroszone zwierzę. Wszystkie przedmioty porozkładane dookoła tak, żeby mogły wyschnąć po ulewie. Wszystkie poza moim notatnikiem.

Mój brulion leżał otwarty przed Mileną, która pochylała nad nim twarz i jakimś cudem była w stanie w tych ciemnościach – korzystając jedynie z blasku księżyca – czytać jego zawartość.

Czytała i płakała. Tak rzewnie, że łzy zalewały karty notatnika, mocząc je jeszcze bardziej, zamiast osuszyć.

Obserwowałam ją przez jakiś czas, a serce niemal pękało mi z żalu nad nią. Dopiero po chwili jednak dostrzegłam coś jeszcze. Milena była pochylona – jej plecy zaokrągliły się ze smutku.

Kołysała się do przodu i do tyłu. Jedną jej ręką pozostawała nieruchoma, druga zaś wykonywała powtarzalny, monotony ruch. Milena trzymała w rękach jakieś zawiniątko. Jedną ręką tuliła je do siebie, drugą – głaskała delikatnie.

Podniosłam się na łokciach, by zobaczyć, co przytula do piersi. Smuga księżycowego światła padała na Milenę przez okno i oświetlała delikatnie maleństwo, które trzymała w ramionach. Po chwili mój

wzrok był w stanie przebić się przez ciemność na tyle skutecznie, że nawet nie wstając z łóżka, rozpoznałam w rękach Mileny kształt niemowlęcia. Jego nóżki i rączki pozostawały nieruchome – musiało więc spać. Jego buzia była zapewne cała mokra od rzewnych łez, które wylewały się strumieniami z oczu Mileny.

Nagle zapragnęłam podnieść się z łóżka. Niemowlę wydawało mi się zbyt spokojne, zbyt nieruchome nawet jak na dziecko, które śpi. Chciałam zobaczyć jego mokrą twarzyczkę i poprosić

Milenę, by już nie płakała.

Próbowałam wstać, ale nie byłam w stanie. Mikstura Mileny – cokolwiek nią było – rozgościła się w moich żyłach i sprawiła, że pokonanie siły ciężkości okazało się niemożliwe. Podjęłam kilka rozpaczliwych prób, usiłując choćby usiąść na łóżku, lecz było to ponad moje siły. Wyczerpana tym wysiłkiem opadłam na poduszkę i przytuliłam do niej twarz.

W chwilę potem znowu spałam.

Sen 11

Razem z trzema zjawami splecie szczątki serca

Czas po urodzeniu martwego Nowego mijał inaczej.

Inaczej dla Mi, inaczej dla Sza, inaczej dla Sola.

Życie igrało na twarzy Mi, a po jej ciele przetaczały się nowe pragnienia. Mi zamieniała się w kolejne zmysły.

W erze wzroku widywała pięknych, młodych, którym lubiła się przyglądać. Mi-artystka, Mi-poetka, Mi-samotniczka zapraszała ich do siebie – do swojego domu na wzgórzu, który był wyspą innej moralności i innych zasad. Zapraszała mężczyzn, których ciała przywodziły jej na myśl doskonałość. W tej idealnej formie Mi próbowała znaleźć zasadę, prawo, które rządzi wszystkim i wszystkimi.

Rzeźbiła z pięknych mężczyzn skomplikowane figury, które usiłowała wypróbować, by przekonać

się, ile są warte. Lepiła z ich ciał narzędzia własnej satysfakcji, którą również lubiła oglądać i wyobrażać sobie jakby z zewnątrz. W formie jest harmonia – myślała Mi. Więc w pięknie musi być odpowiedź.

W erze wzroku Mi chadzała też na długie spacery, które trwały – czasem pół dnia, niekiedy trzy doby, a innym razem pół roku. Na spacerach Mi szukała podobieństw i różnic. Skoro coś wygląda prawie tak samo, musi tym rządzić podobna zasada – myślała. Skoro coś jest całkiem inne, reguły tym rządzące też są odmienne.

Szukała więc matek. Szukała ich dzieci. Szukała podziemnych trumienek z dzieciątkami i twarzy matek, które straciły swoje dziecko. Do kogo jestem podobna? – pytała Mi. Czy do matki w rozpacz?

Czy do matki w obłędzie? Czy do matki obojętnej?

Mi szukała podobieństw między macierzyństwem a brakiem dziecka. Przyglądała się uważnie kobietom, które spełniały jeden lub drugi warunek.

Błąkała się, obserwując życie innych i porównując je ze swoim.

Jednak to, co widziała, nie dało odpowiedzi na jej pytania.

Potem nadeszła era wężchu. Mi nie wychodziła z domu. Mijały długie miesiące, a ona siedziała w swojej sypialni. Od czasu porodu nie pozwoliła sobie zabrać ani wyprać pościeli. Schowała ją w wielkiej, drewnianej skrzyni. Najpierw – w erze wzroku – nie mogła na nią patrzeć, nie mogła znieść wstrętnego widoku zaschniętych flaków i krwi. Ale teraz – w czasach zapachu – Mi wyciągała codziennie starą pościel albo w ogóle nie rozstawała się z nią. Wkładała twarz w zakamarki brudu i zeschnięcia i węszyła z rozkoszą. To zapach Nowego. To zapach Mi z czasów, gdy ona i Nowe tworzyły jedność. To woń życia – słabego, bo słabego. Niepewnego – jak każde życie – myślała Mi.

Ale jednak życia.

Tę pościel musi szczególnie głęboko schować przed Solem. Mi uroiła sobie, że Sol też mógłby być w erze wężchu i odkryć po samym tylko zapachu pościeli, że Nowe było żywe, gdy wydawała je na świat.

W owym czasie Mi lubiła też siadywać przy oknie. Coś powstrzymywało ją przed wychodzeniem – w domu tyle było przyjaznych woni, jej woni, woni spokoju i bezpieczeństwa. A tam – w dalekim świecie wszystko pachniało nieznanym, na które Mi przestała być gotowa. Mimo to węszyła.

I czasami – bardzo rzadko – zdawało jej się, że czuje daleki jak wspomnienie stuletniego starca...

Czuje... zapach Nowego. Czuje tę samą woń, którą wyciąga z drewnianej skrzyni. Ale świeższą, prawdziwszą, bardziej teraźniejszą.

Mi siedzi z nosem przy szparze uchylonego okna i węszy. Nie chce Sola, bo nie pachnie jej dzieckiem. Nie pragnie niczego, nie chce nikogo.

Mi poczuła, jak jej twarz ryją pierwsze zmarszczki, gdy zdała sobie sprawę z tego, że w jej życiu nastąpiła era słuchu.

Dotychczas wydawało jej się, że Sza mamrocze coś pod nosem bezgłośnie. Od czasu porodu Mi ani razu nie usłyszała jej głosu.

Dopiero teraz. Teraz zdała sobie sprawę, że Sza nie tylko rusza ustami, ale też wypluwa dźwięki.

– Matka nie zostawia dziecka – mówiła Sza.

– Ciotko, o czym ty mówisz? – dziwiła się Mi.

– Teraz nagle mnie słuchasz?! Matka nie zostawia dziecka, Mi. Oto, co powtarzam od dwóch lat.

Nie zostawia. A jak zostawi, to dzieje się z nią to, co teraz z tobą.

– To głupie, co mówisz. Ja nikogo nie zostawiłam. Dziecko było martwe, wiesz przecież.

– Po martwym dziecku przychodzi dziecko żywe – mamrotała Sza. – Po dziecku porzuconym nie przychodzi żadne następne.

– Różne rzeczy się zdarzają – odparła Mi, nie wiedząc dokładnie, co ma na myśli.

– Matka nie zostawia dziecka. Matka nie zostawia dziecka – powtarzała do znudzenia Sza. – To jedyna zasada, wokół której kręci się świat. Nie ma żadnej innej. Nie ma żadnej lepszej ani żadnej ważniejszej. Nie ma żadnej pewniejszej. Matka nie zostawia dziecka.

Dopiero teraz – w erze słuchu Mi zaczynała naprawdę rozumieć słowa Sza. I nie tylko jej. Nagle zdała sobie sprawę z tego, że również Sol odzywa się do niej. Czyżby przez ostatnie lata tkwiła w absolutnej ciszy?

– Dlaczego nie możesz, Mi? Dlaczego nie chcesz? – dopytywał się Sol.

Wprawdzie nie stracił zainteresowania poprzednim Nowym... Och, gdyby tylko usłyszał prawdę, natychmiast ruszyłby w pogoń – to pewne. Ale póki prawdy nie było i Nowego nie było, Sol skupił się na czym innym.

Zyskał nowe chęci. Nie musiał już nikogo zmieniać, nikogo namawiać. Tu, gdzie mieszkał i dokąd jeździł, Nowe zapanowało na dobre. Sol chciał teraz czegoś więcej. Chciał, by wyrosło całkiem inne Nowe. Nowe, które nie pamięta starego i które o tym starym nigdy się nie dowie.

Nowe bez starego stało się jego obsesją. Przychodził do Mi, kładł się z nią i nie mógł się nadziwić, że jej łono jest aż tak puste.

– Jak można wydać na świat śmierć i zużyć całe życie, które czeka w środku? – dziwił się.

– Widać można – odpowiadała Mi.

– Ach, gdybyśmy mieli dziecko... Tamto dziecko.

– Tamto dziecko było martwe – ucinała Mi.

– Ale gdyby było żywe. Wszystko byłoby możliwe.

Mi nie zastanawiała się – jakie wszystko. Nie wypytywała się Sola – co stałoby się w zasadzie możliwe. Nie. Mi teraz tylko słuchała.

W erze słuchu częściej wychodziła do ludzi. Bywała wśród sąsiadów Sza, którą odwiedzała teraz znacznie częściej. I ku swojemu zdziwieniu odkryła, że ludzie jej nienawidzą.

Ta, co tylko nogi rozkłada.

Ta obca, ta z daleka.

Nie mieszka z innymi, nie tyka motłochu.

Myśli, że jest nie wiadomo kim, bo sypia z Nowym.

Nie ma męża.

Nie ma dzieci.

Podobno nie może.

To za karę.

Zła, nadęta.

Obca, obca!

W końcu Mi przestała słuchać.

Mijał czas, a wraz z nim nastąpiła dla Mi era smaku. Smakowała teraz wszystkiego – życia, siebie, innych. Smakowała miód i piwo, by poczuć słodycz i odkryć gorycz. Smakowała nocy i dnia, by znaleźć czerń i biel. Smakowała kobiet i mężczyzn, żeby przekonać się, kto jest bardziej słodki.

Lecz najbardziej Mi smakowała czasu. Nie marnowała go na smutek ani na rozważania. Mijały lata – i cóż...? Czy nie po to się żyje, aby być? Czy nie po to się jest, aby smakować?

W smakach Mi zatraciła się jak dziecko. Kiedy czuła słodycz, to tak silną, że aż ją mdliło. Gdy poczuła gorycz, to na tak długo, jak tylko udało jej się wytrzymać.

Nie chciała pamiętać ani wiedzieć. Nie musiała nic, choć pragnęła wszystkiego.

Tak minął Mi czas drugiego, trzeciego i czwartego dzieciństwa.

Wszystkie rówieśniczki Mi miały już gromadki dorastających i dorastających dzieci przy boku, kiedy w Mi obudził się ostatni zmysł. Dotyk.

Mi podziękowała słodyczy do porzygania i goryczy aż do granic rozpacz. Podziękowała nocom i dniom. Odprawiła mężczyzn i kobiety.

Teraz Mi była czuciem i cały niepokój, który trawił ją przez wszystkie minione ery, nagle odszedł

w zapomnienie.

Mi nabrała dystansu. Czula siebie i poznała swoje potrzeby. Tworzyła na potęgę, stwarzała jak dzika. Lepiła, rzeźbiła, malowała, kreśliła, pisała, śpiewała. Na każdą okazję Mi miała dziesięć pomysłów, na każde uczucie sto odpowiedzi twórczych. Zасыpywała starzejącą się Sza

malowidełkami, ornamentami, figurkami. Odmalowała jej cały dom na nowo, a każdy jego fragmencik ozdobiła piękną koronką malunków z naturalnych barwników. Wyrzeźbiła starą matkę i postawiła ją na półce z miskami, takimi jak te, które stara dawno temu była w drobnym mak.

Namalowała Sza młodą, Sza średnią i Sza starą. Śpiewała poezję i recytowała pieśni.

Cały swój dom na wzgórzu Mi przerobiła, przebudowała, ulepszyła, upiękzyła. Wzgórze obsadziła kwiatami, po których turlała się każdego wieczoru – zaczynając na samym szczycie, a kończąc u stóp wzniesienia.

Spaliła stare meble i sama zrobiła nowe. Wszystko poza drewnianą skrzynią ze starą pościelą poszło na przemiał. Mi wyrzeźbiła rodzinę krzesel: ojca krzesło, matkę krzesło i całą gromadkę taborecików. Wyrzeźbiła ze swojego łóża dwoje wtulonych kochanków i sama ze swoimi kochankami kładła się w tym łóżu w identycznej pozycji.

Każdy dzień zapamiętywała i o każdym pisała pieśń ku pamięci.

Mi kocha szorstkość. Kocha gładkość. Kocha twardość i miękkości.

Mi-spokojna. Mi-pogodzona z własnym czuciem.

*

A jednak czasem przychodziły dni ślepoty na życie i głuchoty na jego bieg. Mi traciła węch i smak.

Traciła zmysły. W epokach, które przemierzała, bywały raz na jakiś czas wąskie szczeliny, które – jak w dalekim lodowcu – z zewnątrz niewidoczne, ale kiedy się w nie wślizgnąć – można przepaść bez wieści i bez nadziei.

Mi-spokojna, Mi-wyciszona: siadywała w takich chwilach naprzeciw krzesła – matki i gromadki taborecików. I już nie była wyciszona. Wychodziła przed swój dom i rwała na strzępy kwiaty porastające wzgórze. Zrzucała w przepaść rzeźbione łyżki i figurki. Spaliła drewnianą kołyskę, którą zrobiła dla odwiedzającego ją często kota.

– Kot, won! – wrzasnęła do zwierzęcia, które bujało się w rzeźbionym łóżeczku na płozach, jakby kołyski naprawdę wymyślono dla kotów.

Stare kocisko ani myślało się wahać. Znało już Mi na tyle, by wiedzieć, że KOT WON znaczy KOT WON i nie należy się spierać. Uciekało wtedy daleko od domu Mi i obrażało się na nią na długie dni. Ale w końcu wracało – jak wszystkie koty. I jak wszystkie koty – w końcu dawało się obłaskawić.

Kołyska poszła z dymem, a Mi czuła, że lada moment to samo stanie się z domem. Klękała za domem – na wilgotnej glebie, którą chronił przed słońcem jego cień. Chwytała ziemię między palce, zagarniała ją dłońmi i rozwierała jej wrota. Wkopywała się w ziemię własnymi rękoma. Całymi dniami kopała i płakała, czując, że zaraz jej omdleją ręce, a opuszki palców zedrą się do gołego mięsa.

Wkopywała się pod ziemię na głębokość wzrostu mężczyzny i zamieniała się w kreta. Wchodziła do dziury, spała w niej i płakała, wciąż płakała. Wyła z dziury, jakby chciała poruszyć w posadach świat żywych i świat zmarłych. Nowe pokolenia dzieci, których narodzin Mi już nie widziała ze swojej samotni na wzgórzu, opowiadały o niej legendy.

Tam, na wzniesieniu żyje kobieta-kamień. Córka tej, która bardzo pragnęła dziecka, lecz nie mogła żadnego począć. Jej mąż wyrabiał posągi i kamienie nagrobne – opowiadały sobie dzieci. Więc kiedy rozpacz żony stała się nie do zniesienia, wydobył spod ziemi najpiękniejszy kamień, jaki znalazł, i wyrzeźbił z niego córeczkę.

Włożona do kołyski i zawinięta w dziecięce szmatki wyglądała jak prawdziwe dziecko.

Matka kamiennego dziecka spędzała nad nim całe godziny, lejąc łzy nad kołyską i lamentując.

W końcu wylała ich tak wiele, że kamień namókł, zmiękł, aż zaczął się poruszać. Widząc to, kobieta płakała wciąż więcej i więcej, oblewając kamień swoimi łzami, aż naprawdę stał się człowiekiem.

Kamienna córka dałaby kobiecie wiele szczęścia, gdyby nie to, że wraz z każdą łzą, która ożywiła dziecko, serce matki oddawało coraz więcej życia i miękkości, aż w końcu samo zamieniło się w kamień. W ostatnią noc dzieciństwa – jak mówią dzieci – matka zamieniła się w kamień już bezpowrotnie. Jej mąż umarł z żalu, a kamienna córka lamentuje po dziś dzień – za podziemiami, z których ją wydobyto.

Mi nie знаła tych opowieści, ale kiedy tak leżała całymi dniami w zimnym dole, naprawdę chciała zamienić się w kamień. Nie czuć, nie myśleć, osiąść w ziemi na zawsze – bez bólu i pragnień.

– Nie możesz tak leżeć – warczał czasami Sol, stając w dni takie jak ten nad jej dołem. Sol nie

lubił, gdy Mi szalała. Nie rozumiał tego i nie pragnął zrozumieć. Mi wariowała – mówił sobie. Zawsze była wariatką, ale im bardziej się starzała, tym jej szaleństwo stawało się gorsze.

– To nieprawda – bronił jej Si. – Teraz, po wielu latach od urodzenia martwego Nowego Mi radzi sobie bardzo dobrze.

– Leży w dole i wyje – warczał Sol.

– Tylko od czasu do czasu – nie ustępował Si.

Solowi nie podobała się Mi-kamień i Mi w dole. Chciał wyznaczać nią życie; nie szaleństwo i śmierć. Sol wolał teraz inne kobiety – młode i nowe, które wyrosły w tym, co Sol przyniósł na tę

ziemię, i nie trzeba było ich do niczego przekonywać, nie trzeba było z nimi walczyć.

– Wyjdź już – prosił więc Si, ostatni, który zostawał nad otwartym grobem leżącej w dole i lamentującej Mi.

Lecz ona tylko jęczała i gryzła ziemię. Wtedy Si schodził po nią i wynosił ją – całą czarną i brudną, oklejoną ziemią jak prawdziwy kamień wydobyty z jej wnętrza. Kładł ją na łożu, które zamieniało się w bagnisko.

W końcu rozpacz przechodziła. Mi obmywała się z czarnej ziemi i zaczynała wystawiać przed dom miski mleka dla kota. Wracała do rzeźbienia jego kołyski i w końcu godziła się z nim na kolejne lata.

I znowu żyła w harmonii ze światem.

Jednak i harmonia była zdradliwa. Kiedy Mi stawała na wzgórzu i widziała, że wszystko dobrze się dzieje, że to, co żyło w równowadze, nadal w niej trwa, zabijały ją wątpliwości. Czy Nowe naprawdę jest takie złe? Minęły już dawno lata, w których Sol groził śmiercią, nakazywał i straszył.

Minęły już dni, w których krążył z innymi mężczyznami od domu do domu i sprawdzał, poprawiał, karał złych, a nagradzał dobrych. Ludzie robią, co zawsze robili. Jedni bardziej skrycie, inni otwarcie.

A i Sol nie jest już ten sam co kiedyś. Odeszło mu sporo zawziętości w karaniu. Jest bardziej wyrozumiały i macha ręką na ludzkie przewiny.

Czy zrobiłam dobrze? – pytała Mi, stając na wzgórzu i widząc, że świat jest piękny. Zachody czerwienieją złotem jak przedtem. Wschody zachwycają czystością jak zawsze. Przed czym Mi uchroniła Nowe? O jaką wolność dla niego walczyła?

Wtedy przypominała sobie starą matkę, która za stare miski wołała zginąć, niż żeby jej cokolwiek nakazywano.

– Ale stara matka była stara – szeptała do siebie Mi. A Nowe było młode.

I kiedy tak stała na wzgórzu, czując, że piękno świata zaraz roztrzaska jej serce, wyobrażała sobie nie jedną kobietę obserwującą ten widok, ale dwoje ludzi. Dwie kobiety? – myślała. A może młodego mężczyznę i jego matkę? Mi tego nawet nie wiedziała.

Przecież nie chciałam. Nie chciałam znać imienia, nie chciałam nic wiedzieć.

Ze łzami Mi padają gorzkie pytania, którymi poi się ziemia. Pod stopami Mi pojawia się w końcu kałuża, w której odbiciu widać trzy zjawy. Trzy stare kobiety.

– Czy dobrze zrobiłam? – pyta Mi, spoglądając na siostry starości.

– *Możedobrze. Możeniedobrze* – odpowiada jedna. Na jej policzku wyrastają liczne znamiona, pokryte brzydką skórą i drobnym meszkiem. Lecz chwilę potem zjawia odwraca się i spogląda na Mi

młodszy spojrzeniem, a jej twarz młodziej, piękniejsza skóra, wypełniają się bruzdy zmarszczek.

– Może powinnam odnaleźć Nowe – mówi znowu Mi.

Odmłodziła zjawa chwyta bez pośpiechu kudły swojej siostry – ta wygląda jak niemowlę, ale ma bardzo długie włosy. Starsza zawija na palec jej pukiel, a im bardziej zawija, tym bardziej niemowlę dorasta i przemienia się w takie samo widziadło jak jej siostra.

– *Możepowinnaś* – mówi zjawa kobieta.

– *Możeniepowinnaś* – dodaje zjawa niemowlę.

– *Możemusisz* – odzywa się trzecia zjawa, która do tej pory milczała.

– Gdybym chociaż wiedziała, czy Nowe to chłopiec, czy dziewczynka. Tylko tyle, nic więcej.

Pewnie ma matkę po stokroć lepszą ode mnie i żyje mu się szczęśliwie. Nie mam prawa odbierać szczęścia, które nieopatrznie oddałam komuś innemu. Ale gdybym tylko wiedziała tę jedną rzecz – nic więcej. Mogłabym stawać na wzgórzu i wiedziałabym, czy powinny tu stać dwie kobiety, czy matka i syn.

– *Możeruszajwdrogę* – mówiła jedna zjawa.

– *Amożezostańgdziejesteś* – dodawała druga.

– Nie – orzekła w końcu Mi. – Nie.

Koniec kałuży łez. Koniec wyczekiwania na wzgórzu. Mi wkłada twarde buty i sama staje się twarda i niezniszczalna. Patrzy prosto w słońce i nie dba, czy oślepie.

Rusza w drogę. Koniec łez. Koniec łez. Po stokroć koniec łez.

Zaczyna swoją drogę, którą wyznaczono tylko dla niej. Jest sama na całej szerokości szlaku, który służy tylko jej, tylko jej. Przemierza odległości większe niż od umysłu do serca. Sypia we własnych uczuciach – wymościła w nich wygodny domek, który zabiera każdego dnia ze sobą.

Czas działa na jej korzyść i nie liczą się dni, tygodnie ani miesiące. Mi ma swój własny zegar, który pozwala jej podróżować całymi latami, choć w jej domu na wzgórzu to mgnienie oka. Widuje lasy i szczyty gór, przemierza łąchy piasku i wielkie siedliska ludzkie. A we wszystkich tych miejscach szuka pary oczu podobnej do spojrzenia chłopca z lasu. Nosa podobnego do swojego.

Włosów Re. Ust Mi. Szuka w obłędzie. Szaleństwo jest jej jedynym towarzyszem i Mi pokochała je już jak męża, którego nigdy nie miała.

Mi uczy się nowych języków. Potrafi rozmawiać z nocą, która szepcze gwiazdami. Zna język bólu, który przemawia łzami. Rozpoznaje łkanie wiatru, który przychodzi co wieczór odebrać od Mi

należną

ofiary. A ona mu płaci – wspomnieniami, nadzieją i wyczekiwaniem.

W swojej izolacji Mi odnajduje tyle słów, że nie nadąza ich zapisywać ani zapamiętywać.

Samotność eksploduje refleksjami i strofami, które oświetlają Mi drogę jak pochodnia. Idzie i śpiewa, biegnie i nuci. To samotność nadaje teraz jej życiu sens. Nie poszukiwanie nim jest, ale strofy, które powstają w głowie Mi.

Czasem Mi czuje tak wielkie wzruszenie, że czeka tylko, aż jej serce rozerwie się na strzępy.

Rozniosą się po całym świecie i trzeba będzie wielu lat, by wszystkie pozbierać. Kawałki powpadają w dziwne miejsca i Mi odnajdzie je w dziecięcych łóżeczkach, w świeżo wypieczonym chlebie, na trumienkach właśnie zakopanych w ziemi, na wierzchołkach drzew – w ptasich gniazdach.

Mi pozbiera te skrawki i żmudną pracą połączy je w całość. Razem z trzema zjawami splecie szczątki serca w długą włóczkę i odtworzy sprawny organ – jeśli nie taki, jakim był niegdyś, to przynajmniej taki, który działa.

Rozdział 12

Tym razem obudziła mnie czyjaś rozmowa.

Otworzyłam oczy. Było już całkiem jasno. Na kolanach poczułam ciepły ciężar. Najmniejszy psiak ułożył się na nich w kłębek i pochrapywał cichutko. Usiadłam. Z dawnej ciężkości nie pozostał ani gram. Czułam się świeża, wypoczęta i porządnie wygrzana, co było przyjemną odmianą po tym, jak zeszłej nocy przemokłam do suchej nitki.

Rozejrzałam się po izbie. Światło słoneczne nadawało jej całkiem inny klimat niż noc. Teraz pomieszczenie to wydawało się nie tajemnicze, lecz przytulne. Nie pełne posępnych kształtów, lecz zavalone bibelotami. Obok łóżka stała drewniana kołyska z literą „L” – ta sama co wczoraj, lecz tym razem nie pusta. W środku, na kocyku wylegiwał się łaciaty kot. Był tak duży, że ledwo się w niej mieścił. Za każdym razem, gdy wykonał jakiś ruch lub zmienił pozycję, kołyska delikatnie bujała się na lewo i prawo, co wyraźnie sprawiało mu przyjemność.

Mileny nie było w domu i dopiero po chwili zdałam sobie sprawę z tego, że rozmawia z kimś za oknem. To właśnie odgłos tej rozmowy musiał mnie obudzić.

Przypomniałam sobie również swoją nocną pobudkę. Czy rzeczywiście się obudziłam, czy może mi się to śniło...? Pamiętałam niemowlę trzymane przez Milenę w ramionach i kołysane wśród lamentu i łez. Pamiętam mój notatnik, który czytała, płacząc.

Ostrożnie wyciągnęłam nogi spod śpiącego psiaka, ale ten i tak się obudził. Wstał od razu radosny i aktywny – merdając ogonem i patrząc na mnie z wyczekiwaniem. Wyszłam z łóżka i podeszłam do stolika, przy którym wczoraj siedziała zapłakana Milena.

Mój notatnik nadal był rozłożony, ale grzbietem ku górze. Większość kartek była podeschnięta, ale papier pomarszczył się trwale. Niezmywalny atrament, którego używałam do robienia notatek, ucierpiał nieco na deszczu i od łez Mileny, ale wciąż trzymał się kartki na tyle dobrze, że litery były możliwe do odczytania.

Wyjrzałam przez okno i ku swojemu zdziwieniu odkryłam, że Milena rozmawia z Sizwe. Ciekawa byłam, czy powiedziała mu, że jestem u niej, czy z jakichś niewyjaśnionych przyczyn ukrywa mnie tutaj. Zarówno noc, jak i burza przeminęły, więc zaczęłam się czuć nieswojo w domu Mileny. Nie chciałam nadużywać jej gościnności. Nie miałam nawet pojęcia, gdzie ona dziś spała. Przecież nie mogła spędzić całej nocy na lamentach przy stole.

Postanowiłam podziękować jej za gościnę i wrócić do Szarej. Pomyślałam, że postaram się przygotować jakiś prezent, który przyniosę na wzgórze z wdzięczności, ale teraz czas było się zbierać.

Właśnie zdałam sobie sprawę, że ubrania, które miałam na sobie poprzedniego dnia, wiszą wyprane na sznurku przed domem. Równie późno zorientowałam się, że jestem ubrana w długą, białą koszulę nocną. Nie pamiętałam, że w ogóle ją na siebie wkładałam. Nie pamiętałam zdejmowania mokrych ciuchów. Dziwne, że moja pamięć działała tak wybiórczo, bo przecież niektóre szczegóły pamiętałam bardzo dokładnie...

Postanowiłam wyjść na zewnątrz, by zdjąć moje ubrania ze sznurka. Wtedy jednak coś dziwnego przykuło moją uwagę. Przez okno dostrzegłam, jak Sizwe pochyla się nad czymś, co Milena trzymała w ramionach. Ona sama była do mnie odwrócona plecami, więc nie potrafiłam dostrzec – co takiego mu pokazuje.

Zbliżyłam twarz do szyby, która – cienka i pojedyncza – słabo tłumiła dźwięki.

– Co mu podawać, żeby zasnęło? – spytała Milena. – Znowu się wczoraj obudziło i nie mogłam ukoić jego płaczu.

Sizwe pogładził Milenę po głowie jak małe dziecko, które zdarło kolano.

– Kamiennemu dziecku można dawać tylko kamienie, Mi. Czemu znowu zaczęłaś je wyciągać, co?

Tak długo spało spokojnie na dnie skrzyni.

– To przez nią – odparła smutno.

– Ona nie chce zrobić niczego złego.

– Wiem, wiem – przytaknęła Milena. – Ale obudziła kamienne dziecko.

Sizwe westchnął.

– Może jak skończy tę historię, kamienne dziecko nie będzie ci już potrzebne, Mi. Rozpłynie się w niebyt. Wróci do innych kamieni, przestanie być dzieckiem.

– Nie! – zdenerwowała się Milena, przytulając do siebie silniej to, na co oboje patrzyli. – Dziecko nie ma się rozpływać ani znikać. Jestem mu potrzebna, a ono mnie. Nie zostawię go. Matka nie zostawia dziecka. A jeśli zostawi, dostaje za karę dziecko z kamienia, którym musi się opiekować do końca swych dni. A potem, gdy umiera – schodzi w podziemia i dalej opiekuje się kamiennym dzieckiem.

– Już dobrze, kochanie – szepnął Sizwe i przytulił Milenę. – Dziś jeszcze z nim śpij, ale jutro połóż je z powrotem na dnie skrzyni, dobrze? Nie możesz przez cały czas tulić do siebie kamienia.

Kamień jest zimny, odbiera ci ciepło z piersi, z brzucha, ze wszystkiego, do czego go tulisz. Nigdy nie napełni się ciepłem, a zawsze będzie je odbierał.

– We mnie nie ma ciepła, więc nie ma czego zabierać. Nadejdzie dzień, kiedy zamienię kamień w prawdziwe dziecko. Takie, które będzie żyło.

Sizwe spoglądał na nią zadumany.

– Nie musisz czekać, aż kamień zamieni się w prawdziwe dziecko, przecież wiesz o tym – powiedział w końcu.

Milena machnęła na niego ręką. Pobujała w ramionach swoje zawiniątko.

– Jesteś mądry, Sizwe. Ale wszystkiego nawet ty nie rozumiesz – westchnęła. – Mam teraz dużo obowiązków. Mogę zrobić ci herbatę, ale nie będę ci towarzyszyć.

– Dziękuję, ale i tak już idę – powiedział i objął ją troskliwie. – Trzymaj się, mała. Do zobaczenia.

Nagle pomyślałam, że to może być ostatnia idealna okazja do opuszczenia domu Mileny. Zabawne – najpierw pragnęłam się tu dostać, a teraz za wszelką cenę chciałam stąd wyjść.

Niewiele więcej myśląc, otworzyłam okno i pomachałam do Sizwe.

– Cześć! – Uśmiechnął się do mnie nad ramieniem Mileny, zupełnie niezdziwiony moją obecnością.

– Cześć – odparłam zakłopotana do nich obojga. – Wybierasz się do wsi?

Przytaknął.

– A poczekaś na mnie chwilę?

– Jasne.

Milena podeszła do sznurków na bieliznę, zdjęła moje spodenki oraz bluzkę i obróciła się ku mnie, by podać ubrania przez okno. W świetle dnia zobaczyłam wyraźnie – na jej przedramieniu spoczywał granitowy posązek niemowlęcia. Milena delikatnie kołysała nim tak, jak to robią matki ze swoimi dziećmi.

– Ćśśś – powiedziała do niego i spojrzała na mnie spokojnie, by wyjaśnić swoje zachowanie. –

Dziś od samego rana płacze.

Przytaknęłam. Zamknęłam okno, pospiesznie wskoczyłam w ubrania i wyszłam przed dom.

Sizwe spoglądał na mnie badawczym wzrokiem, jakby chciał odgadnąć, co o tym wszystkim myślę.

– Mileno... – zaczęłam niepewnie. – Dziękuję ci bardzo za to, co wczoraj dla mnie zrobiłaś.

Machnęła ręką, jakby odganiała muchę.

– Nie, naprawdę. – Uśmiechnęłam się. – Może to dziwne, ale zupełnie zgubiłam się w tym lesie, ciemnościach, w tej burzy. Nie mówiąc o tym, że nie mam pojęcia, jakim cudem udało ci się sprawić, żebym nie nabawiła się zapalenia płuc czy choćby przeziębienia – dodałam żartobliwie. – Nie wiem, co ty mi wczoraj dałaś do picia, ale na pewno było to skuteczne.

Znowu machnęła jedną ręką, drugą zaś nadal kołysała granitowe niemowlę.

Wyciągnęłam dłoń i uściśnęłam jej rękę.

– Słuchaj, Mileno... – zawahałam się jeszcze. – Zdaje się, że zeszłej nocy spałam sobie smacznie, zajmując całe twoje łóżko. Czy ty w ogóle spałaś?

Odwzajemniła uścisk dłoni i wzruszyła ramionami.

– Nie ma o czym mówić. Dziecko płakało całą noc, więc i tak bym nie spała.

Spojrzałam na jej kamienne dziecko. Na Milenę. Mówiła zupełnie poważnie, ale tak, jakby doskonale zdawała sobie sprawę z tego, jak to brzmi i że trzyma w dłoniach kawałek granitu. A mimo to mówiła to, co mówiła.

Zapadła chwila ciszy. Spojrzałam na Sizwe. Wydawał się lekko zmartwiony, ale spokojny.

Nagle przypomniało mi się, że muszę jeszcze zebrać swoje rzeczy, które zeszłej nocy przemokły.

Powiedziałam o tym Milenie; podeszła ze mną do domu i pomogła mi spakować je do plecaka.

Sięgnąwszy po jeden z moich notesów, zawahała się.

– To też musisz ze sobą zabrać?

Zastanawiałam się przez chwilę.

– Nie muszę go zabierać w tej chwili. Mam też inne notesy, w których mogę pisać. Ale prędzej czy później chciałabym go zabrać ze sobą – będzie mi potrzebny – odparłam łagodnie.

Kiwnęła głową.

– Odwiedzisz mnie jeszcze? – spytała, wciąż trzymając dłoń na notesie.

– A może teraz ty odwiedziłabyś mnie?

– Nie ruszam się ze wzgórza.

– W takim razie zobaczymy, co przyniesie nam los, co ty na to? – spytałam, spoglądając na nią badawczo.

– Spotkamy się jeszcze, a wtedy oddam ci twój notes – szepnęła, nie patrząc na mnie. – Tamte pozostałe już przeczytałam, ale na ten nie starczyło mi nocy... i łez.

– Rozumiem. Dobrze, nie ma problemu. Możesz zostawić sobie notes na dłużej.

– Cieszę się – powiedziała z powagą.

Upewniłam się, że w plecaku wylądowały pozostałe notatki oraz książki, i podeszłam do drzwi.

– Jeszcze raz bardzo ci dziękuję... i do zobaczenia.

– Wiem, co sobie myślisz – powiedziała zamiast pożegnania.

– Nie wiesz. – Uśmiechnęłam się.

– Myślisz, że jestem szalona. I słusznie. Jestem. Ale dobrze wiem, że to dziecko jest kamienne.

Może jak się jeszcze spotkamy, opowiem ci coś więcej na ten temat.

– Bardzo chętnie.

Wtedy Milena nachyliła się w moją stronę i ucałowała mnie w policzek na pożegnanie. Był to ciepły całus – nieco dłuższy niż zwykłe cmoknięcie, jakie zwyczajowo składa się w powietrzu – tuż obok czyjejś twarzy.

Taki sam pocałunek złożyła na policzku Sizwe. Mężczyzna odwzajemnił całus, pogładził ją czule po ramieniu i uśmiechnął się do mnie, dając znak, że ruszamy.

Na dół nie prowadziła żadna ścieżka – niczyje stopy nie deptały trawy na tyle często, by wytyczyć szlak. Schodziłam więc ze wzgórza Mileny po śladach Sizwe. Kiedy oddaliliśmy się od domu na tyle, by nie mogła nas już słyszeć, odezwał się:

– Nie oceniał jej pochopnie.

– Nie oceniam – zapewniłam.

– Kamienne dziecko jest wyciągane tylko raz na jakiś czas. Większość czasu spędza spokojnie uśpione, na dnie skrzyni, razem z pościelą, w której przyszło na świat. Ono jest bardzo potrzebne Milenie. Pomaga jej się pogodzić z bólem, a może ukoić go, nie wiem.

– Rozumiem.

– Polubiła cię. – Sizwe uśmiechnął się. – Rzadko jej się zdarza kogoś polubić.

Wzruszyłam ramionami.

– Chyba nie bardzo miała mnie za co polubić. Prawie się nie odzywałam. Wypiłam, co mi dała, i poszłam spać.

– Może właśnie dlatego. – Zaśmiał się. – A może – dodał poważnie – za to, co napisałaś.

– To tylko notatki. Przynajmniej na razie.

– Nie szkodzi. – Pokiwał głową.

Zapadła chwila ciszy. Chyba oboje myśleliśmy o tym samym.

– Laura opowiadała ci tę legendę, prawda? – spytał w końcu.

– Tę o diable? Tak.

Pokiwał głową.

– O diable, o przekleństwie, które dosięga wszystkich kobiet z tego rodu, o przeznaczeniu, o ciężkim losie.

– Tak, opowiadała.

– Milena spotkała swojego diabła wiele lat temu. Gdy była w ciąży z Laurą. Od razu go rozpoznała i od razu wiedziała, że to jest właśnie ten moment, w którym przeznaczenie z legendy dotyka jej życia.

Była na to przygotowana, ale bała się. Chciała uchronić swoje dziecko przed tym losiem, na który wszystkie kobiety z tego rodu czekały przez całe życie. W lęku i napięciu – dopatrując się znaków nadejścia tego przeznaczenia we wszystkich szczegółach codziennego życia, we wszystkim, co je spotykało. Chciała oszukać przeznaczenie, uchronić dziecko od tego, co szykował dla niego los.

Zwieść go. Udać przed sobą i innymi, że dziecka nigdy nie było albo przynajmniej że urodziło się martwe. Razem z dzieckiem miała umrzeć legenda, która mówi o złym losie... Ale życie płała nam

wszystkim figle. Czasami ból, którego nigdy byśmy się nie spodziewali, spotyka nas w najdziwniejszych momentach. A innym razem wcale nie przychodzi, mimo że go oczekujemy.

Biedni jesteśmy – małe ludziki, które nie są w stanie niczego przewidzieć, a mimo to starają się planować, przygotowywać się – czy to na najgorsze, czy na najlepsze. Tymczasem nigdy nie wiemy, co przyniesie czas, bo choć tak dobrze go przecież znamy, nie potrafimy się przyzwyczaić do jego wielkiej mocy. Zawsze wydaje nam się, że „tu i teraz” niesie ze sobą prawdę, że reszta to tylko złudzenie. A potem przychodzi nowe „tu i teraz” i wszystko się zmienia.

– Co masz na myśli? – spytałam, myśląc o związku jego słów z historią Mileny.

Uśmiechnął się smutno.

– To, że Milena próbowała uchronić swoje dziecko przed czymś strasznym. Poświęciła temu wszystko, co miała, postawiła na szali wszystkie swoje uczucia i pragnienia. A potem okrutny los pokazał, że może nie doceniła mocy tego, przed czym chciała uciec, od czego chciała uchronić to dziecko. Diabeł, który przyszedł do Mileny, na początku był naprawdę straszny. Ział ogniem i niszczył wszystko, co spotykał na swojej drodze. Ale nikt – ani Milena, ani jej diabeł nie mogli przewidzieć, że czas ochłodzi ten ogień, przytępi diable rogi. Ukoji zniszczenie. Że diabeł się zmieni, a dokładniej – że to właśnie czas go zmieni. A wtedy okaże się, że może Milena nie musiała wcale tak zaciekle bronić swojego dziecka przed tym losem, którego tak bardzo się bała. Bo przecież nigdy, przenigdy nie wiemy, co szykuje dla nas los, prawda?

Westchnęłam ciężko w odpowiedzi na jego pytanie.

– To musi być straszne – szepnęłam – poświęcić wszystko, całe swoje życie... a potem dowiedzieć się, że może wcale nie było to konieczne. Że może narobiło to więcej szkody niż pożytku...

– Widzę, że zrozumiałaś – odparł Sizwe.

– Chciałabym się dowiedzieć czegoś więcej na temat tego diabła, którego tak bała się Milena.

I tego, co się z nim później stało... – powiedziałam.

Sizwe westchnął.

– To historia na dłuższą pogawędkę.

– Mam dużo czasu...

Sizwe uśmiechnął się.

– Czy możemy ubić mały interes? – spytał.

– Zależy, czego chcesz w zamian. – Zaśmiałam się.

– Czy mogłabyś mi pokazać ten notes, który Milena czytała zeszłej nocy...? Ten, nad którym płakała...

– Tak – odpowiedziałam bez wahania.

Sizwe ucieszył się. Doszliśmy akurat do rozwidlenia dróg, z których jedna prowadziła do jego domu, a druga do domu Szarej.

– W takim razie mam propozycję. – Zatrzymał się. – Dzień jest piękny i leniwy, a pora wciąż młoda. Mamy dużo czasu. Co ty na to, żebyśmy przysiedli w moim ogrodzie i zebrali nasze historie w jedną całość...? Ja przeczytałbym to, co kryje twój notes, a ty usłyszałabyś, co mam do powiedzenia na temat diabła Mileny.

– Brzmi nieźle. – Uśmiechnęłam się.

Mieszkał niedaleko. Widać było, że przepada za przebywaniem na świeżym powietrzu, bo wnętrze

jego domu było ciasne, zagracone i rządził w nim chaos. Za domem natomiast roztaczał się przepiękny ogród, nieco zdziczały, ale w tej dzikości tym wspanialszy. Sizwe musiał spędzać tu dużo czasu – między drzewami wisiał hamak, obok niego poniewierały się stosy książek. Pod drzewami porozkładane były jakieś domowe sprzęty, które zapewne naprawiał i porzucił w trakcie pracy. Na środku ogrodu – w najpiękniejszym jego miejscu: otoczonym kwiatami, krzewami i spowitym cieniem drzew, Sizwe ustawił stolik i fotele ogrodowe. Usiedliśmy przy nim. Sizwe przygotował ziołową herbatę i przyniósł ciastka, miód, dżem – wszystko własnej roboty i z własnej uprawy.

– A teraz. – Zatarł ręce. – Przestańmy udawać, że to spotkanie towarzyskie. – Zaśmiał się. – Dasz mi go?

Przytaknęłam z powagą, po czym wręczyłam mu notes.

– Sennik – przeczytał napis widniejący na okładce. – Ciekawe – dodał.

Oparł się wygodnie, przetarł dłonią grzbiet notesu i otworzył go z namaszczeniem...

Sen 12

A ty swój jeden jedyny raz zmarnowałaś

Z bezowocnych poszukiwań Mi wraca wycieńczona, ale pusta. Nie ma w jej głowie tych myśli o dziecku, które musi odnaleźć. Jej połatane serce nie czuje pragnień. Mi oddaje się temu, co jest teraz, i zapomina o przeszłości. Mija dziesięć lat od porodu, gdy Mi postanawia spalić wszystko, co było nią kiedyś. I znowu ogień. W płomień rzuca wszystkie ubrania, garnki i miski, z których jadła, całą rodzinę mebli. Mi staje nad płomieniami – jej twarz oświetla migotliwy blask. Zza pleców wyciąga nóż i jednym pociągnięciem ścina długie do pasa włosy. Słyszy, jak pukle piszczą i jęczą ze strachu i nagłego zdziwienia. Rzuca je w płomień. Hszst! Jedna chwila i włosów nie ma. Spłonęły tym razem

suchych traw – wybuchły swoją małą eksplozją, zajarzyły się i zniknęły w popiele. Tyle lat rosły, a w mgnieniu oka przepadły – myśli Mi. I tak samo będzie z moimi wspomnieniami.

Z moimi lękami.

Mi strzyże resztki włosów aż do samej skóry – tak dokładnie, że gdzieś zacina się nożem i po szyi spływa jej wąska strużka krwi. Hszsz! Poszły w powietrze lęki z potylicy. Hszsz! Spłonęły niepokoje ze skroni. Mi dotyka głowy. Przegląda się w wodzie z beczki. Jest szpetna – wygląda, jakby na coś chorowała i musiała się oczyścić. Oczyścić – tak. Oto jak wygląda oczyszczenie z długiej choroby.

Mi spojrziała raz jeszcze na odbicie w beczce. Nagle wydało jej się, że dopóki nie urodziła Nowego, jej włosy miały inny kolor. Od czasu porodu włosy odrastały w innym odcieniu i teraz dopiero – teraz przy samej powierzchni skóry Mi widzi swoją prawdziwą barwę włosów – sprzed trosk.

Przygląda się odbiciu jeszcze wnikliwiej. A czy oczy jej właśnie w tej chwili nie ciemnieją? Czy przez te lata płaczu nie wylała ze łzami tyle barwnika, że tęczęwki jej blakły, blakły z każdym dniem?

Dopiero teraz odzyskują dawny blask. Mi przyjrzała się swojej skórze – tak, miała więcej zagnieceń niż skóra sprzed dekady, ale poza zagnieceniami czasu, których już nie cofnie, skóra Mi zaczynała właśnie teraz – dokładnie w tej chwili odzyskiwać swój blask. Staje się bardziej rumiana. Lata łez osłabiły kolor, odebrały ciepły wygląd i twarz Mi zaczynała przypominać ziemię zaraz po zimowych roztopach. Szara, brudna, smutna.

Teraz wydawało się, że wielkie cienie pod oczyma, które napuchły i zapadły się od płaczu, bledną, rumienia się i zanikają. Oczy Mi stają się mniej zapadnięte, a czoło mniej chmurne.

Tańczy teraz – Mi-naga, Mi-odnowiona, Mi, która jest zapomnieniem. Tańczy przy ogniu, w którym spaliła wszystko. W tym tańcu czuje, jak jej piersi prężą się ku gwiazdnemu niebu. Wraca im dawna radość, którą straciły wraz z niewyssanym do końca mlekiem. Podnosi się brzuch Mi, który nie mógł zapomnieć dziecka, jakie nosił. Teraz zapomniał. Wszystko, co żyje w Mi, zapomina i nie chce pamiętać.

Gdy płomień przed domem dogasa, Mi wraca do środka i rozgląda się. Spaliła wszystko. Nie, została jedna rzecz. Podchodzi do ciemnego kąta, przy którym wcześniej stało jej łóżko. Skrzynia.

Drewniana skrzynia, a w środku stara, poplamiona pościel. Spalić! – myśli Mi.

Ale nie potrafi.

– Zakopać! – jęczy w rozpacz.

Lecz nie może.

Wyrzucić, zatopić, podrzeć na strzępy!

– *Możetozrobisz* – mówi nagle jedna z trzech zjaw, które Mi dostrzega kątem oka.

– *Możetegoniezrobisz* – dodaje druga.

Obie są tak stare, jak tylko stare może być coś podobnego do człowieka. Bruzdy z ich twarzy ciągną się przez szyję i dalej, dalej. Wszystkie zmarszczki złączone są u nich w jedno wielkie rozgałęzienie, które jak rzeka o setkach odnóg odżywia ziemię, przez które przepływa.

Ale trzeciej zjawy nie ma. Niemożliwe. Gdzie się podziała? – dziwi się Mi i odwraca wzrok od drewnianej skrzyni. Spogląda w stronę widziadeł. I nagle spostrzega. Trzecia zjawa nie jest nawet niemowlęciem. Ani noworodkiem. To małeńka kluseczka ze śliskiego ciała. Ale ma rączki lub coś do nich podobnego, nóżki lub coś, co je przypomina, i twarzyczkę albo coś, co mogłoby nią być.

– *Możetozrobisz* – powtarza pierwsza zjawa.

– *Możetegoniezrobisz* – dodaje druga.

– *Możetegonipotrafisz* – odzywa się nagle mała kluseczka, a Mi czuje, że serce z przerażenia jej staje, bo przecież ta mała prawie nie ma ust – jak może do niej przemawiać takim sennym, niskim głosem.

Chwyta skrzynię, wybiega z domu. Schować, schować. Jak nie zniszczyć, to schować głęboko. Za domem jest mała ziemianka, którą wykopała na zapasy. Otwiera pokrywę, wbiega tam z takim lękiem, jakby właśnie wchodziła do swojego grobu. Porzuca w ziemiance skrzynię z pościelą. Wybiega z okrzykiem przerażenia.

Ale gdy wraca do domu, jest lekka. Nie ma zjaw. Nie ma skrzynki. Jest pusta izba, którą na nowo będzie mogła zapełnić.

Mi układa się na środku twardej podłogi i bez przykrycia (zostało spalone), bez podparcia pod głowę (spopielone), bez koszuli nocnej (rzucona w płomienie) – zasypia.

Śni o sztuce, której się poświęci. Odnajduje nareszcie spokój i wraca jej pragnienie tworzenia.

Wszystko odtworzy – swoje włosy, siebie, swoje życie. Wyrzeźbi wiele pięknych figur z drewna i z kamienia – poustawia je wokół domu. Figur niedźwiedzi, saren, zajęcy. Dom Mi otoczony przez leśne zwierzęta i leśne stwory. Wyrzeźbi nowe meble. Łoże z desek wystruganych tak, że przypominają fale. Jej pościeleniem będzie rzeka szczęścia i lekkości. Wezgielnie w spienionego bałwana, a boki łoża w dwie długie fale.

Krzesła zwierzęta. Wataha wilków. I taboreciki wilczęta. Na siedziskach Mi wystruga płaskorzeźby z podobiznami zwierząt. Albo wykorzysta cztery nogi i dorobi do nich drewniany łeb.

Naplecie nowych szmatek, pościeli, kocyków. Uszyje nowe ubrania. Wszystko z pięknymi ornamentami i leśnymi motywami. Mi wśród tych rzeczy będzie szczęśliwa w swoim nowym życiu.

Mi budzi się o wschodzie słońca. Czuje nagle ścisk w brzuchu. Przecież nie wystarczy spalić swojego własnego życia tutaj. Gdy tylko zejdzie ze wzgórza i pójdzie do ludzi – natychmiast jej się

przypomni.

Gdy tylko odwiedzi Sza – natychmiast wróci ból i dawne życie.

Sza przez tę jedną dekadę postarzała się, jakby minęły trzy. Stała się bardziej zręśliwa, gderliwa.

Wygląda teraz tak samo jak stara matka, mówi jak ona i marudzi jak ona. Czas nie był dla niej łaskawy – może dlatego, że na Sza nic już nie czekało w tym życiu. Tak twierdziła. Nie mogła liczyć na wnuki, które wychowa, nie mogła liczyć na zięcia, na którego będzie narzekać. Nie mogła liczyć na Mi, która mieszkała na wzgórzu.

Prawdę mówiąc, coś stało się z pamięcią Sza. Ledwo pamiętała Mi sprzed porodu i jedyne, o czym wciąż myślała i co sobie przypominała, to ten czas, kiedy stara matka zginęła i oddała się w ręce zaświatów, oraz ten czas, kiedy Mi miała rodzić, a nie przysłała do Sza z niemowlęciem.

Od tamtego czasu sam nawet widok Mi przypominał starej Sza o nowym życiu, o które miała

dbać, a którego w końcu nie dostała – ba, nawet go nie widziała. Może gdyby Sza choć raz zobaczyła dziecko, zapamiętałaby bardziej je właśnie, a nie Mi – odchodzącą z brzuchem, a wracającą bez niczego.

Przez to wspomnienie Sza przestała rozmawiać z Mi na poważnie. Jedynym, absolutnie jedynym tematem, na jaki chciała z nią rozmawiać, było nienarodzone dziecko, w którego śmierć Sza nie wierzyła.

Matka nie porzuca dziecka. Matka nie porzuca dziecka – były to jedyne słowa, które po pewnym czasie słyszała od niej Mi. Ileż to razy kłóciły się o to. Ile razy Mi wybiegała, trzaskając drzwiami.

Wystarczało jej gderające sumienie, na które nie mogła trzasnąć drzwiami. Sumienie, które było echem Sza. Albo Sza, która zamieniła się w obłąkane echo sumienia.

– Mówisz tak, bo sama nie miałaś dziecka! – wrzeszczy pewnego dnia Mi w odpowiedzi.

Sza zamyśla się. Po raz pierwszy przestaje powtarzać swoje zdanie.

– W tej rodzinie każda kobieta raz tylko może mieć dziecko – odpowiada. – Nigdy więcej. Tylko raz. Mój raz stracony przez los. A ty swój jeden jedyny raz zmarnowałaś.

Rozdział 13

Sizwe zamknął notes i przytaknął w zamyśleniu.

– Ta historia, którą napisałaś... podzieliłaś ją nie na rozdziały, lecz na sny – odezwał się po chwili.

– Zgadza się – odpowiedziałam bez dodatkowych wyjaśnień.

Z ziołowej herbaty, którą Sizwe nam przyniósł, nie pozostała już ani kropelka. O obecności ciastek świadczyły już tylko okruszki.

– To, co jest w tym notatniku, to jakby... pierwsze okrążenie, prawda? Tak jakby życie tego rodu – tych kobiet przypominało niekończący się wyścig, w którym biegnie się ciągle w kółko.

– Zgadza się. Dlatego one tak bardzo obawiają się przeszłości i przyszłości – bo uważają, że już na starcie skazane są na błędy poprzedniego okrążenia – swoich matek, babek, ciotek.

– Bo ich start to poprzednia meta, zgadza się? – spytał w zamyśleniu.

– Na to wygląda. Przynajmniej tak mi to przedstawiła Laura. To, co właśnie przeczytałeś, jest zatem zarazem pierwszą z historii, jakie przeżyły te kobiety, jak i każdą kolejną – bo w każdym pokoleniu dzieje się niemal to samo. Jest miejsce na ból, wygnanie, niezrozumienie.

– I na diabła.

– Tak, i na diabła. Albo na oczekiwanie na niego. One pamiętają, że diabeł pojawił się w poprzednim pokoleniu, dlatego uważają, że mogą tylko czekać, aż przyjdzie znowu...

– To smutne – zauważył. – Jak zamierzasz zakończyć tę historię?

– Mogę ci tylko powiedzieć, jak *spróbuję* ją zakończyć. Ostatecznie to opowieść sama się opowiada i nigdy nie wiadomo, czy w tych zmaganiach zwyciężę ja i mój plan, czy ona, która płynie swoim nurtem, nie bacząc na koryta, które jej wykopię. Gdy chce – zalewa łąki i domy. Gdy zechce, płynie pod prąd.

– A jak byś chciała to zakończyć? Co planujesz?

– Chciałabym je uwolnić – zgodnie z tym, o co prosiła mnie Laura.

– Chcesz zmienić bieg historii swoją opowieścią?

– Nie. – Uśmiechnęłam się. – Tego zrobić się nie da. Chcę je uwolnić od kolejnego okrążenia.

– W jaki sposób? – zaniepokoił się Sizwe.

– Tego nie mogę ci powiedzieć. Będziesz musiał o tym przeczytać.

Zamyślił się na moment.

– Laura bardzo pragnie przerwania tego niekończącego się wypełniania przeznaczenia. Spotkania diabła, uciekania przed nim, odwracania się od siebie nawzajem. Samotności. Przede wszystkim samotności.

– Laura da radę się temu przeciwstawić – stwierdziłam stanowczo.

– Masz rację, jest silna. Silniejsza niż wszystkie poprzednie. Choć wciąż jeszcze taka młodziutka...

– Sizwe... Opowiedz mi o tym diable, którego tak bardzo bała się Milena.

Zaśmiał się smutno.

– Widzisz... zwykle wydaje nam się, że tylko my się zmieniamy. Zapamiętujemy dzieci znajomych jako małe szkraby i potem nie możemy uwierzyć, gdy po latach widzimy, że dorosły.

Rzecz w tym, że nie tylko ludzie się zmieniają. Wszystko goni swój własny ogon, ale w tej pogoni wciąż się zmienia. Zapewne kojarzysz niejedną baśń, w której zła czarownica czy diabeł wyświadcza jakąś przysługę i w zamian za to chcą dostać jego pierwszą córkę – gdy przyjdzie na świat lub gdy skończy piętnaście lat... I tak sobie myślę – ludziom wydaje się wtedy, że tylko oni się zmieniają, tylko ich dzieci dorastają. A może zła czarownica czy diabeł też przez te wszystkie lata zmienili się i wcale nie są już tak okrutni, bezwzględni i porywczy jak kiedyś...? Może już nie zależy im tak bardzo na wypełnieniu obietnicy? Może dziś zdecydowałiby się pomóc człowiekowi tak po prostu – bez oddawania pierworodnego dziecka...?

– Chyba wiem, o co ci chodzi. Chcesz powiedzieć, że diabeł, którego tak obawiała się Milena, sam zmienił się przez lata nie do poznania. Przestały go interesować diabelskie sztuczki i zapomniał

o dawnych żądaniach.

– Zgadza się. A przez to Milena zdała sobie sprawę, że może i ona lata temu postąpiła zbyt pochopnie. Czy wiesz, jakie to musi być uczucie, gdy poświęcasz wszystko, gdy wyrzucasz swoje serce z piersi, gdy cierpisz, a wszystko to dla jakiejś idei, w którą tak bardzo wierzysz...? A potem okazuje się, że może myliłaś się, że może ta idea była błędna.

– Opowiedz mi o tym diable, który tak bardzo się zmienił...

Sizwe nabrał powietrza głęboko w płuca.

– Słuchaj i notuj.

Sen 13

Niesie Prawdę i Słuszność jak sztandary

Sol też się postarzał. Oczywiście nie tak bardzo jak stara matka. Nie osłabł i nie stał się bardziej

gderliwy. Ale częściej się zastanawiał. Gdy poznał Mi, był w trzeciej dekadzie życia. Teraz –

przekroczył czwartą. Wtedy wszystko było dla niego jasne, godne podjęcia walki. Sol zastosuje wszystkie metody, by osiągnąć to, w co wierzy. Sol zniszczy tych, którzy myślą inaczej. Sol cieszy się uznaniem i budzi postrach.

A teraz? Sol za często myśli. A może to nie do końca dobre...? A nawet jeśli dobre, to czy mnie o tym

decydować...? A jeśli się mylę?

Mylę! Mylę! – prychnąłby trzydziestoletni Sol. Nie ma pomyłek. Skoro tak czuję, skoro jestem pewien – to się nie mylę. Jest tylko jedna prawda i jedna racja. Jeśli ją odnalazłem, mam błogosławieństwo i wyłączność na słusność.

Lecz teraz... Sol siaduje często w oknie swojego domu, pokrzepia się czymś mocnym i myśli. Czy na pewno jest jedna prawda i jedna racja? Czy jedna dla wszystkich ludzi? A jeśli nie, to czy mam pewność, że to ja odnalazłem Prawdę, a nie ktoś inny? Skąd pewność, że moja racja jest właściwa?

Potem Sol brzydzi się sobą. Wspomina lata, kiedy był nieprzejednany, i nie może zrozumieć. Co się w nim zmieniło? Co zmieniło te dziesięć lat? Czy Sol odkrył w sobie coś, czego wcześniej nie miał? Jeśli dziesięć lat zmieniło tak wiele, to czy dzisiejszy Sol jest prawdziwy? Który z nich jest prawdziwszy?

Z pewnością wiadomo, który jest wspanialszy. Sol pierwszy. Sol młodszy. Ma siłę, posłuch, potęgę. Ale to nieważne. Ma sztandar Prawdy, w który wierzy. Ma hymn Racji, który go wzmacnia.

Sol drugi wierzy, że teraz jest dobrze. Wcale nie wątpi w słusność Nowego.

Po prostu nie jest pewien, czy jedno Nowe jest lepsze od innego. A skoro tak, to co zrobiłby Sol, gdyby teraz przyjechał do niego inny trzydziestoletni mężczyzna i przyniósł własny sztandar Prawdy?

Jak Sol udowodni mu, że jego stare jest lepsze niż Nowe mężczyzny? A co jeśli nie będzie chciał dowodów, tylko rozkaże?

Im więcej wątpliwości rodziło się w głowie Sola, z tym mniejszą przyjemnością myślał o przyszłości, a z większą o tym, co było.

Jego ulubione wspomnienia związane były z przybyciem tutaj. Ze zdobyciem i z tą nieprzejednaną pewnością. A wokół każdego z tych wspomnień krążył jak satelita jeden jedyny obraz. Mi.

Mi z wielkim brzuchem. Mi, która w jakiś wyjątkowy sposób jest podobna do Sola. Mi, której nie sposób porównać z żadną inną kobietą, z jaką kiedykolwiek był.

A wtedy Sol przypomina sobie coś jeszcze. Nowe. Nowe, które Mi nosiła w sobie.

W takich chwilach, gdy Sol ma same wątpliwości, a jedynym ukojeniem są wspomnienia, najbardziej boli go utrata Nowego. Ach, gdyby odzyskać dawne życie. Gdyby odzyskać Mi i odzyskać Nowe. Żyliby razem. Albo nawet osobno, gdyby Mi nie chciała opuszczać swojej samotni. Ale w jakiś niezwykły sposób tworzyliby rodzinę, która powstawała w czasach Pewności i Racji.

Owszem, Sol miał teraz inne dzieci. Kochał inne kobiety. Ale żadne z tych dzieci ani żadna z tych

kobiet nie rozumiała go naprawdę. Żadne z nich nie było do niego podobne w ten niewyjaśniony sposób.

Tylko Mi rozumie te czasy świeżości, gdy wszystko było inne.

Sol powstaje ze swojego siedziska zadumy. Odwiedzi dom na wzgórzu. Ale inaczej niż zazwyczaj.

Nie tylko dla ukojenia zmysłów. Nie tylko dla krótkiej pogawędki z Mi po zakończonej bliskości.

Sol spróbuje tam odnaleźć siebie dawnego.

Już z daleka dostrzega kamienne i drewniane rzeźby: niedźwiedzie, sarny, a nawet ludzi. Kiedyś Sol kazałby to wszystko zniszczyć, ale teraz...? A co to komu szkodzi? A cóż tam zmieni jedna figura, dwa posągi, które – Sol przyznawał w myślach – były naprawdę piękne.

Pomiędzy posągami chodziły zwierzęta. Jakiś czas temu Mi zniknęła ze swojego domu na wzgórzu, a gdy wróciła, wszystko, co miała – spaliła. Wszystko, co wcześniej stworzyła – zniszczyła.

Otoczyła się nowymi rzeźbami, nowymi meblami i ozdobami. A nade wszystko otoczyła się dziesiątkami zwierząt. Jakby tym życiem pierzastym i futrzastym chciała zapełnić przestrzeń między figurami z drewna i kamienia.

Pod nogami pałętały się owce i kury; kozy obskubywały zębami drewniane rzeźby, trzy psiaki zaganiały pozostałe zwierzęta z jednego miejsca w drugie, a kot przypatrywał się wszystkiemu z głowy najwyższego posągu.

Sol rozejrzał się po tych zwierzętach, po tych rzeźbach i wspominał. Tak, zorientował się, gdy Mi wyruszyła w swoją tajemniczą podróż. Już następnego dnia zrozumiał, że odeszła, gdy z komina domu na wzgórzu nie popłynęła wieczorna strużka dymu.

Tak, pamiętał, jak wiele lat temu powiedział do Mi: Jeśli uciekniesz, przysięgam na wszystko, co Nowe i stare – zabiję Sza.

Nie zapomniał wcale, jak się zarzekał: Zabiję wszystkich, których znałaś. Zabiję każdego, kto odwiedził wasz dom. Spalę wszystkie domy, w których mieszka ktokolwiek, kto zna wasze imię.

Spali, zabije, przysięga... Tak... Dawny Sol zrobiłby to bez wahania. Z wiarą palącą policzki, z przekonaniem, od którego nie zadrży ręka.

Ale Sol dzisiejszy...?

Tego wieczoru, gdy nie dostrzegł strużki dymu na wzgórzu, pomyślał: A może Mi nie rozpałała w kominku?

Następnego ranka, gdy udał się pod jej dom w odwiedziny, zauważył: zaryglowane. A może Mi poszła tylko do lasu i zaraz wróci...?

Następnego wieczoru: brak dymu, dom pusty, dom zimny. Sol: Musiała pójść na dłuższą przechadzkę; każdy ma do tego prawo.

Dzień czwarty, piąty, siedemnasty. Mi nie wraca. Sol: Skąd wiadomo, że uciekła? Co to znaczy – uciec? Może po prostu poszła kogoś odwiedzić.

Sol wybiera się do Sza. Stara kobieta wita go teraz z chętną gderliwością, bo poza nim nie ma nikogo, komu mogłaby ponarzekać.

Stara Sza, choć kiedyś gardziła Solem, teraz na swój sposób go lubi, bo przypomina jej o dawnych latach, gdy miała jeszcze na co czekać.

Sol wchodzi do izby Sza. Jak miałby ją zabić? Tak po prostu? Podnieść coś ciężkiego i huknąć ją w siwą głowę? Wbić jej nóż? Przecież to niedorzeczne. Tę starą kobietę mógłby złamać wpół gołymi rękoma – jak szyję gołąbka.

Sza gdera i marudzi. A Sol myśli.

Dlaczego miałby zabijać starą Sza za to, że Mi uciekła? A cóż mu z tego przyjdzie? Dlaczego stara Sza miałaby za to płacić? A zresztą, skąd Mi w ogóle miałaby się dowiedzieć, że Sza nie żyje...?

Skoro jej nie ma, może równie dobrze sądzić, że jej ciotka została zabita.

A potem spojrział na starą chałupę Sza. Jakże miałby to wszystko spalić? Przypomniał sobie, gdy wchodził tu po raz pierwszy – dwie kobiety i dziewczyna z wielkim brzuchem. Dziewczyna o niezwyklej urodzie i spojrzeniu, które hipnotyzuje.

Sol dzisiejszy nie ufa Solowi sprzed lat. Więc czemu nadal tak pragnie nim być? Dlaczego oddałby dziesięć lat życia, jakie prowadzi teraz, żeby móc być przez rok tamtym Solem...?

Potem Sol wyszedł do ludzi. Każdy tu znał każdego, więc gdyby chciał spełnić obietnicę i zabić wszystkich, których znała Mi, musiałby zabić po prostu wszystkich tutejszych. Spaliłby wszystkie domy. I zostałby sam.

Wrócił pod dom Mi, który nadal ziębił powietrze pustką.

Poczekam – pomyślał. Nie warto działać pochopnie. Lepiej poczekać.

W końcu wróciła. Sol siedział w oknie swojego domu, co ostatnio często mu się zdarzało.

Dostrzegł na wzgórzu nie strużkę dymu, ale słup płomieni, a kiedy pobiegł na miejsce, zobaczył Mi-kapłankę ognia, Mi-szaloną, Mi-w amoku. Przed domem płonął ogromny stos, a Mi wrzucała do niego wszystko, co można spalić.

Ale wróciła.

I wtedy Sol poczuł się dziwnie. Warto było poczekać – powiedział do siebie Sol dzisiejszy. Warto przemyśleć i dać czas do namysłu.

Kiedys byś się nie wahał – rzucił gorzko Sol dawny. Pokazałbyś, że ustalone prawo musi być przestrzegane. Pokazałbyś, że się nie cofniesz przed niczym.

Gdyby tak móc mieć dzisiejszą rozwagę, ale pozostać dawnym Solem – rozmyślał teraz, stojąc przed przepelnionym zwierzętami domem Mi. Gdyby odzyskać to, co utraciłem, ale też nie stracić tego, co mam teraz...

Zapukał.

– Wejdz, Sol – usłyszał.

Mi coś gotowała. Miała narzucony fartuch, twarz jej przyjemnie rumieniała, czoło lśniło parą z garnka.

– Zaraz do ciebie przyjdę – powiedziała. – Pościel nam.

Ale Sol usiadł na jednym z wilcząt.

– Nie, Mi. Nie po to przyszedłem.

Spojrzała zdziwiona.

– To po co?

Milczał chwilę.

– Pamiętasz Nowe? – spytał w końcu.

Mi zastygła. Zagryzła wargi.

– Nie.

– Pamiętasz, wiem, że pamiętasz. Ach, Mi. Gdybyśmy mieli to dziecko, wszystko byłoby inne.

– Masz dużo dzieci – warknęła.

– Ale nie z tobą. Nie twoich. Nie z tamtego czasu, gdy oboje byliśmy inni.

– Tamtego już nie cofniesz.

– Ale cofnąłbym, Mi. Cofnąłbym, gdybym tylko miał to dziecko. Chciałabyś, żebyśmy zamieszkał z wami?

– Nie! – Nie wytrzymała Mi i rzuciła garnek z takim impetem, że wrzątek chlupnął w górę i prawie ją

poparzył. – Nie chcę tu ciebie, nie chcę dziecka, nie chcę nikogo! Jestem szczęśliwa i chcę być sama!

– To po co ci te wszystkie zwierzęta? – zakpił. – Myślisz, że to twoja rodzina? Karmisz je codziennie rano i wieczorem, głaszczesz je, szepczesz do nich. Myślisz, że to twoje dzieci, Mi?!

Zwariowałaś!

– Ty zwariowałaś! Dawnego nie da się cofnąć! A poza tym ja nie chcę!

Sol wstał energicznie. Drewniane wilczątka upadło na ziemię.

– Zarzekam się, Mi. Zarzekam się – jeśli przeszłość z przyszłością spotkają się i dadzą mi szansę, przyrzekam, że ją wykorzystam! Nic by mnie nie powstrzymało i odzyskałbym to, co straciłem!

Sol krzyczał i warczał. A im bardziej krzyczał, tym lepiej się czuł. Tak – kiedyś właśnie tak postępował. „Zarzekam się, Mi, zarzekam!” – jak dobrze brzmiały te słowa w jego gardle... Jak dobrze trzasnąć pięścią w stół i zarzec się na przemoc.

Nagle coś tknęło Sola.

– Gdyby to dziecko istniało – powiedział i zawahał się. – To odzyskałbym z jego pomocą to, co utraciłem. Z twoją zgodą lub bez niej.

Wyszedł, trzaskając drzwiami. Czuł się wspaniale. Przepędził z drogi kury, przepchnął spod nóg upartą kozę. Oczyma wyobraźni widział tamto Nowe. Widział tamto dziecko. Silny, mocny chłopiec.

Zdecydowany i butny – taki, jak kiedyś Sol.

Sol, wychowując go, czerpałby z jego młodzieńczej energii. A nawet jeśli nie – radowałby się tym, że ktoś wypełnia teraz za niego misję, w którą Sol wierzy. I nie ma wątpliwości. I nie waha się. Niesie Prawdę i Słuszość jak sztandary.

Rozdział 14

Nawet nie zauważyłam, że spędziłam w domu Sizwe cały dzień. Zaczęła się już wieczorna szarówka, gdy odłożyłam pióro i pomasowałam zmęczoną od robienia notatek dłoń.

Oboje byliśmy zmęczeni, ale on inaczej niż ja. Sizwe nie był nałogowym odbiorcą i nadawcą historii. A ja byłam i nadal jestem. Opowieści są moim największym nałogiem – nigdy nie mam ich dość i pomimo wielkiego zmęczenia zawsze mam ochotę na więcej. To dlatego zawsze wolałam słuchać opowieści mojej mamy niż ojca. Bo ona rozwlekała wszystko do niemożliwych rozmiarów.

Gdy miała mi opowiedzieć o filmie, który trwał godzinę, ja rozpiierałam się wygodnie na kanapie, bo wiedziałam, że opowieść potrwa co najmniej dwie. Podobnie u mojej babci od strony ojca – gdy już udało się ją zatrzymać choć na moment i odwrócić jej uwagę od garnków, ugniatania ciasta, wekowania i pieczenia, snuła opowieści, których mogłabym słuchać w nieskończoność.

Toteż i teraz – choć tak zmęczona, wciąż miałam ochotę na więcej... i więcej... i więcej.

Podziękowałam Sizwe za opowieść, gościnę, za poświęcony czas. Zgodziliśmy się, że jeśli mój cel musi zostać zrealizowany – jeżeli historia kobiet z rodu Szarych ma zatoczyć koło w mojej opowieści, to przed nami z pewnością jeszcze niejedno spotkanie i niejedna rozmowa. Bo im więcej się dowiadywałam, tym więcej pytań rodziło się w mojej głowie i tym bardziej głodna nowych opowieści się stawałam.

*

Nie widziałam Szarej od wczoraj, a wydawało mi się, jakby zniknęła mi z oczu na co najmniej tydzień. Chyba nawet stęskniłam się za nią, bo gdy przestąpiłam próg jej domu, poczułam lekki żal, uświadomiwszy sobie, że izba jest pusta, a Szara zapewne położyła się już spać. Bywały dni, kiedy przepelniała ją energia i krążyła po domu i ogrodzie do późnej nocy. Ale zdarzało się też, że szła spać od razu po kolacji – jeszcze zanim na dobre się ściemniło. Twierdziła, że jest bardzo podatna na „to, co się teraz nazywa biometem”. Przy niskim ciśnieniu – jak mawiała – zamieniała się w kreta, który najchętniej nie opuszczałby swojego ciemnego schronienia. Przy wysokim – dodawała – była jak jaskółka, która nigdy nie ma ochoty na odpoczynek.

Na kuchni pozostawiono przykryte garnki z małą karteczką „Smacznego”. Skwapliwie do nich zajrzałam i odkryłam stosik naleśników, miseczkę twarożku z wanilią oraz kubeczek jagód. Nie

miałam ochoty niczego odgrzewać – nałożyłam sobie dwa naleśniki, przełożyłam je aromatycznym farszem i zwinęłam w dwa zgrabne rulony. Wieczór był dość chłodny, więc usiadłam przy stole jadalnym w domu. Gdy wbiłam widelec w pierwszy z naleśników, na schodach prowadzących z piętra ukazała się jasna luna. Podniosłam wzrok w tamtą stronę i obserwowałam przez chwilę, jak ciepły kolor światła podskakuje niespokojnie – podatny nawet na niewielkie ruchy powietrza. W chwilę potem na schodach ukazała się Laura ze staroświeckim świecznikiem z uchwytem w dłoni.

– Dobry wieczór. – Uśmiechnęła się, widząc mnie.

– Dobry wieczór. Masz ochotę na naleśniki?

Zeszła na dół.

– Czy jest ktoś, kto odpowiedziałby w takiej chwili „nie”? – Zaśmiała się.

Pokazałam ruchem dłoni, że chętnie się podzielę, ale Laura pokręciła głową:

– Dziękuję, przygotuję sobie sama.

Postawiła świecznik na stole obok mnie i zawinęła naleśniki, przedtem nakładając solidną porcję jagód i obsypując je cukrem pudrem.

– Widzę, że gardzisz światłem elektrycznym. – Zaśmiałam się, wskazując na świecznik, z którym tu przyszła.

– Lubię wieczorami czytać przy świecy. W ogóle lubię ten świecznik. Podobno jest w rodzinie od bardzo dawna. Babcia zawsze powtarza, że popsuję sobie oczy od tego czytania przy świecy. Wtedy ja jej mówię, że ona przecież też czytała przy świecy, a wzrok ma bardzo dobry.

Zaśmiałam się.

– Wiesz, że chyba się za tym trochę stęskniłam?

Spojrzała na mnie uważnie, nacięła widelcem swojego naleśnika i wsadziła sporą porcję do ust.

– Była pani u Mileny, prawda? – spytała z pełną buzią.

Przytaknęłam.

– I jak ona się teraz miewa?

Wzruszyłam ramionami.

– Trudno mi powiedzieć. Nie znałam jej wcześniej, więc brakuje mi porównania.

Laura dziobnęła widelcem naleśnik.

– Muszę pani coś powiedzieć – zawahała się.

– Mów śmiało.

– Pamięta pani o naszym spisku?

– Spisku literackim? – Uśmiechnęłam się. – Oczywiście. Nie tylko pamiętam, ale też pracuję systematycznie nad jego realizacją. Zbieram materiały, notuję, dziś byłam u Sizwe i...

– Chodzi o to, że... pani tu nie jest przypadkiem.

Zamilkłam. Zaczynało się robić ciekawie.

– Co masz na myśli?

– No, chodzi o to, że... Dlaczego pani przyjechała akurat tutaj, żeby pracować nad książką?

– Bo wiedziałam, że będę mogła się tu nieco oderwać od codziennego życia, zmienić otoczenie, wyciszyć się...

– Nie, nie o to mi chodzi... Dlaczego zdecydowała się pani przyjechać do Tego Nowego? Przecież jest dużo miejsc takich jak to.

Otworzyłam usta, by odpowiedzieć, ale Laura nie pozwoliła mi – spuściła głowę, a potem – jakby nieco zawstydzona, wyznała:

– To ja panią tutaj sprowadziłam.

– Ty, Lauro? – zdziwiłam się, pamiętając dokładnie, że decyzja o przyjechaniu tutaj była moja i tylko moja.

– Tak. Ja panią odwiedziłam... we śnie – odparła i widząc, że robię dziwną minę, zaczęła się szybko tłumaczyć. – Chodzi o to, że znalazłam u babci taką starą księgę. Pełno tam przepisów na ziołowe leki, na to, jak zrobić zupę, żeby nie skisła podczas burzy i tak dalej. I znalazłam tam też takie coś – przepis na to, jak kogoś odwiedzić we śnie. Nie wierzyłam w to, serio. Ale postanowiłam spróbować. Powiem pani wprost – byłam wtedy zrozpaczona. Byłam załamana, zła, wręcz wściekła.

Czułam, że jeśli nie otrzymam jakiejś pomocy z zewnątrz, to po prostu... nie wiem, co zrobię. Wyłam po nocach z jakiegoś takiego... nie wiem – zagubienia, wściekłości. Przez to wszystko, co mi się w życiu przydarzyło, a najbardziej przez to, co mi się przydarzyło w ostatnich latach. Wtedy pomyślałam sobie: A co mi szkodzi? Sięgnęłam po tę księgę i wykonałam wszystko, co było zawarte w przepisie – do najdrobniejszego szczegółu. Postanowiłam wezwać pomoc przez sen. Ale czyją pomoc? Kto w ogóle mógłby chcieć mi pomóc i byłby w stanie rozwiązać moje problemy? Kto by tu przyjechał, został na jakiś czas...? Nie miałam pojęcia. Mimo to wykonałam wszystkie polecenia starej księgi i śniłam intensywnie o wzywaniu pomocy. Następnego ranka obudziłam się z przekonaniem, że ktoś z całą pewnością mnie usłyszał... Potem minął dzień, dwa i straciłam pewność. Pomyślałam, że księga jest tylko starym, zakurzonym gratem i nikt nie będzie w stanie mi pomóc. Aż w końcu... w progu domu pojawiła się pani. Ni z tego, ni z owego. Pogadałam z panią chwilę i zrozumiałam – nada się. Potem jeszcze panią zgooglowałam i wszystko stało się jasne – pani jest tą pomocą, której potrzebowałam. Pani pomoże mi odwrócić klątwę Szarych.

Była zakłopotana. Zupełnie niepotrzebnie.

– Lauro – odezwałam się łagodnie. – Dlaczego w tamtym czasie tak bardzo potrzebowałaś pomocy? Co takiego się wydarzyło?

Wepchnęła do ust ostatni kawałek naleśnika.

– Niby wszyscy tutaj o tym wiedzą, ale tak w zasadzie to nikomu o tym nie mówiłam... Nie miałam komu, nie miałam jak, nie miałam po co...

– Więc powiedz mi. Zapewniam, że masz po co.

Westchnęła.

– Chodzi o to, że... Wie już pani, że Milena jest moją mamą...

Przytaknęłam.

– ...ale ona oddała mnie ojcu zaraz po porodzie. To znaczy – mojemu ojcu, czyli Remigiuszowi.

Remkowi. Milena i Remigiusz nie byli nigdy razem, nie mieszkali ze sobą, ale ojciec mówił mi, że

bardzo Milenę kochał. Twierdził, że kiedyś ją zrozumie i że ona bardzo potrzebuje miłości, choć nie potrafi jej ani dawać, ani przyjmować. Spoko, jakoś specjalnie się tym nie przejmowałam; ojciec zresztą rzadko o niej mówił, chyba że o coś pytałam. Mieszkałam więc u ojca i Remkowej (nigdy, nawet jako małe dziecko nie nazywałam jej babcią; mówiłam do niej „pani Remkowa”, a o niej „matka mojego ojca”). Nie uważałam, by było w tym coś złego. Wieś To Stare, jak pani widziała –

jest jeszcze większym zadupiem niż To Nowe. Naprawdę są tam ze trzy domy i każdy z nich jest oddalony od drugiego o całe kilometry pól i łąk. Dorastałam więc na całkowitym odludziu. Do siódmego roku życia wychowywałam się prawie w lesie, bo nie lubiłam siedzieć w domu u Remkowej, za to przepadałam za łażeniem po drzewach, spaniem na mchu i tak dalej. Wiem, że to może dziwne, ale przejęłam to po ojcu, który potrafił zniknąć na długie dni w lesie, iść przed siebie w nieznane i tak dalej. Wtedy, gdy poznał Milenę, prawdopodobnie też był na jednej z tych swoich leśnych wypraw.

Remek – leśny człowiek – mówią o nim czasem.

Ojciec bardzo mnie kochał – wiedziałam to, byłam pewna, mimo że rzadko się odzywał i w sumie nie za bardzo potrafił okazywać uczucia. Ale ja tak samo. Zresztą chyba nikt mnie tego nie nauczył, bo Remkowa nigdy nie okazała mi ani krztyny serca. Zawsze uważała mnie za bękarta i traktowała chyba tak samo, jak traktowałyby Milenę – nazywała ją wiedźmą, diabolicą i nie mogła jej wybaczyć, że „sprowadziła jej syna na złą drogę”, podczas gdy ona – Remkowa – miała wobec niego takie piękne plany. Matka ojca potrafiła mi tylko rozkazywać i krytykować – nie znosiłam jej od dziecka.

Uciekałam z domu, gdy tylko mogłam, ale to nie były takie prawdziwe ucieczki – po prostu biegłam do lasu i czasami zapominałam o bożym świecie. Wracałam brudna, głodna i jakaś taka nieobecna.

Żyłam tak sobie, nie wiedząc do końca – czy jestem szczęśliwa, czy nie. Może po prostu nie miałam porównania...? Czasami przyjeżdżały do nas jakieś tam znajome czy siostry lub kuzynki Remkowej ze swoimi dziećmi – głównie z córkami. Remkowa zapraszała je, bo bała się, że zamienię się w dzikie zwierzę, jeśli nie będę kontaktować się z rówieśniczkami. Ale ja nie lubiłam tych rówieśniczek. Były puste, tępe, głupie. Zajmowały się rzeczami, które mnie nie ciekawiły. W ogóle ich nie rozumiałam, a one – siłą rzeczy – nie rozumiały mnie. Potem, jak byłam już starsza, zaczęłam dojeżdżać do tutejszej szkoły, ale wydawała mi się ona bezsensownym miejscem, w którym tylko traci się czas. Podstawówka to była jakaś porażka – przez pół roku uczyliśmy się czegoś, czego mnie ojciec

nauczył wcześniej przez tydzień. Potem kolejne pół roku to powtarzaliśmy – czułam się jak idiotka w grupie innych idiotów. Nie mogłam zrozumieć, jak dzieciaki w pierwszej klasie mogą nie umieć czytać czy pisać. Przecież to były moje główne rozrywki poza wypadami do lasu. Gdybym nie umiała czytać, nie miałabym co robić w wolnym czasie. Biblioteka ojca pełna była baśni, poezji, książek przygodowych – wszystko to byłoby dla mnie niedostępne, gdybym nie potrafiła czytać. Uciekałam ze szkoły, bo nudziło mi się strasznie na lekcjach. Siedzenie w szkolnej ławce przez kilka godzin po to tylko, aby słuchać, jak ktoś tłumaczy mi coś, co od dawna rozumiem, wydawało mi się absurdem. Ale potem okazało się, że ze szkoły nie można uciekać. Że trzeba odpokutować swoje i choćby nauczyciel

gadał największe brednie – trzeba patrzeć na niego i przepisywać to, co on zanotuje na tablicy.

Bardzo szybko powzięłam więc postanowienie – godziny spędzone w szkole będę traktowała jak okres hibernacji. Po prostu – przesiedzę swoje, będę robiła minimum konieczne, by przetrwać i zdawać do następnych klas (pamiętam moje rozczarowanie, gdy po zakończeniu pierwszej klasy okazało się, że to nie koniec katuszy, że ten horror będzie się teraz powtarzał co roku). Wszystko szło jak po maśle. Wyłączałam się na kilka godzin, z rówieśnikami i nauczycielami rozmawiałam, tylko jeśli musiałam wymienić z nimi jakieś informacje. A potem wracałam autobusem lub rowerem do domu (oboma środkami transportu docierałam w dwie godziny) i znowu mogłam być sobą, znowu mogłam być wolna i zajmować się tym, co mnie ciekawiło.

Niestety, Remkowa nie chciała pozwolić na to, bym dalej tak żyła. Od wielu już lat truła ojcu, że jestem nienormalna, aspołeczna i że będę „wariatką jak moja matka”. Ojciec tylko wzruszał

ramionami i słuchał. Remkowa próbowała mnie uspołeczniać. Coraz częściej zapraszała swoje siostry z moimi kuzynkami, których jednak nie znosiłam z każdym rokiem coraz bardziej.

Denerwowały mnie ich maniery, ich bezrefleksyjność, ich styl bycia. Ignorowałam je, ile tylko się dało. Niestety, pewnego razu okazało się, że nie chcą być dłużej ignorowane. Chichotały jak obłąkane i rumieniły się jak w gorączce, opowiadając sobie jakieś zboczone historyjki i porównując swój poziom dokonań erotycznych. Za wszelką cenę próbowały mnie w to wciągnąć. Chciały sprawdzić, czy jestem taka jak one – kazały mi udowodnić, że miałam chłopaka, że robiłam z nim „to”, że nie jestem – jak to nazywały – „cnotką niewydymką”. Któregoś dnia coś we mnie pękło. Wkurzyłam się, bo od rana Remkowa darła na mnie gębę, a moje kuzynki były wyjątkowo upierdliwe. Jakoś tak dziwnie się stało

– nie jestem z tego wcale dumna – że kopnęłam najstarszą z nich (siedziała w kucki na ziemi, a ja stałam) w sam środek twarzy i złamałam jej nos... Najgorsze było to, że nie mogłam się opanować i rzuciłam się na pozostałe. Pogryzłam je, powyrywałam im włosy, a jednej tak przyłożyłam w twarz, że oko podbiegło jej krwią.

Tego było za wiele – nawet ja to rozumiałam. Do tej pory ojciec ignorował słowa Remkowej, ale po tej akcji zrozumiał, że ze mną jest coś nie tak. Postanowili mnie na siłę uspołecznic albo odizolować na zawsze – Remkowa dała ojcu wybór. Uważała, że należałoby nade mną odprawić egzorcyzmy, a potem zamknąć do końca życia w jakimś klasztorze, ale ojciec sądził, że może warto

najpierw spróbować czegoś innego...

– Wtedy wysłali cię tutaj – do Szarej?

– Nie, jeszcze nie. – Laura uśmiechnęła się diabolicznie. – Wtedy wysłali mnie do Mileny...

Sen 14

Żegnaj, La

La była córką Re. Re przemawiał jej ustami, gdy śpiewała, bo tak były jej usta podobne do jego ust.

Re spoglądał jej wzrokiem, gdy obserwowała klucze ptaków albo drobne poruszenia liści na wietrze.

Bo oczy La zostały zrobione z oczu Re.

La biegła stopami ojca, malowała jego dłońmi, węszyła jego zadziornym nosem.

Ale z biegiem lat Re uciekał coraz bardziej z ciała La. Najpierw uciekł z jej piersi. Re miał klatkę szeroką i szczupłą – z boku płaską, a sutki małe. La zauważyła, że ojciec ucieka stamtąd, gdy przekroczyła dwunasty rok. Coś zaczęło się różnić i La przestraszyła się, że zamienia się teraz w kogoś innego. Jesteś taka sama jak twój ojciec – mówili wszyscy i zawsze. Obciąć jej włosy i będzie Re – powiadali inni. A potem? Nagle La zaczęła upodabniać się do kogoś innego, a ojciec rozplątywał

się w niej, jakby stawała się teraz za duża i jego stężenie w ciele La spadało i przestawało być dostrzegalne.

Czy ojcu przestało się podobać w ciele La, czy znalazł ciekawszy obiekt zagnieżdżenia –

zastanawiała się. A potem tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu Re umykał z jej ciała coraz bardziej. Porzucił jej biodra – kiedyś tak proste, malutkie i mocne jak jego. Teraz jakby popsute – nierówne, zaokrąglone. Tak, pośrodku bioder nie było tego samego, co miał Re na swoim przodzie, ale La spostrzegła to już dawno.

– Tak ma być – mówił Re. – To normalne, kochanie. Ty jesteś dziewczynką, ja jestem mężczyzną.

Ale La nie ufała wywodom ojca. Normalne normalnym, to dlaczego ojciec bardzo szybko zaczął przed nią zakrywać swoją inność i odwracał wzrok, gdy ją mył...? Potem już nawet nie chciał jej myć.

– Sama to zrób, La – jesteś dużą dziewczynką – mówił.

Później już było tylko gorzej. Gdy La miała czternaście lat, ojca w jej ciele było tyle co nic. Coś w twarzy, jakiś błysk w dłoniach, jakby wspomnienie w palcach stóp. A cała reszta? Upodobniła się do całkiem innej osoby. La stawała przed własnym odbiciem i szarpała długie, mocne kudły, które zakręcały się w jakąś kpinę, w jakieś szyderstwo, które bolało La. Bo jej ojciec miał włosy proste, a ona – kręcone. Bo jej ojciec wszystko miał proste, a ona – zawinięte, pokręcone, okrągłe.

– Nie bądź śmieszna, La – prychała matka ojca. – Ty stajesz się kobietą, a twój ojciec jest

mężczyzną. Nie bądź dziecinna, La. My, kobiety jesteśmy do siebie podobne, a mężczyźni do innych mężczyzn.

Lecz La nie ufała również słowom babki. Jak to – my jesteśmy podobne? Przecież La widziała wyraźnie, że ciało babki było podobne do jakiejś całkiem innej osoby. A już na pewno nie do ciała La.

Tam, gdzie La miała pełne kształty, babce kształt się zapadał. To, co La miała prężne, babka miała oklapłe. To, co świeciło kolorem i intensywnym blaskiem, u babki było poszarzałe i wyblakłe.

Zatem La poświęcała swoje młode życie porównaniom. Przemierzała kilometry w poszukiwaniu.

I załamywała się coraz bardziej. Młode ptaki przypominały ptaki dorosłe. Nasiona roślin – choć odmienne od rodziców, stawały się do nich coraz bardziej podobne z każdym dniem. Poranek był podobny do brzasku, a zmierzch do nocy.

I tak minął piętnasty rok życia La. Piętnasty rok życia. Czwarty rok zwątpienia. Trzeci rok poszukiwań i drugi rok załamania.

– To nie może tak być, Re – gderała matka ojca. – To nie jest normalne, Re. Za duża jest, za stara, za dorosła na takie szlajanie i marudzenie.

– Ma rówieśniczki – tłumaczył ją Re. – Czasami. Rzadko, ale jednak.

Tak, La miała czasami rówieśniczki. Rzadko. Mieszkała razem z ojcem i babką na odludziu. Pokój matki ojca był przyklejony do ich domu tak, jak życie babki przyklejone było do ich życia.

Dom, podobnie jak szczęście La, malał z każdym rokiem. Kiedyś ona była maleńka, a dom ogromny – był całym światem, w którym panowali razem z ojcem i wiedli szczęśliwy żywot. Potem La zaczęła rosnąć, a dom maleć. Jakby życie La zjadało jej świat i potrzebowało wciąż więcej i więcej pokarmu.

Rówieśniczki zjawiały się kilka, kilkanaście razy do roku. Na różne święta, na odwiedziny. Razem z matkami, razem z ojcami i rodzeństwem. Podczas tych spotkań matki siadały wokół Re i jazgotały.

Musisz dać ją do świata, Re. Musisz jej otworzyć świat, Re. Ona rośnie, Re. Ona jest już za duża. Re, musisz ją oswoić, ona jest całkiem dzika. Przestań ją rozpieszczać, Re. Przestań ją chronić, Re. Daj ją do ludzi.

Babka La siadała wtedy razem z nimi i jazgotała najmocniej. Bo ten jazgot brzmiał tymi samymi przestrogami, co jej własne codzienne narzekania.

Matki, które siadały w kręgu wokół Re, wysyłały swoje córki do kręgu skupionego wokół La.

Chodźmy się pozaplatać, La. Chodźmy się poprzebierać – mówiły rówieśniczki. Włóż to, ja mam to.

To jest takie samo, ale inne. To bardziej różowe fioletem, a tamto bardziej zielone błękitem. W tym ci bardziej do twarzy, w tamtym ci bardziej do włosów. La, pokaż swoje. La, musisz to lubić. La, musisz tak robić. Jesteś jedną z nas, La – zobacz. Przymierz, zdejmij, przymierz znowu, La. Posmaruj się tym, obejrzyj się w tym, nałóż to, zdejmij tamto, La.

A potem: ja mam już takie. A ty, La? Ty masz jeszcze małe, ale nie martw się – wszystkie się

nadadzą. Pokazywałaś je już komuś? I tak mu się spodobają, zobaczysz, La. Ja się na tym znam. Ja pokazywałam. Moje widziane, moje dotykane – mówiły jedne. Moje lizane, moje ssane –

przechwalały się inne. Moje gotowe, chętne, a twoje, La? Dlaczego ich tak bronisz, La? Musisz, musisz, bo to nienormalne.

La obserwowała rówieśniczki. Słuchała, jak mówią, patrzyła, jak się ruszają, i nie widziała podobieństwa. Oglądała ich ciała. I nie dostrzegała analogii.

– Zostaw te graty, La – mówiły rówieśniczki. – Tamtym się już nie zajmuj, to niepoważne. Chodź, opowiemy ci. To się wkłada tutaj. On dotyka tak, a ty robisz tak. Musisz to robić i on też musi. To jest normalne, to jest dobre, to jest zdrowe, La. Musisz to lubić. Niemożliwe, La... Dokąd idziesz, La?

Zostań, La.

Były takie ucieczki, które kłuły trawą w plecy. La uciekała daleko od domu na odludziu, wokół

którego zbierały się rówieśniczki, ich matki i niekiedy ojcowie. Biegła nad swoje urwiska i kładła się tam. Ściągała ubrania, bo dotyk trawy na plecach ją uspokajał. W stopach czuła powiew wiatru znad urwiska – ono biegło ku górze, ku górze – aż do stóp La, a potem jeszcze wyżej.

La przewracała się i kładła brzuchem na ziemi. Czuła zapach ziemi i obtoczonych w błocie kamyków. Opierała brodę na szorstkim podłożu i obserwowała wciągającą historię życia żuków, pracę mrówek i dziwną melancholię pająka czekającego na maleńkiej pajęczynce zawieszanej na źdźble trawy.

Jak ją zdenerwowali tylko trochę, La uciekała na jedno popołudnie, wieczór i kawałek nocy. Gdy zdenerwowali ją bardziej, uciekała na całą dobę. Głodniała, ziębła i markotniała. Ale to ją oczyszczało. Piła ze strumyka i wspinała się na drzewa dla rozgrzania się. Widywała wtedy cuda, jakich oko ludzkie w lesie nie widuje. Gdy siedziała na drzewie przez długi czas, dla zwierząt stawała się drzewem. Nudziła im się płochliwość i podchodziły blisko, żyły swoim życiem. Tak spokojne, jak zdawało się La. Tego spokoju La łaknęła. Pamiętała go ze swojego wczesnego życia – z życia małego zwierzątka, które turla się z miejsca w miejsce otoczone puchem i wesołością. Idzie za szmatami spódnic babki, biega za łydkami ojca. I jak te zwierzęta – żyje, by żyć. Żyje, by unikać cierpień i by mieć jak najwięcej przyjemności.

Tym razem rówieśniczki bardzo zmęczyły La. Była nieobecna, zamyślona i nie chciała mierzyć, wachać, przemywać, komentować. Rówieśniczki nakładały na nią warstwy ról kobiecych, którym musiała sprostać. Rola piękna – na twarz. Rola zazdrości – na korpus i stopy. Rola seksu – między nogi. La pogrążyła się we własnych myślach i ocknęła się dopiero, gdy coś jej wkładały tam, gdzie nie chciała.

Musisz, La, spróbuj. Będzie łatwiej, będzie fajniej. Nie jesteś ciekawa, La? Przestań! Trzymajcie ją! Aua! Nie gryź, La. Nie zachowuj się jak zwierzę, nie zachowuj się jak dziecko. Dawaj ją!

La kopnęła rówieśniczkę – tę, którą już oglądali, dotykali, ssali i której wkładali – tę lepszą od

innych. Dała jej z pięty w nos, więc siłą rzeczy nos, a nie pięta, okazał się słabszy. Z twarzy rówieśniczki buchnęła czerwień i zalała jej usta.

La wyrwała się z uchwytu pozostałych rówieśniczek i nie musiała się już bronić, ale wpadła nagle w amok. Jednej wyrwała całą kępę włosów, drugą ugryzła w ramię do mięsa, trzeciej wypaliła taki policzek, że później białko oka zajdzie jej krwią na trzy tygodnie.

I uciekła.

Żegnaj, La. Żegnaj, bez-przeszłości, żegnaj, bez-tożsamości. Żegnaj, ty-dziwna, ty-inna, ty-obca.

La zostawiła za sobą trochę skóry, krwi i kudłów wyszarpanych rówieśniczkom i pognała przed siebie. Dalej, niż stopy widzą, i dalej, niż oczy mogą dotknąć.

Skudłaczona, głodna, dzika. Siedziała La na swoim drzewie i żyła życiem lasu.

*

– Wróci, Re. Wróci. Takie zawsze wracają, takie zawsze przetrwają, Re. Tym się nie martw – mówiła matka ojca. – Nie to jest twoim problemem, synu, nie to. W lesie się zlesi i wróci już całkiem zlesiona, Re. Musi być bardziej złudziona. Pójdzie między ludzi i nie będzie umiała się zachować, Re.

– To po co ma iść między ludzi – mruzczał załamany Re.

– Musi, bo musi. Bo każda z nas musi.

– Niech żyje, jak chce – wyszeptał Re w dłonie. – Jak chce być zlesiona, niech będzie.

– Nie, synu. Musi. Każda kobieta musi. Każda ruszy w podróż tam, gdzie jej nie było. Jak jej nie wyślesz, pójdzie sama, gdy ciebie i mnie zabraknie. Zamkną ją w klatce i poszczują ją kpina, bólem, strachem. Nigdy nie stanie się lasem, Re. Musi więc stać się człowiekiem. Musi stać się kobietą.

Re krył strach i ból w gniewie. Otoczył się złością i kąsał nią matkę, ale dla niej złość mężczyzn była przezroczysta. Zaglądała przez nią, gdzie chciała, i widziała, co miała widzieć.

– Nie bój się, synu. Musisz. Nie możesz. Trzeba. Nie wolno – słyszał Re.

– A co, jak ona się nie da? – dopytywał się Re.

– Tobie się da.

– Ale mówiłaś, że siłą.

– Tak, siłą. Inaczej nie da rady.

– A siłą ona nie lubi. Siłą ona nie chce. Nie da się siłą.

– Tobie się da, synu. Zobaczysz, zaufaj mi.

*

La wróciła wygłodzona jak zwierzę. Zwierzęciem pachnąca. Zwierzęco chodząca. Ledwo ją Re poznał.

Włosy La wyglądały jak ciemny skrzep krwi wypływający z rozbitej czaszki. Twarz jaśniała jej tylko dwojgiem oczu, które spod błota i mchu próbowały przypomnieć o człowieku mieszkającym w środku.

La została po zwierzęcemu nakarmiona. Po zwierzęcemu wyprana, wyczesana i ostrzyżona. Po zwierzęcemu zwabiona i schwyтана.

Żegnaj, La.

Rozdział 15

Zaczęłam się przyłapywać na tym, że trochę gubię się w fabule swojego własnego życia. Ocknęłam się w środku nocy. Leżałam w swoim łóżku – w pokoiku wynajętym u Szarej. Firana łopotała jak oszaląła, choć nie czułam żadnego powiewu wiatru. Okno było oczywiście otwarte na oścież, mimo że wieczorem – przed pójściem spać zamknęłam je.

Bo zamknęłam, prawda...?

Bo przecież zeszłego wieczoru skończyłam rozmowę z Laurą i wspięłam się po schodach do swojej sypialni...? Może sformułowanie „skończyłam rozmowę” nie do końca trafnie oddaje to, co zaszło. Przerwałyśmy naszą dyskusję, zrobiłyśmy pauzę tylko dlatego, że zrobiło się bardzo późno, obie byłyśmy zmęczone, a przed nami wciąż pozostawało mnóstwo opowieści do rozwinięcia.

Laura rozwijała tę opowieść ze swojej szpulki, a ja przejmowałam ją jak nić i nawijałam na moje czerwone pióro. Potem oddzielałam zasadniczą nić, dodawałam coś swojego, niepowtarzalnego i rozwijałam ją na nowo. Wczorajszego wieczoru byłyśmy zatem jak rodzanice, które może nie decydują o ludzkim losie, ale z pewnością próbują go rozwikłać, zrozumieć.

Brakowało tylko trzeciej z rodzanic – Mileny. Ale ona tkwiła zaklęta w tę nić, którą przedłyśmy i rozwijałyśmy, a zatem była wśród nas.

Usiadłam na łóżku obudzona prawdopodobnie przez otwierające się okno. Byłam półprzytomna.

Czułam się obserwowana – jakby w pokoju był ktoś jeszcze i bacznie przyglądał mi się z ciemnego kąta. Mimo to skupiałam się na czymś innym. Czułam, że muszę natychmiast ustalić – czy moja rozmowa z Laurą była tylko snem, czy wydarzyła się naprawdę... Pamiętałam bowiem wszystkie jej

szczegóły – smutny błysk oczu Laury, smak naleśników z twarożkiem i jagodami, gorycz historii tej młodej, a już tak doświadczonej przez los dziewczyny. Mimo że tak doskonale pamiętałam przebieg

naszej rozmowy, nie mogłam za nic w świecie przypomnieć sobie jej zakończenia. Miałam niejasne przeświadczenie, że przerwałyśmy, bo obie nas dopadło zmęczenie, ale jak dokładnie do tego doszło...?

To wspomnienie stało się teraz dla mnie ważniejsze niż cokolwiek. Zanim zacznę się martwić otwartym oknem, tajemniczo powiewającą firaną, a nawet możliwą obecnością kogoś obcego w moim pokoju – muszę ustalić, co działo się naprawdę, a co było tylko snem...

Wtedy mój zaspany umysł wykoncypował, że tylko przypomniawszy sobie swój ostatni sen, będę w stanie dociec, czy to, co go poprzedziło, było jawą.

Nagle poczułam ulgę. Tak, śniłam. Przed chwilą śniłam. Czyli rozmowa z Laurą naprawdę miała miejsce. Bo przecież zanim otwarte okno, zanim firana, zanim ktoś obcy w mojej sypialni... śniłam o Milenie. I płakałam przez sen. Dopiero teraz ocknęłam się na tyle, by to zrozumieć. Moja poduszka była całkiem mokra. Moje policzki słone, oczy szczypiące. Tak, zgadza się – śniłam o tobie, Mileno...

Sen 15

Siedzi Mi na wzgórzu i rozchyła nogi

Wysoko, wysoko na pewnym wzniesieniu mieszkała Mi. Mi-artystka. Mi-samotniczka. Mi-myślicielka. Wgnana poetka. Rozpoznawana przez wszystkich, rozpustna Mi.

Mi sama w sobie była wzgórzem, na którym mieszkała. Wrosła w nie stopami, więc kiedy miała napady paniki i musiała uciekać ze wzgórza, długie korzenie, które wychodziły z palców jej stóp, nie chciały puścić. I za każdym razem Mi musiała walczyć z nimi, za każdym razem łać wiadra łez, odrywając z palców paznokcie, a razem z nimi – korzenie, które zapuściła we wzgórzu.

Potem wracała do swojego domu i ponownie z naiwnością zapuszczała Nowe wiązki palców w ziemię. Z przyjemnością wkładała stopy w piach i zatapiała się w grudkach ziemi, małych kamyczkach i pędrakach czekających cztery sezony na swoją chwilę wolności.

Nogi Mi powyżej stóp były blade zimą. Stawały się wtedy mocne, solidne, jakby ciosane w podziemnych hutach z twardego, zwierzęcego rozsądku.

Latem nogi Mi ogrzewały się i wysmuklały, jakby ktoś uwolnił je z okowów instynktu przetrwania. Latem rumieniły się, młodniały i nie służyły do stąpania. Latem kusiły, ocierały się jedna o drugą tak, że dziwna boleść i tęsknota rodziła się w dole brzucha każdego, kto na nie spojrzał.

Na tych nogach Mi biegła, leciała na złamanie karku, pędziła do lasu, przeganiała zwierzęta, uciekała. Na łeb na szyję, przed siebie, za siebie, od siebie! Mi biegła, nie myśląc, pędziła, nie pragnąc, tupała bez rozważań i goniła to, co przed nią uciekało.

W takich chwilach budziło się również łono Mi, budził się jej brzuch i piersi. To one pragnęły więcej, nie prosząc o wyjaśnienia i nie chcąc znać zasad.

Gdy słońce szło wyżej, piersi Mi zaczynały sterczeć w górę, jakby oglądając się za źródłem światła. Nie pytały kto, nie pytały, czy wolno. Nie chciały słyszeć o wątpliwościach. Więcej, więcej i mocniej! Jęczały bez końca tak, że Mi musiała im się kiedyś poddać i złożyć je w czyjeś dłonie.

Brzuch Mi raz tylko widział cuda, a łono Mi raz tylko cuda te wydało na świat. Mi wspomina: brzuchowi podobało się to, co widział, ale łono Mi okazało się za słabe i nie chciało więcej cudów.

Prężyło się i stawiało opór, gdy Mi potrzebowała jego pomocy. Gdy miała wydać cud na świat, łono odmówiło współpracy. Zarzekało się – prędzej trzasnę, niż ci pomogę, Mi. Mówiłom ci, Mi. Nie chciałem tego, Mi. Nie wydam tego na świat, nie zmusisz mnie, Mi!

Mi wspomina: Zmusisz! Musisz! Choć łono to skruszysz, wydać na świat, wydać na świat – oto, co musisz! – słyszała Mi, zwijając się w bólach. Nic więcej – tę tylko mantrę, którą śpiewały jej nogi, ręce. Mantrę, w której kształt zawijały się zlepione potem włosy Mi. Mantrę, którą wrzała jej krew.

Wydać na świat! Wydać na świat – oto, co musisz! Oto, co musisz – choć łono to skruszysz, wydać na świat – oto, co musisz!

Mi wypłuła wtedy z siebie różne rzeczy. To wszystko nie może być moje – myślała, patrząc na mięso, na płyny, na bebechy. Jak spośród tego wszystkiego wybrać to, co jest cudem? Co z resztą –

upchnąć z powrotem? Co z łonem? Czy zgubiło się gdzieś wśród wyplutych bebechów? Jak wróci do domu? Jak je odnaleźć...

– Ćśś... – usłyszała Mi. – Cichutko.

Poczuła chłodną rękę na karku.

– Cichutko, Mi. Poskładamy, polepimy. Tamto zostaw, tamtego nie ocalisz. Na to nie patrz, to już nie jest twoje. To skleimy, zobacz, Mi. Skup się, Mi. Trzymaj się, Mi. Zostań ze mną, Mi.

Oderwała wzrok od bebechów i mięsa. Chłodne ręce to były ręce Si.

– Cicho, Mi, cichutko – mówił Si i dopiero wtedy Mi zdała sobie sprawę z tego, że krzyczy.

Jej płuca chciały się wywinąć chyba na drugą stronę, bo wrzask, jaki wydawały, cisnąc jej klatkę piersiową, przerażał Mi i obezwładniał jej ciało.

– Cicho, Mi – powtarzał Si. Zbierał bebechy, które rozpląnęły się dookoła ciała Mi. Zbierał je jak wytrawny kolekcjoner – szybko i sprawnie podnosił je z ziemi i oceniał. – To nie, to się już nie nada.

Tamto tak. Siedź, Mi, siedź cicho. To do wywalenia, tamto... nie obiecuję, Mi, nie obiecuję. Może – może się uda.

Potem nadeszły dni leżenia, miesiące piernatów, dekady pościeli. Całe epoki i ery odzyskiwania sił, podczas których Mi zdążyłaby urodzić i wychować na nowo samą siebie.

Mi pamięta z tamtego czasu tylko tyle, że leżała, jej ciało jadło, piło i budziło się. Pamięta, że coś ssało jej piersi i że bolało, gdy nic nie ssało, a ciągnęło, gdy coś ssało.

Tyle z pamięci Mi pozostało do dziś. I nic więcej.

Mi siada czasem na szczycie swojego wzgórza, wacha wiatr i wspomina. Podpiera brodę na dłoni, a łokieć na kolanie. Patrzy w dal i plecie z pamięci różnobarwne obrazy. Oczy Mi są wtedy ciemne – niemal czarne. Im dalej patrzą, tym są ciemniejsze. Gdy Mi zagłąda w źrenice kochanka, jej oczy są prawie żółte. Kiedy ogląda swoje dzieła, dogląda sadu, karmi zwierzęta, tęczówki Mi stają się brązowe. A gdy ogląda dalekie obrazy – czy to patrzy na horyzont, czy wspomina przeszłość, oczy jej czernieją i zapadają się w twarzy.

Za oczami zawsze idą włosy Mi. Z daleka czarne, z bliska brązowe, w smaku miedziane.

Czarno-błada. Rudo-śniada. Odległa w płaczu i bliska w miłości. Siedzi Mi na wzgórzu i rozchyła nogi, karmiąc swoim łonem spragnionych.

Rozdział 16

– Tak – szepnęłam w ciemność. W tym domu, w tej wsi, w tych lasach i okolicach mój umysł powoli poddawał się i stopniowo przestawał oddzielać to, co wyśnione, od tego, co rzeczywiste. Ale tego byłam pewna – zeszłego wieczoru naprawdę rozmawiałam z Laurą przy naleśnikach i ona rzeczywiście opowiadała mi o tym, jak została odesłana z domu swojego ojca do domu Mileny.

Nie mogłam sobie przypomnieć zakończenia naszej wieczornej rozmowy, a to dlatego, że potem

zasnęłam nad notowaniem jej. Tak, teraz nabrałam pewności. Siedziałyśmy z Laurą przy stole jadalnym do późna, bardzo późna. Laura mówiła, a ja jej nie przerywałam. Otworzyła się – to był ten moment jak w baśni, gdy zaczarowana grota otwiera się raz na cztery lata – tylko w pełni księżyca i tylko w dzień przesilenia. Dlatego nie przerywałam Laurze, nie dopytywałam się ani nawet nie notowałam. Po prostu słuchałam. Dopiero gdy skończyła – dopiero gdy zapłakana i bezbronna skuliła się przy stole – dopiero wtedy objęłam ją i w tych objęciach podprowadziłam do jej sypialni.

Zaniosłabym ją jak malutkie dziecko, gdybym tylko miała dość siły. Zamiast tego ułożyłam ją w łóżku i otoczyłam szczelnie pierzyną, tak jak robiła to moja mama, gdy przyśnił mi się koszmar –

otulając całe ciało razem z głową i pozostawiając jedynie maleńki otwór na oczy, nos i usta. „Jesteś bezpieczna, tutaj nic złego nie może ci się przydarzyć” – szepnęłam do Laury, otuliwszy ją w taki właśnie sposób.

A potem wróciłam do swojego pokoju i siadłam do notowania. Odwijalam słowa Laury

i zawijałam je na swoje pióro. Potem rozplątywałam znaczenia, ukryte treści, schowane uczucia i

plotłam własną nić – wprost to notatnika.

Doszłam do momentu, w którym Laura zostaje pojmana jak zwierzę. Do momentu, w którym powraca z leśnej ucieczki – po tym, jak urządziła jatkę wśród swoich kuzynek. Powraca do domu swojego ojca i jego matki, ale oni nie czekają na nią z otwartymi ramionami. Kiedy jej nie było, podjęli decyzję dotyczącą jej przyszłości. Laura ucłowieczy się albo zostanie na zawsze odizolowana.

Laura musi się nauczyć, jak to jest być kobietą – argumentowała Remkowa. Ale czy naprawdę o to właśnie jej chodziło? Czy może raczej bała się dorastającej Laury i kipiącego w niej życia? Może przerażała ją energia, która nie dawała się ujarzmić pomimo tylu lat usilnych prób? Czyżby rozpoznawała w tej wewnętrznej sile tę właśnie tajemniczą moc, którą miała Milena? Z całą pewnością Remkowa bała się Laury. Jej strach wzrastał z każdym rokiem, bo widziała, że dziewczyna nie poddaje się jej tresurze – staje się coraz bardziej podobna do tej, której matka Remigiusza tak

bardzo się obawiała – do Mileny.

A skoro tak – musiała rozumować Remkowa – niech sobie do tej Mileny idzie. Remkowa nie chce

się już użerać z tym niesfornym podrostkiem. Laura odejdzie, a ona i jej syn ponownie odzyskają spokój – utracony na lata. Jakże się myliła ta stara kobieta...

Bo przecież Remigiusz szalał z miłości do Laury – bardziej nawet niż wcześniej oszalał

z namiętności do jej matki. Bo przecież Remigiusz najchętniej zatrzymałby proces dorastania swojej córki i już zawsze pozostawił ją przy sobie – maleńką Laurkę, której może pokazywać świat i uchylać nieba.

Mimo to nawet Remigiusz musiał czuć, że z Laurą dzieje się coś złego. Że czegoś musi jej brakować. Czegoś, czego on nie jest w stanie jej dać.

I nie chodziło wcale o rówieśniczki czy towarzystwo innych kobiet. Chodziło o przeszłość. Laura musiała ją nie tylko poznać, ale też zrozumieć.

Dlatego zaprowadził ją wtedy do domu Mileny i dlatego ronił potem – wracając do domu Remkowej – słone łzy. Dlatego kwilił jak dziecko i cierpiał – bo wiedział, że Laurze jest to potrzebne...

Sen 16

Re – leśny człowiek

Kiedy Re przyprowadził Obce Młode, Mi zaniemówiła.

Bo zobaczyła Re.

Bo zobaczyła Młode.

Bo kiedyś Młodego szukała i co się z nią przez to stało...?

Bo pamiętać o tym nie chciała i dawno temu wygrała walkę o zapomnienie.

Teraz Młode nie było dla niej tym, czym kiedyś. Teraz Młode było dla niej tylko Obcym Młodym, bo Mi dawno już poukładała sobie życie bez niego.

Kiedy jednak pod jej dom zaszedł Re z córką, Mi nie mogła się powstrzymać i zapytała:

– Ile czasu tu szedłeś?

– Ze dwa i pół dnia – odpowiedział.

– Dwa i pół dnia – powtórzyła w zamyśleniu Mi, przypominając sobie długie doby wędrówki i poszukiwań.

– Ale przez las – dodał Re.

– Przez las... – powtórzyła bezwiednie Mi. W końcu ocknęła się. – Nie może tu zostać – powiedziała krótko.

– Wcale nie chcę tu zostawać – warknęła La.

– Ale musisz – odparł Re. Do Mi: – Ona musi tu zostać. Tak twierdzi moja matka, a ona jest jedyną kobietą, która ją wychowuje. Przyznam jej więc rację.

– To bez znaczenia – odparła chłodno Mi. – I tak nie może tu zostać.

Re zdziwił się. Pamiętał rozpacz w oczach Mi, gdy oddawała mu dziecko. Pamiętał też wszystkie lata swojego rodzicielstwa – lata, które tak go odmieniły, tak go otworzyły. Widać lata nie-rodzicielstwa muszą utwardzać i zamykać – pomyślał.

– Dlaczego nie może tu zostać? – spytał Re.

– Chociażby ze względu na Sola. On wciąż czeka na Nowe. Nie wiadomo, do czego byłby zdolny.

– Nie musi wiedzieć. Powiesz mu, że najęłaś pomoc do domu. Masz dużo zwierząt. La zna się na nich. Potrafi też wszystko naprawić, nasmarować, przykręcić. Dużo masz tu usterek, Mi. Męskie oko to dostrzega. A oko La dostrzeże to jeszcze lepiej.

– Nie chodzi tylko o Sola – odezwała się znowu Mi. – Ja sama też jej tu nie chcę.

Re znowu nie mógł zrozumieć. Kłócić się? Tłumaczyć? Może niech La coś powie... Gdzie jest La?

Rozejrzeli się.

Obeszła wzgórze i stanęła nad dywanem kwiatów. Mi ogrodziła dywan płotem, żeby kozy i owce go nie wyżarły, bo za bardzo lubiła te kwiaty.

Dopiero z daleka Mi widzi La taką, jaką jest. Szczupłą, osmaganą życiem na powietrzu, z kręconymi kędziorami do połowy pleców.

La przechodzi przez ogrodzenie, bez wahania ściąga ubranie i zaczyna turlać się po dywanie z kwiatów – od szczytu wzniesienia na sam dół. Najmniejsze dwa psiaki, które przełazą przez ogrodzenie, biegną za nią, ujadając radośnie. Tak samo ujadają, gdy Mi turla się w ten sam sposób.

I wtedy w głowie Mi pojawia się nie tyle nawet skojarzenie. Nie tyle nawet: „ona to robi tak samo jak ja”. Mi czuje raczej, jakby to ona była teraz La, czuła pod plecami kwiaty, trawę, turlała się w dół

bez końca. Świat wiruje; Mi napęlnia się dziwną, głupkowaną radością.

– Dziewczyno, ubierz się! – krzyczy Re.

A Mi odruchowo zakrywa dekolt i sprawdza, co ma odsłonięte. Nie, przecież to nie do niej wołał.

To nie ona turlała się ze wzgórza.

Mi wrywa się z zamyślenia.

– Możesz ją tu zostawić – mówi w końcu. – Ale niczego nie obiecuję. Będzie musiała ciężko pracować i pomagać mi, żeby nikt się nie domyślił. Jeśli nie będzie się nadawała albo zrobi coś

głupiego, odeślę ją.

– La potrafi ciężko pracować – powiedział krótko.

Milczeli przez chwilę. Re przyglądał się tej twarzy – tak zmienionej. Nie upływem czasu.

Upływem myśli. Co cię spotkało przez te lata, Mi? – myślał. On, gdyby mógł, uchyliłby nieba La.

Poprosiłby los, żeby wlał w nią obietnicę wiecznego szczęścia. Bez wahania poświęciłby swoją radość dla radości La. Swoje życie dla jej życia.

– Dobrze – powiedział jednak. – Więc idę.

Lecz nie szedł.

Patrzył na córkę, która bawiła się z psami – niedbale ubrawszy się po upomnieniu ojca. Coś niejasnego mówiło Re... że już nigdy nie zobaczy jej takiej, jaką ją tu zostawiał. Głupi, przecież po to ją tu zostawia – żeby się zmieniła. Ma się ucłowieczyć. Ma się stać kobietą, a nie leśnym zwierzątkiem.

– Widujesz tu czasem ludzi? – spytał jeszcze, bo przypomniało mu się, że przecież po to miał przyprrowadzić tu córkę – żeby pobyła wśród ludzi.

– Raczej mężczyzn – odparła, wzruszając ramionami.

Re poczuł, że z jego brzucha wypływa fala jakiejś gorącej, piekącej mazi – wtłacza mu się do klatki piersiowej, a potem do głowy.

– Jakich mężczyzn? – spytał szybko.

– Moich. Nie bój się. Do mnie przychodzą. Jej będę pilnować.

Re przytaknął bez przekonania, ale nieco uspokojony.

– A innych ludzi? – spytał.

– Inni ludzie mieszkają tam. – Pokazała palcem. – Nie bywają na wzgórzu, a ja z niego nie schodzę.

– Dobrze – odparł Re. – Więc idę.

Ale iść nie mógł. Spojrzał teraz na Mi, która po raz pierwszy zmieniła wyraz twarzy. Jej oczy wyrażały niegroźną kpinę. W tej kpinie, gdzieś głęboko, głęboko Re rozpoznał dziewczynę, którą spotkał w sercu lasu. Zaśmiał się cicho do siebie. Co też on wtedy czuł...? Cóż to się z nim działo...?

– Jesteś... – zaczął, ale nie wiedział, jak by chciał dokończyć. Więc tylko powtórzył: – Dobrze.

Więc idę.

Ale jakże to – bez pożegnania z córką? A kiedy on ją znowu ujrzy? Może za wiele miesięcy...

A nawet jeśli już ją ujrzy, to ominie go tak wiele jej przemian, tak wiele z jej rozwoju, któremu kochał

się przyglądać.

Gdyby tak podeszła teraz do niego i chociaż go uściskała. Ten uścisk zostałby mu w sercu na długo. Lecz La siedziała wśród kwiatów i karmiła nimi kozy.

Widziała, że ojciec odchodzi, ale nie przyszła się pożegnać. Może to Re mógłby podejść do niej i ją przytulić. Ucałować czubek jej głowy – jak robił to przez całe jej życie. Ten czubek, który kochał najbardziej, bo on się najmniej zmieniał. Re mógł patrzeć na niego z góry i widzieć niemal to samo – niesforne kędziory swojego dziecka, którego cała reszta zmieniała się nie do poznania.

Gdyby podszedł do La, powiedziałby jej, jak bardzo ją kocha, jak bardzo zmieniła jego życie, jak wszystko, czego pragnął, straciło znaczenie, skoro miał ją. Jak poświęciłby wszystko, żeby była szczęśliwa, i jak bardzo chciałby wciąż brać ją na kolana, głaskać, tulić, zmieniać skarpetki i nucić swoim nieudolnym, niskim głosem kołysanki. Lecz nie mógł. La stawała się kobietą, a kobiecie nie zmienia się skarpetek i nie nuci się kołysanek. Toteż La nie przychodziła już do niego na kolana, nie chciała, żeby ją przytulał, a nawet jeśli chciała – zaraz się wykręcała i mówiła: „Oj tato”.

– Re? – usłyszał. Mi przyglądała mu się z łagodną kpina.

– Tak – ocknął się. – Dobrze. To idę.

W stronę La:

– Cóрко, idę!

– Widzę. A ja podobno zostaję – naburmuszona La.

Wiedział – nie na niego obrażona, ale na to, że jej tu razem z matką Re kazali zostać. Przy obcej kobiecie, o której La miała mgliste pojęcie. Czy w ogóle rozumiała, dlaczego Mi ją oddała? Re wydawało się, że wyjaśnił wszystko jak należy. Mi nie mogła, więc oddała cię mnie. Ale czy to na pewno wystarczy? Re nie potrafił tłumaczyć takich rzeczy. Jeszcze gorzej tłumaczyła jego matka.

– A skąd ja mam wiedzieć czemu? – gderła. – Pewnie miała za dużo innych gąb do wykarmienia.

Dość, że twój ojciec przyszedł tu z zawiniątkiem i niczego mi nie tłumaczył, więc czemu ja mam tłumaczyć tobie?

– Dobrze – odezwał się Re.

– Więc idziesz. – Mi uśmiechnęła się.

– Córkó, sprawuj się dobrze! – krzyknął w jej stronę, co miało oznaczać: Kocham cię najbardziej na świecie i gdyby cokolwiek ci się stało, pękłoby mi serce.

– Dobrze, tato – co miało oznaczać: Dobrze, tato.

– Słuchaj, Mi, i pracuj ciężko, gdy cię poprosi – rzucił.

– Dobrze, tato! – odkrzyknęła. – Jak mi się zechce – dodała ciszej.

– No to idę – odparł, choć pragnął powiedzieć: Jeśli teraz poprosisz, żebym wziął cię ze sobą, nie znajdę w sobie siły, by się temu przeciwstawić.

Ale z ust La nie padły żadne słowa.

Re odwrócił się na pięcie. Musiał zawiąć silny wiatr, bo oczy mu jakby powilgotniały. Jak przyszedł, tak odchodzi. Ze wzgórze w dół i do lasu. Re – leśny człowiek.

Rozdział 17

Wciąż panowała ciemność. Wciąż trwała noc. Jeszcze przed chwilą pochylałam się nad notatkami dotyczącymi opowieści Laury, ale teraz... czułam, że już dłużej tego nie zniosę. Dłużej już nie wytrzymam tego poczucia, że ktoś mnie obserwuje. Dłużej już nie zniosę obecności ducha, który zamieszkuje mój pokój.

Podniosłam głowę znad notatek. Byłam zmęczona, senna, ale pisanie ożywiło mój umysł.

– Wyjdź, proszę – szepnęłam.

– Na pewno tego chcesz? – szepnął duch.

– Tak myślę...

– Póki jestem w ukryciu, nic nie jest przesądzone. Gdy wyjdę, wszystko się zmieni – powiedział duch zza powiewającej firany.

– Przychodzisz tu często, prawda?

– Tak – przytaknął. – Niemal codziennie. Dopóki tu nie przyjechałaś, Laura zajmowała ten pokój.

– Przychodzisz tu i czuwasz nad nią, gdy śpi. Odkąd tylko się tu wprowadziła, prawda?

– Prawda – przyznał duch. – Przychodzę, gdy już śpi lub gdy zasypia – by wiedziała, że ktoś nad nią czuwa. A potem obserwuję ją, upewniam się, że równo oddycha, liczę uderzenia jej serca.

– Wyjdź, Mileno. Proszę.

Wahała się przez chwilę. W końcu jednak zobaczyłam, jak tańcząca firana przesuwana się, a zza niej wychodzi Milena.

Domyśliłam się, że to ona jest duchem, który odwiedza ten pokój w dniu, gdy odnalazła mnie w lesie i uratowała przed burzą oraz zbłądzeniem. Gdy zobaczyłam jej kamienne dziecko, gdy przyjrzałam się jej domowi. Pokój był nawiedzony przez ducha, to prawda – przez ducha matki Laury.

Bo przecież takim właśnie duchem była Milena – wiecznie obecna w życiu swojej córki – w tych wszystkich podobieństwach ciała i ducha, które łączyły matkę z córką. Obecna, ale jakby nie z tego świata. Taka właśnie była Milena.

– Szara wiedziała, że to ja – szepnęła. – To okno jest stare, wypaczone – jedyne, które potrafię otworzyć od zewnątrz. Wszystkie pozostałe okna uszczelniła, odmalowała. A to pozostawiła tak, jak było. Teraz już jest mi tak posłuszne, tak do mnie przyzwyczajone, że wystarczyłoby ledwie dotknięcie, by otworzyło się na oścież. Czasami wydaje mi się, że już z daleka okno wita mnie, otwierając się w odpowiedzi na lekkie machnięcie dłonią.

– Wyjdź zza firany, Mileno – zachęcałam ją ponownie, bo choć pokazała mi się, wciąż stała w tym samym miejscu. – Chodź, usiądź ze mną.

Weszła w snop światła. Wyglądała zupełnie nierzeczywiście. Gdybym zobaczyła ją, będąc całkiem postronnym gościem pokoju u Szarej, z całą pewnością uwierzyłabym, że Milena jest duchem. Miała na sobie długą, białą koszulę nocną z półprzezroczystego materiału. Niewiele ukrywał, ale za to nadawał jej ciału aurę niesamowitości. Koszula sięgała aż do ziemi – jej brzeg wił się u bosych stóp Mileny.

– Przyszłaś tu tak ubrana? – spytałam, mając przede wszystkim na myśli jej białe stopy oraz to, że noc wydawała się nieco za chłodna na taki strój.

– Nie mogłam zasnąć – powiedziała, jakby to miało wszystko wyjaśniać. – Tam, na wzgórzu dziś bardzo wieje. Z trudem ułożyłam do snu kamienne dziecko. Położyłam je na dnie skrzyni, śpiewałam mu kołysanki. Myślę, że udało mu się zasnąć spokojnym snem, który powinien potrwać jakieś dwa–trzy tygodnie. Potem pewnie znowu obudzi mnie jego płacz. Ułożyłam je do snu, ale sama nie mogłam zmrużyć oka. Dlatego przyszłam.

– Cieszę się, że przyszłaś – szepnęłam. – Chodź, owiń się pierzyną. Masz lodowate dłonie – powiedziałam, dotykając jej ręki.

Usadziłam ją na łóżku i okryłam szczelnie pierzyną. Podwinęła nogi pod siebie i siedziała tak grzecznie jak pisklę w gnieździe.

– Stałaś tutaj przez jakieś dwie godziny, co? – spytałam, teraz już nieco rozbawiona tą całą sytuacją.

Przytaknęła.

– Przyglądałam ci się.

– To chyba nie było szczególnie ciekawe. – Zaśmiałam się. – Obudziłam się, a potem siadłam do pisania. Niewiele tu materiału do obserwacji.

– Przeciwnie – odparła, nie dodając nic ponadto.

– Zastanawiałam się, czy wyjdiesz sama. Nie chciałam cię spłoszyć lub onieśmielić – dlatego nie poprosiłam cię wcześniej, byś wyszła. Ale kiedy minęło już tyle czasu... zdążyłam spisać całą historię Laury... Wtedy pomyślałam sobie, że musi ci tam być chłodno i niewygodnie. Nawet jeśli jesteś duchem, coś przecież odczuwasz, prawda?

– Tak, duchy czują bardzo wiele. To dlatego ludzie się ich tak boją. Dlatego nikt nie odwiedza mojego wzgórza ot tak – po prostu. Bo wszyscy wiedzą, że jest nawiedzone. Że mieszka na nim duch przeklętej kobiety. Ty byłaś pierwszą od wielu lat, która mnie tam odwiedziła bez wyraźnego powodu.

Zwykle jak ktoś się już do mnie wspina, ma konkretne oczekiwania.

Przytaknęłam ze smutkiem.

– Spisujesz naszą historię – powiedziała po chwili, wskazując ruchem głowy mój notes. – Chcesz odwrócić klątwę?

Uśmiechnęłam się.

– Nie potrafiłabym tego zrobić. To Laura pragnie podjąć się tego wyzwania. Ja jej tylko pomagam.

– Wystarczy, że to spiszesz i zrozumiesz. Przekleństwo traci moc, gdy pojawia się zrozumienie.

Zawsze tak było i zawsze będzie.

– Czy tak było i w twoim przypadku?

Spojrzała na mnie zadziornie.

– Tak. Ale to zrozumienie pograżyło mnie jeszcze bardziej.

– Dlaczego? Sama mówisz, że gdy pojawia się zrozumienie, klątwa traci moc...

– Bo tak jest. – Uśmiechnęła się smutno. – A tam, gdzie działa jakaś klątwa, wolna wola traci znaczenie. Gdy los decyduje za ciebie – nieważne, czy w taki sposób, jak byś chciała – jesteś zwolniona z działania. Nie czujesz odpowiedzialności. Dopóki działa siła wyższa – nawet jeśli to klątwa – czujesz, że nigdzie nie zawiniłaś. Bo przecież to wszystko jest ponad tobą. Dopiero gdy przychodzi refleksja i zdajesz sobie sprawę z tego, że to ty sama jesteś odpowiedzialna za to, co się

stało... dopiero wtedy czujesz prawdziwy ból...

Spojrzała na bujne rośliny, które wypełniały ten pokój. Widząc, że jedna z nich ma dwa połówki liście, odwinęła się z pierzyny, wstała i oderwała je delikatnie. Z woreczka, który nosiła na szyi wyciągnęła szczyptę jakiegoś proszku i wsypała ją do doniczki.

– Laura mieszkała u ciebie przez jakiś czas, prawda? – spytałam, gdy usiadła z powrotem na łóżku.

– Tak.

– Dlaczego się wyprowadziła?

Milena westchnęła.

– Bo nie ma drugiego tak trudnego języka jak język ludzkich uczuć... Nie umiem władać nim tak biegle, jak bym chciała. I w takim stopniu, w jakim Laura tego potrzebowała.

Wzięła głęboki oddech. Spojrzała mi prosto w oczy.

– Naprawdę chcesz nam pomóc? Odwrócić klątwę. Cofnąć przekleństwo.

– Tak – odpowiedziałam z najwyższą powagą.

Przytaknęła.

– A zatem pisz...

Sen 17

Rozpoznaje siebie

Gdy mężczyzna się oddalił, zapanowały inne zasady. Nie było komu pilnować i łagodzić. Mi i La stanęły naprzeciwko siebie – długo tak stały – mierząc się wzrokiem i drażąc w sobie nawzajem długie, wąskie korytarze.

La nie mogła się ruszyć, Mi ruszyć się nie chciała.

Mi, patrząc na La: zwierzę, wstrętne, małe zwierzątko. Brudne to, dzikie to, nieładne to. Obce.

Obce Młode.

La, zamykając oczy: okropna, okrutna, odebrała mi. To ona odebrała mi życie.

Mi wszystko wie – Obce Młode nie chciało dorastać. Wyrosło już ze swojego kokonu, a nie chciało wyleźć z poczwarki. Dostało skrzydła, a nie chciało na nich latać. Obce Młode chciało wrócić tam, skąd przyszło – wcisnąć się z powrotem do jajka, szukało wśród starych skorup tego, co utraciło, dorastając. Ale tak nie można, Młode. Tak nie wolno, ty Obce Młode. Dlatego cię wygnali. Wcisnęli

do mnie. Na siłę cię u mnie zostawili na dorastanie. A ja cię nie chcę, ty Obce Młode. Śmierdzisz obcością, niemojością. Z daleka jesteś i śmierdzisz dalectwem. A dla mnie dalectwo jest jak każde inne kalectwo – zostawić to: jak da radę – przeżyje, jak nie – brak żalu.

To nie ty wiesz wszystko o mnie – myśli La. To ja czuję ciebie i poznaję ciebie w jednej chwili.

Mówili ci i dlatego myślisz, że wiesz. Głupia jesteś, ty wstrętna samico. Wielka Samica. Jakie twoje cyce są – moje mają być; jak się twoje biodra gną – tak się moje mają giąć. Tfu, psia twoja mać! Tfu!

Ja nie chcę, nie chcę! Wytnijcie ze mnie to ziarno, które zakiełkuje kimś innym.

La rozgląda się i widzi w świecie mechanizm. Co jest, musi być. Czego nie ma, być chce. Co przypadnie, musi coś pozostawić. Co przychodzi, musi coś otrzymać.

To ty jesteś głupie, ty Obce Młode – myśli Mi. Widzę, jak mnie nienawidzisz. Widzę, co ty kombinujesz. Myślisz, że ty pierwsze wszystko odkrywasz, ty naiwne Młode. Dzika – mówili. Dzika i nie chce stać się człowiekiem. Chce pozostać zwierzęciem, jakim jesteśmy, gdy się rodzimy.

Bzdurne ty Młode, kochasz naturę, a nie chcesz stać się kobietą. Naiwne ty Obce Młode. Natura cię nie kocha – natura jest tobą i w tobie chce zakiełkować tobą nową. Ty głupie, głupie Młode.

La już ledwo trzyma się na nogach, bo stoją naprzeciw siebie i żadna ani drgnie. Stoją tak już chyba od pokoleń. Wyprzedziły własne rody i starły się w wiecznym starciu: ja czy wszystko inne. Bo jak się ma wszystko inne, siebie zostawia się w tyle, a gdy się ma siebie na własność to nie ma się niczego innego.

– Jeśli to ci wystarczyło, to wracaj do siebie, Młode – mówi w końcu Mi. – Dorośnij i uczłowiecz się, bo śmierdzisz sierściuchem, a powinnoś mlekiem młodej matki.

– Ty mnie nie zmienisz – warczy La. – Nic mnie nie zmieni, a już na pewno nie ty, wstrętna Samico.

– Uważaj, co mówisz, Obce Młode. Jesteś na mojej ziemi, a moja ziemia to moje ciało i mogę z nim robić, co chcę i z kimkolwiek chcę.

– To ty uważaj, cycu i miednico, bo na twojej czy każdej innej ziemi będę się bronić, gdy mnie zaatakują. A uwierz mi, że bronić się potrafię.

Mi zaśmiała się.

– Oj, wydoroslejesz ty u mnie, Młode. Przekonasz się. Wrócisz do siebie i będziesz parzyć się i płodzić, rodzić i karmić, znowu płodzić i rodzić. I tak w kółko do końca twojego zasranego życia.

La waha się. Samica powiedziała to wszystko, ale jakby chciała powiedzieć co innego. A gdzie jej gromada dzieci – karmionych, rodzonych, płodzonych...? Gdzie jej wiecznie płynąca rzeka mleka karmiąca wciąż nowe ssawki...? Jak się nazywa to słowo, które roni sens – niby chce go donosić do końca, lecz roni go po drodze i wszystko zmienia sens... Ironia. I-ronia.

Mi uśmiecha się złowieszczo.

– Widzisz, Młode, widzisz... Nic nie jest tak pewne, jak ci się wydaje.

Mi porusza się w końcu. Wtedy i La może drgnąć.

– Usiądź – mówi Mi.

Siadają gdzie stały.

– Co wiesz? – pyta Mi.

– Wszystko – warczy krótko La.

– Nic nie wiesz.

– Więcej, niż ci się wydaje. Wiem wszystko, co mi powiedzieli, a resztę czuję. Znam zapach twojej miednicy.

– Może i tak – prycha Mi. – Ale nie znasz zapachu nocy, która cię spłodziła. Nie znasz piorunów, które trzaskały w ziemię, gdy się rodziłaś, i nie znasz smaku krwi, która poiła ziemię. Szklanicami, wiadrami, Młode, całymi strumieniami. Lała się krew i zabierała. Ona zawsze decyduje. Nikogo nie pyta. Krew decyduje, kiedy stajesz się kobietą. Krew zabiera życie ze sobą, gdy odchodzi od ciebie.

Krwią mówią przodkowie, we krwi taplać się będą potomkowie. Krew to powinność, krew to przymus i przywilej zarazem.

– Moja krew jest tam, gdzie ja zechcę – odpowiada La. – A i twoja może się znaleźć tam, gdzie ja zapragnę.

Mi uśmiecha się. To już drugi raz, kiedy uśmiecha się przy Młodym. Obcym Młodym – wciąż uważa je za obce. I zawsze będzie je za takie uważać... Prawda?

Mi zamyka oczy i przypomina sobie.

To, co zna, jest podstępem. Wszystko, co powstaje, powstaje przebiegle. Gdy ziarno pada na ziemię, zajmuje mało miejsca i nie zwraca na siebie uwagi. Ale Mi wie, że w środku ukrywa gotowy przepis na fortel. Najpierw wypuść korzonek, by nie zmiotł cię przypadek. Korzonek chowaj pod spodem tak, by nikt nie widział. Takie jesteś malutkie, takie niewinne, takie prawie-mnie-nie-ma.

Pędzik wypuść malutki, powolutku, a potem trzymaj się, trzymaj korzeniami ziemi, a liśćmi słońca.

I walcz. Za wszelką cenę siedź, gdzie siedzisz, i nie daj się wysadzić.

Mi przypomina sobie, jak ziarenka żądzy padały na jej ziemię i nawet jeszcze nie puszczały maleńkiego korzonka. To nic – myślała Mi. Mogą sobie tu leżeć, bo cóż mi szkoda maleńkie ziarenka żądzy, skoro je mogę w każdej chwili zdmuchnąć, zdeptać, zapomnieć o nich.

Mi była młoda i brzydziła się żądzą. Bo wszyscy o niej mówili. Bo wszyscy bali się jej i jej pragnęli. Bo każdy na nią czekał i jej wymagał.

Ciało Mi było za młode na żądzę, za świeże. Naiwne, bezbronne. Ale BYŁO. A to jedyny warunek, który musiał zostać spełniony... BYĆ.

*

Pamięta piosenki, które nuciły jej starsze koleżanki.

Kap, kap deszczyk spadnie,

kropla się zakradnie –

do mego serduszka;

uchylę wianuszka.

Chłopiec wianek zrosi

kroplą swego czaru,

ktoś pod sercem nosi

cząstkę jego daru.

Ble, rzygać się chce – myślała Mi. Głupie, żalosne. Dziewczęta chichotały, śpiewając piosenkę, jakby niosła jakieś tajemne przesłanie, którego Mi nie rozumie.

Bo niosła. Historię o zarazie, której Mi się bała. To była zaraza, o której wszyscy mówili, a której nikt nie potrafił wytłumaczyć. To była zaraza, której najpierw trzeba było unikać jak ognia, a potem –

czekać na nią. Mi widziała młode kobiety wygnane z wioski. Dziwki – mówili ludzie. Kurwiły się –

krzyczały stare babki. Tamte młode dziewczyny zachorowały za szybko i nazbyt gwałtownie.

Napuchły od tego i trzeba je było wygnać. Żądza, żądza – szeptała wtedy ciotka do Mi. To jest żądza, córko.

Ale Mi widziała też inne kobiety, które czarnymi, bezgwiezdnyimi nocami błąkały się pod oknami i w końcu przychodziły do domu Mi – do jej ciotki i jej babki. To były mężatki, które nie mogły zachorować w odpowiednim momencie. Wiły się i błagały.

– Błagam cię, Sza – wołały ciotkę Mi. – Pomóż mi, Sza. Chcę zachorować, Sza. Chcę chorować, gdzie moja zaraza?!

Wtedy ciotka i babka Mi spoglądały na siebie, wzdychały i brały mężatkę do siebie. Nacierają,

wietrzyły, otwierały ją i zamykały.

– To ma być żądza – szeptała znowu ciotka do Mi. – To żądzy pragnie, córko.

Mi nie rozumiała. Jak jedną kobietę można wygnąć za zarazę, której inna pragnie bardziej niż własnego życia.

– Wszystko musi być w odpowiednim czasie i miejscu, Mi – odpowiadała ciotka. – Jedni się zarażą za wcześnie i przypadną. Inni zarażą się w dobrym momencie i się wzmocnią. Jeszcze inni zarazić się nie mogą.

– I co z nimi? – spytała Mi.

– Umrą w samotności – szepnęła Sza. – Chyba że im pomożemy.

– Jak tu można pomóc? – dziwiła się Mi.

Sza dotykała wtedy jej długich włosów, przyglądała się uważnie jej twarzy i szeptała.

Serce broni się przed żądzą, gdy jej nie zna. Żądza wnika do oddechu, dusi westchnienie, żądza ściska za gardło. Żądza przenika do ciała i rumieni twarz. Żądza otwiera brzuch i rozchyła nogi. Żądza krąży w człowieku i otumania go jak gorączka. Na żądzę można chorować, dla żądzy można zabić, od żądzy można oszaleć.

Mi zamknęła oczy. Jej serce to warowna osada. Za murami czeka zaraza. Otwórz, Mi, nie uchowasz się, otwórz wrota. Nie! Mi będzie bronić tego, co czyste i nietknięte.

– Nie trzeba jej wpuszczać. – Ciotka uśmiecha się. – Nie trzeba otwierać bram, córko. Wystarczy nabrać powietrza. Wystarczy napić się wody. Wystarczy dotknąć innych chorych.

*

– Jest mnóstwo roboty – odezwała się w końcu Mi. – Jeśli sądzisz, że ktoś się tu będzie z tobą pieścił

– jak w domu, to się mylisz. Twój ojciec oddał mi wiele lat temu wielką przysługę, więc i ja mogę mu jakąś oddać. Ale jesteś tu do pomocy, do pracy – pamiętaj o tym, dzika dziewczyno.

– Jak będę chciała, to zapamiętam. A jak nie, do niczego mnie nie zmusisz – odpowiada zajądło La.

– Jeśli nie będziesz pracować, wyrzucę cię z mojego domu – Mi.

– Jeśli będę chciała, sama ucieknę.

Mi chce się złościć, ale nie może.

– Uciekniesz, uciekniesz... Skąd ja znam te ucieczki...

– Podobno znasz się na zwierzętach – odzywa się znowu Mi. – Więc idź posprzątaj ich odchody ze wzgórza.

– Po co? – La zaczepnie. – Odchody dobrze robią roślinom.

– Ale źle robią ludziom, którzy w nie wdepną.

– Aż tyle osób tu przychodzi, że będzie komu wdepnąć? – pyta z kpiną.

– Zdziwiłabyś się – mówi Mi złośliwie.

– Potrafię poznać, gdzie ludzie chodzą, i widzę, że łażą tylko tam, gdzie jest udeptana ścieżka.

Mi wzdycha:

– Więc tam posprzątaj.

– Jak zechcę, to posprzątam – odpowiada La, ale idzie. Za nią psiaki.

Mi chciałaby tak stać i obserwować dziewczynę przy każdej czynności, bo wszystkie jej ruchy mają w sobie coś intrygującego, coś znajomego.

Ale nie może – cóż by sobie pomyślało to dziewczysko? Za kogo by się miało?

Więc Mi chowa się w domu i w kuchni – nad parującym garem przypatruje się La zza uchylonej okiennicy.

Widzi, jak dziewczyna kopniakami wyrzuca owcze i kozie bobki. Stara się kopnąć jak najdalej, widać mając z tego ubaw. Psiaki nagle pojmują nową zabawę i zaczynają aportować bobki.

Mi łapie się za głowę. O losie, co ja będę miała z tą dziewczyną...

La kopie i śmieje się. Dla bobków szybko traci zapał, ale za to świetnie gania się z psami. Sama zaraz gotowa wytarzać się w tym łajnie – myśli Mi.

La schodzi z udeptanej ścieżki, którą miała posprzątać, i podchodzi do drewnianego niedźwiedzia.

W jego karku małe ptaki założyły gniazdo i Mi wystraszyła się nagle, że skoro z dziewczyny jest taka figlarka, to może zniszczy ptaszynom delikatne jajeczka.

Ale La zagląda tylko do gniazda, a zauważywszy samice na jajach, oddala się natychmiast.

Spostrzega kury – zaczyna je gonić, ale widząc, że jedna kuleje, łapie ją i ogląda łapę. Wyciąga coś z woreczka, który nosi na szyi, i smaruje nieszczęsnej kurze nogę jakimś zielskiem.

Znowu idzie na kwiecisty dywan, znowu się rozbiera i tarza w kwiatkach. Znajduje jakiś kawałek drewnienka. Siada w rozkroku i ogląda badylek w skupieniu, z ciekawością. Pod słońce, ze słońcem; z

bliska, z daleka. Wstaje, rozgląda się po ziemi. W końcu coś znajduje. Jakiś płaski, ostry kamyk.

Siada znowu na ziemi. Coś tam skubie, coś tam struga. Spędza nad tym całe popołudnie.

Mi w końcu wychyla się z domu i woła na obiad.

La nie reaguje. Siedzi nad badyłkiem i coś w nim dłubie.

Nie chcesz, to nie jedz, ty głupie dziecko – myśli Mi i sama siada do obiadu. Woła psy, które zawsze jej przy tym towarzyszą. Ale psy siedzą z La. Woła kota, który zawsze dostaje trochę mięsa z obiadu i grzeje Mi kolana podczas jedzenia. Ale kot interesuje się tym, co robi La.

Nie pójdę tam – myśli Mi. Pierwszy dzień, pierwsze popołudnie, a ta dziewczucha już próbuje sobie coś ugrać.

Lecz Mi jest też ciekawa, co robi La.

Nieważne. Ważne są zasady. Zamknie garnki, schowa jedzenie i nauczy tę młodą, że jak woła na posiłek, to trzeba przychodzić. A jak się nie przychodzi, to się jest głodnym.

Mi zjadła swoją porcję. Zasiadła przy pustym stole – bez psów merdających ogonami, bez kota grzejącego kolana.

Co też ta dziewczucha może tam robić?

Wstaje, chwytą miskę z resztkami dla zwierząt. Tylko dlatego tam idzie. Po prostu chce nakarmić psy.

Podchodzi do La, która najpierw odruchowo chowa za siebie mały badyłek, a potem, widząc, że to nadchodzi Mi z garnkami, uśmiecha się z lekką kpina i wraca do pracy.

– Przyniosłam jedzenie dla psów – mówi Mi. I pouczającym tonem: – Nie baw się z nimi, gdy mają akurat jeść.

Co mi odbija? – myśli nagle. Jakie: Gdy mają akurat jeść...? Od kiedy to moje psy mają jakieś określone pory karmienia i od kiedy to w ogóle wymaga się od nich czegokolwiek. Od nich lub od innych domowników...

Zagląda przez ramię La, żeby zobaczyć, co wyrzeźbiła. Przygląda się figurce. Rozpoznaje siebie.

Z garnkami w dłoniach.

Rozdział 18

– Piszesz dalej? – Otarła łzy wierzchem dłoni.

– Piszę, Mileno. Wszystko, co do słowa.

– Dajesz radę, masz jeszcze siły? Już prawie świta.

– Mam, Mileno. Mów dalej – odparłam bez wahania.

Rzeczywiście – szare światło brzasku powoli wkładało się do naszego pokoju. Padało na bladą twarz Mileny. Jej ciemne oczy były teraz podkrążone, opuchnięte. Błada twarz bledsza nawet niż wcześniej.

Ręka bolała mnie od notowania, głowa opadała mi od nieprzespanej nocy. Ale pisałam. Wszystko zapisywałam. Nie pozwoliłam, by choćby jedno słowo wypłakane przez Milenę umknęło mojej uwadze.

Spojrzała na mnie ze smutkiem. Westchnęła.

– A potem znowu zwariowałam. Może nawet bardziej niż wcześniej... Pisz...

Sen 18

Tak czy inaczej, Mi skacze

Tego ranka Mi czuje, że coś zgubiła. Coś utraciła, a może o tym zapomniała...?

Budzi ją blady świt i nie może sobie przypomnieć – co takiego mogła zapodziać i gdzie tego szukać... Szaropomarańczowe światło pada na meble przypominające stado wilków, na stół i drzemiącego kota. Mi wstaje z posłania z cichym skrzypnięciem i zagląda do sypialni La.

La śpi jak ufne, młode zwierzę. Po gonitwie za własnym ogonem pada zmęczona na łóżko i budzi się, gdy już wszystkie sny zostaną wyśnione.

Teraz Mi widzi, jak jej delikatna skóra jaśnieje we wczesnym świetle. Słońce zachwyca się jej położonymi na policzkach rzęsami i przez drobne szpary wpuszcza promienie, które głaszczą La po powiekach.

W chwilach takich jak ta, Mi nie wierzy, że dziewczyna jest materialna. Kolory, które nadaje jej wschodzące słońce, są nierzeczywiste, gładkie i miękkie jak skóra od strony wnętrza ciała.

Mi przygląda się łokciom La, jej smukłym palcom i zastanawia się – skąd paznokcie lewej dłoni wiedzą, jak wyglądają ich siostry prawostronne? Skąd jedne wzięły pomysł na upodobnienie się do drugich? Dlaczego opuszki palców La są tak delikatne? Mi spogląda na swoje opuszki.

Skąd czoło La wie, gdzie się marszczy czoło Mi? Dlaczego jest to dokładnie taka sama zmarszczka i dlaczego Mi, dostrzegając te podobieństwa, jest w równym stopniu zafascynowana, co przerażona...?

Mi podchodzi do łóżka dziewczyny i klęka przy nim zafascynowana – jak dziecko, które po raz pierwszy w życiu ogląda nieznane zwierzę. Pochyliła się i zagląda do dziurek w nosie La. Tędy wchodzi i wychodzi strumień, który napędza sny oraz jawę. Niekiedy Mi dostrzega, jak oczy La szybko poruszają się pod powiekami, szukając obrazów, które mogłyby stracić przez chwilę nieuwagi.

Mi zastanawia się, co by było, gdyby oczy La przestały poszukiwać tych widziadeł, gdyby zatrzymały się martwo w miejscu. Co by było, gdyby strumień jawy lub snu przestał wpływać przez dziurki w nosie La...?

Właśnie w takich chwilach Mi zaczyna z wielką intensywnością odczuwać to, co wcześniej wyrwało ją ze snu. Coś zgubiła. Coś utraciła. Gdzie to jest? Co to jest? Jak tego szukać?

Zaczyna wpadać w panikę. Spogląda pod łóżko La. Podnosi jej pościel i ogląda jej stopy. Wraca do wezgłowia i przeszukuje włosy dziewczyny – pasmo po paśmie sprawdza, czy nie ukryła tam wcześniej czegoś, czego teraz nie może znaleźć.

Spogląda do uszu La, otwiera jej usta i sprawdza pod językiem. Gdzie podziało się to, co zgubiła?

Jak to wyglądało?

La budzi się, jęcząc i odganiając od łóżka Mi. Ale ta nie daje za wygraną. Rozwiera powieki dziewczyny i sprawdza, czy w jej tęczęwkach nie ukryła się zguba.

– Co robisz?! – jęczy La. – Zostaw mnie, wariatko.

– Gdzie to jest? Gdzie?! Gdzie?! – powtarza bez wytchnienia Mi. Odkrywa pościel i szuka w zagięciach ubrań. Pod pachą – tam się schowało. Nie, nie ma. W zagięciu łokcia. Brak. Ogląda czujnie drobne piersi La.

– Zostaw mnie, wariatko! – powtarza dziewczyna.

Ale Mi nie może, nie potrafi zaprzestać szukania.

– Gdzie to jest?! – pyta znowu i sprawdza w pępku La, zagląda jej między uda. – Może tam się schowało.

Mi brakuje oddechu. Czuje, jakby zabrakło jej słów, jakby zapomniała własnego imienia – ktoś lub coś wytrąciło ją z równowagi i Mi nie może sobie przypomnieć, co zgubiła.

Mi czuje, że w jej głowie przelewa się ocean łez – rusza głową w lewo i słona woda chlupie jej w lewą skroń. Macha głową w prawo i ocean głaszcze prawy brzeg czaszki.

Im więcej tej wody, tym trudniej jest Mi przypominać sobie, tym gorzej idzie jej myślenie.

Wybiega więc z sypialni La, siada na jednym z wilcząt i stawia między stopami miskę. Próbuje wylać wodę uchem – jednym lub drugim, ale to nie wychodzi. Pochyliła się więc do przodu i kropla

po kropli

– odsącza czaszkę oczyma, nosem, ustami.

Kiedy La się rozbudza i wchodzi do kuchni sprawdzić, co się dzieje, zastaje Mi z wypełnioną do połowy miską.

– Co ty robisz? – dziwi się.

Ale Mi nie może rozmawiać – pochłonięta jest odsączaniem czaszki. Im szybciej wyleje słoną wodę z głowy, tym szybciej dojrzy dno własnych myśli. Tak, teraz z każdą kroplą Mi jest coraz bardziej pewna swego. To tak, jakby weszła do rzeki z cennym przedmiotem w dłoni i wypuściła go przez przypadek. Przedmiot opada na samo dno, wzbija się muł i Mi nie może go już dostrzec w głębokim nurcie. Nie tylko nie wie, gdzie się zgubił, ale też nagle zapomina, czym był.

Tę wodę trzeba osuszyć, wylać, odsączyć – pojmuję teraz z całym przekonaniem.

Kropla po kropli. Szklanka po szklance. Mi nie ustaje w odlewaniu zdradliwego nurtu ze środka czaszki.

La stoi nad nią oszołomiona i nie rozumie. A tu nie ma co rozumieć. Tu jest tylko zguba i próba odnalezienia jej.

Mi pochyla się nad miską i przeszukuje jej zawartość. Wydaje jej się, że w tej wodzie traci grunt – ona jest tak ciemna, że przestaje widzieć dno. Nagle Mi ulega złudzeniu, że przegapiła moment i teraz to, czego szuka, znajduje się już w misce. A więc utracony przedmiot był od samego początku w jej głowie. Przez cały ten czas chlupał Mi pomiędzy skronią a potylicą, przelewał się razem z wodą między półkulami i przypominał o tym, że został zagubiony.

Przerażona Mi zanurza dłonie w misce i szuka zguby, ale teraz to głębokość naczynia przekracza zdolności jej wzroku i Mi nie może przeniknąć jego głębin. Gdzieś na dnie kryje się utracony przedmiot, ale co nim było, co nim było?

Mi porusza głową i zdaje sobie nagle sprawę z tego, że w jej środku nic nie chlupocze. Cała woda wylana, a Mi czuje tylko suchość. Myśli ocierają się o siebie z bólem, gwałcąc bez przygotowania pamięć i wyobraźnię.

W tej suszy Mi próbuje odnaleźć przyczynę – teraz już nie zagubienia, ale poszukiwań. Po co w ogóle zaczęła czegoś szukać...?

Z wielkim trudem pogrąża się we wspomnieniach minionych chwil i przypomina sobie. Obudziło

ją... wcale nie poczucie zagubienia, ale... Co ją obudziło, co ją obudziło? Myśli są suche i Mi nie może się skupić. Każde wspomnienie wydaje szelest zagłuszający bieg myśli.

Otwiera oczy i zdaje jej się, że spogląda w lustro. Ale to nie lustro. To La pochyliła się nad nią,

chwyciła dłońmi jej twarz i pyta o coś. Dźwięk tego głosu przypomina nagle o wszystkim. To nie zguba, to nie strata. Mi obudziła się, bo usłyszała jak La coś jęknęła przez sen. Usłyszała jej głos, a nie własne poczucie zagubienia.

I ten głos – to zawrodozenie przez sen wyrwało Mi z jej własnego łóżka. To zawrodozenie przywiodło ją do sypialni La. Mi szukała jęku, nie własnej zguby.

Uspokaja się na moment. Odzyskuje zmysły. Chwyta miskę łez i wypija je duszkiem.

Przyjemne chlupotanie w głowie przywraca jej spokój.

– Co ci jest?! – słyszy teraz wyraźnie głos La. – Ktoś pyta – odpowiada się.

– Nic – mówi więc Mi. – Miałam zły sen. Wydawało mi się, że coś zgubiłam.

– Dlaczego szukałaś tego u mnie? – pyta La, nieco spokojniejsza, widząc, że znowu rozmawia z osobą o zdrowych zmysłach.

Mi uspokaja się.

– Zerwał mnie z łóżka twój jęk – mówi. – Musiałam przyjść do ciebie nie do końca rozbudzona.

– Ale czego szukałaś? – pyta La, spoglądając na nią z bystrym błyskiem w oku.

– Nieważne, nie twoja sprawa. – Mi wraca do równowagi i powarkuje.

La uśmiecha się – ni to złośliwie, ni to łagodnie.

– Widywałam już takie zachowanie – mówi. – Widywałam takie poszukiwanie.

Mi łapie się za głowę, w której ponownie chlupocze uspokajająca płynność myślenia.

– Ciekawe, gdzie widywałaś takie zachowania – odzywa się do La, spoglądając na nią gniewnie.

Gniewnie – za co? Za to, że widziała Mi w chwili słabości? – Ciekawe, gdzie się napatrzyłaś na te całe zachowania. Twój ojciec sam mówił, że nie bywałaś za często wśród ludzi – kpi Mi, myśląc jednocześnie: i kto to mówi.

– Nie u ludzi widywałam taki wyraz oczu. Taki, jaki miałaś dziś rano – odpowiada niezrażona La.

– Tak się zachowują zwierzęta, które ktoś uwięzi. Tak poszukują wolności, wyjścia z klatki, ucieczki.

Tak właśnie wyglądałaś dzisiaj rana.

– Widzę, że masz wiele do powiedzenia – kpi znowu Mi. Dlaczego kpi? Za co nie lubi tej dziewczyny...?

– Zgadza się – odpowiada La. – Mam wiele do powiedzenia, choć nie muszę dużo mówić. Widzę więcej, niż ci się wydaje. Wiem, jak wygląda szukanie utraconej wolności.

– Co ty wiesz o wolności – odpowiada cicho Mi.

– Wiem tyle, że warto o nią walczyć. Za wszelką cenę.

La: wypieki na policzkach. Otwarte szeroko oczy. Zaciśnięte wargi. Kogo przypominała teraz...?

Mi próbuje odnaleźć w twarzy dziewczyny to, co rozpoznaje. Tę zawziętość... Po chwili traci trop.

Prycha w odpowiedzi.

– Za wszelką cenę? – pyta, śmiejąc się smutno. – Za wszelką cenę to już nie wolność. Tam, gdzie pojawia się wszelka cena, umiera wolność, ty naiwne dziecko. Uwierz mi, wiem, co mówię.

La napina się nagle w porywczym gniewie. Przed chwilą skłonna do dialogu; teraz – gotowa wydrapać Mi oczy.

– Niby dlaczego mam ci wierzyć?! – szczeka. – Co ty wiesz o wolności?

Mi wstaje z wilczątka tak gwałtownie, że drewniany stołek upada z trzaskiem na podłogę.

– Wiem więcej niż ktokolwiek, naiwna dziewucho! Tfu! Ty głupie, głupie szczenię! Znam wolność, za którą oddawano życie, wolność, przez którą sprzedawano całą ludzkość; znam samotność, za pomocą której tę wolność kupowano. Znam porzucenie i wyrzeczenie, którymi za wolność płacono.

Znam wolność wątpliwą i wolność prawdziwą, która znika – jednego dnia przesłania ci cały horyzont, a drugiego – kurczy się i staje ledwie obłokiem. Znam wyzwolenie, które przemija tak jak wiara i pewność. Bo tylko w pewności tkwi wolność, ty szczeniaku. A na pewność nie stać żadnego człowieka – nie przez całe życie. Pewność rozmywa się z dnia na dzień i każdego ranka musisz płacić za nią coraz więcej i więcej, aż w końcu uświadamiasz sobie, że nie ma pewności. Nie ma, rozumiesz?!

La waha się. Ale tylko przez moment. Wystawia ostre zębki i kęsa.

– Pewność – prycha teraz La (a gdy prycha, po plecach Mi przebiega dreszcz, bo to prychnięcie jest tak podobne do tego, którym sama zawsze władała). – Pewność to utrata wolności. Tam, gdzie zaczyna się jedno, kończy się drugie. Nie wiesz, co mówisz, ty obłąkana babo. Jesteś jak pies na uwięzi – on właśnie pewny jest, że każdego ranka czekać go będzie micha pełna żarcia. I za to żarcie właśnie płaci swoją wolnością. Tam, gdzie ją utracił, tam dokładnie zaczynała się pewność.

Mi chwyta się za skronie. Od lat nie wymieniła z nikim tylu słów. Zapomniała już – czy wszystkie istoty ludzkie tyle gadają...? Dlaczego w ogóle zależy jej na tym, żeby cokolwiek udowodnić tej smarkuli...? Po co się nią zajmuje, dlaczego daje się jej zaczepiać? Młoda miała tu koczować do

czasu, aż ojciec po nią wróci – pracować i słuchać się. A co z tego wyszło...?

Słabo jej jakoś. Chce opaść na stołek, ale ten przecież sam się przewrócił, więc Mi chwieje się i leci na ziemię.

Czuje pod łokciem twarde palce La. Przytrzymały ją i usadziły na siedzisku obok.

– Źle się czujesz? – pyta La innym głosem.

Tak – myśli Mi.

– Nie – odpowiada.

Dawno już tyle nie rozmyślałam – myśli.

– Dawno mnie tak nikt nie zdenerwował – mówi.

La milknie. Siada obok – na drugim stołku.

Mi pogrąża się w myślach. Za plecami La widzi trzy zjawy, które zawijają sobie nawzajem włosy na palce.

– Jak to możliwe – pyta ich Mi – że to ja teraz tłumaczę, jak traci się wolność? Ileż wolności posiadałam kiedyś, a ile z niej straciłam, by kupić to, co wydawało mi się nią być...?

– *Możewolność jest* – szepcze jedno z widziadeł, dotykając głowy La.

– *Amożewolności niema* – dodaje drugie, gładząc włosy Mi.

Mi przypomina sobie obietnice, za które kupowała wolność. Żadnych przysiąg – mówiła do Re.

Żadnych na-zawsze, żadnych do-śmierci. Żadnych w ogóle.

Mi przypomina sobie kawałek wolności, za którą nabyła samotność, oraz samotność, którą musiała przyjąć, pragnąc wolności.

Spogląda na La. Czy dając wyzwolenie, nie odebrała go raczej?

Mi czuje, że zaraz oszaleje. Tyle myśli kłębi się jej w głowie – odbijają się od jednego ucha do drugiego, tak że powstaje nieznośne echo.

Zamyka oczy i widzi siebie – stojącą każdego dnia nad urwiskiem. Z górnego piętra skał powinna lecieć woda – powinien się pnieć potężny wodospad. Mi chce skoczyć razem z nim i opaść gładko do głębokiego zbiornika poniżej. Ale wodospad okazuje się złudzeniem – wysechł dawno temu. U jego stóp zeschnięte koryto. Ani kropli wody. Mi czuje, że mięśnie napinają jej się do skoku.

Jest woda czy jej nie ma – tak czy inaczej, Mi skacze.

Szara musiała się widocznie zaniepokoić moją nieobecnością na śniadaniu, bo przecież wiedziała, że tym razem wróciłam do domu na noc. Widziała zamknięte drzwi od mojej sypialni, słyszała mój oddech przez dziurkę od klucza. Ale w tym oddechu było coś dziwnego – jakaś niemiarkowość, która musiała ją zaniepokoić.

Zapewne zapukała – najpierw cichutko, z pewnym wahaniem, potem śmieiej i głośnieiej. Lecz mnie nie obudziło to pukanie – byłam zbyt zmęczona całonocną pracą, zbyt wyzuta z postrzegania po tym, jak zapełniłam pół notatnika swoimi przemyśleniami.

Ponieważ nie odpowiadałam, Szara zapewne nacisnęła nieśmiało klamkę i uchyliła drzwi mojego pokoju, by zobaczyć, czy wszystko u mnie w porządku.

Wsunęła głowę przez szparę uchylonych drzwi i zrozumiała, skąd ta niemiarkowość oddechu, którą przed chwilą słyszała. Świeże powietrze wpływało do pokoju przez otwarte na oścież okno. Oddychała nim nie jedna, lecz dwie pary płuc.

Szara usłyszała dwa oddechy splatające się we śnie, zobaczyła cztery stopy wystające spod pierzyny. Gdyby to nie były stopy, które tak dobrze znała, zamknęłaby drzwi i zapomniała o wszystkim. Ale Szarej wystarczył jeden rzut oka na delikatne, szczupłe palce wystające spod pościeli, by rozpoznać, że oprócz mnie w łóżku leży Milena. Uśmiechnęła się więc pod nosem i pokręciła z niedowierzaniem głową. Otworzyła drzwi nieco szerzej, by ostatecznie się upewnić.

Teraz wyraźnie zobaczyła: pisarka, która przyjechała tu, by tworzyć opowieść, i duch nawiedzający ten pokój regularnie od roku – spały objęte jak dwoje dzieci albo kociąt.

A zatem duch nareszcie się objawił, nareszcie powrócił do ciała – pomyślała z pewnym zadowoleniem i zamknęła za sobą drzwi.

Kiedy ja otworzyłam oczy, ducha już przy mnie nie było.

Do pokoju wpadały odważne, południowe promienie słońca. Poczułam suchość w gardle. Całą noc pracowałam na wysokich obrotach, nie zwilżywszy nawet ust.

Usiadłam na łóżku i przez chwilę zastanawiałam się, czy cokolwiek z tego, co zapamiętałam, naprawdę się wydarzyło, czy też wszystko to mi się śniło. Sięgnęłam po notes – niemal cały zapisany.

Był on jakiegoś rodzaju świadectwem moich przeżyć lub przynajmniej przemyśleń. Świadczył przynajmniej o tym, że minioną noc rzeczywiście spędziłam na pisaniu.

Chwyciłam ubrania, włożyłam klapki na stopy i poszłam do łazienki. Wzięłam długą, raczej chłodną kąpiel, która nieco mnie orzeźwiła. Zapowiadał się przepiękny, ciężki od upału dzień, więc odrobina

chłodu była mi potrzebna.

Wycisnęłam mokre włosy do umywalki, nakremowałam twarz i zeszłam na dół – do kuchni Szarej.

Panował tu teraz dziwny spokój. Nie było nikogo – nawet na obiady nie przychodził już nikt z zewnątrz.

Dom był pusty. Na kuchni stała kawiarka z nasypaną kawą i nalaną do zbiorniczka wodą –

czekająca tylko na to, by postawić ją na ogniu. Na blacie – przygotowane dla mnie chleb, masło, miód, dżem jagodowy, twaróg. Obok pyszniły się swoją czerwienią aromatyczne pomidory.

Dopiero teraz uświadomiłam sobie, jak bardzo jestem głodna. Przez całą noc nie tknęłam ani kęsa mimo intensywnej pracy i teraz odczuwałam tego konsekwencje.

Zjadłam solidne śniadanie – obfitsze niż zazwyczaj, chwyciłam kubek z kawą i postanowiłam położyć się na hamaku zawieszonym za domem Szarej. Polenię się bezwstydnie i ledwo opuściwszy łóżko – położę się znowu – pomyślałam.

Hamak rozwieszono w idealnym miejscu. Pomiedzy dwoma drzewami – w półcieniu. Gdy się w nim leżało, delikatne refleksy słońca głaskały ciało i twarz, ale nigdy nie były na tyle natrętne, by razić w oczy czy piec skórę. Ptaki śpiewały obłędnie, wiał delikatny wietrzyk. Pogoda była taka, jaka z pewnością panowała w Edenie.

Mój umysł nie był szczególnie lotny po całonocnym wysiłku. Postanowiłam więc, że wykorzystam

jego spowolnione działanie chociaż do tego, by przemyśleć sobie, jak dalej powinnam poprowadzić fabułę. Do pisania i konstruowania wydarzeń potrzebna jest najwyższa jasność umysłu, jednak do snucia przemyśleń wystarczy – że pociągnę dalej tę świetlistą metaforę – umysłowy półcień.

Bujałam się zatem w tym półcieniu – słonecznym i mentalnym, gdy coś przykuło moją uwagę.

Z mojego hamakowego posłania mogłam z powodzeniem obserwować tyły domu Szarej; dostrzegłam

więc bez trudu, że w oknie sypialni Laury właśnie poruszyła się firana. Zza jej białej, ruchliwej powierzchni wyłoniła się w chwilę potem Milena. Nadal była w koszuli nocnej, co nadawało jej ten sam nierzeczywisty wygląd, na który zwróciłam uwagę w nocy.

Milena stanęła na zewnętrznym parapecie i wyciągnęła rękę ku pobliskiemu drzewu. Chwyciła jego gałąź i odbiła się lekko, by zeskoczyć z okna na pobliski konar. Zanim to jednak uczyniła, zerknęła w moją stronę. Było to ledwie mgnienie – ledwie przez sekundę nasze spojrzenia się spotkały. Mimo to dostrzegłam w jej oku błysk przyjaźni, delikatny uśmiech zamajaczył zaś na jej ustach. Chciałam odmachnąć jej ręką w geście pożegnania, lecz nie zdążyłam. Równie niespodziewanie, jak się tu zjawiała, zniknęła. Sprawnie jak łasica zsunęła się z kolejnych gałęzi drzewa, po czym zeskoczyła na ziemię. Nie odwracając się już ani nie patrząc za siebie, pobiegła w kierunku swojego wzgórza.

Pomyślałam, że spoczywa na mnie teraz ogromna odpowiedzialność. Moja rola w snuciu tej

opowieści polegała nie tylko na tym, aby dodać wydarzeniom magicznym nieco realizmu, a tym realistycznym – nieco magii. Rzecz była również w tym, aby połączyć w spójną całość wszystkie urywki opowieści, które do mnie trafiły. Chodziło nie tyle nawet o scalenie historii, ile o połączenie w jedną całość punktów widzenia. Laura musi pojąć, co przeżywała Milena, Milena zaś powinna zrozumieć, dlaczego Laura jest taka, a nie inna.

W drzwiach domu pojawiła się Szara. Podniosłam się nieco w hamaku i zawołałam:

– Dzień dobry!

Kiwnęła głową i uśmiechnęła się. W rękach trzymała konewkę. Podeszła do przepięknych kwiatów, których kolorowe rzędy otaczały podwórze. Podlała tylko część z nich, po czym podeszła do mnie.

– Bardzo im pomagasz – powiedziała bez wstępu.

Domyślałam się, o co może jej chodzić, ale wołałam podpytać.

– Co pani ma na myśli?

– Oj, przecież wiesz. Milenę i Laurę. One potrzebują kogoś z zewnątrz. Potrzebują magii, którą roztaczasz wokół tej historii. Bo przecież wiesz, że życie bywa tak naprawdę bardzo banalne i tylko niektóre osoby potrafią w nim dostrzec to, co magiczne.

Szara mówiła teraz zupełnie inaczej niż zazwyczaj. Czułam się trochę, jakbym rozmawiała z inną osobą.

Spojrzała na mnie z uwagą. Odłożyła konewkę. Wyciągnęła z fartucha bibułkę, tytoń i skrzyła sobie mocnego, wonnego papierosa. Spytałam ją gestem dłoni, czy chciałaby położyć się na hamaku.

Ale ona nie miała ochoty. Zamiast tego przysunęła jeden z ogrodowych foteli i rozparła się w nim wygodnie, popalając niespiesznie.

Postanowiłam skorzystać z nastroju tej chwili i zapytałam:

– Jak to się stało, że Laura przestała mieszkać u Mileny i przeprowadziła się tutaj?

Szara zaciągnęła się dymem i zaśmiała cicho.

– Żebyś ty ją wtedy widziała... Żebyś ty ją wtedy zobaczyła moimi oczyma... Życie to jest prawdziwa zagadka. A mawiają czasem, że Pan Bóg zużył całą wyobraźnię na Eden i teraz wszystko, co się dzieje, jest tylko jakimś jego echem. Dlatego ludzie bywają tak podobni – i dlatego kolejne pokolenia spotyka wciąż to samo i to samo, jakby nie mogli uciec przed swoim przeznaczeniem...

Pytasz, jak to się stało, że Laura się tu przeprowadziła... Dla mnie to nie Laura zawitała w te strony pewnego dnia, lecz Milena właśnie. Byłyśmy skłócone od lat. Milena odeszła z domu już wtedy, gdy była w ciąży – odeszła na swoje wzgórze. Wszyscy myśleli, że to ze wstydu. Ale niestety, nie taka była prawda. Gdybyż Milena się wstydziła...! Cóż to za problem – wstyd? Dziś jest, jutro go nie ma.

Prawda była taka, że ona zwariowała i dlatego skryła się na wzgórzu. Widzisz, dziecko – raz na jakiś czas rodzą się takie osoby, które ktoś chyba przez pomyłkę umieścił w niewłaściwych czasach, w niewłaściwym miejscu, w za małym ciele... I one wiercą się w tym ciele, jakby je chciały przedwcześnie opuścić – duszą się w nim, nie mieszczą się, próbują z niego jakoś uciec.

Milena kpiła ze starej legendy o diable, który rzucił przekleństwo na kobiety z naszego rodu, a mimo to wciąż na niego czekała. Wszędzie go szukała. A z diabłem to jest tak – jeśli go nie szukasz, on może cię nigdy nie odnaleźć, ale jeśli próbujesz go odszukać, natkniesz się na niego niechybnie.

Toteż Milena odnalazła swojego „diabła”. Oszalała i robiła w tym swoim przeklętym domu straszne rzeczy. Ze sobą, ze swoim ciałem. Odurzała się co dzień i co noc czym popadło, a potem traciła kontrolę nad życiem. Przyjmowała gości, których potem nie pamiętała. Niepostrzeżenie zanurzyła się w tym świecie po uszy. Nie mogła już wyczuć gruntu, nie potrafiła złapać oddechu. A czas płynął nieubłaganie i dziecko w jej łonie dopominało się o swoje prawa.

Dopiero gdy Milena zrozumiała, że niedługo nadejdzie ten czas – dopiero wtedy pojęła, w jakim tkwi bagnie, jakiegoż to „diabła” przywołała. Była wrakiem człowieka, nie pamiętała imion ludzi, którzy spali u niej po kątach. Nie pamiętała nazw specyfików, które z nimi przyjmowała. Nie pamiętała niczego. Nagle ruszyły ją wyrzuty sumienia. Sądziła, że jest niegodna, by być matką, i że musi ochronić swoje dziecko przed swoim diabłem – tym, który już wyciągał ręce po nowe życie.

Dopiero wtedy naprawdę się pokłóciłyśmy. Milena nie chciała mnie słuchać – zresztą nigdy nie słuchała nikogo. Wszystkiego musiała się uczyć na własnych błędach. Tak też miało być i tym razem.

Choć powtarzałam jej jak mantrę: „Matka nie oddaje dziecka”, ona po prostu się uparła. Uparła się, że w każdym pokoleniu do kobiet z naszego rodu przybywa diabeł i niszczy im życie. Nie chciała, by jej dziecko czekało to samo. „Nie oddałam żadnego dziecka” – mówiła. „Dziecko przyszło na świat martwe; martwe dla mnie”.

Przestała mnie odwiedzać, a i ja nie przestąpiłam nigdy progu jej przeklętego domu. Mijały lata i Milena musiała boleśnie odczuwać, jak wielki błąd popełniła. Chciała uchronić dziecko nie przed diabłem, nie przed światem, który ją otaczał, nie przed bezdusznymi przywódcami i ich bezwzględными reformami, ale przed samą sobą. Musiała to pojąć, ale dopiero po latach. I zrozumiała po raz pierwszy w życiu, że popełniła błąd.

Jednak życie – jakkolwiek bywa okrutne, często daje drugą szansę. I szansa ta niepostrzeżenie przyszła do Mileny. Lata mijały i Milena pozwalała swojemu diabłu na coraz mniej. Jej dom przestał

przypominać melinę, a zaczął samotnię. Ona sama uwolniła się od złych nawyków. Ba! Jej życie zaczęło teraz przypominać żywot mnicha czy pustelnika. Cienie przeszłości nadal ją odwiedzały, ale nie były to już te same cienie co niegdyś. Można było powiedzieć, że Milena była znowu wolna.

Wszystkiego tego po części się domyślałam, a po części byłam pewna, obserwując jej wzgórze każdego dnia. O wielu rzeczach starałam się zapomnieć, inne próbowałam przebaczyć. Wygnane i

odrzucone dziecko było dla mnie największym wyzwaniem, ale i z tym nauczyłam się jakoś żyć.

Dopiero z rok temu... moje serce poruszyło się, a mnie samą wryło niemal w ziemię. Szłam właśnie na sobotni targ, który tu u nas ustawia się co tydzień. Moją uwagę przyciągnęło jakieś zamieszanie.

Już z daleka widziałam, że jakaś młoda dziewczyna miota się w tłumie, ludzie pokazują ją palcami, a ona gotowa lada chwila zemdleć. Zbliżyłam się do nich i zamarłam. Dziewczyna odwróciła się, a ja ujrzałam: długie, czarne włosy, czarne, tęskne oczy i twarz ni to dziecka, ni to kobiety. Wypisz, wymaluj Milena. Milena sprzed dwudziestu lat. Czas się cofnął. Czas zakpił z nas albo dał nam drugą szansę. Milena, którą traktowałam jak własną córkę, którą wychowałam we własnym domu i z którą potem poróżniłam się na długie lata – właśnie stała przede mną, dając mi drugą szansę. Była blada, jej oczy zapadły się ze strachu, powieki posiniały – jeszcze moment i by zasłała.

Chwyciłam ją za ramię i żwawym krokiem zaprowadziłam do domu, nie zwracając uwagi na to, co mówią ludzie. Usadziłam ją na krześle i nie mogłam uwierzyć własnym zmysłom. Oto siedziała przede mną prawdziwa Milena – czekając, aż wyciągnę do niej rękę.

– Oczywiście była to Laura – upewniłam się.

– No jasne, że Laura, a któż by inny. Ale wyobraź to sobie! To dziecko było tak do Mileny podobne, że mogłoby robić za lustro zaklęte przed dwudziestoma laty!

– Jak to się stało, że Laura tu trafiła? I że wyprowadziła się od Mileny, a zamieszkała tutaj?

Szara westchnęła.

– Masz coś do pisania?

– Zawsze mam coś do pisania. – Uśmiechnęłam się.

– To pisz...

Sen 19

Oto i sekret wszystkiego

La nie rozumie ludzi.

Spośród ludzi zaś najmniej pojmuje kobiety.

A pomiędzy kobietami najbardziej niezrozumiała jest dla niej Mi.

Te jej krzyki, wywody, zakazy i nakazy. Tak częste i przesadne, że La zaczęła nawet uznawać je za zabawne. Wyobraża sobie czasem, że Mi wykonana jest z bardzo plastycznego materiału. Na co dzień twardy – mięknie niekiedy w jednej chwili. Innym razem twardnieje pod wpływem pojedynczego słowa. La przygląda się czasem temu dziwnemu tworzywu. Prawdę mówiąc, niekiedy się nim wręcz

bawi.

Bo Mi przypomina wodę, która w mgnieniu oka przechodzi z jednego stanu skupienia w drugi. La nauczyła się już za dotknięciem jednego słowa przemieniać falę łagodności w bryłę lodu. Potrafi także małym gestem lub miną sprawić, że leniwy nurt przechodzi w rwący potok. Sprowokować Mi do tego stopnia, że ta ciska pianą z ust i przelewa się z kąta w kąt, niszcząc wszystko, co napotka po drodze.

Ale ostatnio La posiadała jeszcze jedną umiejętność. Spostrzegła, że bryłę lodu wystarczy ogrzać z jednej czy z drugiej strony, by ta – kawałeczek po kawałeczku – stopniała w krystaliczną taflę. Jest to proces bardzo złożony i trudniejszy od innych, ale La – w miarę jak przebywa z Mi coraz dłużej – doskonalił umiejętność zmiany jej stanu skupienia i z każdym dniem zabiera się do tego z większą wprawą.

W końcu La odkrywa, że postępowanie z Mi przypomina obcowanie z naturą. Trzeba okazywać jej szacunek, bo natura może być niebezpieczna, gdy się ją lekceważy. Należy być czułym na cykliczność, której podlega – oczekiwać wiosną kwiatów, zimą zaś śniegu. Nie spodziewać się roztopów w najkrótszą noc w roku.

Ale La pojęła też, że podobnie jak naturę – tak i Mi należy darzyć jedynie ograniczonym zaufaniem, bo jej przewidywalność łatwo może zmylić nieuwważnego obserwatora. Bywa, że po letnim przesileniu spada grad, a skute lodem bagna zakwitają.

Toteż czasami La zauważa, że ciało Mi – podobnie jak ciało Ziemi – wywraca się na drugą stronę.

Z zalanych łzami oczu wyrastają promienie uśmiechniętych zmarszczek. Gromy ciskane przez usta Mi przynoszą łagodność i zakwitają potokiem ciepłych słów. Ręce Mi, które ciskały przedmiotami i tłukły je o ścianę, podnoszą te same rzeczy z niespotykaną czułością i składają je w całość, a potem gładzą i pieczą godzinami.

Bywają takie dni, że La ma wrażenie, jakby obie żyły do góry nogami. Wszystko jest na opak.

To La uczy Mi życia.

To Mi chce cofać czas, a La wybaczają jej małe grzeszki i przewiny. Jeszcze chwila – wydaje się La – a zamienią sufit z podłogą. Ustawią na nim stoły i krzesła do góry nogami. Poprzekręcą obrazki i ozdoby na ścianach, rozpalą na suficie ognisko i będą uciekać przed rozżarzonymi węglami spadającymi na głowę.

*

Czasami La zastanawia się, do jakiego zwierzęcia Mi jest najbardziej podobna. W zabawne, słoneczne dni wydaje jej się, że Mi jest jak mały gryzoń, który przeżywa tylko maluteńkie chwile, kolekcjonuje miniaturowe przeżycia i składa w całość drobinki wspomnień. Mi to mała nornica,

która przemierza na swoich pazurkach długie kilometry po to tylko, by znaleźć odpowiednią kryjówkę dla jednego –

bezużytecznego w oczach innych zwierząt skarbu.

Innym razem La przekonana jest, że Mi jest ptakiem, który raz wzbiwszy się w powietrze – nigdy nie wylądzuje na ziemi. Sypia w chmurach, odpoczywa na strumieniach ciepłego powietrza. Ma

doskonały wzrok, ale jest nierozważny. Skupia się na tym, co go niesie, lecz nie na tym, co może go dogonić.

Czasami w spojrzeniu Mi La rozpoznaje płochliwą głupotę saren, innym razem dostrzega w nim obojętność wielkich ryb. Lecz najwięcej zwierząt budzi się w Mi podczas odwiedzin.

Odwiedziny – tak nazywa je sama Mi. Gdy nadchodzą, każe La odejść daleko i nie wracać przez długi czas. Odwiedziny to zawsze mężczyzna. Odwiedziny to wygnanie i jęki. Odwiedziny to gorycz, którą La czuje, choć jej nie rozumie.

Początkowo La słuchała Mi i odchodziła daleko – na bardzo długo. Była złaźniona wolności i przestrzeni. Cieszyła się, że może spędzić tyle czasu sama – bez Mi, a co najważniejsze – bez jej rozkazów, poleceń i czterech ścian, w których tkwiło tak wiele wydumanych obowiązków.

Ale po pewnym czasie... La idzie w stronę lasu i zatrzymuje się nagle. Coś – głęboko w jej wnętrzościach odzywa się tęsknym wezwaniem. Czuje obcość samotności. Czuje, że powietrze jest za rzadkie, by dobrze utrzymać ją w swoich objęciach. Skóra La twardnieje od chłodnego powiewu i dziewczyna czuje, że tylko ciepły dotyk drugiej skóry mógłby ją zmiękczyć.

Waha się długo, stojąc twardo w miejscu, jakby ją znumifikowano za życia. W końcu zawraca.

Zakrada się do domu na wzgórzu i już z daleka słyszy jęki Mi i powarkiwanie mężczyzny. Odgania psiaki, które przybiegają na jej powitanie, i podchodzi na palcach do okna. Oczy zamykają jej się i otwierają z przestachu, głodu i zdziwienia. Jest zafascynowana i jednocześnie czuje obrzydzenie.

W gładkich pościelach szamocze się bestia o dwóch głowach i ośmiu kończynach. Warczy, rzuca się, piszczy – wygląda, jakby miotła się w agonii. Z pewnością bardzo cierpi i za chwilę umrze.

Momentami La dostrzega błędne i przerażone spojrzenie bestii – udaje jej się uchwycić to jedno oko –

krystalicznie niebieskie, to drugie – czarne jak noc.

Nie, to nieprawda, że La jest aż tak naiwna. Nieprawda, że nie wiedziała, co to są odwiedziny.

Nieprawda że nie zna widoku dwojga zwierząt ocierających się o siebie. Tyle że to, co widziała teraz, nie przypominało żadnego zwierzęcia, żadnego instynktu, który La zdążyła już poznać. To był

oblęd, który napawał ją lękiem i obrzydzeniem.

La wycofuje się spod okna, nadeptując jednemu z psiaków na ogon. Jego pisk wyrywa ją z napięcia i przerzuca w panikę. La biegnie przed siebie i próbuje uciec od tego, czego nie rozumie, zostawić za sobą to, co jest straszne i bolesne. Jej pięty tupią tak głośno o ziemię, że sufit króla podziemi drży i wpada płatami do jego łóżka oraz na stoły jego uczujących poddanych.

W oddali La dostrzega strużki dymu z kominów innych domów. Biegnie w tę stronę, szukając odmiany od widoku, który przesłaniał jej teraz wszystkie myśli. Tak jak zawsze stroniła od ludzi, tak teraz musi się na nich napatrzeć – podejrzeć ich przez szpary, okna, dziury w ścianach – by przekonać się, że mogą po prostu trwać i nie zamieniać się w bestię w agonii.

Niepomna słów Mi, która surowo zabraniała chodzenia do ludzi (dotychczas nie musiała zabraniać – La nie pragnęła ich towarzystwa), wbiega między nich i dopiero teraz zdaje sobie sprawę, że krzyczy.

Oszołomiona staje pośrodku karuzeli spojrzeń. Kto to – obca – co ona – skąd ona? Dokąd i do kogo ona? Po co?

La pierwszy raz w życiu widzi tyle par ludzkich oczu naraz. Kręci jej się w głowie od tych spojrzeń i od krzyków. Zaraz zemdleje – już czuje twardą ziemię na policzku – już ból uderzenia pulsuje na jej twarzy.

Nagle jakby znany głos. La mruga, bierze wddech. To nie twarda ziemia uderzyła ją w policzek, ale twarda ręka. Obok niej starucha, która właśnie trzasnęła ją w twarz.

– Słyszysz, głucho-dziecko?

Tak, La słyszy.

– Opóźniona jakaś czy co – gdera stara kobieta i zaciska dźwignię palców na ramieniu La. Ciągnie ją za sobą. Płot, ogródek, drzwi – chata.

La czuje, że ktoś sadza ją na siedzisku. Jest w czyimś domu. Przez szpary w drzwiach i w oknach wpadają snopy światła, a w tych snopach La tym goręcej odczuwa cios na policzku i tym gorzej widzi starą kobietę, która ją tu zaciągnęła.

Starucha jest za jej plecami, przed nią i pod nią. Otacza ją spojrzeniami i osacza oddechem. La wydaje się, że wokół niej musi być z tuzin starych kobiet, a wszystkie poruszają się naraz i w różnych kierunkach. Odczuwa strach. Nagle przestaje widzieć. Słyszy tylko spokojne, powolne kroki staruchy, która musi oglądać ją bacznie ze wszystkich stron.

La czuje, jak ziemia drży, jak wibracja przenosi się do jej stawów, kręgosłupa i czaszki.

Nagle śmiech. Upiorny, skrzeczący, nawołujący. Ten śmiech może roztrzaskać kamienie

i rozewrzeć wrota zaświatów. Przybywajcie, złe duchy i stracone dusze. Nadeszła pora rozpoznania!

Teraz La czuje, że to nie ciemność ją ogarnęła, ale brak czasu. Trwa jedna chwila – La właśnie mruga i wciąż nie może rozewrzeć powiek, a czas sunie do przodu tak powoli, że jedno uderzenie serca trwa tyle co cykl księżyca.

La czuje, że się dusi, bo jak jedno uderzenie serca, tak i jeden oddech – rozpoczął się dawno temu i zawiesił się w połowie. Powietrze zawisło w ustach La i nie chce przejść dalej. A przecież La teraz żyje, potrzebuje go – czy czas płynie, czy nie – La pragnie oddychać. I wtedy – po tym dudnieniu i napięciu – świst, chłód. To wdech. La czuje, jak fala podmuchu wdziera się do jej nosa, rura do klatki, a z klatki do reszty La. Łapczywie chwyta ten podmuch i woła o następny. Przychodzi.

I kolejny – jest. La spragniona powietrza chwyta je całą sobą i po chwili się uspokaja.

Otwiera oczy.

Widzi czarne dziury między zębami wyszczerzone w upiornym uśmiechu.

Aha-haha! Aha-haha! – powtarzają usta – nie wiadomo, czy się śmieją, czy mówią w ten sposób.

– Wiedziałam! Wiedziałam! – słyszy La. – Och, matko Sza, jakże ja wiedziałam. Niemożliwe! To by było niemożliwe, żeby tak podobna nie była Nowym!

La czuje, że wraca jej jasność myślenia. Rozgląda się po chacie. Skromna izba – cała obwieszona bibelotami, a pośrodku rozbiegana baba, która skrzeczy i śmieje się jak stara ropucha.

La wstaje ze stołka.

– A ty dokąd?! – Starucha zrywa się i łapie ją za przedramię.

– Dokąd zechcę – odpowiada z rozpędu i wyrywa rękę z uścisku.

– Aha! Ahaha! – cieszy się stara. – Po moim trupie! – Chwyta ją znowu.

– Może być i po twoim trupie, obłąkana starucho! – Wyrywa się i odpycha kobietę.

Stara spogląda na nią z dziwnym zachwytem.

– Identyczna – mamrocze, wpatrując się w La. – Jak dwie krople wody.

La ucieka wzrokiem od obłąkanego spojrzenia i odchodzi ku drzwiom.

– Czas zatacza koło i kopie cię w dupę, Mi! – krzyczy za nią starucha.

– Coś ty powiedziała? – La się odwraca.

– Aha! Haha! To, co słyszałaś, Mi! To spojrzenie, którym zagładasz w taflę i widzisz odbicie tafli w

spojrzeniu – dodaje ciszej. – To trzecia zjawia, która zwija pierwszą! To druga zjawia, którą rozwijają dwie poprzednie! To ty, Mi! Nikt inny. Oto trwoga. Źle zrobiłaś – widać, że źle zrobiłaś i urodziłaś się na nowo. Raz jeszcze poczniesz dziecko z lasem i raz jeszcze staniesz między wolnością a zniewoleniem! I wybierzesz niewolę, Mi! Zapewniam cię! Z piętnastu lat wolności i samotności ukręcisz niewolę, w której zapragniesz żyć! Oto nadeszła chwila natarcia na ciebie, Mi!

Oto twoje trupy przerzucone przez mur miasta! Oto twój wybór – błędnie dokonany. Aha! Haha!

Starucha była obłąkana – to pewne. La nie interesowały jej wywody i krzyki, a jedynie imię, którym ją nazywała.

– Dlaczego mówisz na mnie Mi? – spytała w końcu.

– Bo nią jesteś! – odparła starucha, kaszląc i plując od gwałtownego śmiechu. – Bo jesteś nią w każdym calu. Oto kara lub nagroda – urodziłaś się na nowo i staniesz przed tym samym raz jeszcze.

– Ty – ukryta, ty – odnaleziona, ty – z której zakpiono. Sama zagłębiłaś się w swoje łono i poznałaś je od środka, Mi. Aha haha! – Stara klepała się w kolana. – Jak żyję, a to dobre!

– Kim jesteś?! – pyta zniecierpliwiona La. – Mów, bo odejdę.

Staruszka uspokoiła się. Położyła dłoń na mostku i usiadła. Spojrzała uważnie na La.

– Jak odejdiesz, to i wrócisz. Takie jak ty zawsze wracają.

La poczuła, że dreszcz przechodzi jej po plecach. Takie jak ty zawsze wracają. Odchodzą, a potem wracają. To samo mówiła matka Re.

Dziewczyna z niepokojem przygląda się pomarszczonej twarzy staruszki. Czy przypadkiem nie jest uderzająco podobna do matki Re? Czy wszystkie stare kobiety nie wyglądają tak samo? Inne mogą być twarze, ciała, głosy – ale to nieważne. Spojrzenia. Wszystkie mają takie samo spojrzenie.

La ulega nagle dziwnej iluzji, że na świecie żyje ledwie garstka ludzi. Dzieci: chłopiec i dziewczynka. Jedna kobieta i jeden mężczyzna. Jeden starzec i jedna staruszka. Czy oni wszyscy chodzą po świecie upiornie powieleni – wciąż wystawiani na te same próby, odpowiadający na te same pytania...? Wygrywający i przegrywający. Tylko co mogą wygrać, a co przegrać – myśli teraz La i sama czuje, że te rozważania nie są jej własnymi. Ileż to twarzy ludzkich widziała, ile kopii jednego człowieczeństwa.

Nagle poczuła niepojęty smutek.

– Czy ludzkość to jedna siła, która zмага się z odwieczną zagadką? Kto stoi naprzeciw niej i dlaczego zмага się z człowiekiem?

– Nikt, tylko czas. – Staruszka uśmiecha się. – Tylko on zatacza krąg i zaskakuje cię zawsze z drugiej strony. Jak woda rybę. Stare odwraca się i przechodzi w Nowe. Nowe przemija, stając się starym.

Stara kobieta dotyka ramion La – tym razem łagodnie i z dobroduszością.

– Ja jestem Sza – mówi. – Przede mną była stara matka, a po niej ja stałam się matką. Ty jesteś Mi, która urodziła samą siebie i którą urodziła ona sama. Ojcem twoim jest czas, a matką jesteś ty sama. Tak było zawsze, moje dziecko, i tak będzie do ostatniego oddechu świata. Bo wszyscy rodzimy samych siebie, a płodzi nas czas. Oto i sekret wszystkiego.

Rozdział 20

Opowieść trzech kobiet powoli zmierzała ku zakończeniu. Powiedziały tyle, ile mogły; tyle, ile wiedziały. Teraz sama musiałam zrozumieć ich demona – diabła, który przeklął je pokolenia temu.

Demona, który rozpoczął ich historię – jak mówiła Laura, i tego, który chciałby ją zakończyć – jak twierdziła Milena.

Szara nie powiedziała mi wprost – co dokładnie wydarzyło się rok temu, co sprawiło, że Laura pokłóciła się z Mileną do tego stopnia, że dziewczyna ostatecznie spakowała swoje rzeczy i przeprowadziła się do swojej babki. Nie powiedziała, czym różniła się od innych ta jedna kłótnia, która wybuchła wtedy pomiędzy nimi. A przecież musiała się czymś różnić, skoro Laura opuściła wzgórze i nie obejrzała się za siebie; nie odwiedziła go przez miniony rok ani razu...

Żadna z nich nie podzieliła się ze mną tym ostatnim wspomnieniem. Ale nie musiały. Ja już wszystko rozumiałam...

Sen 20

Zapadła się w siebie i zapragnęła śmierci

La bywała u starej Sza coraz częściej. Za każdym razem, gdy do Mi ktoś przychodził. Zawsze, gdy Mi odwróciła wzrok lub zapomniała powierzyć La kolejnego obowiązku.

La uciekała ze wzgórza i biegła tam, gdzie ją ciągnęło. Nie pojmowała – gdzie dawna tęsknota za lasem i samotnością. Gdzie chęć odosobnienia i tęsknota za dzikością. Teraz La nie pragnęła już tego-co-zewnątrz. Pragnęła tego-co-własne. Chciała znać opowieści o sobie samej. Pragnęła, by ktoś rozpoznawał w niej dziedzictwo dnia wczorajszego i mgnienie jutra.

Biegła do Sza, jak tylko mogła najczęściej, i wsłuchiwała się w jej historie. Dziesiątki razy słuchała o sobie samej sprzed własnych narodzin. O tej La, która zawsze istniała, i o tej, która nastanie za wiele lat.

– Dokąd ciągle łazisz? – spytała ją w końcu Mi.

Pytałaby już wcześniej, bo dawno zauważyła ścieżkę schodzącą ze wzgórza, którą La wydeptała w ciągu minionych tygodni. Mi nie pytała, bo była zbyt pewna. To oczywiste – La ucieka do żądy.

Jeśli nawet nie w ramiona jakiegoś chłopca, to z pewnością w objęcia oczekiwania na niego. Błąka się po polanach i pod wioskami – sądziła Mi. Przygląda się i pragnie. A może już zaspokaja

pragnienie...?

– Łażę, dokąd chcę – burczy La. – Nie twoja sprawa.

– Moja, póki u mnie mieszkasz.

Mi zastanawia się, czy przestrzec La przed żądzą. A może przed mężczyznami...?

– Nie każdy jest łagodny – mówi Mi.

– Kto? – dziwi się La.

– Nie udawaj, że nie wiesz. Po prostu bądź czujna. Nigdy nikomu nie ufaj.

– To rada na całe życie?! – La nagle się zrywa. – Nigdy nikomu nie ufać i jak skończyć? Jak ty?!

W jednym Sza się myliła – nie jestem do ciebie w ogóle podobna! Ty opuszczona, żaloszna wariatko!

Nie mam z tobą nic wspólnego! Nic!

Mi poczuła ból w skroniach.

– Coś ty powiedziała? – pyta Mi.

– Że nie mam z tobą nic wspólnego! Dobrze słyszałaś!

– Że kto się w jednym mylił?

– Sza! – warczy i pluje La. – Tak, zgadza się! Mam dosyć ukrywania tego! Nie jestem taka jak ty!

Za kogo ty mnie uważasz?! Nie wymykam się, żeby się dupczyć z mężczyznami jak ty! Oto i cały sekret – wymykam się do starej kobiety, żeby posłuchać jej historii. Bo ty mi nic nie mówisz, niczego mi nie opowiadasz! Tylko siedzisz w tej samotni i oddajesz się – to jednemu, to drugiemu! Nie jestem w niczym podobna do ciebie.

Mi podniosła rękę i opuszcza ją na twarz La. Nawet nie z wielką siłą. Raczej z bezwładem opadania.

Nie ma siły mówić, ale odezwie się.

– Jak mogłaś złamać jedyny zakaz, jaki ci dałam? Jak mogłaś?! Miałaś nie łączyć do ludzi! Nie obchodzi mnie, czy jesteś do mnie podobna, czy nie! W ogóle mnie nie obchodzisz i nigdy nie obchodziłaś, nie rozumiesz tego?! Nigdy nie chciałam na ciebie nawet spojrzeć, nie chciałam znać twojego imienia ani płci! Nigdy nie dotknęłam cię z własnej woli!

La zrywa się z miejsca. Teraz to ona podnosi rękę, ale nie potrafi opuszczyć jej na policzek Mi.

Trafia w garnki, w stół, w półki i obrazki. Rzuca naczyniami i wydziera się.

– Nie prosiłam się tu do ciebie! Ani do ciebie, ani na świat! Ty dziwko! Wstyd mi, że wyszłam z ciebie! Nienawidzę cię! Nienawidzę cię, wariatko! Kim ty jesteś, żeby mi mówić o życiu? Kim ty jesteś, żeby w ogóle żyć?! Siedzisz w tej graciarni na końcu świata – otoczona przez szmaty, zwierzęta i duchy! Jesteś nienormalna!

La miota się od kuchni do sypialni; wywleka małe rzeźby, figurki, naczynka, które wykonała Mi.

Wszystko niszczy, depcze, rozbija w skorupy.

– Myślisz, że nie wiem, co robisz całymi dniami?! – wrzeszczy La. – Gadasz sama do siebie!

Sama sobie zadajesz pytania i odpowiadasz na nie. Sama zasmucasz się i rozweselasz, ty wariatko!

Myślisz, że nie widziałam, jak co wieczór wyciągasz tę szmatę, ty obłąkana maniaczko?!

La podbiega do drewnianej skrzyni i wywleka z niej zakrwawioną i oplutą sokami pościel.

– Jesteś obrzydliwa! Tulisz twarz do brudnej, śmierdzącej szmaty i przemawiasz do niej jak do człowieka. Zawijasz w szmatę figurki i karmisz kamień własnym cycem! Jesteś nienormalna!

Myślisz, że o tym nie wiedziałam?!

Wtedy w Mi coś pękło. Zerwały się niebiosy i trzasnęły o ziemię. Mi wydała z siebie obłąkany skowyt, a potem... już niczego nie pamiętała.

Nie pamiętała ciosów, które zadała La, ani zdartych paznokci, którymi wydrapała z jej objęć zakrwawioną pościel. Nie pamiętała słów, które wypłuła, ani czy faktycznie były to słowa. Mi zapomniała, jak wygląda dzień i noc, czym różnią się pory roku. Wydarła La bijące serce, ciskając w nią obelgami, które zakazane są uszom śmiertelników.

Zapadła się w siebie i zapragnęła śmierci.

Rozdział 21

– Kiedy nas pani opuszcza? – usłyszałam jakby przez mgłę.

Bujanie. W lewo, w prawo. Lewo, prawo.

– Oj! Nie wiedziałam, że pani śpi!

Otworzyłam oczy. Zajęło mi chwilę, nim zorientowałam się, gdzie jestem i co się dzieje. Hamak.

Nade mną twarz Laury. Na brzuchu notatnik i pióro. Musiałam zasnąć w hamaku po rozmowie z Szarą. A może w trakcie? Bo przecież rozmawiałam dziś z Szarą, prawda...?

– Nie wiedziałam, że pani śpi, przepraszam – powtórzyła Laura, widząc, że otwieram oczy.

- Czasami nawet ja nie wiem, czy śpię. – Uśmiechnęłam się do niej. – Pytałaś mnie o coś, prawda?
- Tak... – odparła, spuszczaając głowę i bawiąc się sznurkami hamaka, mimowolnie wprawiając go w senny, wahadłowy ruch. – Pytałam, kiedy nas pani opuszcza.
- Jutro, Lauro. Nie tyle was opuszczam, ile po prostu wyjeżdżam.
- Już jutro? Strasznie szybko zleciało, prawda?
- Zgadza się. – Uśmiechnęłam się znowu.

Wyczułam w tej chwili milczenia, które zapadło pomiędzy nami, że Laura chciałaby mi coś powiedzieć, ale się waha.

- Sądzisz, że nie zdążę dokończyć waszej historii, zgadza się?
- A zdąży pani?

– Oczywiście, że tak – przecież się umówiliśmy. Naturalnie nie przedstawię ci jeszcze gotowego, dopiętego na ostatni guzik maszynopisu, bo na to potrzeba znacznie więcej czasu, ale... z pewnością będę mogła pokazać ci swoje notatki.

- Czyli to nie będzie jeszcze wyglądało tak, jak w książce? – spytała.

Zaśmiałam się cicho.

– Nie, kochanie. Pisanie książki trwa dużo dłużej niż dwa czy trzy tygodnie. Bo przecież nie chodzi tylko o to, by wypluć na papier to, co się ma w głowie. Pisanie wymaga nie tylko wyobraźni, ale też cierpliwości, staranności. Tworzenie opowieści przypomina gotowanie w magicznej kuchni.

Pewne rzeczy możesz po prostu ze sobą wymieszać i potrawa jest gotowa. Ale w innych przypadkach musisz dać składnikom dojrzeć, wyrosnąć, przegryźć się. Bez tego nie będą miały odpowiedniego smaku.

- A nie zapomni pani o tej... „magicznej kuchni”, gdy pani stąd wyjedzie?

Podniosłam się w hamaku i wskazałam jej miejsce obok siebie. Laura-dziecko usiadła po mojej lewej stronie; objęłam ją ramieniem.

– Nie bój się, kochanie. Wiem, że przywiązujesz do tej historii ogromną wagę. Rozumiem też, dlaczego tak jest. Niby chcesz odwrócić klątwę swojej rodziny, ale tak naprawdę nie jesteś pewna, czy to jest w ogóle możliwe, zgadza się?

- Nie wiem, od czego mam zacząć.

– Od odbudowania więzi.

– Ale ja tego chyba nie umiem.

Poprawiłam niesforny kosmyk, który opadł na jej buzię. Buzię małej dziewczynki.

– Więzi dość łatwo zerwać, a odbudować jest trudno, to prawda – zgodziłam się. – Ale pamiętaj, że tworzenie więzi przychodzi nam naturalnie. Bo my pragniemy być uwiązani. Wolność jest dla nas luksusową przekąską, a tak naprawdę przez większość czasu chcemy czuć, że coś nas przywiązuje – do człowieka, do miejsca, do idei.

– No to co – mam po prostu pójść do Mileny i powiedzieć: „Ej, pogódźmy się i bądźmy od dziś wzorowymi mamą i córką”?

– Lauro. – Uśmiechnęłam się. – Pamiętaj, że masz moc cofania czasu. Po prostu zacznij go przewijać wstecz – zacznij od tych wydarzeń, które przytrafiły się niedawno. Połataj to, co się porwało, a potem przewijaj dalej. W miarę jak będziesz się cofać ku coraz starszym wydarzeniom, będzie ci łatwiej, bo zaczniesz coraz więcej rozumieć, obiecuję.

– Widziałam pani notatki – powiedziała nagle. – Czytałam je.

Przyznam, że zwykle nie zgadzam się, by ktoś czytał moje notatki przed ukończeniem powieści.

Zazwyczaj nie pozwalam nawet tknąć maszynopisu, dopóki nie uznam, że akceptuję to, co napisałam w każdym rozdziale, w każdym wersie. Ale tym razem było inaczej. To nie była tylko moja powieść.

To była historia tych kobiet, ich życie – zapisane we śnie i dotknięte magiczną różdżką wyobraźni.

A poza tym – skoro pozwoliłam Milenie, dlaczego miałabym nie pozwolić Laurze? Przytaknęłam więc, czekając na pytanie. Bo wiedziałam, że jakieś pytanie musi paść.

– Kto to jest Sol? – spytała Laura-dziecko.

– Sol uosabia waszego diabła. Jest diabłem, który pojawił się w pierwszym okrążeniu, jakie kobiety z twojej rodziny wykonały wokół swojego przeznaczenia. Tak jak chciałaś – w pierwszym pokoleniu po legendarnym rzuceniu klątwy. Bo wiesz przecież, że diabeł jest zmienny – do każdej z was przychodził pod inną postacią, prawda? W mojej opowieści Sol symbolizuje tę siłę, która przez wiele lat próbowała przejąć nad Mileną kontrolę. To zniszczenie, przed którym ona próbowała cię uchronić. Sol miał władzę absolutną – żadna słabość nie umknęła jego uwadze, nikt nie mógł mu się sprzeciwić. A każdy, kto próbował uciekać – przepadł, przegrał. Wiesz, co było tą władzą

i destrukcyjną siłą dla Mileny, prawda? Wiesz, co było jej demonem?

Laura przytaknęła smutno.

– Wiem, widziałam ją „pod wpływem” tego demona.

Objęłam ją mocniej.

– Lauro, rozmawiałam z Sizwe. On jej pilnuje, odwiedza ją regularnie. Mówił mi, że to wszystko już przeszłość. Że w chwilach słabości Milena jest bliska poddania się, ale nie robi tego, walczy.

– Tak, wiem, wiem. To samo powtarzał i mnie. To samo mówiła też babcia. Że muszę ją zrozumieć, że ona chciała mnie chronić – przed samą sobą, przed swoimi demonami, przed tym, żebym nie stała się taka jak ona, by nie spotkało mnie to co ją. Ja to wszystko wiem. Ale może ja jednak wolałam, żeby przy mnie została...? Może razem byśmy się z tym uporały? Albo może... choć

to głupie – dla mnie po prostu by zrezygnowała ze swojego demona?

Uśmiechnęłam się smutno. Moja mama spędziła całe swoje dorosłe życie na pracy z osobami uzależnionymi. Z półprzytomnymi alkoholikami przyprowadzanymi pod drzwi przez swoje

kilkuletnie dzieci. Z narkomanami wynoszącymi z domu ostatni mebel, by kupić swoje chwilowe, ulotne szczęście. Z dwudziestokilkuletnimi kobietami wyniszczonymi przez życie, wyglądającymi jak staruszki. Z mężczyznami wiodącymi podwójne życie niewolnika nałogu. Historie, które mi opowiadała, mroziły krew w żyłach, ale wszystkie kręciły się wokół tego samego jądra ciemności –

wokół nałogu, który zawsze okazuje się silniejszy niż starania bliskich.

Moja mama zawsze powtarzała ze smutkiem, że nie ma czegoś takiego jak „wyciągnięcie kogoś z nałogu”. Rodzina, bliscy, przyjaciele – nieważne, jak bardzo kochają daną osobę, nie są w stanie jej pomóc, dopóki ona sama tego nie zrobi. Nikt nie jest w stanie wygrać z tym demonem, przechodząc przez piekło na cudzych plecach. Tę drogę trzeba rozpocząć samotnie, z samozaparciem, którego osoba bez nałogu nie jest w stanie sobie wyobrazić. Bliscy czy rodzina mają ogromne znaczenie, ale powinni być raczej jak światło w tunelu, do którego warto nade wszystko zmierzać. Winni być czymś, co stanowi jasną alternatywę dla obrzydliwego świata mroku, w którym pogrąża się osoba zagubiona we własnym piekle.

– Laurko... – szepnęłam. – Nie masz pojęcia, jak ona się musiała o ciebie bać.

– O Boże, nie mogę już tego słuchać! – Podniosła się nagle i otarła łzy wierzchem dłoni. –

Wszyscy mi ciągle mówili o jej strachu, o tym, jak to ONA się bała – o mnie, o siebie, o wszystkich.

A nikt nie pomyśli, że JA też czułam strach! Może nawet dużo większy. Tamtego dnia, gdy od niej uciekłam... Bałam się, bałam się jak cholera, ale wiedziałam też, że... Ma pani coś do pisania?

– Zawsze mam coś do pisania – powtórzyłam słowa, którymi wcześniej odpowiedziałam na to samo pytanie Szarej.

– Proszę to zapisać; chcę, żeby to się znalazło w tej historii...

Sen 21

Nie! Nigdy!

– Zrobiła to z lęku – szepnęła Sza, otulając La ciepłym oddechem.

– Siebie powinna się bać! – Z gorzkiej nienawiści zapłakała La.

– Siebie też się boi – odparła Sza.

Dziwne – pomyślała Sza. Czas zatacza nie tylko kręgi. Zdarza się, że wraca, skąd przyszedł, niekiedy robi podwójną pętlę. Kiedy Mi odeszła na wzgórze, Sza postarzała się o dwa pokolenia.

Czuła, że jej myśli nie dotyczą już spraw ludzkich, że zdolna jest już tylko atakować Mi, a nie jej bronić.

Jednak teraz – gdy zamieszkała u niej La, bystrość powróciła do starej Sza. Suchy umysł nawilżył się czułością i Sza znowu była zdolna mówić jak kiedyś i czuć jak dawniej. Żaloba po starej matce przeszła wraz z nadejściem La.

Sza odmłodziła i powróciła z ramion starości w objęcia macierzyństwa.

Wcześniej potrafiła tylko ganić Mi za jej haniebny czyn i za odwagę bycia tchórzem. Teraz – niemal ją rozumiała.

– Chciała cię chronić – szepnęła do La.

– Jak można chronić kogoś, pozbywając się go? Jak można strzec kogoś, wyrzekając się go? – warczała nieprzejednana La. – Nienawidzę jej.

– Napędzał ją lęk. O ciebie. O twoją wolność – mówiła Sza, a w słowach tych nie rozpoznawała własnych myśli. Dlaczego przez te wszystkie lata nie przyszło jej nawet do głowy, by zrozumieć to, co sama teraz mówiła?

– Dlaczego wszyscy czegoś się boją i przed czymś muszą mnie chronić?! – krzyczała La. Matka ojca chroni mnie przed zdiczeniem, ojciec przed swoją matką. Mi chroni mnie przed ludźmi – gdybym jeszcze wiedziała dlaczego. Nowe broni się przed starym, a stare obawia się Nowego.

– A czy ty się nie boisz? – pyta Sza, szepcząc jej wprost do ucha. – Czy nie boisz się żądy, przypadku, rozstań i powrotów? Czy to nie podobieństwo do Mi napawa cię największym strachem?

Czy nie boisz się, że jesteś nią?

La spojrzała gniewnie na Sza.

– Boję. Ale sama powiedziałaś, że Nowe broni się przed starym, a ja jestem właśnie Nowe.

– Tak. – Sza przycisnęła ją do piersi. – Ale pamiętaj, że każde Nowe zamieni się w stare.

Wszystko, co będzie, w końcu przeminie. Wszystko, co było, wreszcie powróci. Ty jesteś Mi. Staniesz się nią lub przeminiesz jako ona.

– Nie! Nigdy! – La się zrywa. – Nigdy do niej nie wrócę. Zostanę u ciebie, a jej nie chcę już nigdy widzieć.

Rozdział 22

Laura miarowo chlipała w moich objęciach. Hamak bujał nas swoim spokojnym powtarzalnym rytmem – na lewo, na prawo.

– Nigdy do niej nie wrócę. Zostanę u ciebie, a jej nie chcę już nigdy widzieć – wyszeptała raz jeszcze, tym razem już przez sen.

Potrafię rozpoznać ten ton, którego się używa, by powiedzieć coś całkiem odwrotnego, niż się naprawdę myśli.

Miarowe chlipanie Laury przeszło w spokojny oddech uspionego dziecka. Wyplątałam się delikatnie z jej objęć, ułożyłam ją wygodniej w hamaku i upewniłam się, że śpi. Wytarłam jej buzię z łez i przykryłam kocem.

Nie może się obudzić. Teraz wszyscy muszą pogrążyć się we śnie. Westchnęłam ciężko.

Wiedziałam, że przede mną najtrudniejsza robota, najbardziej zmusna i wyczerpująca. Poznałam historię tych kobiet, poznałam ich lęki. Czas wykorzystać tę wiedzę. Czas rozpocząć magię.

Przeszłam na palcach do domu Szarej. Zakradłam się do jej sypialni, nacisnęłam kłamkę, uchyliłam drzwi najciszej jak potrafiłam. Leżała na swoim łóżku – w ubraniu, w fartuchu, w chodakach na nogach. Spojrzałam na zegarek. Był czas wydawania obiadu, a ona spała – doskonale.

To znaczy, że czar działa.

Podeszłam na paluszkach do sypialni matki Szarej. Upewniłam się, że i ona śpi. Drzemała w fotelu bujanym; jej kolana okryte były pledem.

Doskonale. A zatem czar działał w całym domu. Królowna ukuła się wrzecionem – całe królestwo pogrążyło się we śnie.

Wyszłam ponownie na zewnątrz. Wiedziałam, że poza granicami królestwa jest ktoś, kogo nie dotknął mój czar. Spojrzałam w stronę wzgórza Mileny. Milena nie spała. Czekwała na swoje przeznaczenie. Lada moment miała dokonać najważniejszego odkrycia w swoim życiu. Ale zanim to nastąpi, będzie musiała zmierzyć się ze swoim demonem. Wiedziałam, że Milena stoi właśnie w swojej kuchni. Wygoniła z domu wszystkie psiaki, koty, kury; wszystko, co żyje, musiało zostawić ją w spokoju. Milena stała teraz pośrodku kuchni – przerażona, cała złana potem, z dłonią przyłożoną do skrzyni, w

której trzymała swojego diabła – tego, który przyszedł, by ją przekląć. Bo jak każda osoba, która jest naprawdę owładnięta jakimś demonem, nie potrafiła całkowicie się od niego

odizolować. Niby sobie obiecała, niby z nim wygrała, była coraz silniejsza. Ale jednak – wciąż na dnie skrzyni trzymała demona „na wszelki wypadek”, „na czarną godzinę”.

Stała tak, walcząc. Jej dłoń – wsparta o pokrywę skrzyni z demonem, drżała teraz jak u diabetyka na głodzie. Bo Milena była na głodzie, tyle że innym.

Zdawało jej się, że z wnętrza skrzyni dobiega łomotanie. Że jej demon jest teraz zły. Nie pozwoli sobie na to, by go odrzucono. Nie pozwoli na zmianę. Albo wygra, albo zniszczy wszystkich – Milenę i każdą osobę, którą kochała lub pokocha.

*

Westchnęłam ciężko. Już wtedy czułam się zmęczona, a wiedziałam, że dopiero teraz zaczyna się prawdziwa praca. Skupiłam myśli – musiały być czyste, klarowne. Teraz należało zrobić wszystko w odpowiedniej kolejności. Najpierw Laura, potem Szara. Na koniec najtrudniejsze – Milena i jej demon.

Przystawiłam sobie fotel do hamaka.

Wzięłam łyk wody, żeby przepłukać usta. Pochyliłam się nad uchem Laury, poprawiłam czarny kosmyk jej włosów i zaczęłam szeptać:

– Trzy zjawy plotą kokon zapomnienia...

Sen 22

Czy potrafi zapomnieć?

Trzy zjawy plotą kokon zapomnienia. Zbierają stare włóczki i pragnienia. Wracają w snach do tęsknoty La. Za matką i ramionami. Za zapachem ciała i za miękkością. Z tych wspomnień – ledwie błysków – ledwie mgnień bajają we śnie młodej dziewczyny. Przeplatają radość ze smutkiem – tłoczą rzeźbę z przebaczenia, do którego La jest skłonna, które potrafi z siebie wykrzesać.

Kokon zapomnienia jest już prawie gotowy, gdy La przebudza się bladym świtem. Zjawy zaciągają jej niepamięć krzywdy na oczy i zostawiają z tym, co La czuje, z tym, za czym tęskni i czego zawsze pragnęła.

Nieemożliwe – myśli La – żeby pamiętała jej dłonie. Nawet ich wtedy nie dotknęłam.

A jednak pamięta. I teraz – z kokonem zapomnienia na oczach La nie potrafi już dłużej złościć się na Mi. Za same te dłonie wszystko jej wybaczyła. Za samo wspomnienie tęsknoty uwalnia Mi z jej przewin.

Teraz sama wyciąga dłonie i naciąga kokon głębiej – czuje jego zapach. Przypomina pieczony

chleb i La odkrywa, jak miło jest czuć przebaczenie.

Budzi się na dobre i spostrzega nad swoim łóżkiem trzy stare kobiety – podobne do siebie jak dwie krople wody.

– Kim jesteście? – pyta.

– *Możesobą-możetobą* – odpowiada jedna z kobiet.

– Czego chcecie?

– *Możewszystkiego* – szepcze druga kobieta.

– *Możeniczego* – śpiewa trzecia.

– *Coodwinięte-możesięzawinąć. Acozawinięte-możnaodwinąć?*

– To pytanie? – dziwi się La.

– *Amożeodpowieź? Cozapomniane-możnaprzypomnieć. Acopamiętane?*

– Może pójść w niepamięć? – łapie rytm La.

– *Nowezasypia...?*

– I budzi się stare.

– *Starepowraca...?*

– Jako Nowe? Co to za gra...? Czego chcecie?

– *Aua* – mówi jedna ze zjaw i pokazuje palcem na podbrzusze La. Tam od środka coś pęka, wariuje, kotłuje się.

La czuje dziwny ból. Jej skóra napina się – zaraz trzaśnie. Nie, naciąga się, naciąga – zdaje się, że w nieskończoność. Wielkie brzuszysko rośnie tam, gdzie wcześniej było płasko. La sama zamienia się w wielki bebech. Wywala jej pępek i spycha wnętrzności. Co rośnie w środku? – boi się teraz La.

– Weźcie to! – krzyczy do trzech zjaw, lecz one tylko podają jej kosmyk włosów. La pociąga za niego i widzi, że brzuch się zmniejszył. Ciągnie dalej – znowu mniejszy. Zawija pukiel na palec i chce całkiem spłaszczyć brzuszysko. Lecz tym razem to nie ona ciągnie za kosmyk – to on pociąga ją za sobą i La wpada z krzykiem do własnego brzucha.

– *Czyowszystkim-dasięzapomnieć?* – słyszy z wnętrza swego własnego ciała. Jedna ze zjaw przykładła ciepłą dłoń do powierzchni brzucha i dotyka przez niego policzka La.

Nagle ze świata zza brzucha zaczyna dobiegać melodia. La la lala lala la...

Nucenie, mruczenie... Kołysanka. La rozpoznaje ją. Gdzie ją słyszała, skąd ją zna? *La-la-lala-lala-la*.

Sama zaczyna nucić i czuje, że teraz to ona śpiewa dla kogoś, jak wcześniej śpiewano dla niej.

– *Puśćpukiel* – szepczą wszystkie trzy zjawy.

La rozchyła palce. Włosy wymykają jej się z dłoni i w tej samej chwili znika świat brzucha, wchłania się bebech.

La leży w łóżku – ledwo przebudzona lub ledwo uśpiona. A nad nią stoi stara zjawka z widziadłem niemowlęcia w ramionach. Dzieciątko trzyma w rączce głos trzeciej zjawy.

– *Ktopoczujesercepodsercem-czypotrafizapomnieć?*

Sen 23

Czy ma swój początek i czy nadejdzie jej kres?

Sza słyszy melodię i budzi się ze snu. Wstaje z łóżka – szuka dźwięków.

Na łóżku obok leży La – odwrócona twarzą do ściany.

– La la lala lala la – nuci.

Sza uśmiecha się ze wspomnieniem błogości. Pamięta tę melodię:

– Mi mi mimi mimi mi...

– Znasz to? – dziwi się La.

– Czy ja to znam? – Sza się śmieje, ale nie odpowiada. Przygląda się teraz twarzy La i nie może się nadziwić – gdzie wielki brzuch? Wszystko inne wygląda dokładnie tak samo. Jak Mi w jej wieku.

Tylko brzucha brakuje.

Sza przypomina sobie dni światła i ciepła. Dni błogiego szczęścia – gdy we trzy mieszkały w tym domu, wciąż się kłóciły i godziły. Razem plotły głupoty i wymyślały obelgi. Piekły, gotowały, tłukły.

Malowały, pisały, śpiewały.

Widząc w spojrzeniu Sza dziwną tęsknotę, La pyta ponownie:

– Znasz tę melodię?

Ale Sza nie odpowiada. Zamiast tego mówi:

– Opowiem ci pewną historię. O mieście dźwięków.

Nikt nie wiedział, czy dźwięki pojawiły się w świecie nagle – wszystkie naraz, czy rodziły się stopniowo – z maleńkich zarodków ciszy. Spierano się też o to, czy powstały same, czy stworzył je genialny muzyk.

W chaosie świata każdy dźwięk powstaje sam – mówili jedni. I sam się wzmacnia lub osłabia.

Sam dopełnia inne brzmienia lub je wycisza.

Tylko myśl muzyka może tworzyć melodię – powtarzali inni. Bez myśli powstanie hałas i bełkot.

Jednym dźwiękom udawało się przebić, bo były głośne i donośnie trąbiły o tym, w co wierzyły.

Inne nigdy nie doszły do głosu, bo ukryte na końcu melodii – czekały wiecznie na swoją kolej, aż je zagłuszono.

Muzyka powinna być pięknem i dobrem – uważały jedne dźwięki. Nieść przesłanie, które wzrusza i które chce się powtarzać.

Muzyka to moc – dudniły inne brzmienia. Moc podrywania do boju i do walki!

Muzyka jest dla wszystkich. Muzyka tylko dla wybranych. Niskie tony – wyciszyć. Nie, wysokie tony – stłumić. Dawać prawo do muzyki po równo dla każdego dźwięku. Nie – najważniejsze brzmienia muszą trwać najdłużej. Melodia wyprzedza to, co nastąpi. Nie – opisuje to, co minęło.

Dźwięki spierały się o wszystko, mimo że każdy z nich słyszał inny fragment melodii. Trwało to całymi latami. Początkowe brzmienia przechodziły w końcowe. Jedne dźwięki dopełniały poprzednie.

Inne zagłuszały to, co powstało dotychczas.

– Do czego zmierzasz, Sza? – spytała w końcu La.

Sza uśmiechnęła się bardziej do siebie niż do niej.

– Czy dźwięki, spierając się, nie tworzyły melodii? Czy dźwięk, który przestaje trwać, przemija na zawsze? Czy dźwięki podobne są tymi samymi w innych melodiach? Czy jedno brzmienie może zapomnieć o innych? Czy muzyka ma swój początek i czy nadejdzie jej kres?

Sen 24

Zniszczyć każdą jego postać

Coś nadchodziło. Sol słyszał stąpanie i czuł napięcie. Coś przybywało. Coś postawi go w stan gotowości.

Wieczorami siadał w pełnym ubraniu przy oknie i z obojętnością spoglądał, jak jego kobiety kładą spać jego dzieci. Bywał to u tej, to u tamtej – przestał je rozróżniać i zapomniał imion swoich dzieci.

Prawie nie sypiał. Prawie nie jadł. Nie pragnął niczego i nie szukał wygody. Nie odpoczywał.

Czekał.

Bo coś nadchodzi i Sol doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Przyjdzie zweryfikować jego moc i wiarę. W siebie, w innych, w życie w ogóle.

Skoro miało przyjść, Sol oczekiwał. Szykował się i tkwił w napiętym oczekiwaniu. Mijała kolejna pora roku urywanego, płytkiego oddechu Sola, jego rozszerzonych źrenic i spoconych skroni.

Za oknem czaił się mrok, a za plecami Sola spały dzieci. W tych dwóch światach Sol zaczął się czuć coraz mniej wygodnie. Odkrył ostatnio, że istnieją sprzeczne moce, którym ulega każdy człowiek. Ciemność, która jest wolnością, lękiem i gotowością. Jest zdobywaniem i pewnością swego.

Jest młodością i porywcznością. W mroku tych sił Sol żył przez wiele lat. Mrok ten osłaniał go przed ciosami i przed oceną – własną oraz innych. W mroku można się zaczać jak drapieżnik i obserwować.

Chwila napięcia – skok i atak. A potem wraca się do mroku. I w ten sposób idzie się przez życie, zdobywa się. Jest się panem.

Istnieje także drugi świat, który Sol zaczął stopniowo odkrywać przed laty. To świat blasku i ukojenia. To rozleniwienie, komfort, bezpieczeństwo. Rodzina, w której nie siła się liczy, ale zaufanie. To miękka jasność, która pozwala się wygrzewać bez obawy o jutro. Jak w słońcu, tak w tym blasku – leży się i nie dba o nic.

Sol odkrył, że z ciemności w jasność się dojrzewa. Z mroku zdobywania dorasta się w blask posiadania i spokoju.

Przez ostatnie lata Sol ogrzewał się tym światłem. Nabral rumieńców dostatku. Nabral miękkości spokoju. Jego myśli przepływały powolnym rytmem przez głowę i spokojną wstęgą oplatały wiele spraw, których Sol wcześniej nie dostrzegał lub które go nie obchodziły. Stawał się miękki i łagodny.

Nauczył się cierpliwości.

W tym świecie jasności wychowywał swoje dzieci i dawał się oswajać kobietom. W tym blasku było mu wygodnie – umościł się w nim miękko i zapadał się coraz głębiej i głębiej.

Dopiero ostatnio.

Stopniowo.

Sola zaczęło coś uwierać.

Światło go parzyło, a blask oślepił. Siadywał z dala od snopa jasności i coraz częściej rozmyślał.

Przypominał sobie samego siebie z wieków ciemnych. Wszystko w nim od tamtego czasu pojaśniało.

Jego skóra – kiedyś osmagana wiatrem i kurzem – ciemnorumiana, brunatna sińcami, ocieniona władzą. Dziś – zmiękczone oswojeniem i ogrzana domowym ogniskiem. Jego zarost – kiedyś sprawiał, że twarz wydawała się niemal czarna, a dziś? Szpakowaty mech na starym konarze. Nawet oczy – kiedyś granatowe jak burza, dziś – jakby rozwodnione – nabrały błękitu i łagodności.

Kim jestem, by tak żałośnie się zmieniać? – myślał Sol. – Kim byłem, że nie przetrwał dawny ja?

Co zdobywałem i po co, skoro to utraciłem...? Kim się stanę, jeśli pozostanę w ciepłym blasku? Czy roztopię się w nim i spłynę miękkim strumieniem w szczeliny ziemi, wypełnię je, użyżnię i bez krzyku odejdę w zapomnienie? Ciszy i spokoju nikt nie zapamięta, nikt nie będzie jej wspominał.

A czy jest jakiś sens w odejściu ze świata niezapamiętanym?

Jedno tylko miejsce na ziemi pozostało dla Sola równie mroczne jak za dawnych lat. Jeden tylko dom i jedno wzgórze napełniało go tą czernią, która kiedyś wylewała się ze wszystkich otworów ciała Sola.

Jedno jedyne ciało budziło w nim jeszcze mroczną żądzę i dawną potęgę lub choćby jej cień.

Mi.

Tylko dom Mi pozostał w mroku. Tylko jej ciało – zdobywane po tysiackroć i nigdy nie zdobyte.

Tylko ona i jej brak kompromisu. Tylko jej obłąd i wieczny brak przywiązania do Sola.

Toteż w ten mrok domu na wzgórzu Sol zanurzał się ostatnio coraz częściej. Porzucał swoje

kobiety, ich ciepłe łona, porzucał obietnice, które im składał, i umowy, które zawierali. Zostawiał

dzieci, które pełzały rumiane lub uwieszały się jego nóg i ramion. Szedł do Mi, czując, że to ostatnie miejsce na świecie, w którym można odnaleźć resztki dawnego Sola. Poukrywane gdzieś w kątach i pomiędzy meblami – były kalekie i słabe, ale kiedy Sol odwiedzał Mi i kiedy siadał przed nią, za nią, w niej i na niej – drobiny dawnego Sola przypominały sobie o nim i wypełzały z kątów. Szczątki mroku odnajdywały się – niespiesznie, bez przekonania, ale z upartym magnetyzmem. Ciągnęły za sobą pajęczyny i długie koty kurzu; utraciły dawny blask. Ale były. I to się liczyło.

Sol przychodził tam nie po pokrzepienie, ale po kłótnię i walkę. Zmagał się z Mi za każdym razem i wciąż pragnął więcej.

Wiedział, że u Mi bywają też inni. Tym lepiej. Wiedział, że ostatnio nawet ktoś u niej mieszka.

Tym ciekawiej. Mi nie kryła się z tą drugą osobą, choć nigdy nie pokazała jej Solowi. Kiedy przychodził, wyganiała – zapewne tego drugiego mężczyznę – tylnymi drzwiami i kazała mu odejść

na długo. Wtedy zostawali sami i Sol rozrywał Mi na kawałki, samego siebie zaś składał w całość.

Ostatnio te wizyty zaczęły mieć dla niego jeszcze większe znaczenie. Bał się. Tak, to prawda – Sol był przerażony. Czuł, że nadchodzi coś, co poderwie go do działania. Pragnął tego, oczekiwał, ale czuł

niepokój. A co, jeśli nie da rady? Co jeśli przyjdzie Nowe i będzie musiał się z nim zmagać? Co jeśli mrok Nowego przesłoni to leniwe światło, którym Sol przesiał przez ostatnie lata?

W takich chwilach najbardziej potrzebuje wizyt u Mi. Musi iść do niej i zniszczyć ją, zmusić do poddania. A jeśli się nie uda – nie szkodzi – wtedy czerpać siłę z samego zmagania. Ach, gdyby tylko potrafił odnaleźć więcej cząstek samego siebie. Nie tylko te zakurzone resztki, które poniewierają się po kątach domu Mi. Coś żywego, coś mocnego, prawdziwego jak nachodzący Sola lęk.

Gdyby tylko Nowe żyło... Gdyby mógł odzyskać Nowe urodzone przez Mi. Gdyby ten silny, mroczny chłopiec, którego mogła urodzić, powstał z podziemi, w których go zakopano w maleńkiej trumience... Gdyby stanął u boku swego ojca – u boku Sola. Wszystko mogłoby się potoczyć inaczej.

Sol przestałby się bać Nowego, bo silny chłopiec stanąłby z nim ramię w ramię.

Inne dzieci Sola to miękkość, łagodność, to blask ich matek. Inne dzieci wychowane w pokoju i wygodzie. Kluchy pozawijane w miękkie szmaty. One przyjęłyby wszystko, co im się narzuca –

Nowe, stare, obecne. Nieważne. Córki bez wigoru. Synowie pozbawieni namiętności.

Tego wieczoru Sol odczuwał napięcie silniej niż kiedykolwiek przedtem. Słyszał dudnienie ziemi i zdradziecki świst powietrza.

Rozejrzał się wojowniczo po sypialni swoich dzieci. To dudniły ich pełne brzuchy, to świszczały ich spokojne oddechy. Sol miał ochotę wrzucić je wszystkie do lodowatej wody i zobaczyć, czy zaczną się ruszać żwawiej.

Pokrzyczał na swoją kobietę; nie zbił jej, choć miał wielką ochotę, bo była tak miękka, że aż prosiło się ją szturchnąć. Powarczał tu i tam. Trzasnął drzwiami. Wyszedł.

I pognał na wzgórze.

Nawet teraz – nawet nocą czuł, że oślepia go jasność. Księżyc raził swoim blaskiem i rzucał

Solowi wyzwanie oraz kpinę. Do mnie należysz, mężczyzno. Mną jesteś i jak ja odbijasz światło, które nawet nie jest twoją własnością. Pada na ciebie miękkość i ciepło, a ty przekazujesz je dalej.

Nieuważny, rozleniwiony, miękki. Przepadniesz wraz z Nowym. Jego nadejście to twój kres. Nie liczysz się i z tobą nikt się nie liczy.

Sol poczuł, że robi mu się słabo. Złośliwy księżyc szczypał go światłem po twarzy i ciążył na plecach. Jak noc może być tak jasna?

W oczach leśnych zwierząt odbija się blade światło gwiazd, w strumykach jarzy się jasność, która pada na Sola. Oświeśla go i ośmiesza. Oto ten, który przeminie. Oto przeszłość i dawna moc, która pozostanie tylko kpina.

Sol podnosi zmrużone oczy i dostrzega ukojenie na widnokręgu. Wzgórze, wzgórze – cień pokrywa je w całości i chroni przed światłem. Sol pada na kolana i pełźnie ku wzgórzom na czworakach.

Dopiero po chwili dociera do niego skowyt. Ranny anioł albo diabeł – myśli Sol. Skowyt przechodzi w wycie. Coś ryczy i skamle w spazmach.

Sol chowa się w cień. Lecz w cieniu jęk staje się jeszcze głośniejszy.

Uciec – schronić się w domu na wzgórzach. Goni go, goni go Nowe.

Sol biegnie na złamanie karku – zdiera kolana na kamieniach, rani dłonie, na których się wspiera.

Zdziczały, zaszczuty, przemieniony w zwierzę dobiega pod dom na wzgórzach. I odkrywa, że to właśnie z niego dobiega wycie.

W oczach psa, który warczy na jego powitanie, Sol dostrzega samego siebie. Dostrzega samego siebie. Dostrzega siebie. Na kolanach. Skulonego i zaszczutego. Nawet pies traktuje go jak drugiego kundla.

Sol podnosi na ramionach ciężki skowyt, który wbił go wcześniej w ziemię. Nie puka. Wchodzi.

Widzi pył i proch. Wszystko zniszczone, porzucane, spopielone. Pośrodku chaosu siedzi skulona Mi. Wyje i ryczy. Dławi się i kołysze: do przodu, do tyłu.

Sol rozgląda się za napastnikiem, ale jedyny wróg wypływa z ust Mi; z jej oczu leci struga mroku, która zalewa ziemię. Głowa Mi połyka świat i wypływa jego popsute resztki.

Sol podchodzi bliżej. Co takiego ścisną Mi w swoich szponkach? Czego chwytają się twoje paluszki, Mi...? Przygląda się zawiniątku i odczuwa obrzydzenie.

Mi trzyma w dłoniach jakąś zakrwawioną, śmierdzącą organicznie szmatę i ssie ją

z mechanicznym zaangażowaniem. Jak zwierzątko sierota sztuczną matkę.

Nagle Solowi zdaje się, że szmata ciągnie się w nieskończoność – wiję się wokół jego nóg, obezwładnia jego ciało i wstrzymuje ruchy. Sol próbuje się wyrwać, ale szmata jest wszędzie – zagarnia wszystko, co kiedykolwiek do niego należało.

Nowe. To Nowe.

Nagle Sol zaczyna pojmywać. Nowe trzeba zabić. Trzeba zniszczyć wspomnienie o nim i plany jego powstania. Tylko zabijając Nowe, Sol ma szansę zachować to, o co walczył. Siebie. Siebie dawnego.

Nowe jest złe. Sol zniszczy każde jego westchnienie – wszystko, czego nie zna i co wyda mu się obce.

Tak, oto plan. Nawet jego gnuśne dzieci nie muszą przyjmować Nowego. Świat nie potrzebuje przemian. Może tkwić w wiecznym schyłku lata i zaraniu jesieni.

Oto cel starego. Bronić się przed Nowym. Zniszczyć każdą jego postać.

Sen 25

Trumienka jest pusta

Mi nie oszalała – po prostu ściany jej świata zbliżyły się do siebie na niebezpieczną odległość wyciągniętej ręki. Z każdym oddechem przysuwały się do niej, grożąc zmiążdżeniem, z każdą łzą oddalały się kawałetek – tak by znowu mogła zaczerpnąć tchu. W czarnej skrzyni rozpaczy była tylko Mi i jej brudna pościel sprzed lat.

Mi kołysze się w przód i w tył – nie dlatego, że straciła dziecko. Nie po to teraz wariuje, by opłakiwać własne czyny. Mi traci zmysły, bo zrozumiała. Nie ma dwóch osób – nie ma jednego małego dzieciątka, którego się wyrzekła, i drugiego Obcego Młodego, które u niej mieszkało. Wierz lub nie, Mi, ale właśnie odkryłaś, że pomiędzy dniem twojego porodu a dniem dzisiejszym też istniał czas, który – choćbyś tego nie chciała – płynął przed siebie i nie oglądał się na nikogo.

– Ono i La to jedno – szepcze Mi, ściskając pościel. – Ono i La to jedno.

– *Onoityojedno* – słyszy Mi. – *Jednototyiono*.

Wszystko to jedno – odkrywa nagle Mi i czuje się jak ktoś, kto zrozumiał, że Bóg, którego wypatrywał przez całe życie wśród piorunów i burzowych chmur, mieszka tak naprawdę u niego pod łóżkiem, a na spacerach chodzi pod postacią jednego z miejscowych psiaków.

Odkrycie to jest dla Mi tyleż straszne, co radosne. Przecież to znaczy, że Nowe żyje. Że nie umarło tamtego dnia, że nie złożono go w ziemi w małej trumience. Nowe nie zaginęło w jednym z setek miejsc przeszukiwanych kiedyś przez Mi. Nowe żyje. Przecież Mi nie musi już wcale zawijać w szmatki kamiennej figurki, nie musi po stokroć każdego ranka wyobrażać sobie, jak ją przewija, a jak pieści. Nie musi wieczorami zachodzić w głowę – czy jest bezpieczne, czy jest kochane, czy żyje szczęśliwie.

Przecież Nowe to La i choć nie da się jej już zawinąć w pieluszki, przewijać i pieścić, wciąż można sprawić, by była bezpieczna, by była kochana, by żyła szczęśliwie.

– Co ty mamrociesz?! – słyszy w końcu Mi.

– Nowe wciąż żyje! Nowe nigdy nie zasnęło w zimnej ziemi i nigdy nie umarło osamotnione i porzucone! – krzyczy Mi i spostrzega, że nad jej twarzą zawisa Sol. Nie, to nie Sol, ale jego mroczny

cień. Cień tego, kim kiedyś był, i tego, kim mógłby się stać, gdyby potrafił żyć inaczej.

Sol chwyta Mi za ramiona i potrząsa nią z całych sił.

– Co ty mówisz?! O czym ty mówisz?! Skąd o tym wiesz?! Co ty wiesz?!

Mi czuje ból, ale on tylko sprawia jej przyjemność – budzi ją z wieloletniego snu i przywraca jej świadomość. Wybuchają upiornym śmiechem starej wiedźmy.

– Aha ha, ha! Tak, tak, ty naiwny! Tak, ty obłąkany! Nowe żyje! Żyje, słyszysz?! Żyje!!!

Sol odrzuca ją na ziemię jak jadowitą żmiję.

Szuka czegoś ciężkiego, czegoś ostrego, co dobrze się wbije. Miota się po całym domu, przewraca meble i nie znajduje. Wybiega tylnym wyjściem i szuka dalej. W końcu chwyta – twarde, ciężkie –

nada się. Pędzi przed siebie i w dwa susy jest przy małym grobie; rozwała go jednym ciosem, wbija się w ziemię – rani ją i rozrywa. Warczy, pluje, ryczy. Uderza ciężkim narzędziem tak, że dłonie mu krwawią. W końcu słyszy – puk. Głuche stuk. Łup.

Odrzuca narzędzie i kopie gołymi dłońmi. Wywleka małą trumienkę – wypada mu z rąk – tak

bardzo boi się tego, że niczego w niej nie ma. Chwyta ponownie. Otwiera.

Z brudnej ziemi – czystość. Z ciężkiej gleby – lekkość. Z pełnej trumny – pustość.

Trumienka jest pusta.

Sen 26

Kto raz uwierzył w jedną jedyną rzecz

Mi czuje, jak wyrastają jej skrzydła. Ostre dutki wbijają się w skórę pleców, przebijają ciało i kielkują sztywną stosiną. Mi staje na krawędzi swojego wzgórze i rzuca się z niego, by polecieć w dół na tych nowych skrzydłach.

Pędzi przed siebie i patrzy na wszystko z góry. Pod nią domy jak kopczyki gryzoni. Pod nią lasy jak miękkie runo. Pod nią jedno jedyne miejsce, do którego chce dotrzeć.

Jedna jedyna osoba, którą chce ochronić.

La.

Nie poznaje ludzi, ledwie pamięta dom Sza. Przyleciała tu na skrzydłach nowego odkrycia. La jest jej. Jest z niej. Jest nią.

Chce ochronić córkę przed tym, co nadejdzie. Przed gniewem, rozpaczą i obłędem Sola. Mi wie już,

że Sol nigdy nie odzyska zmysłów. Kto raz uwierzył w jedną jedyną rzecz i ją stracił, ten nigdy nie przebaczy.

Sen 27

Do-Re-Mi-Sza-Sol-La-Si-Do

Oto idzie Sol. Miesza mu się – czy już wszystko zniszczył, czy dopiero ma to uczynić. Oczyma wyobraźni widzi płomienie. Słyszy krzyki. Czuje odór skwierczących ciał.

Nie, jeszcze tego nie dokonał. Właśnie ma to zrobić.

Kroczy przed siebie pewnie i wytrwale. Jak zima, która i tak wie, że nadejdzie – prędzej czy później.

Sol czuje, że jest wybrańcem. Powołano go do życia, żeby mógł bronić Nowego, a potem – by mógł je zniszczyć. Wcześniej tego nie pojmował. Dopiero teraz, gdy odkrył ostatni element układanki.

To on jest bogiem. On sam. On ma prawo przynoszenia Nowego i unicestwiania go. On tworzy zasady, a potem wodzi na pokuszenie. On decyduje, kto i co ma prawo przeżyć, a co musi umrzeć. Taka jest sprawiedliwość Sola. I taka jest sprawiedliwość boga, którym się stał.

Sol czuje, że musi się spieszyć. W kościach, w skórze, we włosach – od dawna czuje, że nadchodzi nowe Nowe. Od dawna odgaduje, że w tym Nowym nie będzie dla Sola miejsca. Nowe zechce, żeby

Sol przeminął, jak wszystko, co stare. A on nie potrafi.

Musi zniszczyć wszystko, co istnieje. Zburzyć to, co powstało. Sam powoła do życia Nowe.

Zaskoczy cykl świata i odwróci jego bieg. Zabije płód, nim pocznie się dziecko.

Oto Nowe. Powstaje po to tylko, żeby zginąć. Oto prawo Sola:

Wzniosły Sol, pan nieba i ziemi, wyznacza losy świata i czyni się największym, w czterech stronach panującym; we wnętrzu jego władanie wieczne, którego podstawy jak końca i początku ugruntowane.

Sol chwyta pochodnię, podpala ją i niszczy znak Nowego, który sam wcześniej przyniósł na te ziemie.

Oto prawo Sola:

Początek i koniec mnie ustanowiły, abym był wielbiony,

abym znać sprawiedliwość,

abym zło wytracał,

abym niszczył silnych,

abym podporządkował słabych,

abym opromieniał.

Oto prawo Sola:

Pomyślność to ja,

imieniem moim wszystko nazwane,

jam jest wybranek,

jam jest obfitość,

ja, który daje nazwy,

i ja, który spełnia wszystko.

Oto Nowe:

Jam jest strażnik,

ja gorliwy,

ja oczyszczam,

ja przywracam,

ja przemieniam w popiół.

Sol chodzi od domu do domu i pali, zabija, niszczy. Szuka Nowego, które zgładzi, by mu nie zagrażało.

Oto prawo Sola:

Jam nowe obrzędy,

jam wicher czterech stron,

ja w gotowości,

ja – nasienie świata.

Oto Nowe:

Ja cieszę serca,

ja – stwórcy; ja – niszczyciel,

dla mnie – pobożność, dla mnie pokora;

ja – jedyna rozwaga,

dla mnie – posłuszeństwo,

ja – fundament,

ja – siedziba wszystkiego.

Płoną domy, giną ludzie. Sol sam wchodzi w płomienie, nie okazując lęku, nie czując go. Wybija tych, którzy mogliby ocaleć mimo płomieni.

Oto Nowe:

Ja – jedyna litość, której nie ma,

ja – dawca życia,

ja – jedyny wierzchołek,

ja – jedyne bogactwo.

Oto prawo Sola:

Ja zgromadzę rozproszonych,

ja wypełnię świątynie,

ja – otoczony blaskiem;

oto sieć na wrogów,

oto pomnożenie,

oto ulubieniec świata.

Sol niszczy wszystkich i wszystko – nie ogląda się na wiek, płeć i rodzaj. Nie patrzy na to, co ginie

– postępuje naprzód i obłąkanym rytmem powtarza:

oto rozjuszenie,

ten, kto przebija wrogów,

oto jedyna radość,

jedyny, który zna mądrość,

oto rozszerzenie świata,
jedyna waleczność;
oto jedyny godny,
oto udoskonalony,
oto utrwalony,
oto czysty.

Ten, który ustanawia,
który dzierży wszystko,
który chwyta,
który daje polecenia,
jedyny, który przyjmuje,
jedyny, który cieszy.

Sol staje przed ostatnim domem. Doskonale wie. Jest nowym bogiem, więc czuje. Wie, kto jest w środku i kogo zniszczy.

Przez szpary w drzwiach słyszy oddech Nowego.

Do mnie modlitwy;
ja ukojenie,
ja – co niezbędne,
ja – bez przeciwnika,
ja – upojenie,
ja – źródło,
ja – ochrona,
ja – mocno osadzony,
dobrobyt i wielkość;
czysta ofiara.

Pierwszy między pierwszymi,

ja – siedlisko,

stworzyciel siebie,

ukojenie potrzeb,

ja – pokój i wojna,

słońce i księżyc,

ja – z wewnątrz i do zewnątrz,

objawienie prawdy,

wieczny powrót,

wyciszenie,

ja – rytuał,

ja – potęga,

ja – wzejście;

oto wasze posłuszeństwo!

Sol otwiera drzwi kopnięciem i płomieniem. Wchodzi w ogień, który niesie za sobą.

Siedzą przed nim: Mi, Sza i La.

Ogarnięte mrokiem, więc Sol nie dostrzega ich twarzy. Nagle zaczyna odczuwać spokój – jest już u celu. Zniszczy Nowe i ustanowi wszystko od początku. Bezpieczny w pustce, w którą obróci świat –

będzie mógł budować na nowo bez obawy o to, że przeminie.

Chce podłożyć ogień, ale nie może się powstrzymać. Pragnie ujrzeć twarz Nowego, zanim je zniszczy. Tyle lat go pragnął, tyle lat za nim płakał. Za wszelką cenę chciał je mieć, marzył o nim dniami i nocami. Nie może się powstrzymać.

Zbliża się do trzech postaci. Za jego plecami płomienie trawią dom i świat. Lecz Sol nie czuje ich gorąca – owładnięty szaleństwem przestał czuć cokolwiek poza własną wielkością i strachem o nią.

Mimo płomieni twarze trzech postaci pozostają nieoświetlone i Sol nie potrafi dostrzec ich rysów.

Wyciąga przed siebie dłoń z pochodnią.

Oto Sza – siedzi na wprost niego i przygląda się ze skromną ciekawością. Jej twarz nie zdradza strachu, jej oczy są skupione.

Sol wyciąga rękę dalej. Oto Mi. Mi-stateczna, Mi-spokojna. Mi-bezwzględna. Nie patrzy w płomień, a jedynie w oczy Sola. Jakby nie słyszała jego pieśni – jakby nie wiedziała, że to on jest teraz Nowym i wszystkim.

Sol podchodzi jeszcze bliżej. Plecy płoną mu od gorąca, lecz on nie potrafi się opanować. Oświetla trzecią twarz i z wrażenia wypuszcza pochodnię z ręki. Nowe jest kobietą. To nie chłopiec – twardy i mocny, który chciałby dawnej potęgi Sola. To nie wojownik i zdobywca. To dzika dziewczyna, która gardzi zdobyczami.

Sol czuje, że wszystko trzeba wstrzymać. Jeśli nie da się cofnąć, to choć zatrzymać czas! Sol potrzebuje go, by wszystko przemyśleć! Gdzie jego zmysły? Co uczynił, do czego dążył?

Nowe to krucha dziewczyna, która nie pragnie władzy. Nowe po prostu jest.

Sol pada na kolana. Nagle zaczyna czuć parzące płomień. Pali się jego ubranie, skwierczy jego ciało. Sol spogląda przed siebie i dusi się dymem.

Podnosi wzrok na trzy postacie.

Zdąży jeszcze zdziwić się, widząc, jak rosną i siwieją im długie włosy. Zaczynają więc się od kolan do łydek, kładą się po podłodze i mimo płomieni nie palą się.

Sol widzi jeszcze, jak twarze trzech kobiet zapadają się i pokrywają głębokimi zmarszczkami.

Zdąży jeszcze dostrzec, jak upodobniają się – jedna do drugiej, jak przechodzą jedna w drugą, tak że Sol traci orientację – która była pierwszą, a która ostatnią.

Sol pada na twarz i nie widzi już niczego. Jedynie słyszy. Rozpoznaje głos Sza, słyszy szept Mi; dociera do niego ciche nucenie:

Do-Re-Mi-Sza-Sol-La-Si-Do.

Do-Si-La-Sol-Sza-Mi-Re-Do.

Puśćpukiel.

Epilog

Wiadomość o nocnym pożarze wstrząsnęła całą wsią. Mówiono, że sądząc po rozmiarach zniszczeń, płomień musiały niemal sięgać nieba. Mimo to żadnego z mieszkańców wsi pożar nie obudził

w nocy. Nikt nie pamiętał żadnego hałasu czy krzyków; smrodu spalenizny, skwierczenia czy odgłosu pękających szyb. Wszyscy spali jak zakłęci. Dopiero rankiem odkryli, że z domu Soliwody nie

została ani jedna cegła. Spalił się na popiół – od dachu aż po piwnice. Spłonął też jego ogród, spopielił się amorek w fontannie, meble ogrodowe obróciły się w pył.

Sąsiednie domy pozostały nietknięte. Strażacy nie ustalili przyczyny pożaru. Obawiano się najgorszego – że Soliwoda zasnął z papierosem w ustach i spłonął razem ze swoim dobytkiem. Ale po południu na światło dzienne wydobyło list, który Soliwoda zostawił swojej żonie. Pisał w nim, że odchodzi na zawsze. Znika, rozpływa się jak diabeł w święconej wodzie. Zostawia żonie wszystko, co miał. Dom, dzieci, pieniądze na koncie. Tam, dokąd odchodzi, nie będzie mu to potrzebne.

O pożarze dowiedziałam się od Sizwe. Byłam już spakowana i gotowa do wyjazdu. Zeszłam na dół, by zjeść z Szarą śniadanie. W progu zastałam podekscytowanego Sizwe, który relacjonował to, czego się właśnie dowiedział.

Szara słuchała uważnie, ale nie wypowiedziała ani jednego słowa. Co jakiś czas spoglądała na Laurę, która również milczała jak grób.

Sizwe krążył od domu Szarej do centrum wsi i przynosił nam coraz to świeższe wieści.

Gdy opowiedział o liście napisanym przez Soliwodę do żony, Szara odezwała się po raz pierwszy.

– A zatem naprawdę odszedł.

Więcej słów na ten temat nie padło.

*

Miałam wyjechać z samego rana, by uniknąć upału. Ale mój wyjazd przeciągał się w nieskończoność.

Najpierw zatrzymały mnie wieści o pożarze, potem o liście od Soliwody; pod koniec dnia nie miałam już żadnej wymówki – przyszedł czas pożegnania.

Płakałyśmy wszystkie razem – ja, Szara i Laura. Nawet matka Szarej uroniła łzę. Czułam, że nie jestem gotowa, by odejść, że to nadeszło zbyt nagle. Ale jednocześnie wiedziałam, że muszę już opuścić tę historię. Ona powinna toczyć się dalej beze mnie.

Trudno było mi uwierzyć, że minął niemal miesiąc, odkąd zjawiłam się w domu Szarej. Szczerze mówiąc, miałam wrażenie, że większość dni gdzieś mi umknęła.

– To niesamowite. Nie mam pojęcia, gdzie się podziało tych dwadzieścia kilka dni – zwierzyłam się Szarej. – Pamiętam ledwie kilka poranków, garść popołudni, parę wieczorów.

Szara uśmiechnęła się tajemniczo.

– A ile snów pamiętasz?

Spojrzałam na nią pytająco. Otworzyłam usta, by coś powiedzieć, ale w tym momencie wszystkie trzy poczułyśmy coś dziwnego... To wrażenie, jakby w pomieszczeniu był ktoś jeszcze, jakby ktoś nas obserwował. Spojrzałyśmy po sobie. Do naszych uszu dobiegło pukanie.

Szara odetchnęła z ulgą. Uśmiechnęła się pokrzepiająco do Laury i szepnęła:

– Idź otworzyć.

Dziewczyna otarła dłonią policzki mokre od łez, podeszła do drzwi wejściowych i otworzyła je z wahaniem. W progu stała Milena. Jej twarz pokryta była sadzą. Włosy posklejane, oczy czerwone i wilgotne. Pachniała dymem.

Stały tak przez chwilę – obie sparaliżowane strachem.

W końcu Milena podniosła wzrok i nad ramieniem Laury spojrzała na mnie.

– Wyjeżdżasz – szepnęła nieśmiało i weszła do środka, rozglądając się jak po muzeum.

– Tak – odparłam.

– Obiecałam oddać – powiedziała i podniosła do moich oczu notatnik – równie osmalony jak jej twarz, ale niespalony.

Wzięłam notes i podziękowałam.

Wszystkie trzy przyglądałyśmy się uważnie śladom sadzy na jej policzkach i dłoniach.

– U mnie też był dziś w nocy pożar – powiedziała w końcu w odpowiedzi na nasze pytające spojrzenia.

– Ach tak? – spytała Szara. – A to ciekawe.

– Bardzo ciekawe – przytaknęła. – I wyobraźcie sobie, że spalił mi się tylko jeden jedyny mebel.

Nic ponadto.

– Jaki mebel? – spytała Laura.

– Stara, drewniana skrzynia...

– Nic poza tym nie spłonęło? – szepnęła Szara.

– Nic. Tylko skrzynia i jej zawartość – odparła Milena.

– Niesamowite. Trzymałaś w niej coś ważnego? – dopytywała się Szara.

– Nic, co miałoby mi się jeszcze kiedykolwiek przydać – powiedziała, patrząc Laurze prosto w oczy. W jej spojrzeniu kryła się obietnica, na dnie tęczy spoczywała przysięga.

Laura podeszła do niej z wahaniem i wtuliła się w jej osmalone ramiona. Wcisnęła twarz w osmagane dymem włosy i obie zaczęły płakać.

– To wszystko było jednym wielkim koszmarem. Mam wrażenie, że przespałam całe swoje życie – kwiliła Milena.

– To nic, mam, to nic – szepnęła Laura, obejmując ją. – Najważniejsze, że się obudziłaś.

Poczułam, że to dobry moment, by zakończyć tę historię i odejść. One powinny być teraz same – już mnie nie potrzebują.

Wzięłam głęboki oddech, zebrałam się w sobie i...

...otworzyłam oczy.

Gdańsk, Smołdziński Las, Słupsk;

zima i wiosna 2014, wiosna i lato 2015